

Alvina Knightly.
Niezwykła.
Niecenzuralna.
Niezrównoważona.

SZALONA

Chloé Esposito

CZĘŚĆ
1

Chloé Esposito
SZALONA

CZĘŚĆ
1

Przełożyła AGATA ZANO

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Wyjaśnienie](#)

[Lenistwo](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Zawiść](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Gniew](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Pożądanie](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Obzarstwo](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Chciwość](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Pycha](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[Rozdział czterdziesty trzeci](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału: *MAD*

Redakcja językowa: Ewa Kaniowska

Cover © by Penguin Random House UK

Zdjęcia na okładce:

Woman with sunglasses © by Jay Brooks

Swimming pool and sea © Jacopo Rumi/EyeEm/Getty Images

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Korekta: Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © 2017 by Chloé J. Esposito

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-572-5

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Paola

Nie będziesz pożądał żadnej rzeczy,
która należy do bliźniego twego.

Księga wyjścia

Człowiek dwa życia. Drugie zaczyna się,
kiedy pojmujemy, że mamy tylko jedno.

Konfucjusz

Czyste Szaleństwo to najwyższy Rozum –
Dla wnikliwego Oka –
Czysty Rozum – to skrajne Szaleństwo –
Lecz również tutaj Większość,
Jak we Wszystkim, zwycięża –
Uznaj ją – jesteś normalny –
Wnieś sprzeciw – jesteś niebezpieczny –
Na takich czekają natychmiast Kajdany –

Emily Dickinson

Wyjaśnienie

ZANIM PRZEJDZIEMY DALEJ, musimy coś sobie wyjaśnić: mam serce w niewłaściwym miejscu. Żołądek, wątrobę i śledzionę też. Wszystkie organy mam po przeciwnej stronie niż normalny człowiek, dokładnie tam, gdzie nie powinny się znajdować. Cała jestem tył na przód: wybryk natury. Siedem miliardów ludzi na tym świecie ma serce po lewej stronie. A ja po prawej. Nie sądzicie, że to jest znak?

Moja siostra ma oczywiście serce tam, gdzie trzeba. Elizabeth jest doskonała do ostatniej kosteczki. Ja stanowią lustrzane odbicie swojej bliźniaczki; jej mroczną stronę, jej cień. Ona jest prawidłowa, ja błędna. Ona pisze prawą ręką; ja używam lewej. Po włosku „lewy” to *sinistro*, ale to słowo może oznaczać też nadchodzące nieszczęście. Taka ze mnie lewa siostrzyczka. Beth jest aniołem, a ja? Zatrzymajmy na razie tę myśl...

Najzabawniejsze, że jak na nas spojrzeć, to nie widać żadnej różnicy. Z wierzchu jesteśmy identyczne, ale wystarczyłoby nas obrać ze skóry, żeby zafundować sobie niezły szok. Patrzcie i podziwiajcie, jak moje flaki rozlewają się w zupełnie niewłaściwym porządku. Ale bajzel. Tylko nie mówcie potem, że was nie ostrzegałam. Mało przyjemny widok.

Jesteśmy jednojajowe, jakby się kto zastanawiał. Zygota Beth się rozdwoiła i oto powstałam ja. To miało miejsce na najwcześniejszym etapie rozwoju, kiedy Beth była jeszcze tylko zlepkiem komórek. Mama była w ciąży dopiero od kilku dni, i wtedy nagle – puf – pojawia się ja, zupełnie znikąd, jak kukułcze jajo. I odtąd Beth musiała dzielić ze mną przytulną maciczkę i pyszne łożysko *à la carte*.

Tłoczno nam tam było. Mało miejsca na nas dwie, a tu jeszcze nasze pępowiny. Beth zaplątała sobie swoją wokół szyi, całkiem mocno. Przez jakiś czas nikt nie wiedział, co z nią będzie. Pojęcia nie mam, jak do tego doszło. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

Naukowcy uważają, że bliźnięta jednojajowe powstają zupełnie przypadkowo. Wciąż stanowimy tajemnicę; nikt nie wie, jak i dlaczego się pojawiłam. Niektórzy powiedzą, że to szczęście, ślepy traf, zbieg okoliczności. Ale natura nie lubi przypadków. Bóg nie grywa sobie w kości. Nie przyszłam na świat bez powodu, wiem o tym. Ale nie znam jeszcze przyczyny. Dwa najważniejsze dni w życiu to ten, w którym się rodzisz, i ten, w którym pojmujesz, po co jesteś na tym świecie.

DZIEŃ PIERWSZY

Lenistwo

Mój problem polega na tym,
że chuj mnie to wszystko obchodzi.

@Alvinaknightly69

Rozdział pierwszy

Poniedziałek, 24 sierpnia 2015 r., 8 rano

Archway, Londyn

Od: Elizabeth Caruso
ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com
Do: Alvina Knightly
AlvinaKnightly69@hotmail.com
Data: 24 Sier 2015 08.01
Temat: ODWIEDZINY

Alvie, kochanie,

Proszę Cię, przestań mnie ignorować. Wiem, że dostałaś moje ostatnie dwa mejle, bo zaznaczyłam tę opcję ze śledzeniem od nadawcy do odbiorcy, więc możesz się już nie wygłupiać. Dobrze, powtarzam się, ale biorę za to pełną odpowiedzialność i zapraszam Cię – jeszcze raz – do naszej willi w Taorminie. ZAKOCHASZ SIĘ w tym miejscu: XVI wiek, oryginalne detale, zapach plumerii w powietrzu. Słońce świeci dzień w dzień. Basen taki, że oczom nie wierzysz. Tuż za rogiem stoi starożytny grecki amfiteatr, który od zachodu komponuje się z Etną, a od wschodu z migoczącym w promieniach słońca Morzem Śródziemnym. Choćby nawet na tydzień udało Ci się wyrwać – wiem, że w tej koszmarnej pracy traktują Cię jak niewolnicę – to i tak cudownie byłoby się z Tobą zobaczyć. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie poznałaś Ernigo; rośnie w oczach i wygląda kropka w kropkę jak ciocia Alvina.

Teraz na poważnie, potrzebuję Cię. Błagam. Przyjedź. TO JUŻ DWA LATA. Muszę Cię o coś poprosić i nie mogę tego zrobić mejlem.

Beth x

PS Wiem, co sobie myślisz, i zapewniam, że to już zupełnie nie jest niezręczna sytuacja. Ambrogio i ja o wszystkim zapomnieliśmy, nawet jeśli Ty jeszcze pamiętasz. Więc przestań zachowywać się jak oślica i przyjedź na Sycylię.

PPS Ile teraz ważysz? Dalej 60 kg? Rozmiar M? Ja nadal nie zrzuciłam nadwagi po ciąży i już doprowadza mnie to do szału.

JA PIERDOŁĘ. Ona jest nie do zniesienia.

„Zapach plumerii w powietrzu”, bla, bla, bla, „starożytny grecki amfiteatr”, bla, bla, bla, „migoczące Morze Śródziemne”, pierdu-śmierdu. Brzmi jak ta prezenterka z *Domu w słońcu*: „Alvina Knightly szuka letniego domu na oszałamiająco pięknym sycylijskim wybrzeżu”. Nie żebym kiedykolwiek oglądała to badziewie.

Absolutnie nigdzie nie jadę. To brzmi nudno i emerycko. Nie ufam wulkanom. Nie znoszę takich upałów. Wszystko się lepi. Wszystko się poci. Moja angielska skóra w dwie sekundy zżarałaby się jak frytka, przecież ja jestem bledsza od Eskimosa. „Nie mów Eskimos!”. Przysięgam, że słyszę jej głos... „Oni nie lubią, jak się tak na nich mówi. To politycznie niepoprawne. Mów Inuita”.

Omiotam wzrokiem swoją sypialnię: puste butelki po wódce, plakat z Channingiem Tatumem, do tablicy korkowej przypięte zdjęcia „przyjaciół”, których nigdy nie widuję. Ciuchy na podłodze. Kubki z zimną herbatą. Taki klimat, że łóżko Tracey Emin to przy tym wystawka z Ikei. Trzy mejle w tydzień? Co jest grane? Czego ona ode mnie chce? Chyba odpiszę, bo inaczej będzie zawracać dupę do końca świata.

Od: Alvina Knightly
AlvinaKnightly69@hotmail.com
Do: Elizabeth Caruso
ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com
Data: 24 Sier 2015 08.08
Temat: RE: ODWIEDZINY

Elizabeth, Kochanie moje,
Dziękuję za zaproszenie. Opis twojej willi naprawdę brzmi fenomenalnie. Jakie Wy macie szczęście (Ty, Ambrogio i oczywiście mały Ernie), że możecie mieszkać w takim wspaniałym domu w takim bajecznym miejscu! Pamiętasz, jak w dzieciństwie to ja zawsze kochałam wodę? A teraz to Ty masz własny basen...

(A ja mam wannę z zapchanym odpływem).

Życie jest takie zabawne, co? Oczywiście okropnie bym chciała przyjechać i poznać Twojego cudnego małego cherubinka, mojego własnego siostrzeńca, ale jestem zawałona robotą. W sierpniu zawsze mamy najwięcej pracy, dlatego tyle czasu mi zajęła odpowiedź. Przyjmij moje przeprosiny. Daj znać, kiedy znów będziesz w Londynie; przydałoby się spotkać na jakąś kawę.

Albinos.

Nieważne, ile razy wpisuję swoje imię: Alvina, autokorekta z uporem godnym lepszej sprawy zmienia je na zasranego Albinosa. (Może sztuczna inteligencja wie, jaka jestem blada, i robi sobie ze mnie jaja?) Chyba po prostu zmienię sobie imię w urzędzie.

Alvina

PS Proszę, przekaz moje pozdrowienia mężowi i ucałuj Ernesta od cioci.

Wyślij.

Brat bliźniak Elvisa Presleya urodził się martwy. Niektórzy to mają w życiu szczęście.

Zwlekam się z łóżka i włożę prosto w pizzę, którą zostawiłam na podłodze. Wczoraj w nocy zdążyłam zjeść tylko połowę, zanim koło czwartej nad ranem urwał mi się film. Całą stopę mam w sosie pomidorowym. Między palcami u nogi plasterki salami. Odklejam mięso i pakuję sobie do ust, a sos wycieram skarpetką. Ubieram się w ciuchy znalezione na podłodze: nylonową spódnicę, której nie trzeba prasować, i bawełniany T-shirt, który niestety trzeba. Patrzą w lustro i aż się krzywię. Yhh. Ścieram z oczu maskarę, rozsmarowuję na wargach fioletową szminkę i rozczesuję palcami przetłuszczone włosy. To musi wystarczyć; jestem już spóźniona. Znowu.

Idę do pracy.

Przy wyjściu zgarniam pocztę i rozdieram po kolei koperty, pełną niemrawo po chodniku, zasysając marlboro. Rachunki, rachunki, rachunki, rachunki, wizytówka jakiejś minifirmy taksówkarskiej, reklama pizzy na telefon. „OSTATECZNE WEZWANIE DO ZAPŁATY”, „ZAWIADOMIENIE KOMORNICZE”, „INFORMACJA O ZADŁUŻENIU”. Bła, bła, bła, bez przerwy ta sama śpiewka. Czy Taylor Swift też musi się użerać z takim gównem? Wciskam listy w rękę bezdomnego, który siedzi przed wejściem do metra: proszę bardzo, już nie mój problem.

Przepycham się przez zbitą masę ludzi stłoczoną przy bramkach i trzaskam kartą miejską o czytnik. Przemieszczamy się przez stację z prędkością 0,0000001 km/h. Próbuję napisać w myślach haiku, ale żadne

słowa nie przychodzą mi do głowy. Coś głębokiego, o egzystencjalnych zmaganiach? Coś poetyckiego i nihilistycznego? Ale nic z tego. Mój mózg jeszcze śpi. Gapię się nienawistnie na reklamy ciuchów i biżuterii, które zajmują każdy wolny milimetr ściany. Ta sama zadowolona z siebie sfotoszopowana modelka z tą samą zadowoloną z siebie sfotoszopowaną japą patrzy na mnie z wyższością, tak samo jak każdego poranka. Tym razem karmi małe dziecko w reklamie mleka następnego. Nie mam małego dziecka i nie trzeba mi o tym przypominać. Stanowczo nie potrzebuję mleka następnego.

Zbiegam po ruchomych schodach i przeciskam się koło faceta, który zajmuje o wiele za dużo miejsca.

– Ej, uważaj, jak leziesz!

– Po prawej się stoi! Palant.

Jestem wielką artystką uwięzioną w ciele przedstawicielki handlowej ogłoszeń drobnych; jestem reinkarnacją Byrona, van Gogha, Virginii Woolf albo Sylvii Plath. Czekam na peronie i rozmyślam nad swoim losem. Przecież w życiu musi chodzić o coś więcej? Powiew stęchłego powietrza oblizuje mi twarz i daje znać, że nadjeżdża pociąg. Mogłabym teraz skoczyć i to wszystko by zniknęło. W ciągu godziny ratownicy zeskrobaliby mnie z torów, a linia Northern znów zaczęłaby działać zgodnie z rozkładem.

Po metalowych szynach przebiega mysz. Ma tylko trzy łapki, ale żyje pod sztandarem wolności i przygody. Szczęściarz z tego gnojka. Może metro zgniecie jej tę mysią czaszeczkę. Niestety, gryzoń ucieka w ostatniej chwili. Wal się, mały szurze.

Opieram się o półkę na końcu wagonu. Facet z opryszczką dokonuje inwazji na moją przestrzeń osobistą; koszulę ma aż przezroczystą od potu. Trzyma się żółtego pręta nad moją głową. Mój nos znajduje się centymetr od jego pachy. Czuję mieszanek Axe Africa i desperacji. Czytam jego

egzemplarz darmowej gazety „Metro” do góry nogami: morderstwa, gwałt, dragi, historia czyjegoś kota. Koleś przyciska krocze do mojego uda, więc przydeptuję mu stopę. Odsuwa się. Następnym razem zasunę mu kolaniem w jaja. Zatrzymujemy się na kilka minut gdzieś w głębi jelita grubego Londynu, po czym ruszamy dalej. Wreszcie wagon opróżnia trzewia i wynurzamy się z niego jak jakiś amorficzny ekskrement. Zostaję wysrana na stacji Oxford Circus.

* * *

Mayfair, Londyn

Powietrze na dworze jest gęste i zbite jak smalec. Hałas samochodów, jakieś syreny policyjne. Wdycham pełną piersią dwutlenek azotu i zaczynam iść. Sprzedawcy badziewia, charytatywni szantażyści i hordy znudzonych studentów. KFC, Costa, Bella Italia. Starbucks, Subway, Dominos. Pokonuję trzyipółminutową trasę do biura na autopilocie. Może ja lunatykuję? Albo umarłam? Może skoczyłam, a to jest limbo? Idę dalej. Ulice mogłyby być pełne zombi, klonów Channinga Tatum albo alpaka, a ja pewnie nawet bym nie zauważyła. Skręcam w lewo w Argyll Street, w prawo w Little Argyll Street, a potem w lewo w Regent Street, cały czas myśląc o Beth. Nigdzie nie jadę. Mowy nie ma.

Gołąb sra mi na ramię: szaro-zielona kupa. Wspaniale. Dlaczego ja? Co ja zrobiłam nie tak? Rozglądam się dookoła, ale chyba nikt nie zauważył. Czy to nie jest czasem taki znak na szczęście? Może to dobry omen na nadchodzący dzień? Ściągam sweter i wrzucam do kosza na śmieci; i tak był już przeżarty przez mole.

Przepycham się przez drzwi obrotowe i posyłam facetowi za biurkiem wymuszony grymas. Oboje pracujemy tu od lat. Nie znamy się z imienia ani

z nazwiska. Typ podnosi głowę, krzywi się i wraca do swojej krzyżówki. Chyba mnie nie lubi. Z wzajemnością. Spełzam po schodach na ołowianych nogach. Marnuję się tu, marnuję. Nie sprzedaję wielkich, lśniących, składanych reklam na pierwszych stronach magazynów. Nie obsługuję seksownych marek, takich jak Gucci, Lanvin czy Tom Ford. To byłby raj. W tym jest gruby hajs. Wtedy siedziałabym na piętrze. Ale nie, robię w ogłoszeniach drobnych. Sprzedaję gówniane małe reklamy na ostatnich stronach, które przegapisz, jeśli tylko mrugniesz w niewłaściwym momencie. I których oczywiście nikt nie czyta. Suplementy na porost włosów, viagra dla kobiet i dziwaczne akcesoria ogrodowe, których nawet twoja babcia by nie kupiła. Sześćdziesiąt jeden funtów za jedną ósmą strony. Pojęcia nie mam, jak tu trafiłam i jakim cudem tu zostałam. A może by tak uciec i zaciągnąć się do cyrku? Zawsze chciałam być tym kolesiem, który rzuca sztyletami w kobietę na obrotowym kole. (Dlaczego to faceci zawsze rzucają sztyletami?) Wyobrażam sobie wielki tęczyowy namiot, klaunów, żonglerów, konie, lwy, zapraszamy, mili państwo, zapraszamy! Słyszę, jak tłumy na widowni klaszczą, gwizdzą, wrzeszczą z przerażenia, kiedy noże przecinają powietrze. Smród potu kłuje w nozdrza. Jestem na adrenalinowym haju. Patrzę, jak koło się obraca: ostrza wbijają się w drewno, o włos omijając jej twarz. Weź, Alvina, to się nigdy nie wydarzy. Żyjesz w swoim własnym małym świrolandzie. I nigdy nie zarobisz na życie pisaniem haiku. Moja siostra zawsze powtarzała, że spełniłabym się jako kontrolerka w strefie płatnego parkowania. A ja na przykład uważam, że praca w rzeźni byłaby całkiem spoko.

Otwieram drzwi na poziom minus jeden. Angela (przez „g”) Merkel (żartuję) patrzy na mnie, kiedy wchodzę do pokoju, i unosi porządnie wyskubaną brew. Roztacza wokół siebie taką aurę, która zapowiada, że dzisiejszy dzień będzie torturą: jak leczenie kanałowe albo kamienie

nerkowe.

– Dzień dobry, Angelo.

A żebyś kociej mordy dostała, Angelo.

Gdybym była kanibalem, zeżarłabym ją na śniadanie.

Siadam przy biurku z tworzywa imitującego drewno w pomieszczeniu bez okien, pełnym identycznych boksów. Wprawdzie moje krzesło jest niby „regulowane”, ale jakimś cudem zawsze ma złą wysokość, kształt albo kąt oparcia; już dawno się poddałam i przestałam je ustawiać. Przydałoby się podlać skrzydłokwiat. W powietrzu zalatuje stęchlizną.

Pod monitorem mam przyklejoną truskawkową hubbę bubbę. Wygląda jak różowoszary szurzy mózdzek. Pakuję ją sobie do ust i zaczynam przeżuwać. Nie smakuje jak truskawki, ale w sumie w zeszłym tygodniu też nie smakowała.

Jestem spóźniona dokładnie dwanaście minut. Powinnam być właśnie na telekonferencji z Kimem (Dzong Ilem... żartuję), ale nie mogę się do tego zmusić. Kim jest równie przyjemny w kontakcie co wrastający paznokiec u nogi. Przez chwilę zastanawiam się, czy podnieść słuchawkę i zacząć dręczyć ludzi. Moje obowiązki zawodowe obejmują między innymi wydzwanianie bez końca w ciemno do nieznanym, aż wystąpią do sądu o stały zakaz nawiązywania kontaktu albo kupią ode mnie przestrzeń reklamową. Płacą, żebym się zamknęła i dała im spokój. Zamiast tego włączam komputer. Nie najlepszy pomysł. Skrzynkę natychmiast zalewają mi „pilne” mejle: „GDZIE JESTEŚ?”, „ZGŁOŚ SIĘ DO H.R.”, „NIEAUTORYZOWANE WYDATKI SŁUŻBOWE”. Yhh, Boże, znowu to samo. Ustawiam opcję „poza biurem”, żeby nie musieć się użerać z niczym pierdoleniem.

Wciąż mam otwartego Twittera – nie wylogowałam się w piątek. Zerkam na Angelę: właśnie torturuje jednego z moich współpracowników

w odległym kącie pokoju. Jebać to. Zerkam na trendujące hasztagi, ale nie znajduję nic ciekawego. Taylor Swift nie odpowiedziała na żaden z moich tweetów komplementujących jej ostatnie stylizacje. Nawet nie zalajkowała. Może jest zajęta? Pewnie pojechała w trasę.

Tak się nudzę w robocie, że obejrzę sobie jakieś porno #kochamteprace.
Tweetnij.

To miał być żart, ale teraz się zainteresowałam. Googluję „YouPorn” na smartfonie i przeglądam wystawkę genitaliów. „Trójkąty”. „Fetysz”. „Fantasy”. „Zabawki”. „Duże cycki”. Ooo, „Dla kobiet”. W tym momencie dzwoni telefon: Beth Komórka. Jasna cholera, ależ ona się na mnie uwzięła. Dlaczego dzwoni, kiedy jestem w pracy? Przecież jestem ważna i zajęta. Rozglądam się po biurze, ale nikt nie zauważył. Próbuję odrzucić połączenie, ale palec ześlizguje mi się po ekranie i zamiast tego odbieram.

– Alvie? Alvie? To ty? Jesteś tam?

Słyszę jej głos wołający moje imię; jest słaby i odległy. Zaciskam powieki i staram się ją zignorować. Chcę, żeby się rozłączyła.

– Alvie? Słyszysz mnie? – miauczy Beth.

Chwytam za telefon i przyciskam do ucha.

– Hej, Beth! Świetnie, że zadzwoniłaś. – Kurwa, tylko o tym dziś marzyłam. Poważnie.

– W końcu. Nareszcie, chcia...

Zgrzytam zębami.

– Słuchaj, Beth – wchodzę jej w słowo. – Nie mogę teraz rozmawiać. Muszę lecieć na spotkanie. Sorry. Szef na mnie czeka. Chyba dostanę awans! Oddzwonię później, okej?

– Nie, czekaj, ja...

Rozłączam się i wracam do pornosów: fiuty, cyce, dupy. Jest nawet ktoś z cycami i fiutem jednocześnie. Ekstra.

– Dzień dobry, Alvino! Jak się dziś miewasz?

Podnoszę głowę i widzę, że Ed (Sheeran, bo on też wygląda jak z chowu wsobnego) zerka na mnie ze swojego boksu. Boże, a ten czego chce? Poza przeszczepem osobowości.

– Cześć, Ed. Wszystko w porządku. Czego chcesz?

– Sprawdzam tylko, co tam słyhać u mojej ulubionej koleżanki z pracy w ten piękny poniedziałkowy poranek.

– Spierdalaj, Ed.

– Och, tak, jasne. Zastanawiałem się tylko, eee...

– Tak?

– Eee... Zastanawiałem się, kiedy może byłabyś w stanie...

– Oddać te pięć dych, które ci wiszę?

– Tak!

– Cóż, nie dzisiaj, oczywiście.

– Nie. Oczywiście nie dzisiaj.

– Więc spierdalaj.

– Jasne. W porządku. Na razie.

Jego głowa znów znika za ścianką. Nareszcie. Jezu. Będę musiała uważać w tym tygodniu, żeby nie wpaść na niego przy automacie do kawy. Na niego i na szefa. Ed nigdy mi nie odpuści, on ma tę moc. Za dużo się nasłuchał księżniczki Elsy. Prawie żałuję, że pożyczyłam od niego tę kasę. Potrzebowałam jej tylko po to, żeby zrobić sobie vajazzle. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że to chyba nie był aż tak pilny wydatek. Miałam zaplanowaną megarandkę z obłędnie seksownym gościem, którego poznałam w sklepie Wszystko Za Funta na Holloway. Pomyślałam, że taka subtelna dekoracja doda naszej pierwszej gorącej nocy nieco blasku. Ale cekiny rozlały się wszędzie, po całym łóżku, jego twarzy, weszły mu nawet we włosy. Najlepsze, że jeden przykleił mu się za gałką oczną, więc koleś musiał

iść z tym do lekarza. Jeszcze przez dobrych kilka tygodni znajdowałam wszędzie te kryształki: w butach, w portfelu, na opakowaniu nuggetsów z kurczaka w zamrażarce (nie mam pojęcia dlaczego tam). Najgorsze jednak było to, że on nawet nie docenił mojego gestu: na całym kroczu miałam wypisane wielkimi literami z różowych diamentów jego imię: AARON. Okazało się, że powinno być ARRAN. No i co, że źle przeliterowałam? Liczy się gest. Pod koniec nocy i tak zostało z tego tylko „AA”.

Wracam do pornoli. Zmniejszam poziom głośności, żeby trochę stłumić jęki, ale wciąż wszystko słychać. Jęczenie, charczenie, przekleństwa. „Fajna dupa, mała”. Ktoś krzyczy: „TY KURWO”. Koleś w masce właśnie posuwa MILF-a całą pięścią, kiedy zauważam kątem oka jakąś postać: Angela wisi tuż nad moim boksem. Oszfak.

- Tweetujesz o porno z firmowego profilu?
- To był firmowy profil? Ups. Coś mi się pomechało – odpowiadam.
- Jesteś zwolniona – oznajmia Angela.
- TAAAAK CIĘ WYRUCHAM, SZMATO – oznajmia YouPorn.

Łapię torebkę, doniczkę ze skrzydłokwiatem, zszywacz i kilka pisemek o celebrytach spod biurka. Idę z powrotem do domu.

Rozdział drugi

Archway, Londyn

NIEWIELE MNIJSZE OD AMSTAFFÓW mewy jazgoczą mi nad głową. W oddali drą się lisy, jakby właśnie ktoś je grupowo gwałcił. Menele o słownictwie ograniczonym do „kurwa” i „pizda” prują się na przechodniów. To urocza okolica, jedna z tych, które agenci nieruchomości opisują jako „obiecująca”, głównie dlatego, że gorzej już raczej być nie może. Wszystko tu jest brudnoszare: niebo, ściany, ulice. Na rakowatych drzewach kwitną plastikowe siatki i puszki po pepsi. Tamten kawałek ulicy stoi rozkopany od ośmiu lat. Nie wali tu bezpośrednio zdechłym szczurem, ale jak dobrze poniuchać, to daje się wychwycić taką subtelną nutę. Nawet wiewiórki wyglądają, jakby miały wściekliznę.

Nie jestem pewna, dlaczego zabrałam zszywacz. To nie mój zszywacz. Nie potrzebuję zszywacza. Nie mam żadnych rzeczy ani ludzi do pozszywania. Wyrzucam go na czyjś trawnik.

Bezdomny koleś biegnie za mną z moimi **OSTATNIMI WEZWANIAMI DO ZAPŁATY**.

– Ej, ty! Ty! Ty! – wrzeszczy, potykając się. Ledwo zipie.

Ignoruję go i zasuwam dalej.

Nasz ganek często myli się ludziom z wysypiskiem śmieci. Regularnie odkrywam tu rano puste puszki po piwie, opakowania po kebabie, zużyte kondomy i popsute zabawki. Raz znalazłam zupełnie gołą bezgłową lalkę Barbie. Jej sztywne różowe ciało leżało na chodniku, jakby ktoś odtworzył

tu scenę zbrodni z *Toy Story*. Głowy nie znalazłam. No ale przynajmniej mamy spektakularny widok na Archway Tower, nieoficjalnie uznawaną za najbrzydszy budynek w kraju. Ekstra.

Pcham mocno drzwi wejściowe; zawsze się zakleszczają, więc trzeba użyć siły. Zawiasy skrzypią. Ktoś namalował słowo PIZDA niechlujnym graffiti. Nie wydaje mi się, żebym to była ja.

Mieszkanie ze współlokatorami jest tańsze niż wynajem kawalerki, ale nieco droższe niż mieszkanie w kartonie przy wejściu do metra. Z biegiem czasu ta druga opcja staje się jednak coraz bardziej atrakcyjna, zwłaszcza kiedy muszę rano czekać całą wieczność w kolejce do toalety, tylko żeby odkryć, że któryś z oblechów nie spuścił po sobie wody:

*Spoglądasz na mnie
Jednym okiem; chcesz zostać.
Spuszczam twą postać.*

Pierwsze haiku dzisiaj! Nadal masz tę iskrę, Alvina. Ty geniuszu poezji, ty. Nagroda Nobla jest w zasięgu ręki. Nigdy nie rezygnuj z marzeń.

Moje mieszkanie znajduje się na ostatnim piętrze zarżniętej amatorskimi remontami wiktoriańskiej kamienicy i dosłownie się rozpada. W zeszłym tygodniu kawałek dachu się oderwał i wpadł mi do sypialni przez sufit. Napisałam do właściciela mejla, że martwię się, co będzie, jak zaczną padać deszcz. zaproponował, że kupi mi wiadro. Tapeta odłazi na brzegach, ale chyba nawet w najlepszych czasach nie wyglądała zbyt atrakcyjnie. Dywany są beżowe i wyślizgane. No, ale przynajmniej mam dach nad głową (częściowo) i łóżko do spania (materac z Ikei), więc staram się nie narzekać, zwłaszcza przed Beth; ona nigdy by nie zrozumiała.

Włazę po niekończących się schodach. Ktoś zostawił rower na korytarzu,

blokując przejście. Czuję charakterystyczny smród: ktoś pali trawę. Wchodzę dalej po schodach, a potem jeszcze trochę. Mieszkam z parą oblechów. Nazywają się Gary i Patty, albo Jerry i Patsy, a może Geo i Pinkie, coś w ten deseń. Zwykle siedzą w domu, jarają zioło w salonie przy zamkniętych oknach i słuchają zespołów, o których w życiu nie słyszałam. Oboje noszą takie same czarne rurki, czarne T-shirty z czaszkami i wielkie czarne bluzy z kapturem, a do tego ironiczne neonowe akcesoria. Ja raczej nie ubieram się na czarno.

Kiedy wchodzę do mieszkania, oblechy liżą się na kanapie. Obrzydliwe. Wycierają zaślinione mordy i odwracają się w moją stronę. Czerwone oczy. Już upaleni. Z telewizora ryczy jakieś bezmózgie gównno: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

– Hej – mówię, wieszając klucze na haczyku.

– Siema – odpowiadają oblechy.

Dywan jest usłany pustymi opakowaniami po skittlesach i cheetosach. Koło kanapy leży na wpół opróżniona butelka Dr Peppera. Przemykam się koło nich do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi. Zamykam na zasuwkę. To gadatliwa parka. Jeśli nie będę się pilnować, uszy mi odpadną od ich gdakania. Może właśnie to się przytrafiło Vincentowi van Goghowi? Oj, napiłabym się absyntu.

Łóżko wciąż jest niezasłane od rana. Skopuję buty z nóg i wpełzam pod kołdrę, ziewając szeroko jak kot; chyba się zdrzemnę. Nie mam nic innego do roboty. Po prostu sobie tu poleżę i poczekam na apokalipsę zombi; coś takiego, żeby wszyscy się rozchmurzyli.

Ściany w moim mieszkaniu są cienkie jak papier; słyszę wszystko, o czym rozmawiają oblechy za drzwiami.

– O, Boże, znalazłam jej profil na Fejsie. Zaraz padnę.

Chyba rozmawiają o mnie.

– Czekał, przecież to nawet nie jest ona – protestuje Gary.

– Tak, to ona! Tylko na maksa sfotoszopowana, i to sprzed pięciu lat – mówi Patty. – Jak myślisz, ilu ludzi nazywa się Alvina Knightly?

Na pewno rozmawiają o mnie.

– Ha, ha! Patrz na to. Mieszka w Highgate? – mówi Gerry.

– Pracuje jako poetka w dodatku literackim „Timesa”? – dodaje Patsy.

– I jest w związku z Channingiem Tatumem? – wtóruje Geo.

– Jaka ona jest porąbana! – stwierdzają jednogłośnie oblechy.

W wyobraźni ostrzę nóż...

– Wyślij jej zaproszenie do znajomych – proponuje Pinkie. – Tak dla jaj.

– Zrobione – mówi Geo.

Coś we mnie umiera w środku. To okrutne, że śmieją się z moich kłamstw. Pokażcie mi jedną osobę, która nie zmyśla na swój temat w mediach społecznościowych? Nie nagina prawdy? Nie wyolbrzymia? To tylko małe białe kłamstewka, moje podkolorowane życie. No i co z tego, że nie jestem znaną poetką? Kogo to obchodzi, że nie mam pracy? Przynajmniej mam jakiś cel, jakieś ambicje. A co oni mają, poza chlamydią? Wszyłonowe?

– Znalazłem ją ostatnio na Twitterze – mówi Gary. – Wiesz, że ona tweetuje haiku?

– A co to jest haiku? – pyta Patty.

– Nuda – wyjaśnia Gerry. – Taki bardzo krótki wiersz, co ma mniej niż 140 znaków. Chyba z Korei.

Na chwilę przenoszę uwagę na *Ekipę z Newcastle*: jeden z mieszkańców drze się na drugiego. Potem ktoś inny zaczyna wrzeszczeć na nich oboje. Wkurzyłam się od tego podsłuchiwania. Porzuciłam już próby zaśnięcia. Mój telefon jest w torebce; wygrzebuję go i gapię się w ekran. To Samsung Galaxy S5. Kupiłam go na wyprzedaży w Carphone Warehouse. Wiem, że

wszyscy mają iPhone'y, ale ja lubię się wyróżniać. A poza tym on wygląda jak iPhone, tylko jest tańszy.

Poker? Pasjans? Pinterest? Minecraft? Któraś z tych gier, gdzie trzeba wszystkich zabić? Grand Theft Auto: Vice City? Dead Trigger 2?

Tinder.

Czas poceniać frajerów w aplikacji randkowej. (Mnie nikt nie ocenia. Używam fotki Beth. Sprytne, co? Mam więcej do zaoferowania niż tylko ładną buzię).

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Boże, nie!

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Stare mięsko.

Bryle z Tesco. Wklęsłe klaty.

Uśmiech psychopaty.

Żabie bicepsy.

Znam ładniejsze psy.

Uszy jak mops.

Twarz jak klops.

Głowa w armacie.

Golas w krawacie.

Nos boksera.

Wąsik Hitlera.

Pryszczaty.

Zezowaty.

Spasiony knur.

Wydziarany szczur.

Kiblowe selfie.

Trochę za elfi.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

Lewo.

PRAWO! Oż, w mordę jeża! PRAWO! PRAWO! PRAWO! Siemanko, Harry, dwadzieścia siedem, pięć kilometrów ode mnie. Jak się pan miewa? Jezusieńku najśłodszy, tak! To jest koleś na tak. Absolutnie na tak. Proszę bardzo, misiu, jedziesz w prawo. Oj, mogłabym cię schrupać, Harry, dwadzieścia siedem, pięć kilometrów ode mnie. Lepiej, żebyś ty też mnie zalajkował.

Piętnaście minut później: nic.

Pół godziny później: nic.

Godzinę później: nadal nic. Nienawidzę Tindera.

Dwie godziny później: ZALAJKOWAŁ MNIE! O mój Boże. O. Mój. Boże. Oddychaj, Alvina, oddychaj.

Moja wewnętrzna bogini robi potrójne salto z arabeską jak jakaś jebnięta

trzynastoletnia gimnastyczka z Białorusi. Oddychaj, Alvina, oddychaj. Co teraz? Wyśle mi wiadomość? A może ja powinnam napisać do niego? Jakie tu są zasady? Co robić? Nie wierzę, że mnie zalajkował.

Ping.

Co to jest? Co to, kurwa, jest?! Nowa wiadomość! Co napisał? Co napisał, dajesz, dajesz, co napi...

Cześć sexy.

Ja pierniczę. Prawdziwy romantyk... Mistrz sztuki uwodzenia! Uważa, że jestem sexy. Będziemy uprawiać seks. O, ja cię. Teraz już tak oddycham, jakbym rodziła. Moja damska anatomia zaciska się niczym dżiąsła mojej babci na krówkach. Co mam odpisać? Też „cześć sexy”? Okej, okej, jedziemy:

Czekaj stój.

Wyślij.

Co? Nie! „Czekaj stój”? Nie, wcale nie to chciałam napisać! Zastrana autokorekta. „Czekaj stój”? Boże, powiedz, że tego nie wysłałam. Oczyma duszy widzę, jak leżę zwinięta w kłębek na brudnej podłodze, a moja wewnętrzna bogini kopie mnie po żebrach wojskowymi buciorami ze stalową wkładką. Rzygam i krwawi mi śledziona. „Czekaj stój”? On pomyśli, że jestem zdesperowana. Pewnie cierpi na związkofobię, a ja już go odstraszyłam. Proszę bardzo! Koniec! Moje życie właśnie się skończyło. On mnie rzuci. Ostatnią szansę na szczęście właśnie szlag trafił. Kurwa, kurwa, kurwa! Co ja mam teraz zrobić?

Moja wewnętrzna bogini podsuwa raczej słaby sposób, żeby uratować mi dupę: napisz „cześć sexy” jeszcze raz i dodaj uśmiezek. Albo ironiczny uśmiezek z mrugającym oczkiem? Czy to jest subwersywne? A może to piętno debila? Nieważne, Alvina, po prostu to zrób. No to...

Cześć sexy;)

Wyślij.

Pauza.

Oczekiwanie wisi mi nad głową niczym tropikalna chmura deszczowa, która lada chwila wybuchnie i nie zostawi na mnie suchej nitki, będę stać na deszczu w prześwitującym podkoszulku i z tuszem do rzęs rozmazanym na policzkach jak u spoconego Alice'a Coopera.

Dlaczego nie odpowiedział? To przez ten uśmieszek, prawda? Uważa mnie za debilkę.

Ping.

Odpisał! Zajedwabiście.

Spoko cycki.

Och. Okej. Urocze, nie? Taki miły komplement. Co za dżentelmen. Dobra, Alvina, teraz odpisz.

Dziękuję.

Buziaczek? Powinnam wysłać buziaczka?

X

Wyślij.

Pauza.

Dlaczego nie odpisał? Już nie odpisze. Może się zagalopowałam z tym buziaczkiem? No, świetna robota, Alvina. Teraz on myśli, że jesteś łatwa. Może trzeba było od razu napisać: „Chcesz się ruchać?”, i już? „A tu masz zdjęcie mojej waginy...”?

Ping.

Chcesz się spotkać? Połykasz?

Ha, ha! Że co? Czy ja... Czy ja... Czy...

Moja wewnętrzna bogini bierze garść aspiryny i podrzyna sobie żyły w ciepłej kąpiel. Krew sączy się z jej nadgarstków, a woda powoli przybiera purpurowy kolor.

Koleś ma pecha, bo jestem jeszcze trzeźwa.

Nie, gryzę.

Wyślij.

Wyloguj.

Zaloguj.

Kutas.

Wyślij.

Usuń aplikację.

Może trzeba było powiedzieć, że jestem weganką (to jest teraz supermodne; wystarczy popatrzeć na Beyoncé i Jaya-Z); cięte riposty zawsze przychodzą mi do głowy za późno. Och, przynajmniej moja wewnętrzna bogini nie żyje; zaczynała mi już naprawdę grać na nerwach.

Facebook.

Loguję się i sprawdzam posty: to bardziej tik niż rzeczywiste zainteresowanie. Od ósmej dwadzieścia jeden, kiedy ostatnio sprawdzałam, nikt nie napisał nic ciekawego. Jedno nowe zaproszenie do znajomych, od oblecha. Usuń. Ktoś, kogo nie znam, zaprosił mnie do gry w Candy Crush Saga. Spierdalaj. Lajkuję czyjeś zdjęcie mokrego perskiego kociaka w wannie: „Brzydaj”. Potem piszę nowy status: *Nareszcie rzuciłam pracę!* Dodaję nastrój: *czuję się: błogo.* Opublikuj.

Przez Harry’ego, dwadzieścia siedem, zaczęłam myśleć o seksie. Nie żebym miała z kim go uprawiać. Moje ulubione seks-zabawki w kolejności od najlepszej to:

Wibrujące 28-centymetrowe Dildo z Cyberskóry, Real Feel Mr Dick;

Wibrator Rampant Rabbit Supersilny Różowy i Rampant Rabbit Pulsujący;

Silikonowy Różowy Wibrator Falliczny Plus;

Wibrujące Kulki Waginalne;

Rampant Rabbit z Wibrującą Nakładką. (Ten jest trochę bez sensu; musiałam z nim udawać).

Założę się, że Beth nie ma żadnych wibratorów; jest na to o wiele zbyt porządnicka. No i ma prawdziwego żywego męża z penisem, więc... On pewnie odwała całą robotę. Ale na pewno nie jest zawsze gotowy do akcji, jak mój Mr Dick. Wysuwam szufladę w szafce nocnej i wyciągam Numer 1; to mój kochanek, mój najlepszy przyjaciel. Zastanawiam się, czy nie przyczepić go do ściany (ma supersilną przyssawkę przy jajkach, żeby łatwo się trzymał drzwi i kafelków pod prysznicem), ale chyba nie mam dość energii.

– Sorry, penisku, po prostu nie jestem w nastroju.

Daję mu buziaka i chowam z powrotem do szuflady.

Palę papierosa za papierosem, a potem jeszcze jednego, i jeszcze. Nie mam na nie ochoty, nawet mi nie smakują, po prostu zdycham z nudów. Bawię się zapalniczką, przyglądam się, jak płomień wznosi się i drga w stęchłym, nieruchomym powietrzu: najpierw czerwony, potem żółty. To hipnotyzujący widok. Zawsze podziwiałam ogień: tego wielkiego kapłana zniszczenia. Nie jestem piromanką; zwyczajnie lubię patrzeć, jak coś płonie. Niesamowite – pomyśleć tylko, że moja mała zippo mogłaby obrócić całe to miasto w popiół; to jest moc. Neron dobrze o tym wiedział, kiedy podpalał starożytny Rzym. Obserwował pożar ze swojego pałacu na Palatynie, śpiewając i grając na lirze, podczas gdy ludzie z wrzaskiem uciekali przed ogniem, a płomienie lizały ich szaty i przypalały włosy. Neron odczekał, aż pożar wygaśnie, po czym zbudował sobie nowy pałac pośrodku miasta, tam gdzie ogień pozbył się starych domów. Neronowi należy się za to podziw; koleś miał rozmach.

Prometeusz też był niezły. Wiedział, że zasady są po to, żeby je łamać. Nieźle wkurzył Zeusa, kiedy odpalił pochodnię od słońca i przyniósł ogień

ludziom. Okazało się, że Zeus nie życzył sobie, żeby ludzkość jarała różne rzeczy – podobnie jak moja matka. Nie pozwalała mi palić misiów Beth ani kota sąsiadów, ani kanciapy z psem zamkniętym w środku. (Psu nic się przecież nie stało. Mama usłyszała szczekanie, zanim dach się zapadł. Trzeba było go tylko wykąpać z sadzy...) Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią się bawić. Mój dawny dyrektor też był strasznie sztywny. Za co niby wywalił mnie ze szkoły? Za to, że podpaliłam mu samochód?

Zresztą, po co komu szkoła? Dzieciakom niepotrzebna już edukacja, skoro wszyscy mamy dostęp do sieci. Internet wie wszystko. Niesamowite, czego można się nauczyć online bez konieczności tolerowania wszy, mundurków i brejowatych obiadów ze stołówki. Tylko w tym tygodniu dowiedziałam się, że żyjemy w wygenerowanym komputerowo hologramie, że Matthew Perry grał Chandlera w *Przyjaciołach* (nie pamiętałam, więc musiałam to wygooglować) i że kiedy samiec i samica żabnicy się parzą, to stapiają się ze sobą i już na zawsze mają jedno ciało. (Bo ocean jest taki wielki, że kiedy samiec wreszcie znajdzie samicę, to przyczepia się do niej bardzo mocno, a potem traci oczy i organy wewnętrzne, aż w końcu obie ryby dzielą jedno ciało i układ krwionośny. To jest na swój sposób piękne). Dobrze wiedzieć.

Naczytałam się w życiu o wiele więcej niż Beth z tymi jej wypasionymi dyplomami (nie żeby to był jakiś konkurs). Mój mózg jest pełny. Studia na Uniwersytecie Życia skończyłam cum laude. Jak ktoś chciałby się powymądrzać, to się nazywa autodydaktyka, ale to już imponderabilia.

Wstaję i ruszam do kuchni/leja po bombie. Herbata – taka tania, dla normalnych ludzi, a nie żadna wypasiona jak te, które zamawia moja siostra: Darjeeling, Earl Grey czy jakaś zasrana organiczna arabica z certyfikatem Rainforest Alliance. Nie obchodzi mnie, że wyleciałam z roboty; nadal myślę o Beth i w kółko miele w myślach jej słowa: „Zapraszam Cię – jeszcze raz – do naszej willi w Taorminie... Potrzebuję Cię. Błagam. Przyjedź”.

Spierdalaj!

Ale jestem ciekawa, czego ona ode mnie chce. Pewnie trochę szpiku albo nerkę. Nic ode mnie nie dostanie, będzie musiała poprosić mamę.

– Herbaty? – pytam. Oblechy posyłają mi dziwne spojrzenia i potrzęsają głowami. Napełniam czajnik i pstrykam włącznik. Uch, dlaczego to się klei? W końcu znajduję swój kubek – nie mam nic do zadeklarowania, z wyjątkiem własnego geniuszu – pod plastikową miską służącą chyba wyłącznie do hodowli bakterii. Myję go, ale brunatne zacieki po herbacie wyglądają dokładnie tak samo jak przedtem. Została jedna torebka herbaty. Wrzucam ją na dno kubka i zerkam na oblechy. Gapią się na mnie, ale kiedy zauważają moje spojrzenie, natychmiast znów odwracają głowy i udają, że oglądają *Jeremy'ego Kyle'a*. Zjeby. W butelce został mniej niż centymetr odtłuszczonego mleka. Zalewam herbatę wodą, potem dodaję resztkę mleka.

– Eee – odzywa się Gary, kiedy idę z powrotem do pokoju. – Możemy pogadać?

Wzdrygam się i rozlewam sobie gorącą herbatę na nogę – na tyle dużo, żeby zapiekło i upaprało mi spódnicę, ale nie aż tyle, żebym zawracała sobie głowę lataniem po ścierkę.

– Jasne. Co tam? – pytam i siadam naprzeciwko. Lepiej, żeby to nie trwało długo. Czy to jest dziewczyna czy facet?

– Trochę ostatnio sobie myśleliśmy – zaczyna Gary.

Myśleliście? Wątpię.

– I wydaje nam się, że to chyba nie działa – dodaje Patty. A może Pam.

Zwracają ku mnie te swoje twarze bez wyrazu i czekają, aż odpowiem. Nie odpowiadam.

– Sądzymy, że powinnaś się wyprowadzić – sugeruje Geo. A może Graham? To wszystko. Nie następują żadne wyjaśnienia. Albo znaleźli sobie trzeciego emo-oblecha, który chce się wprowadzić, albo po prostu mnie nie

lubią. Dlaczego mnie nie lubią? Znaleźli tę zdechłą wiewiórkę? A może chodzi o to, że nie płaciłam czynszu? Niewiarygodne. To ja powinnam ich wykopać, chociaż w sumie oni byli tu pierwsi.

– Jutro – oznajmia Patty z wyćwiczonym grymasem.

Żałuję, że nie mam samurajskiego miecza; w takich chwilach one najbardziej się przydają.

– Oczywiście – mówię. – Żaden problem. Tak się składa, że i tak miałam niedługo się zwijać. Jadę na wakacje na Sycylię, więc...

Pora znaleźć ten karton. Wiedziałam, że dziś jest mój szczęśliwy dzień.

Pędzę z powrotem do pokoju i rzucam się na łóżko. Czuję na sobie wzrok z fotografii. To ja i moja siostra bliźniaczka. Beth wygląda jak supermodelka. Ja wyglądam jak potargana zdzira. To zdjęcie zostało zrobione ostatniego dnia szkoły Beth. Ona była cała ufryzowana, umalowana i wyszczerzona jak kot z Cheshire. Ja miałam kaca, bo poprzedniego wieczora wypijałam sama całą butelkę Malibu, siedząc na drzewie przed naszym domem. Naprawdę nie widzę między nami żadnego podobieństwa; jak dla mnie w ogóle nie wyglądamy jak bliźniaczki.

Przyglądam się fotografii z niechęcią.

Czego chcesz? Słyszę, co ona myśli po drugiej stronie Europy: „Przyjedź na Sycylię, Alvina, przyjedź, przyjedź, przyjedź!”. Jesteśmy jak dwie na zawsze połączone cząstki kwantowe. Ona jest gluonem, ja kwarkiem. Ja jestem ciemną materią, a ona... ona jest chyba po prostu materią. Ta więc na dystans jest trochę przerażająca. Ona walnie w coś czołem, mnie boli głowa. Ja łamię nogę, ona nie może ruszyć kolanem. Ona wychodzi za seksownego, bogatego Włocha i przeprowadza się do Taorminy, a ja muszę się łączyć do frajerów na Tinderze i mieszkam z jakimiś oblechami. Widocznie to nie zawsze działa.

Moja bliźniaczka nie opuszcza mnie ani na chwilę, jest niczym

amputowana kończyna – ale nie dobrze działająca, którą straciłaś w wypadku samochodowym, tylko taka przeżarta gangreną, która zaczynała już trochę śmierdzieć i z radością dałaś ją sobie odrąbać. Alvie i Beth, Beth i Alvie, zawsze tak było, ale teraz już nie – nie od czasów Oksfordu, nie od czasów Ambrogia. Wprawdzie Beth i ja jesteśmy identyczne, ale to ona zawsze była tą atrakcyjną. Tą ładną. Tą szczupłą. To Beth pierwsza zaczęła chodzić, mówić, korzystać z nocnika i dawać dupy. Wciskam twarz w poduszkę.

– Aaaaaa!

Facebook.

Jeden nowy lajk mojego statusu – od Elizabeth Caruso. To moja siostra. Oczywiście.

Gapię się w telefon, zdrapuję brud zasłaniający klawiaturę, ścieram dżem malinowy z ekranu. Jeszcze raz czytam mejla, którego wysłałam do Beth: „Daj znać, kiedy znów będziesz w Londynie; przydałoby się spotkać na jakąś kawę”. Coś takiego pisze się wkurzającemu partnerowi biznesowemu, a nie osobie, z którą kiedyś dzieliło się macicę. Jak tak teraz czytam jej wiadomość jeszcze raz, to brzmi, jakby ona naprawdę chciała się ze mną zobaczyć. „Potrzebuję Cię. Błagam. Przyjedź”. Okej, Beth, brawo, kurwa, brawo. Wygrałaś. Chyba mogę się szarpnąć na SPF 50. Mam nadzieję, że Etna jest w uśpieniu. Zaczynam stukać w ekran.

Od: Alvina Knightly

AlvinaKnightly69@hotmail.com

Do: Elizabeth Caruso

ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com

Data: 24 Sier 2015 11.31

Temat: RE: ODWIEDZINY

Hej, Beth,

Sorry za tę wiadomość wcześniej. Miałam koszmarne dzień w pracy. Ale skoro teraz już nie pracuję, mam czas, żeby cię odwiedzić. Masz rację; dwa

lata to stanowczo za długo. Oczywiście nie mogę się doczekać, kiedy poznam Erniego, a Twoja willa na pewno jest fenomenalna. Ja teraz jestem wolna bezterminowo (i przydałyby mi się wakacje), więc daj znać, kiedy Ci pasuje, to sprawdzę tanie loty w internecie.

Alvie

Wyślij.

Wrzucę to na którąś z kart kredytowych. Przecież to nawet nie są prawdziwe pieniądze, tylko cyferki. Później będę się o to martwić. To pikuś w zestawieniu z górą moich długów, tylko ułamek; nawet nie zauważę. (Pisałam do kierownika banku, żeby dać mu znać, że zrobili jakiś błąd w moim wyciągu z konta, ale mi nie uwierzył. Twierdzi, że nie wcisnęli mi bez mojej wiedzy żadnego ubezpieczenia spłaty zadłużenia ani nie skasowali mnie pomyłkowo za żadne dodatkowe usługi. Jasne, klasyk. Bankowi kutasiarze. Ktoś powinien ich wszystkich wystrzelać).

Rozdział trzeci

WITRYNIE KEBABA obraca się słup anonimowego mięsa – kot? Szczur? Lis? Gołąb? Coś żółtego spływa, kap, kap, na metalowy grill pod rusztem. Skwierczy i pryska, syczy i się przypala: najpierw robi się różowe, potem brązowe, w końcu szare. Powietrze w barze jest ciężkie od tłuszczu. Do lady podchodzi atrakcyjny facet w upapranym białym fartuchu i kartonowej czapce. Ma opadające na czoło włosy i starannie przystrzyżony zarost. Wyobrażam sobie, jak może wyglądać pod ubraniem: czy kryją się tam całe trzydzieści trzy spektakularne centymetry penisa Marka Wahlberga z ostatniej sceny *Boogie Nights*?

– To co zwykle?

Kiwam głową.

– Albo nie, jestem głodna. Wezmę dwa.

Facet bierze w dłoń długi, srebrny nóż i pstryka włącznik. Nóż lśni w świetle jarzeniówki. Ząbkowane ostrze brzęczy, wibruje, warczy, obraca się. Koleś odpiłowuje kawałek po kawałku grube plastry mięsa i łapie je prosto w bułkę. Sałata, pomidory, bez cebuli, dodatkowy sos.

– Osiem dziewięćdziesiąt osiem.

Że ile? Rozbój w biały dzień. Płacę mimo to i w przypływie szczodrości zostawiam dwa pensy napiwku. Łapię kebsy i puszkę normalnej coli i pożeram obie buły w drodze do mieszkania, wydłubuję cebulę (dupek...) i pstrykam nią na chodnik; oblizuję keczup spływający mi po palcach. Plama na bluzce, plama na bucie, plama na chodniku, chlap, chlap, chlap.

Przechodzę koło antykwariatu. Na wystawie leży powieść Beth: przecena,

50 pensów. Staję jak wmurowana. Taniej niż za papier toaletowy. I tak nie zamierzam jej kupić; nie przeczytałabym tej książki, nawet gdyby mi za to zapłacili. No, może gdyby mi dużo zapłacili. Oglądam się przez ramię; prawie jakby Beth mnie śledziła. Nie mogę uwierzyć, że w tym sklepie mają jej książkę. Zerkam na telefon i widzę, że odpisała na mojego ostatniego mejla:

Od: Elizabeth Caruso
ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com
Do: Alvina Knightly
AlvinaKnightly69@hotmail.com
Data: 24 Sier 2015 13.10
Temat: RE: ODWIEDZINY

Alvie najmilsza,
Oczywiście, że Ci wybaczam, i oczywiście, że musisz przyjechać! Kupiłam Ci bilet na lot jutro rano, British Airways do Katanii (bilet i plan podróży w załączniku). Masz miejsce w klasie Club, Kochanie, więc koniecznie skorzystaj z darmowego szampana. Jeśli nie będziesz porządnie nabąbelkowana po przylocie, straszliwie się rozczaruję. Mam nadzieję, że to nie za wcześnie dla Ciebie, ale sama powiedziałaś, że nic nie robisz, a ja, cóż, po prostu nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę! Ambrogio po Ciebie przyjedzie. Ostrzegam: on prowadzi jak Lewis Hamilton, ale w lambo pokonacie 40-minutową podróż w kwadrans.
Nie zapomnij zabrać bikini i kapelusza na słońce – mamy tu morderczą pogodę. Ale nie przejmuj się, jeśli nie masz odpowiednich ubrań, tuż za rogiem w Taorminie mają Gucci i Pradę.

Do jutra!
Całusy,

Beth xxx

PS Wspaniale, że zrezygnowałaś z tej pracy. Nie znosiłaś jej, prawda?

PPS Przypomnij mi jeszcze raz, ile teraz ważysz?

Bardzo długo patrzę w telefon bez mrugania. Kiedy w końcu mrugam, mejl od Beth nie znika z ekranu telefonu. Nie marnuje czasu: jutro rano? Kupiła mi bilet? Jak ona kocha dyszeć ludziom w kark.

I skąd ta nagła obsesja na punkcie mojej wagi?

Od: Alvina Knightly
AlvinaKnightly69@hotmail.com
Do: Elizabeth Caruso
ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com
Data: 24 Sier 2015 13.20
Temat: RE: ODWIEDZINY

60 kg. Do zobaczenia jutro.

Wyślij.

Beth odpisuje niemal natychmiast.

Od: Elizabeth Caruso
ElizabethKnightlyCaruso@gmail.com
Do: Alvina Knightly
AlvinaKnightly69@hotmail.com
Data: 24 Sier 2015 13.23
Temat: RE: ODWIEDZINY
Super! Ja tyle samo! xxx

Co? Jak to w ogóle możliwe? Przecież ona dopiero co urodziła. „Nadal nie zrzuciłam nadwagi po ciąży i już doprowadza mnie to do szału”.

Widzicie to? Żmija.

Lecę jutro rano na Sycylię, mam lot w klasie Club (co to niby jest?) i odbiera mnie koleś w lamborghini. To brzmi jak marzenie. Nie mogę się doczekać spotkania z Ambrogiem. Ciacho jakich mało. On jest jak Brad Pitt razy Ashton Kutcher do potęgi Davida Gandy'ego. Może Beth nie jest jednak aż taką krową?

Rzucam puste opakowania po kebsach na schody przed domem – i tak leży tam już cała sterta. Sprintem wbiegam na górę, przeskakując po dwa schody na raz.

* * *

Mam mieszkanie całe dla siebie, tak jak lubię najbardziej. Gdyby tylko było tak cały czas. Wyjarałam już sześć papierosów jednego po drugim i wypilałam prawie całą butelkę Pinot Grigio, którą znalazłam w lodówce. Nie było moje, ale jutro wyjeżdżam, więc mam to w dupie.

Opróżniam szafę i szuflady, po czym wyszarpuję walizkę spod łóżka. Strzepuję z niej kurz, pety i skarpetki. Nie mogę uwierzyć, że znowu zobaczę Beth. Byłyśmy praktycznie nierozłączne od urodzenia do college'u (nie z wyboru; z tasiemcem człowiek też może być nierozłączny. Albo z nitkowcem podskórnym. Albo z kleszczem). Wszystko zaczęło się dwadzieścia sześć lat, dziesięć miesięcy i dwanaście dni temu. Przedtem trącałyśmy się łokciami w tym słonym oceanie owodniowym i nie mogłyśmy się doczekać, kiedy wreszcie wyjdziemy na zewnątrz i staniemy się oddzielnymi bytami. Dziewięć miesięcy to bardzo długo, jeśli spędza się ten czas z twarzą w cudzej dupie. Beth wyrwała się pierwsza – wyslizgnęła się z kanału rodnego jak kanadyjska gwiazda bobslejowa walcząca o złoto na olimpiadzie zimowej. Ja utknęłam nogami do przodu. Położna musiała mnie wyszarpnąć ze środka, pakując w moją matkę ręce aż po łokcie, jak rolnik

odbierający poród cielaka. Ja w tym czasie zrobiłam szpagat i założyłam sobie nogi za uszy. Nie muszę dodawać, że kiedy pierwsza z nas wyszła na świat, nasza matka miała już dość parcia. Na co ja jej byłam potrzebna? Miała już Beth. Ja byłam towarem bonusowym, jak w ofercie „kup jeden, drugi gratis”, której w sumie wcale nie chcesz. Nierozpakowanym cheddarem, pleśniejącym sobie na dnie lodówki. Drugą paczką delicji, których naprawdę nie powinnaś jeść. Łatwo było o mnie zapomnieć. Łatwo było mnie zignorować.

Mama zawsze o mnie „zapominała”, tak jak „zapomniała” mi wspomnieć o tym, że emigruje do Australii. „Zapomniała” mnie zaszczepić i złapałam odrę. „Zapominała” zabrać mnie do domu z supermarketu albo z pociągu do Penzance, kiedy jechaliśmy na wakacje. „Zapomniała” zaprosić mnie na pogrzeb naszej babci. (To nie była moja wina, że babcia umarła; po prostu tak się złożyło, że akurat przyjechałam w odwiedziny, kiedy w końcu kopnęła w kalendarz). No, sami widzicie.

Ponieważ zaklinałam się przy porodzie, wpakowali mnie do akwarium, czyli do inkubatora. Coś z niedoborem tlenu. Kiedy po raz pierwszy mnie zobaczyli, byłam wściekle niebieska. Ponieważ wpakowali mnie do akwarium, musiałam zostać w szpitalu. W przeciwieństwie do Beth nie byłam karmiona piersią. Pielęgniarki karmiły mnie z butelki. Żywiłam się wyłącznie mlekiem w proszku. Mama wyszła ze szpitala razem z Beth, swoją cudowną pierworodną córunką, i było im razem przecudnie we dwie. Kilka tygodni później wreszcie mnie wypisali – musieli trzy razy nagrać się mamie na sekretarkę, zanim w końcu przyszła mnie odebrać. Oczywiście do tego czasu zdążyła się już bardzo związać z Beth. A każdy wie, że jedno dziecko na raz w zupełności wystarczy. Ta tendencja utrzymała się przez kolejne dwadzieścia sześć lat, aż do dziś: mama była leniwa, Beth łatwa do kochania. Posłuszna, grzeczna, nieskazitelnie porządna. Nigdy nie narobiła wstydu

przed sąsiadami, nie uciekła z domu i nie wpakowała się w kłopoty z policją. Nic nie podpalała i nie rzucała mięsem. Nigdy nie była rozczarowaniem.

Dostałam imię po naszym ojcu, Alvinie (cóż za popis wyobraźni), a Elizabeth po Jej Wysokości, królowej (naszej matce ta historia nigdy się nie znudzi...). Tak się złożyło, że mama nie była szczególnie przywiązana do naszego taty. Rozwiedli się niedługo po naszych narodzinach i ojciec wyprowadził się do San Francisco. Nigdy więcej go nie widziałam. Nie żeby to była jakaś wielka strata; prawdopodobnie był chujem. Mama nigdy nie zamieszkałaby w Ameryce, na Grenlandii czy w Afganistanie. Za bardzo kocha królową. Jest jej oddana niczym pszczoła. Kiedy jej drugi mąż (totalny palant o imieniu Rupert Vaughan Willoughby) poprosił, żeby przeniosła się z nim do Australii, ona zgodziła się tylko dlatego, że królowa oficjalnie nadal tam rządzi. Kochająca poddana, prawdziwa patriotka – mama zawsze wołała Elizabeth ode mnie. Gdybyśmy tylko mieli kiedyś królową Alwinę! Sprawdziłam w Wikipedii, ale nic z tego. Tylko jakaś durna zagubiona dziewczynka z powieści D. H. Lawrence'a, której nawet nie czytałam.

Moje najwcześniejsze wspomnienie? Jak wbijam szpilki w lalkę Beth. Nie pytajcie dlaczego. Nie mam pojęcia. Miałam jakieś trzy albo cztery lata. Gównie wtedy wiedziałam o wudu. Po prostu znalazłam któregoś dnia jej lalkę i uznałam, że fajnie będzie wpakować w nią trochę szpilek. I owszem, to było fajne. Dalej mam ją przed oczami, jak leży na toalecie: długie blond włosy i wielkie błękitne oczy z powiekami, które same się podnosiły i opadały, kiedy poruszyć jej głowę w przód i w tył. Lalka siada: oczy się otwierają. Kładzie się na plecach: zamykają. Otwierają. Zamykają. Otwierają. Zamykają. Godziny zabawy.

Znalazłam szpilki mamy schowane w szufladzie. Takie długie, cienkie, srebrne, każda z inną kolorową kulką na końcu. Musiało być ich z pięćdziesiąt w tym małym prostokątnym pudełeczku. Wyciągałam jedną po

drugiej i wbijałam w lalkę. Nic łatwiejszego. Spodziewałam się, że lalka zacznie płakać, ale ona nie wydała z siebie żadnego dźwięku, po prostu leżała i w milczeniu znosiła swój los. Zaczęłam od stóp, cztery szpilki w każdą, po jednej między małe różowe paluszki, potem jeszcze jedna i jeszcze, w dwóch długich liniach wzdłuż nóg. Z łatwością wsuwałam je głęboko w plastik. Sterczały ładnie i mocno jak kolce u jeża.

Wbijałam dalej, szpilka po szpilce, coraz wyżej wzdłuż jej ciała: brzuch, pierś, szyja, policzki, czoło, skronie. Dziabnęłam ją kilka razy w oko, ale nie chciały wejść: jej gałki oczne były zrobione ze lśniącego, twardego szkła. Kiedy skończyłam przód, przewróciłam ją na drugą stronę i zaczęłam wbijać szpilki w jej plecy. Pośladki. Tył głowy. Wszystko szło świetnie aż do ostatniej szpilki. Chyba była czerwona. Nie wiem, co się stało. Wyjęłam ją z pudełeczka i wtem – ukłułam się w kciuk. To był kolosalny wstrząs. W tym wieku? Jak trzęsienie ziemi. Na palcu uformował się koralik krwi: doskonały, okrągły, równie czerwony jak główka od mojej szpilki. Byłam zupełnie jak Śpiąca Królewna nad wrzecionem. Bez chwili zastanowienia zlizalam krew. Jak zwierzę. Instynkt. Wtedy po raz pierwszy poczułam smak krwi. Nie przypominał niczego, co poznałam wcześniej ani później: był słony, metaliczny. Zakazany jak wino. Odebrało mi mowę. Coś się we mnie zmieniło.

Ale to było kiedyś, a teraz jest teraz. Nie widziałam siostry całe dwa lata, od czasu jej ślubu w Mediolanie, w pierdolonej katedrze. Co to była za katastrofa. Nie chcę nawet o tym myśleć. Odpalam jeszcze jednego papierosa i zaciągam się głęboko nowotworem płuc, siadam na parapecie i gapię się na gołębie. One gapią się na mnie. Wredne. Mordercze. Po ich małych czarnych oczkach widać, że knują różne paskudztwa. Czy to jeden z was był tym wesołkiem, który nasrał mi na ramię? Oglądały Hitchcocka; mogą zaatakować w każdej chwili.

Sceny z wesela Beth nieproszone zalewają mi umysł...

Żłapię jeszcze trochę wina.

Na długie miesiące przed „wielkim dniem” Beth moja matka wydzwaniała do mnie non stop tylko po to, żeby powtarzać w kółko to samo pytanie:

– Z kim przyjedziesz, Alvino? Muszę wiedzieć, żeby zaplanować układ siedzeń/wypisać zaproszenia/mieć do czego się przypierdolić.

– Ale mamo, dlaczego miałabym przyjść z kimś? Do czego w ogóle potrzebny mi chłopak?

– Alvino, nie będę teraz z tobą o tym dyskutować. Brukselka się rozgotuje i twój ojciec jej nie zje.

– On nie jest moim ojcem.

Cisza.

– Dlaczego nie możesz sobie znaleźć jakiegoś miłego chłopaka, takiego jak Ambrozja? – spytała.

Boże, proszę, ratuj. Znowu ta sama śpiewka.

– Ambrogio, mamo. To nie deser lodowy.

Chociaż muszę przyznać, że chętnie bym go polizała tu i ówdzie.

– Twoja siostra się ustatkowała, a ty nie robisz się coraz młodsza.

– Tak. Wiem.

Miałam dwadzieścia cztery lata, na litość boską.

– Ani coraz bardziej atrakcyjna.

Noż ja pierdolę. Ona naprawdę wie, jak mi zaleźć za skórę. Zamrugałam parę razy, żeby odpędzić wzbierające łzy, i nieco zbyt głośno pociągnęłam nosem. Przecież to nie tak, że chciałam umrzeć w samotności.

– Jestem bardzo szczęśliwa bez chłopaka, a ostatni facet, którego przeleciałam, okazał się jakimś gatunkiem ślimaka.

Jedną z najbardziej zaskakujących właściwości ślimaków jest ich zdolność wykorzystywania tego samego organu do różnych funkcji. Na przykład

ostatni koleś, z którym się przespałam, używał swojego fiuta jako narządu rozrodczego i mózgu jednocześnie. I był oślizgły. W złym znaczeniu tego słowa. Nie, z moich doświadczeń wynika, że faceci wymagają zbyt wiele czasu i uwagi. Jak to tamagotchi, które miałam w dzieciństwie i zdechło. Całe szczęście, że Bóg stworzył Tindera... I jeszcze Duracella na otarcie łez po Tinderowej porażce.

Usłyszałam, jak mama miesza brukselkę po drugiej stronie; wrzątek bulgotał i pryskał, gdzieś nad jej głową buczał wentylator. Praktycznie czułam ten zapach.

– Jak się nazywał ten twój ostatni chłopak? Michael? Simon? Richard, coś takiego?

– A skąd niby mam wiedzieć?

Może Ahmed?

– Oj, kochanie, zawsze mi się mylą, tylu ich było.

Zgrzytam zębami.

Pomimo tego wszystkiego nie zamierzałam za żadną cholerę być sama na wielkim białym weselu Beth. Nie będę singielką, frajerką, wyrzutkiem. Więc przy którymś telefonie od matki w końcu pękłam. Podałam pierwsze imię, jakie przyszło mi do głowy.

– Alex, mamó. Ma na imię Alex.

– Ach! Alexander?

– Co?

– Jest Grekiem?

– Nie!

– Jest bogaty? Jest potentatem transportowym? Jak ma na nazwisko?

– Nie, nie i nie wiem.

– W porządku. Dobrze, wyślę zaproszenie dla was obojga. I potwierdzę plan siedzeń. Posadzimy was przy stoliku „Kapryfolium”, między twoją

cioteczną babcią Verą i wujkiem Bartholomew. Na pewno miło im będzie go poznać. Kiedyś byli na rejsie na Korfu.

Oczywiście nie znałam nikogo o imieniu Alex. Kiedy siedziałam w samolocie easyJeta do Mediolanu i czekałam na start, ogarnęła mnie panika. W sumie mogłabym powiedzieć, że musiał nagle wyjechać w podróż służbową – któryś z jego statków przywalił w górę lodową? – ale nikt by w to nie uwierzył. Sama na bajecznym weselu siostry. Odrzut. Doczepka z litości. Powoli robiłam się (jeszcze bardziej) zdesperowana.

Postanowiłam, że zabiorę ze sobą kogokolwiek, kto usiądzie koło mnie w samolocie. Wiem, przypadkowe, ale dziwnie podniecające. Obserwowałam wsiadających kolejno pasażerów... Ooo, ten jest niezły: designerskie dzinsy, gładko ogolony, w dłoni drogo wyglądająca męska torba. Czy to Prada? Skręca w lewo i siada obok żony z katalogu bielizny i dzieciaka z reklamy H&M. Super. Ooo, a ten? Ten jest cudny. Sobowtór Tysona Beckforda. Diamentowe kolczyki. Sweter od Ralphi Laurena. Seksowny uśmiech. Siada w rzędzie tuż za mną, razem ze swoim jeszcze atrakcyjniejszym chłopakiem. Niech ktoś mnie zabije. Teraz.

– Cześć – powiedział nagle długowłosey, brodaty i nadmiernie wydziarany koleś w typie harleyowca, siadając koło mnie w fotelu od przejścia. – Jestem Adam.

Adam? Prawie. Dobra, ujdzie.

Od Adama waliło hydroponiczną marihuaną. Mówił z silnym akcentem z Newcastle, a może po prostu był głuchy. Miał tatuaż z napisem „mama”. Miał też wydziarane „chardonnay” na ospowatej szyi. Pod paznokciami ślady smaru, na twarzy strupy po jakiejś kraksie na motorze. Adam miał jeszcze sprośniejszy umysł niż ja. Cioteczna babcia Vera nie wytrzymałaby z nim pięciu minut. Przez kolejne dwie i pół godziny z trudem powstrzymywaliśmy się przed konsumpcją naszego pożądania i dołączeniem do high-mile klubu;

zresztą bez przerwy była kolejka do toalety. Poza tym wiedziałam, że muszę go przetrzymać, bo inaczej w życiu nie pójdzie ze mną na to wesele. Trochę się lizaliśmy (ku irytacji starszej pani robiącej na drutach na siedzeniu przy oknie), a potem on zrobił mi palcówkę pod rozkładanym plastikowym stolikiem. Wtedy go zaprosiłam.

– Może poszedłbyś ze mną na wesele w Mediolanie? Zobacysz, będzie warto – dodałam, puszczając do niego oko i kładąc dłoń stanowczo zbyt wysoko na jego odzianym w skórzane spodnie udzie.

– Okej – odparł Adam z błędnym uśmiechem. Wiedziałam, że to będzie doskonałe.

Chyba mogę z czystym sercem powiedzieć, że nie był w moim „typie”, ale lepszy wróbel w garści i tak dalej; zwłaszcza kiedy ten „wróbel” ma dwa palce pod twoim „dachem”. To nie moja wina, że byliśmy pierwsi w kościele i że nie mogliśmy utrzymać rąk przy sobie. Chyba spodobała mu się moja spandeksowa sukienka do krocza i srebrne kabaretkowe pończochy do połowy uda... (Bardzo się postarałam o odpowiednią oprawę na ślub Beth; inspirowałam się pupą Pippy Middleton). Trochę się lizaliśmy w ławce w rogu na tyłach, ale kiedy zrobiło się gęściej, ludzie zaczęli posyłać nam dziwne spojrzenia. Szeptać. Pokazywać palcami. Cmokać. Musieliśmy znaleźć sobie trochę prywatności. Na szczęście pod ścianami stały w rzędzie takie małe budki (dzięki Bogu za konfesjonały). Były idealnych rozmiarów i miały czerwone pluszowe zasłony, które można było zaciągnąć przed drzwiczkami dla zachowania intymnej atmosfery. Złapałam więc Adama za rękę i wślizgnęliśmy się do jednego z konfesjonałów, podczas gdy kościół coraz bardziej się zapełniał.

Z początku byliśmy cicho (w końcu to kościół) ale z czasem chyba nas trochę poniosło, kiedy on pchnął mnie na mahoniową ściankę, a ja usiadłam mu na fiucie na ławce. Pamiętam, że strasznie mnie nakręcała ta

niestosowność: bzykamy się w kościele! Adam smakował pierogiem kornwalijskim, a kiedy dochodził, to się tak dziwnie trząsał i telepał. Mahoń walnął o ceglana ścianę. Chyba pamiętam, że Adam zaskomlał. Ja krzyknęłam coś w rodzaju „Jezusie Nazareński!” albo „Rznij mnie do niedzieli!”, a Adam ryknął: „Mamo!”. Akurat w momencie, kiedy szczytowaliśmy, wypadliśmy przez zasłonkę, w tej samej chwili, kiedy Beth i jej drużyna szły do ołtarza. Beth zrobiła się wściekle czerwona – nadal mam przed oczami jej twarz. Wszyscy się na nas gapili. Jakiś mały chłopiec zapytał Adama, czy jest Jezusem (chyba chodziło mu o tę brodę). Moja matka odłożyła kamerę cyfrową. Wszyscy popatrzyli na Beth, potem na mnie, a potem znowu na Beth. Jak widownia meczu tenisa dla dorosłych.

To nigdy by się nie wydarzyło, gdyby Beth poprosiła mnie, żebym została drużyną.

Potem ksiądz poprosił Adama, żeby sobie poszedł, a reszta imprezy była bardzo nudna. Wielka biała gala z setkami ludzi, których nie znałam, głównie Włochów. Wszystko bardzo rzymskokatolickie. Mama zmieniła plan siedzeń, więc wylądowałam w kuchni z obsługą. Siedziałam wciśnięta między grubego cukiernika Giuseppe i Toto, chłopca ze zmywaka. Ale nie tak przyjemnie wciśnięta. Weselny obiad liczył trzynaście dań: antipasti, pasta, homar, sarnina, cielęcina... Tort miał prawie dwa metry wysokości. Na stoły co chwila wjeżdżały wielkie butle starego prosecco, szot za szotem słodko-kwaśnego limoncello. Całą noc tańczyliśmy tarantelę; setka ludzi trzymała się za ręce i kręciła w kółko do coraz szybszej muzyki, co chwila zmieniając kierunek, aż w końcu wszyscy padali na skołowaną stertę na podłogę. Ludzie co chwila przypinali banknoty do bufiastej sukni Beth, a ja je odpinałam. Zarobiłam tamtej nocy jakieś trzy tysiące euro.

Kilku facetów do mnie podbijało. Koledzy Ambrogia byli ubrani jak statyści z *Matriksa*: długie czarne płaszcze, ciemne okulary. Okazało się, że

wszyscy pracują na Sycylii i zajmują się czymś w rodzaju „wywozu śmieci”. To brzmiało trochę obrzydliwie, a poza tym po Adamie raczej nie byłam już w nastroju. Babcia spytała mnie, czy jestem weganą, „tak jak ta urocza Billie Jean King”. Nie rozumiała, dlaczego nie wychodzę za mąż jak moja siostra ani nie tańczę z żadnym z tych przystojnych facetów. (Chyba ucięła komara podczas incydentu z Adamem...) Okazało się, że chodziło jej o lesbijkę, nie weganę. Powiedziałam jej, że jestem homo, żeby dała mi spokój: „tak jak ta urocza Jodie Foster”, ale babcia nie wiedziała kto to. „Cara Delevingne? Ellen DeGeneres?” – dalej nic.

Beth wyglądała tak pięknie; była jak zupełnie inna osoba. Kiedy stałam przy niej i pozowałam do niekończących się zdjęć, wyobrażałam sobie, że wyglądamy jak metamorfoza jednej osoby: przed i po. Jak w tym amerykańskim programie *Łabędziem być*. Beth była księżniczką z bajki, a ja żabą. Beth wydawała się jakaś starsza, bardziej dorosła. Wiem, oficjalnie jest ode mnie starsza tylko o dwadzieścia minut, ale tak naprawdę to coś więcej: wyższa, bardziej światowa, pewna siebie. Może tak się dzieje, kiedy wychodzisz za mąż za duże pieniądze? Skąd miałabym wiedzieć. Ich alfa romeo była udekorowana kwiatami, żeby zapewnić odpowiednią oprawę ich podróży ku *la dolce vita*. Kiedy odjeżdżali, nie potrafiłam powstrzymać łez. Ambrogio był doskonały i powinien być mój. To wszystko było tak strasznie niesprawiedliwe. Wręcz tragiczne.

W każdym razie Beth raczej się do mnie nie odzywała od tamtej pory. Aż do tych mejli. Chociaż kiedy się nad tym zastanowić, przed ślubem też ze mną nie rozmawiała. A dokładnie to od jesieni 2007 roku.

Gaszę papierosa i pstrykam petem przez okno, celując w gołębia; nie trafiam. Kiedy tamtego dnia patrzyłam na Beth idącą do ołtarza, zrozumiałam, że właśnie rozdzieliłyśmy się ostatecznie. Owszem, lekarze przecięli nasze pępowiny dwadzieścia pięć lat wcześniej, ale aż do

szesnastych urodzin byłyśmy nierozłączne. Alvieibeth, Bethialvie. Miałyśmy jeden pokój, piętrowe łóżko, wspólne książki. Ona mnie określała. Relacja z nią była najbliższą przyjaźni znajomością, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam, mimo że przez większość czasu jej nienawidziłam. A potem już jej nie było.

Kiedy wyprowadziłyśmy się do różnych miast, stworzyłyśmy sobie różne życia. Beth pojechała na studia do Oksfordu, a ja zamieszkałam w Londynie. Nie pamiętam dlaczego. Chyba sądziłam, że londyńskie ulice są wyłożone złotem, ale okazało się, że leżą na nich tylko psie kupy i guma do żucia.

Jestem jak mniej udana, żeńska wersja Dicka Whittingtona. Wiedzieliście, że w dzielnicy Archway jest pomnik jego kota? Takie rzeczy się dzieją, kiedy zostajesz burmistrzem Londynu; ludzie stawiają w mieście podobizny twoich zwierząt rzeźbione w wapieniu. Jeśli/kiedy zostanę burmistrznią, ktoś wyrzeźbi pomnik Mr Dicka w skali jeden do jednego, żeby potomni mogli go podziwiać. Zostanie wzniesiony na postumencie w pałacu Whitehall. Wiem, że Ken Livingstone trzymał w domu traszki. Czy Boris Johnson ma jakieś zwierzątko? Czy tylko mi się wydaje, że Donald Trump i Boris Johnson wyglądają jak bliźnięta, które ktoś rozdzielił zaraz po narodzinach? Szkoda, że nikt nie rozdzielił mnie z Beth. Że nikt nie adoptował mnie albo Beth. Beth albo mnie. Beth. Stanowczo Beth.

Wlewam w siebie jeszcze trochę wina.

Teraz nie mamy ze sobą nic wspólnego poza DNA.

Ludzie zawsze zakładają, że bliźnięta są najlepszymi przyjaciółmi, mają niezwykłą psychiczną więź, są nierozłączne aż do śmierci. Co oni mogą wiedzieć? Dajcie spokój. Jak by się wam podobało, gdybyście całe usrane życie musieli być w cieniu własnej kopii, która jest od was we wszystkim lepsza? Która podoba się wszystkim chłopakom w szkole? „Zapytałabyś siostrę, czy się ze mną umówi? Poproś siostrę, żeby spotkała się ze mną po

lekcjach przy stojakach na rowery”. Nie znieawidzilibyście jej? Nawet odrobinę? Nawet jeśli jednocześnie kochalibyście ją prawie na śmierć? Miłość i nienawiść rzeczywiście są jak dwie siostry: Beth jest odpowiedzialna za miłość, ja ogarniam nienawiść. Przynajmniej wydaje mi się, że kiedyś mnie kochała. Może tolerowała. Nikt mnie nigdy tak naprawdę nie kochał, tak porządnie, jak w książkach. Odpalam papierosa.

Beth napisała swoją powieść, kiedy jeszcze była na studiach, jak Zadie Smith, tylko bez talentu. Oczywiście jej nie czytałam, ale jestem przekonana, że to straszne gówno. Czytanie powieści Beth byłoby jak słuchanie napieprzania Beth bez przerwy przez dziesięć godzin; ona uwielbia dźwięk własnego głosu. (Kiedy mieszkałam z Beth, miałam ochotę wytatuować sobie na czole „zamknij ryj”). Ja nie przepadam za mówieniem, a zwłaszcza do innych ludzi. Wolę poezję.

Napisałam dziś jeszcze jedno haiku:

Bezludne lato:

Miasto opustoszało

Tylko roje os.

Nie mówiłam, że to będzie dobry wiersz. Nawet haiku są dla mnie za długie: całe trzy linijki. Lubię poezję Ezry Pounda; wiersz *Na stacji metra* ma tylko dwie linijki. Byłby jeszcze lepszy, gdyby miał tylko jedną. Albo zero. Tylko ciszę.

Przekopuję się przez stertę starych ciuchów upchniętych w podartej plastikowej reklamówce. Znajduję sukienkę, której nie miałam na sobie od października 2007 roku: fuksjowa kiecka bodycon à la Katy Perry. Beth kupiła nam takie same na urodziny, więc wyglądałyśmy jak bliźniacy Kray albo te koszmarne dziewczynki z *Lśnienia*. Czy nadal będzie pasować?

Rozbieram się do naga i staję przed lustrem do ziemi, przyglądając się swojemu odbiciu. Wyglądam jak mozzarella di bufala. Aż się trzęsę na samą myśl, że miałabym być naga przed Ambrogiem. Wciągam sukienkę przez głowę i ciągnę za zamek błyskawiczny. Przycina mi skórę. Nie pasuje. Rzucam kieckę na podłogę i zaczynam po niej skakać na bosaka. Musiała się skurczyć w praniu. Nie żebym ją kiedykolwiek prała.

Przyglądam się rzędom książek na półkach. Nie ma szans, żebym dała radę je wszystkie zabrać; są o wiele za ciężkie. Egzemplarz *Drugiej płci* Simone de Beauvoir, stanowczo za gruby, żeby go przeczytać. Parę książek Toni Morrison, Jeanette Winterson, Susie Orbach. Może wezmę jedną... albo dwie. Naprawdę powinnam ukraść gdzieś kindla.

Wrzucam do walizki trochę najpotrzebniejszych rzeczy: majtki, papierosy, scyzoryk, paszport? Szlag! Mój paszport! Gdzie on jest? Nie korzystałam z niego od wyjazdu do Mediolanu. Od tamtego czasu zdążyłam pięć razy zmienić mieszkanie. Może teraz być gdziekolwiek. Czy zostawiłam go w monopolowym, kiedy poprosili o dokument? Czy któryś ze współlokatorów zamienił go na działkę mety? Zaledwie kilka godzin temu nie chciałam widzieć swojej siostry, ale teraz sram żarem, żeby do niej pojechać. (Bo co mi pozostaje? Dom Beth jest lepszą opcją niż bycie gwałconą w tyłek w ciemnej uliczce przez bezdomnego kolesia ze wschodniego Londynu. Niewiele lepszą, ale zawsze). No i teraz jestem pijana, a to nie pomaga. Wyrzucam całą bieliznę na podłogę: staniki i majtki, które dni świetności mają już za sobą. Przyklękam na czworakach i zaglądam pod meble, wymiatając różne śmieci. Pokój wygląda jak po przejściu tajfunu. Ani śladu paszportu. Tylko ten bajzel, który z braku lepszego słowa nazywam swoim życiem.

Nie mam tożsamości. Jestem nikim. Jak nienarodzone dziecko albo niepocałowana żaba. Jak ja powiem Beth, że nie dam rady przyjechać? Ona

nigdy mi nie wybaczy. Zabije mnie. To była moja jedyna szansa, żeby się z nią pogodzić! Musimy się pogodzić, bo inaczej przez nią zwariuję! Ona przemyka się po mojej podświadomości jak dementor z Hogwartu. Wysysa mi duszę. Popycha mnie na skraj obłądu. Ciągnie mnie coraz niżej, niżej, niżej. Zaczyna mi drżeć dolna warga. Gorące, mokre łyzy kłują w oczy. Kładę się na podłodze skulona jak płód i szlocham, aż w końcu zasypiam zmęczona płaczem, z głową opartą o walizkę.

DZIEŃ DRUGI

Zawiść

Chciałabym mieć taki tyłek.

@Alvinaknightly69

Rozdział czwarty

TO PRZEZ BETH nigdy nie miałyśmy przyjęć urodzinowych.

No, miałyśmy jedno – pierwsze i ostatnie, na nasze piąte urodziny.

Byłyśmy strasznie podekscytowane, tyle pamiętam. To było nasze pierwsze prawdziwe przyjęcie. Biegałyśmy po całym domu, piszczałyśmy i chichotałyśmy, skakałyśmy w górę i w dół, czekając na przybycie gości. Beth miała na sobie nową falbaniastą sukienkę ze skrzydełkami wróżki i tiulową spódniczkę, a ja jeden z jej starych fartuszków, z którego już wyrosła. Zebrałyśmy włosy w krzywe kitki i związałyśmy naszymi ulubionymi gumkami, a potem przypięłyśmy sobie spinki z motylkami. Mama przygotowała dla wszystkich paczuszki z prezentami i nadmuchała balony. Nawet upiekła tort i wetknęła w niego dziewięć świeczek: pięć dla Beth i cztery dla mnie, bo jedna złamała się w opakowaniu w drodze ze sklepu. W całym domu było ciepło i pachniało świeżym ciastem. Tort wyglądał jak My Little Pony: waniliowy krem maślany, dżem truskawkowy, setki tysięcy drobinek tęczowego cukrowego konfetti. To Beth uwielbiała konie. Ja wołałam trolle. Ale też sądziłam, że ciasto wygląda fajnie: różowy latający kucyk z migoczącymi skrzydełkami i błękitną grzywą, lśniąca i trzepocząca na wietrze. Wtedy konie potrafiły jeszcze latać, w powietrzu unosiła się magia. Tak w każdym razie myślałam, dopóki nie zaczęli schodzić się goście. Wtedy sprawy przybrały zły obrót.

„Sto lat!” Dzieciaki wpadły do salonu z piskiem. A potem zaczęły się gry i zabawy. Beth wygrała w przypinaniu ogona osiołkowi. Beth wygrała zabawę w muzyczne figury i w gorące krzesła. Mama zawsze przerywała

muzykę, kiedy to Beth trzymała prezent podczas zabawy w podawanie paczki. To Beth dostała od mamy pozwolenie na pokrojenie tortu i pomyślenie życzenia (a to był taki piękny nóż!).

Miarka się przebrała. Miałam tego dosyć. Odwróciłam się na pięcie i uciekłam po schodach na górę. Wydawało mi się, że jeszcze chwila i głowa eksploduje mi z wściekłości. Pod powiekami wezbrały mi łzy. Resztę popołudnia spędziłam, płacząc w zamkniętej na klucz łazience w otoczeniu przesiąkniętych smarkami chusteczek. Słyszałam, że pode mną impreza toczy się w najlepsze, a z boomboksa ryczy ulubiona piosenka Beth: *I Should Be So Lucky* Kylie Minogue. Mama powiedziała, że mogę tu siedzieć, „aż się nauczę normalnie zachowywać!”. Beth świetnie się bawiła. Ja nawet nie spróbowałam tortu. Siostra starała się wyciągnąć mnie z łazienki. Waliła w drzwi. Błagała. Prosiła. Kręciła klamką tak mocno, że odpadła. Powiedziała, że da mi swoje prezenty, kartki i tort (zrobiła to tylko po to, żeby poczuć się lepiej). Ale to nie to samo. Zabawki z drugiej ręki nie były już tak ekscytujące. Nie chciałam się dzielić. Dzielenie się to jakaś kosmiczna bzdura. Ten, kto powiedział, że szczęście się mnoży, kiedy się je dzieli, nie miał bliźniaka.

Tamtego roku konie przestały latać. Już nigdy później nie miałyśmy przyjęcia urodzinowego.

* * *

Wtorek, 25 sierpnia 2015 r., 7 rano

Archway, Londyn

– Alvina, gdzie jest moje wino?

Ktoś wrzeszczy na mnie z liverpoolskim akcentem. Komu potrzebne wino o takiej porze? Słyszę walenie w drzwi i widzę, że klamka się obraca. Mam

zajebiste szczęście, że zamknęłam się wczoraj na klucz. Leżę goła na podłodze. Coś mi wlało w szyję; cały dzień będę patrzeć w lewo.

– Chcę swoje wino – miauczy oblech. Próbuję wstać.

– Sorry, wypiałam je. Dam ci dychę? – proponuję. Mało prawdopodobne.

– Lepiej, żebyś dała.

Klamka się uspokaja. Kroki w korytarzu. Cisza.

Zwlekam się z podłogi; ziemia kręci się i kołysze. W ustach mam popielniczkę, do której komuś wylało się trochę piwa. Żałuję, że nie chciało mi się umyć zębów; są teraz takie jakby trochę omszałe. Zauważam, że walizka ma z przodu kieszeń. Jak się nad tym zastanowić, to wygląda na całkiem rozsądne miejsce do przechowywania paszportu. Rozpinam kieszeń. Paszport jest w środku. Nie wierzę!

Czytam imię i nazwisko w dokumencie, tak tylko dla pewności: Alvina Knightly. Owszem, kiedy ostatnio sprawdzałam, to byłam ja. Przyglądam się swojej fotografii. Stare zdjęcie. Pamiętam, jak je robiłam, w budce fotograficznej na stacji Paddington w 2007 roku, zaraz przed tym, jak poznałam Ambrogia. Wpatruję się w twarz na zdjęciu. Uśmiech, oczy. Co to takiego? Nadzieja? Niewinność? Młodość? Wyglądam jakoś inaczej; wyglądam... ładnie. Zamykam oczy, wstrzymuję oddech i zasysam cały swój ból, chowam go głęboko w piwnicy i wyrzucam klucz. To było, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło. Miałam wtedy osiemnaście lat, byłam taka młoda, jeszcze nawet nie zdążyłam stracić dziewictwa. Miałam jeszcze szansę... Przewracam stronę ze zdjęciem i kartkuję paszport: nieskazitelnie czysty. Żadnych pieczętek. Żadnych wspomnień. Nigdzie nie byłam. Nic nie zrobiłam. Nie dorosłam. Nie posunęłam się ani krok do przodu.

Która godzina? Szlag. Dlaczego nie nastawiłam budzika? 7.48. Mam nieco ponad godzinę, żeby dotrzeć na Heathrow. Nie wiem, czy zdążę. Łapię zbyt ciasną kieckę i naciągam przez głowę, na wierzch narzucam dzinsową

kurtkę ze śladem pasty do zębów na przedzie, na nogi wsuwam sponiewierane reeboki. Przetrząsam szuflady w poszukiwaniu czegoś gładkiego i różowego, łapię Mr Dicka i wrzucam do torebki. Omiatam pokój wzrokiem. Nie ma tu nic, na czym by mi zależało. Oblechy pewnie to wszystko spalą, kiedy zobaczą, że nie zostawiłam im tej dychy. Albo kasy za ostatnie dwa miesiące mieszkania. Opieram się chęci podpalenia mieszkania przed wyjściem. Zbiegam po schodach i wypadam z kamienicy. Niecałą minutę później jestem już na stacji.

* * *

Lotnisko Heathrow, Londyn

Metro na lotnisko pełźnie, jakby chciało, a nie mogło. W wagonie nie ma klimatyzacji; to sauna na kółkach, a nie pociąg. Turecka łaźnia. Zastrana linia Piccadilly. Jest jeszcze gorsza niż Northern. Przysiadam na syntetycznym pomarańczowym pluszu i próbuję się nie porzygać. Koło mnie siedzi szczył w bluzie z kapturem i gra w Angry Birds z dźwiękiem na cały regulator, jednocześnie pakując sobie do ust niekończące się frytki. Gdzie on dostał frytki o ósmej rano? Patrzę nienawistnie na jego rozmazane odbicie w szybie naprzeciwko. Koleś ma szczęście, że jestem w dobrym humorze.

Żałuję, że nie mam żadnej książki. I przydałyby się okulary przeciwsłoneczne. Jarzeniówki walą silniej niż słońce. Zakrywam twarz dłońmi i całą wieczność czekam na zbawienie w ciemnym świecie wypełnionym zapachem tłuszczu z octem i jazgotem hiperaktywnych cyfrowych odgłosów. Żółć na zmianę wzbiera mi w gardle i opada, tak samo jak morskie fale w moim brzuchu. Żyły w mózgu pulsują, dum, dum, dum. Po co ja piłam to wino? Nie byłam nigdy w piekle – jeszcze – ale wyobrażam sobie, że to, co teraz przeżywam, to dokładnie takie samo doświadczenie. Na

wpół spodziewam się, że pełznąca po zaparowanym oknie tłusta czarna mucha nagle oderwie się od szyby i zamieni w Belzebuba we własnej osobie, który powita mnie w Otchłani.

„Siemanko, Alvina!” – powie, cedząc słowa jak czarny charakter z Disneylandu. – „Witamy w piekle! Mamy dla ciebie niekończące się tortury w naszych koszmarnych lochach, ale może najpierw przedstawiś się nowym kolegom? Osama, Ruhollah, Idi, Pol, Adolf i Saddam, poznajcie Alvinę!” – Co za festyn kutasów. Byłam pewna, że Maggie Thatcher też tu spotkam. Ale nie. Sami faceci. To wygląda jak Klub Bullingdona, tylko bez świńskich łbów do wyruchania. I nie mają nic do picia.

Kiedy wreszcie dojeżdżam na lotnisko, muszę jeszcze przejść kontrolę bezpieczeństwa: koszmar. Kolejki do rentgenów ciągną się w nieskończoność. Muszę zdjąć buty, pasek i jeszcze kurtkę. Wrzucam torebkę do plastikowej kuwety i patrzę, jak pełnie po taśmie. Przechodzę przez wykrywacz metalu i oczywiście zaczyna pisać. BIIP! BIIP! BIIP! BIIP! Och, super. Właśnie tego mi teraz potrzeba... Kobieta ze skwaszoną miną obmacuje mnie z góry na dół. Czuję na jej bluzce zapach tropikalnego płynu do zmiękczenia tkanin. Potem robi się gorzej.

– Czy to pani torebka? – pyta mężczyzna w mundurze.

– A-ha – odpowiadam.

– Proszę podejść.

Wolałabym tego nie robić, ale facet trzyma moją torebkę, więc nie mam wyboru. Zaczynam się pocić. Gorączkowo zastanawiam się, co za podejrzany przedmiot może się tam znajdować. Dragi oblechów? Ale skąd miałyby się wziąć w mojej torebce? Próbowali zrobić ze mnie muła, żebym przemyciła im metę na Sycylię? Mam tam butelkę wody o pojemności przekraczającej 100 ml? Nożyczki do paznokci? A może przypadkiem zapakowałam maczetę? Scyzoryk leży bezpiecznie w walizce. Nic innego nie przychodzi

mi do głowy.

– W pani torebce coś wibruje. Czy mogłaby pani powiedzieć, co to takiego?

Patrzy na mnie z pogrzebową miną. Z kuwety dobiega wysokie brzęczenie. Myślę o musze z metra. Ten koleś myśli, że mam w torebce bombę.

– Nie mam pojęcia – mówię. – Ale to na pewno nie bomba.

Nie używajcie słowa na B w obecności służb ochrony lotniska, bo się zjeżą. Wszyscy przerywają rozmowy i zaczynają się na mnie gapić. Skwaszona kobieta i jeszcze para umundurowanych facetów tłoczą się wokół mnie. Wszyscy patrzą spode łba. Jeden wkłada plastikowe rękawiczki i rozpina moją torebkę. Brzęczenie przybiera na sile. Chcę umrzeć; właśnie zdałam sobie sprawę, co jest w środku.

– Och, nie chce pan tam zaglądać – mówię, patrząc, jak dłoń w lateksie zbliża się do Mr Dicka. Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy wyciąga moje wibrujące 28-centymetrowe dildo z cyberskóry i podnosi wysoko, żeby wszyscy mogli popatrzeć. Obcy ludzie momentalnie wyciągają telefony i zaczynają wszystko filmować.

– Co to jest? – pyta facet.

To jaskraworóżowa imitacja penisa we wzwodzie. On dobrze wie, co to takiego. Wszyscy wiedzą, co to takiego. Strażniczka próbuje powstrzymać uśmieszek. Nie odpowiadam na pytanie.

– Co to jest? – pyta jeszcze raz funkcjonariusz, tym razem trochę głośniej. Rodziny z małymi dziećmi w kolejce za mną wyciągają szyje, żeby mieć lepszy widok. Przynajmniej nie ma tam nikogo z moich znajomych... Przynajmniej nie ma tu Ambrogia... Ani Beth.

– Pozwoli pan, że przedstawię. To Mr Dick – mówię w końcu i odkasłuję.

– To najwyższej klasy dwudziestoośmiocentymetrowe wibrujące dildo.

Możliwość zmiany ustawień prędkości. Doczepiana nakładka masująca odbył. Gwarantowany orgazm przy każdym użyciu. Chce pan, żebym go wyłączyła? Trzeba tylko nacisnąć ten przycisk...

Wyciągam dłoń w stronę guzika u nasady, ale facet zabiera rękę.

– Proszę pani, obawiam się, że będziemy musieli to skonfiskować. Nie będzie pani mogła wnieść tego na pokład samolotu.

Otwieram szeroko usta. Wyglądam jak złota rybka.

– Co? Dlaczego nie? Przecież nie ma tego na liście niedozwolonych przedmiotów – protestuję, wskazując na plakat na ścianie. Są na nim rysunki zapalniczek i żyletek. Łatwo zauważyć brak ilustracji przedstawiającej wibrującego gumowego fiuta.

– Mogłaby pani tego użyć jako broni.

– Jako broni? Niby jak?

On jednak nie rozwija tej myśli. Kobieta zaczyna się śmiać i udaje, że to kaszel.

Facet w mundurze próbuje zabrać Mr Dicka, ale w porę go chwytam. Nie! Zabieraj łapy, ty gnoju! On jest mój! Trzech funkcjonariuszy bezpieczeństwa i ponad trzydziestu przypadkowych ludzi gapi się na nas, kiedy facet wypuszcza dildo i pozwala, żeby siłą rozpędu walnęło mnie porządnie w twarz. PLASK!

Wyciskam z oka łzę i pozwalam, żeby spłynęła mi po policzku. (Umiejętność płakania na zawołanie jest bardzo przydatna).

– Przyrzekam, że nikogo nie zaatakuję. – Pociągam nosem. – Niech pan zobaczy, mogę nawet wyjąć baterie.

Wyciągam dwie baterie AA i trzaskam nimi o metalowy stół.

– Okej?

Zapada cisza. Kobieta (ewidentnie tylko ona nosi tu spodnie) kiwa głową. Wpycham Mr Dicka z powrotem do torebki i pędzę do wyjścia. Połowa ludzi

w tłumie nadal nagrywa wszystko na telefony.

Opadam na sofę w saloniku lotniskowym British Airways i łapię oddech. Co to za miejsce? Space age i storczyki. Kremowe skórzane kanapy. Designerskie lampy i wypastowane drewniane podłogi. Mają tu nawet takie miejsce, gdzie zrobią ci darmowy masaż. Tu jest jak w jakimś luksusowym hotelu spa. Ludzie się na mnie gapią. Zazwyczaj nie bujam się z takim towarzystwem: biznesmeni, laski do towarzystwa, żony piłkarzy. Myślę, czy się nie rozebrać – wtedy mieliby na co tak patrzeć – ale obawiam się, że mogłabym nie zostać wpuszczona do samolotu.

Łapię telefon i zaglądam na YouTube. Mhm. Oczywiście. Już wisi. Jakiś debil wrzucił nagranie ze mną i podpisał „Turystka z wibratorem”. Widać tył mojej głowy i Mr Dicka. Niewiarygodne. Ma już ponad sześćdziesiąt lajków. Zatrzymuję filmik i wrzucam telefon z powrotem do torebki. Nie zamierzam tego lajkować. Niech spierdalają.

Po mojej lewej siedzi blondynka w chmurze jaśminowych perfum. Jest od stóp do głów pokryta logo Louisa Vuittona. Idealnie pasuje do swojego bagażu podręcznego: spódnica od Louisa Vuittona, żakiet od Louisa Vuittona, apaszka od Louisa Vuittona. Jakby się zakamuflowała przed wyruszeniem na tajną operację do markowego sklepu. A może właśnie tak jest? Zazdroszczę jej butów i torebki. Blondynka mierzy mnie wzrokiem z góry na dół, z ustami ściągniętymi w koci odbyt. Pokazuję jej środkowy palec.

Nadal boli mnie szyja. Pocieram trochę kark i kręcę głową.

W ustach mam teraz Saharę. Najpierw wydaje mi się, że to miraż, wytwór mojej odwodnionej wyobraźni, ale nie – mam przed sobą darmowy bar.

– Woda? – mówię. To wszystko, co mogę zrobić, żeby nie położyć się na podłodze.

Idealnie zadbana pani za ladą podaje mi butelkę zmrożonej Evian i posyła

mi uśmiech za milion dolarów. W delikatesach w Archway tak nie robią. Kobieta nie prosi o pieniądze.

– A może jednak szampan? – klin klinem; o wiele lepiej. Robię, jak kazała Beth; im więcej szampana, tym lepiej. Nie wierzę, że to za friko.

– Czy Laurent-Perrier Grand Siècle będzie pani odpowiadać, madame? – pyta sprzedawczyni głosem Marilyn Monroe. Chyba mówi po francusku. Podaje mi lampkę, a ja pociągam łyk; płynne słońce. Mogłabym się do tego przyzwyczaić! Trzaskam sobie selfie z szampeksem i wrzucam na Instagrama. „Się bąbelkuje!” Dwanaście wykrzykników. Publikuję zdjęcie na Twitterze: „@ChanningTatum Szkoda, że cię tu nie ma!”.

Cztery kieliszki później wyskakuję z saloniku, żeby poszukać jakiegoś prezentu. Co kupić dziewczynie, która ma już wszystko? Mam tylko pięć minut do wejścia na pokład i mózg mi nie działa. Wódka. Jeśli mamy się ze sobą męczyć, to równie dobrze możemy się przy tym narąbać. Łapię butelkę Absoluta i przepycham się na początek kolejki.

– Przepraszam, spieszę się na samolot – mówię do kogokolwiek.

– A my to nie? – protestuje wyszczekana Rosjanka w płaszczu z norek.

Jak jest „spierdalaj” po rosyjsku?

Pędem mijam kolejne wystawy: Burberry, Prada, Chanel, Ralph Lauren... Próbuję ignorować artykuły ze strefy bezcłowej, które nawołują mnie niczym syreny kuszące wyposzczonego seksualnie marynarza. *Kup nas*, szepczą trzewiki z wężowej skóry. Pokochaj mnie, krzyczy sukienka z koronki i lateksu. W witrynie Prady lśnią sandałki ze złotymi paskami na kostki. Przyklejam twarz do szyby, zostawiając na niej mgiełkę gorącego, mokrego oddechu i ślady spoconych łąpek. Flakon Poison Christiana Diora za jedyne £43.50. Szminka Toma Forda, Violet Fatal, tylko £36.00. Pomyśleć, ile bym zaoszczędziła, gdybym kupiła te okulary; oryginalne Ray-Bany za £159.00; dwadzieścia procent taniej niż w salonie. Jeśli je teraz kupię, będę

o czterdzieści funtów bogatsza. To oczywiste, ale nie mam czasu. Ani pieniędzy.

– Uwaga: pasażerka Elvira Kingly proszona o zgłoszenie się do bramki numer czternaście. Boarding na lot linii British Airways BA4062 zostanie zamknięty za dwie minuty. Pani Elvira Kingly. Bramka numer czternaście. Dziękuję.

Elvira? To coś nowego. Kim jestem? Elvira, władczyni ciemności? Czy ja wyglądam jak gospodyni audycji o kinie grozy z amerykańskiej telewizji? Królowa Halloween? Elvira? Błagam. No, przynajmniej nie Albinos.

Pędzę do bramki i mijam kolejkę. Klasa Club, kotku. Nie będę stać i czekać. Chcę się stąd wydostać. Nie mam kasy, nie mam domu, nie mam faceta, nie mam roboty. Pojechało? Nigdy, przenigdy tu nie wrócę. To nigdy nie było w planach, cały ten chaos i nędza. Kiedy uciekałam z domu, miałam wielkie nadzieje. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Była niedziela, środek nocy. Właśnie skończyłyśmy szesnaście lat. Słodkie szesnastki. Myślałam, że wyruszam na spotkanie jakiejś fantastycznej przygody: coś jak *Wyspa skarbów* albo *Przygody Hucka Finna*. Wymknęłam się z domu z plecakiem i całą noc jechałam na stopa. Obudziłam się pośrodku Piccadilly Circus. Miejsce równie dobre jak każde inne: jaskrawe światła, neonowe billboardy, migający, wirujący kalejdoskop kolorów. Znalazłam pracę w japońskiej restauracji: kroiłam tuńczyka i kałamarnice na sashimi. Znalazłam pokój w wystarczająco tanim hostelu. Kiedy nie miałam nic do roboty, godzinami przesiadywałam na ławkach w parku i skrobałam w spiralnym notesie: głównie haiku, sonety i słowa piosenek, tetrastychy, epigramaty, parę ballad. Nastoletnie biadolenie i melancholia. Miałam w sobie tyle angstu, że żaden bard by się nie powstydził. Sądziłam, że do dziś zdążę już zostać światowej sławy poetką i wyjść za jakiegoś pięknego modela/aktora (Channing Tatum?) albo (jeszcze lepiej) za Ambrogia.

Myślałam, że będę miała córeczkę tak śliczną jak te dzieci ze zdjęć Anne Geddes, a do tego range rovera, jamnika i willę w Chelsea. Co poszło nie tak?

Wyglądam przez małe owalne okienko. Chmury burzowe ciemnieją nad asfaltem; wielkie, ciężkie krople deszczu rozbryzgują się o ziemię. Nie miało być lato? Sprawdzam kalendarz w telefonie: ponoć nadal jest sierpień.

Stewardesa rozdaje wszystkim ciepłe, mokre ręczniki, na wypadek gdyby ktoś się nie umył w domu. Wycieram ramiona, twarz, ręce, stopy i kolana. Mam więcej miejsca na nogi, niż kiedykolwiek mogłabym potrzebować. Zaczynam wykonywać ćwiczenia na mięśnie ud, jakbym pływała żabką, ćwicząc przed wejściem do basenu Beth niczym dorastająca kijanka. Lot trwa tylko trzy godziny, ale nie ma sensu ryzykować zakrzepicy. Facet siedzący obok zerka na mnie znad okularów bez ramki, jakbym była jakimś rzadkim gatunkiem robactwa, którego nigdy dotąd nie widział. Przestaję.

Odwraca głowę i patrzy przez okno, więc zaczynam znowu. Co mnie to.

Samolot startuje, telepiąc się i wyjął. Nie lubię latać. To po prostu nie jest naturalne. Nie ma opcji, żeby taka długaśna kupa złomu mogła utrzymać się w powietrzu. Chwytam się mocno podłokietników, aż mi kostki bieleją. Mam ochotę złapać dłoń faceta obok, ale on nie wygląda mi na takiego, co lubi trzymać się za ręce. Zamiast tego ładuję w siebie garść valium. Przynajmniej będę naćpana, jak już staniemy w płomieniach i rozsmarujemy się na asfalcie na pastę z nafty i tkanki miękkiej. Może nawet będzie fajnie?

Znak zapięcia pasów gaśnie. Jesteśmy bezpieczni! Przyglądam się swojej wyrafinowanej sekcji wewnątrz tej aluminiowej tuby. Miło tu sobie siedzieć z przodu, zamiast na tyłach w klasie dla bydła. Czuję się jak VIP, jak celebrytka. Już wiem, jak to jest być Taylor albo Miley. Ale wolałabym być niesławna niż sławna. Britney była fajniejsza, kiedy wróciła na dragi. Winona i Whitney są najlepsze. Nie wiem, dlaczego wszyscy tak się czepiają Lindsay.

Wygląda, jakby doskonale się bawiła. Pańcia od Vuittona też tu jest; czuję jej perfumy. Po drugiej stronie przejścia siedzi inna ofiara mody – patyczak z kośćmi policzkowymi jak u Kate Moss. (Jak ja bym chciała wyglądać tak anorektycznie, serio, ona wygląda, jakby od śmierci dzieliły ją godziny). Osiemdziesięciolatek z opalenizną na Berlusconiego zasnął z niezapalonym cygarem zwisającym z ust. Jedno bunga bunga party za dużo? (Może umarł, ale zostawię to obsłudze). Nie ma tu nawet pół dzieciaka i nikt nie kopie mnie w siedzenie ani w głowę.

– Jeszcze szampana – mówię po naciśnięciu guzika „obsługa”. Ciekawe, co się dzieje, kiedy mieszać szampana z valium. – Macie tu coś do jedzenia? To jest absolutnie przezajebiste.

Rozdział piąty

Lotnisko Catania-Fontanarossa, Sycylia

ŻAR WALI W CZŁOWIEKA jak uciekający przed pościgiem samochód mafii. Osłaniam twarz przed oślepiającym słońcem, mrużąc oczy i mrugając niczym golec piaskowy, który nigdy nie widział słońca. Chwiejnym krokiem wynurzam się z samolotu. Bardziej zjeżdżam niż schodzę po ostatnich kilku schodach na pas startowy. Kurwa, boli: beton zdziera skórę, metal tłucze o kości. Chyba pękł mi łokieć; moje prawe ramię obficie krwawi, ale później będę się tym martwić. Ludzie się gapią (znowu: czy oni są nienormalni?). Beth będzie zadowolona: jestem kompletnie „nabąbelkowana”. Otrzepuję się i wsiadam do autobusu. No, to chyba koniec przygody z klasą Club.

Tłoczmy się w terminalu w oczekiwaniu na bagaże, kiedy nagle uderza mnie myśl z komiksowym BANG: Ambrogio! On tu jest. A ja wyglądam jak straszdyło i mam na kurtce pastę do zębów. Krew mi leci z łokcia po upadku przy zejściu z samolotu. Moja sukienka Katy Perry jest nią cała upačkana. Nadal nie miałam okazji umyć zębów. Zawijazuję sznurówki sponiewieranych reeboków (nie mogę pozwolić, żeby Ambrogio mnie w nich zobaczył) i nagle wpadam na pewien pomysł. Zauważyłam, że blondynka od Vuittona kłóci się z kimś z kontroli paszportowej. Miała problem z wizą i jeszcze nie dotarła do strefy odbioru bagażu. Obczajałam jej tyłek w saloniku lotniskowym – wyglądała mniej więcej na mój rozmiar. Mogłabym wziąć jej walizkę! Powinnam to zrobić? Mr Dick nadal jest w moim bagażu podręcznym, a poza tym ona pewnie spakowała się lepiej

ode mnie. I bądźmy szczerzy, przydałaby mi się nowa stylizacja.

Łapię obie walizki z taśmy i pędzę do wyjścia z sercem w gardle. Wbiegam do toalety dla niepełnosprawnych i patrzę w lustro. Jest gorzej, niż sądziłam. Wyglądam jak coś, co kot przywłókł z podwórka. Mam obrzydliwe włosy, więc wygrzebuję z dna torebki czapkę z włóczki i wciskam na głowę. Zakrywa mi włosy, ale nie twarz. Przydałaby mi się burka. A może kominiarka? Ścieram krew z ramienia namoczonym papierem toaletowym. Z zaskoczeniem odkrywam, że to tylko zadrapanie. Przyglądam się walizce od Vuittona. Zamek jest zabezpieczony miniaturową kłódką. Jak ja mam to zdjąć? Próbuję zrobić wytrych ze spinki do włosów. Takie rzeczy działają w filmach, ale mi oczywiście nigdy nie wychodzi. Kręcę spinką w kółko i czekam na kliknięcie, ale nic nie klika. Kręcę, kręcę i klnę pod nosem. Nie mam planu B. To musi się udać. Kręcę jeszcze trochę, ale kłódka dalej twardo zamknięta. Kropelka potu spływa mi po karku. To nie zadziała, prawda? Czas podejść do sprawy bardziej twórczo. No, dawaj, Alvie, chyba miałaś być poetką! Teraz jest właśnie czas na twórcze myślenie. Gdzie twój geniusz, kiedy go potrzebujesz? Posyłam dziewczynie w lustrze niechętnie spojrzenie. Ona patrzy na mnie równie nieprzyjaźnie. Ale milunio. Może znajdzie się tu coś, czym mogłabym rozwalić tę kłódkę? Rozglądam się po toalecie. Czego mogłabym użyć? Kranu w zlewie? Wygląda na ciężki. Odkręcam korpus i odczepiam od reszty mechanizmu: porządny kawał metalu. To powinno zadziałać. Z odbezpieczonej rury wystrzela strumień zimnej wody. Pyskające krople uderzają mnie w twarz. Zlew szybko się przepełnia i woda zaczyna spływać kaskadami na podłogę. Muszę się pospieszyć albo wszystko tu zatopię! Układam walizkę tak, żeby kłódka leżała na podłodze, podnoszę kran i mocno walę o metal.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

TRACH!

Nie wierzę, udało się!

Drżącymi rękami otwieram walizkę. Znajduję małą czarną od – niespodzianka – Louisa Vuittona. Chłodny satynowy materiał jest miękki i gładki niczym kremowa śmietanka. Wkładam. Wygląda niesamowicie. Ma fenomenalny krój. Nagle mam krągłości we właściwych miejscach. Okazuje się, że jednak mam też talię. W walizce są też szpilki w moim rozmiarze, które chyba pasują do sukienki. Wkładam i nagle jestem piętnaście centymetrów wyższa. Ramiona się prostują. Pierś unosi wyżej. Jestem zgrabna jak tancerka, jak primabalerina. Odwracam się i oglądam w lustrze swój tyłek; najprawdziwszy cud!

Kosmetyczka tej kobiety jest większa od mojej walizki. Znajduję jakiś ładny róż od Yves'a Saint Laurenta i podkreślam rzęsy maskarą Dior Show. Do tego moja klasyczna jaskrawofioletowa szminka. Okej. To musi wystarczyć. Znów patrzę w lustro, nieco chwiejąc się na szpilkach. Wyglądam jak ktoś inny, ktoś o wiele bardziej atrakcyjny. Ktoś z pieniędzmi. Z gustem. Z klasą. Wpycham upačkane krwią ciuchy do mojej wysłużonej walizki i jestem gotowa. Mogę to zrobić. Wreszcie mogę spotkać się z zabójczo przystojnym mężem siostry, bogiem seksu, ogierem: Ambrogiem Caruso.

Wychodzę i zamykam za sobą drzwi do tonącej łazienki.

Uderza we mnie tsunami obcych twarzy. Gdzie on jest. Rozglądam się po tłumie w poszukiwaniu modela Davidoffa, ale widzę tylko morze nieznanomych, machających kartkami z imionami innych ludzi: „Alessia”, „Antonio”, „Ermenegildo”. Nie sądzę, żeby któreś z nich miało odnosić się do mnie. Ale może wysłali kierowcę? Kierowcę z dysleksją? Mogłabym być „Eleną”? „Aldem”? „Alessandrem”? Założę się, że zrobił ze mnie „Adriana”. Rzygam już tym.

Widzę grupkę zakonnic w czarno-białych podwikach na głowach. Z szyj

zwisają im krucyfiksy. Roztaczają wokół siebie aurę spokoju: wyciszone, oświecone, szczęśliwe, pogodne. Trzeba było zostać zakonnica, ale teraz już chyba za późno. Mogłam coś zrobić ze swoim życiem. Mogłam napisać więcej haiku. Wygrać Pulitzera. Nobla. Zbyt łatwo pozwalałam sobie na dekoncentrację. Zbyt wielu mężczyzn. Zbyt wiele dramatów. Należało się skupić na poezji, nie na chłopakach. Z wyjątkiem Ambrogia. Ambrogio jest inny. Ambrogio i Channing Tatum. Ech.

No weź. No weź. Pospiesz się. Sterczę tu jak debilka.

Tam stoi. O, Boże! Jak mogłam go przegapić? Świat przestaje się kręcić. Mam wrażenie, że wszystko zastygło w miejscu. Widzę tylko jego piękną twarz. On jest taki cool. Taki przystojny. Ciemne okulary w pomieszczeniu. Perfekcyjna opalenizna. Koszula świeża i biała jak hotelowa pościel. Przyciągająca uwagę wypukłość w zbyt obcisłych džinsach.

Beth jest taką suczą.

– Alvina! – Ambrogio szybko ściąga wayfarery i macha do mnie. – Łał! Nie poznałem cię. Tutaj!

Też do niego macham i się uśmiecham. Wiem, co ma na myśli. Zwykle wyglądam trochę badziewnie.

– Jak się masz? – mówi.

Jego skóra jest złotobrazowa, na twarzy ma cień zarostu. Ma cudowny podbródek. Cudowny uśmiech. W sumie to wszystko ma cudowne. Jest doskonały. Powinien być mój. Niepewnie idę do niego na wysokich szpilkach, odchyłam się, ślizgam i prawie się przewracam. Wpadam prosto w jego ramiona. Mmm, teraz pamiętam jego wodę po goleniu. Armani Code Black: zmysłowy, egzotyczny zapach. Używał jej, kiedy się poznaliśmy.

– Świetnie wyglądasz! Schudłaś?

Mamrocę coś niezrozumiałego, co brzmi trochę jak „bla”.

– Upiłaś się – śmieje się Ambrogio.

– Beth powiedziała... Że szampan...

Zapomniałam o jego włoskim akcencie. To niemożliwie słodkie. Patrzę w jego brązowe oczy i tonę, topię się, zapadam się w głębinę: Nutella albo Nesquik, albo gęsta gorąca czekolada. I nagle przypominam sobie Oksford, te wszystkie lata temu. Mój pierwszy raz... Nasz jedyny raz...

O, kurde. Co to? Laska od Vuittona? Jest tutaj? Idzie za mną? Wciągam gwałtownie powietrze. Panicznie strzelam oczami we wszystkie strony. Ale to nie ona. To ktoś inny. Muszę stąd spadać. Mogłoby się zrobić trochę dziwnie. Nie żebym nie była w stanie jej załatwić, gdyby doszło do bójki. Na pewno bym sobie z nią poradziła. Na pewno. Prawdopodobnie. Raczej nie.

Ambrogio obejmuje mnie ramieniem w talii, a w drugą rękę bierze walizkę. Jest ciepły. Czuję mrowienie w całym ciele. Opieram mu się na ramieniu i wdycham jego zapach: orientalne perfumy, tytoń, skóra. Już go chcę. To nie będzie łatwe. Koncentruję się na tym, żeby iść prosto do samochodu. To trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

Tłumy się rozstępują, żeby nas przepuścić. Wszyscy znowu się gapią. Na co tak patrzą? Na mnie czy na Ambrogia? Na pewno na Ambrogia. Rozumiem. Ja też nie mogę oderwać od niego wzroku. Zjeżdżamy windą na parter. Zawsze chciałam spróbować seksu w windzie. Czy on jeszcze wyprzystojniał? Jak to w ogóle możliwe? Minęły dwa lata. Ale mężczyźni tacy są; stają się lepsi z wiekiem, jak zagraniczny ser, dobre wino i George Clooney. To takie niesprawiedliwe. Ja wyglądam beznadziejnie. Założę się, że Beth już zdążyła sobie strzelić lipo, plastykę brzucha, nowe usta i cycki, i pewnie jeszcze cała się wylaserowała. Pewnie nawet jej nie poznam. Będzie wyglądała wypisz wymaluj jak Megan Fox z co najmniej dziewięćdziesięcioprocentową zawartością plastiku.

Lamborghini stoi zaparkowane na chodniku przy wejściu na lotnisko. Dziwne. Jest bardzo, bardzo lśniące i bardzo, bardzo czerwone. Ma takie

krągłości, że aż chce się je przelecieć. Patrząc na logo zamocowane na błyszczącej masce: złoty byk na gładkiej czarnej tarczy. To właśnie na takich maskach pozują eleganckie modelki w bikini. Ciekawe, czy dziewczynę dorzucają w salonie gratis do każdej fury? Może modelka leży teraz w bagażniku i próbuje się wydostać? Odkryjemy ją później: całe paznokcie będzie miała zdarte, frencz zrujnowany, żelowe tipsy odlepione. Nigdy nie stałam tak blisko tak drogiego samochodu i trochę się waham, zanim go dotknę. Ambrogio to zauważył, śmieje się i próbuje wyjaśnić.

– To klasyczna Miura z 1972. Nie bój się, Alvie; ona nie gryzie.

Nie, samochód nie gryzie, ale ja mogłabym... O, Boże! Wpatruję się w jego wargi Marlona Brando: ponętne, kapryśne, wielkie, pełne. Mogłabym je całować, przygryzać, oderwać. Zabiłabym za całusa, tylko tyle, żeby poczuć smak jego języka, gdy przyciśnie swoje ciepłe, miękkie usta do moich. Smakowałyby jak kakao na tiramisu. Jego dotyk byłby jak delikatny wiatr na gondoli.

Ambrogio wrzuca walizki i torby do bagażnika (nie ma w nim eleganckiej modelki). Szeroko otwiera dla mnie drzwi od strony pasażera. Wślizguję się na skórzane siedzenie. Pachnie ekskluzywnie. To gra wstępna na kółkach. Stwierdzam, że lubię Lamborghini; to teraz mój ulubiony samochód. Batmobil jest tuż za nim na drugim miejscu, wyprzedzając wehikuł czasu DeLorean. Za wycieraczką tkwi mandat za niewłaściwe parkowanie. Do naszej fury zbliża się gruby policjant. Truchta w naszą stronę, sapiąc jak lokomotywa. Koszula niemal pęka mu na guzikach, zaczeska na czubku głowy niebezpiecznie podskakuje. Policjant wrywa mandat zza wycieraczki i drze go na kawałki, po czym otwiera Ambrogioowi drzwi do samochodu. Dziwne.

– *Signor Caruso!* – dyszy, kłaniając się w pas. – *Mi dispiace! Mi dispiace!*
– Ambrogio kompletnie go ignoruje.

Bardzo dziwne.

– Beth przesyła przeprosiny – mówi Ambrogio. – Chciała przyjechać po ciebie na lotnisko, ale jak widzisz, są tu tylko dwa siedzenia.

– Och, nie, nic nie szkodzi. W porządku – mówię i odwracam twarz, gdy Ambrogio patrzy mi w oczy. Tylko się nie rumień, Alvina. Nie pierdol żadnych głupot. To nie jest „niezręczne”. To jakiś jebany koszmar. Ale jednocześnie jestem chyba zachwycona. Muszę się uspokoić. Muszę wyluzować. Zamykam oczy, biorę bardzo głęboki oddech i zaczynam w myślach liczyć od trzystu do zera: trzysta, dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć, dwieście dziewięćdziesiąt osiem...

Nie działa.

Ambrogio odpala samochód, cała aż drzę. Ten silnik ma moc. Moje siedzenie wibruje. To całkiem miłe uczucie: przemyślany element wyposażenia? Ruszamy z głośnym piskiem opon. Ambrogio skręca gwałtownie i wyjeżdżamy z terenu lotniska. Ledwie zdążyłam się obejrzeć, a już jesteśmy w połowie drogi na autostradzie. Z głośników ryczy *Nessun Dorma*.

– Pavarotti – krzyczy Ambrogio, puszczając do mnie oko. – Świetnie, że mogłaś przyjechać. Beth strasznie się ucieszyła, że tak szybko dałaś radę. Byłaś już kiedyś na Sycylii?

Właśnie tak, Alvie: small talk. Dasz sobie radę. Po prostu bądź miła...

– Eee. Nie. Byłam w Mediolanie, oczywiście, na waszym weselu... – Pauza. Czerwienię się. Może lepiej byłoby o tym nie wspominać. – A kiedyś byłam z Beth na szkolnej wycieczce w Pompejach... – Znów mam dwanaście lat. Napotykam jego wzrok. Wyciąga rękę i ściska moją dłoń. Co?

– Ładny lakier – mówi z szerokim uśmiechem.

Patrzę na swoje paznokcie w kolorze neonowej limonki. Nie jestem pewna, czy naprawdę mu się podobają, czy tylko robi sobie jaja.

– Dużo podróżuję. Bez przerwy – mówię prędko. – W zeszły weekend byłam w L.A. Weekend wcześniej w Nowym Jorku, a wcześniej w Sydney...

– Poleciałaś do Australii na weekend?

– Eee... tak? – odpowiadam niepewnie. Co w tym złego? Słyszę w głowie Beth, cmokającą z dezaprobatą nad moim śladem węglowym.

– Spoko – śmieje się. – No, w każdym razie oboje bardzo się cieszymy, że mogłaś przyjechać.

Tracę zdolność mówienia. Odchylam się na skórzanym siedzeniu i zapadam głęboko w fotel. Znowu go widzieć... to zbyt wiele. Widzieć go samego...

Przed nami rozpościera się sycylijski krajobraz; ma takie krągłości, że mogłaby mu pozazdrościć Sophia Loren. Pędzimy sto osiemdziesiąt na godzinę. On dociska gaz do podłogi. Silnik mruczy. Mam wrażenie, że Ambrogio się przede mną popisuje, i bardzo mi się to podoba. Unoszę kącki warg w uśmiechu. Wbijam pazury w krawędzie siedzenia niczym kot. Winnice zlewają się za oknem jedna w drugą. Oliwkowe gaje rozmywają się w jedną plamę. Szybciej, szybciej, szybciej, skarbie. Jedźmy aż za horyzont i nie oglądajmy się za siebie. Chcę zagubić się w tym cudownym krajobrazie, tylko ja i Ambrogio. Chcę, żeby ta wyspa połączyła nas w całości.

Zjeżdżamy z autostrady za znakiem z napisem Taormina.

– Już prawie jesteśmy. – Ambrogio się uśmiecha, przeczesując palcami włosy jak z reklamy szamponu.

Wjeżdżamy po stromej drodze; on nie zwalnia. Szybciej, szybciej, nie zatrzymuj się. Chcę, żeby tak jechał całą wieczność. Żeby ta chwila nigdy nie dobiegła końca.

– Nasza willa jest na szczycie tego wzgórza.

Otoczają nas akry sadów cytrusowych w technikolorze. Jakbym znalazła się na obrazie olejnym: żółty, pomarańczowy, zielony. Od zapachu owoców

niemal kręci mi się w głowie. Jest wyrazisty i smakowity. Widzę cytryny wielkości melonów. Przejeżdżamy wzdłuż drzew, aż docieramy na sam szczyt wzgórza. Wyobrażam sobie, że Ambrogio za chwilę zaparkuje na poboczu pod jakąś skałą (zawsze chciałam uprawiać seks w samochodzie). Tylko że tym razem to będzie coś znaczyć. Tym razem to będzie na poważnie. Tym razem nie zostawi mnie dla mojej siostry bliźniaczki.

Ale on nie parkuje.

Ambrogio wjeżdża na podjazd – elektryczna brama otwiera się sama jak za sprawą czarów – i dopiero wtedy gasi silnik.

– No to jesteśmy!

Rozdział szósty

Taormina, Sycylia

O, W MORDE JEŻA; moja siostra mieszka tutaj?

W oczach migają mi dolary. Willa jest obłędna. Przecież to musiało kosztować fortunę.

– To wszystko twoje?

– Odziedziczyłem po rodzicach.

A, tak. Przypominam sobie, Beth mi mówiła. Umarli. Biedny Ambrogio. Miał tylko trzynaście lat. Trzynastoletni milioner. W sumie to ekstra. Pewnie nawet mu to nie przeszkadzało. Poza tym ten szczęściarz jest jedynakiem, więc nie musiał się niczym dzielić z napuszoną starszą siostrą.

– *Benvenuto!* – mówi Ambrogio.

Otwiera mi drzwi do auta i podaje rękę. Siedzenie jest tak niskie, że potrzebna mi ta pomoc, zwłaszcza w szpilkach. Jak ludzie chodzą w czymś takim. Ambrogio mnie podciąga, a ja opieram się o samochód, osłaniam oczy i mrugam w słońcu.

– Łał.

Wszystko wygląda jak plan zdjęciowy dla jakiegoś luksusowego magazynu: „Vogue”, „Elle”, może „Vanity Fair”. Spodziewam się, że zaraz zobaczę Gisele Bündchen wyciągniętą na leżaku: złote bikini, daiquiri, opalenizna. Gdzie obiektywy? Gdzie błysk lamp? Pstrykanie aparatów fotograficznych? To przypomina odległe światy fantazji rodem z „Condé Nast Traveler” i „Sunday Times Travel”, przywodzi na myśl wszystkie te

posiadłości marzeń z *Domu w słońcu*. Z tą różnicą, że tu jestem, więc to musi być prawdziwe.

W ogromnym ogrodzie stoją starożytne różowe budyneczki z dachami z terakoty. Idealnie przyciężone trawniki i wypielegnowane rabatki. Kwiaty są tak piękne, że prawie słycać, jak śpiewają: czerwone geranium, fioletowe fuksje przechodzące we wszystkie możliwe odcienie błękitu, plumerie, bugenwille, krzaki jaśminu. To jest raj, wylądowałam w Edenie: róże i kwitnące kaktusy, fiołki, kamelie. Wysokie palmy kołyszą się łagodnie na lekkim wietrze, a ich zielone liście wystrzelają w niebo niczym fajerwerki.

A potem widzę basen: chłodny, głęboki, uwodzicielski. Opalowobłękitną wodę okalają płytki z lawy wulkanicznej. Krystalicznie czysta tafla lśni w ostrych promieniach sycylijskiego słońca; oślepiają mnie błyszczące refleksy. Palmy i róże odbijają się w lustrze wody: wszystko jest intensywne jak na obrazie Hockneya. Oaza. Basen otaczają kremowe lniane leżaki i parasole, wszystko ciche i doskonale uporządkowane na kamiennej posadzce. Woda jest spokojna i stanowczo zbyt zachęcająca; ledwie się powstrzymuję, żeby do niej nie wskoczyć. Mam ochotę chlapać się niczym seksowna laska w popowym teledysku, udawać, że jestem nastolatką na wakacjach.

Odwracam się i wlepiam wzrok w dom. Willa nawet nie wygląda na prawdziwą – bardziej jak plan filmowy z czasów złotej ery Hollywood, z jakiegoś romantycznego filmu Frederica Felliniego albo z *Rzymskich wakacji*. Rozglądam się za Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem. Nieco pokruszone ściany oplata bluszcz, szmaragdowe liście błyszczą w słońcu niemal zbyt soczystą zielenią. Na tabliczce przy drzwiach jest napisane *La Perla Nera*. Przez otwarte okno dostrzegam skrawek marmuru; zefir wydyma zasłony na wietrze niczym uwiązane chmury.

Nie wiem, ile czasu tak stoję i się gapię. Wydaje mi się, że śnię.

Nagle słyszę swoje imię.

– Alvina?

Widzę siebie (w wyjątkowo dobry dzień) biegnącą w moją stronę z rozpostartymi ramionami. Czuję, jak przewraca mi się w żołądku. To musi być Beth. Dziwne, dwa lata to naprawdę dużo czasu. Zdążyłam już zapomnieć, jak to jest być połową całości... Dublerką... Kserokopią... Statystką w swoim własnym zasranym życiu.

– Alvie! Udało ci się! Och, jejku! Naprawdę tu jesteś! – Moja bliźniaczka rzuca mi się na szyję i chwyta mnie agresywnie w objęcia. – Nie mogę w to uwierzyć! Przyjechałaś!

– Dzięki za samolot. Nie trzeba było – mówię. Ciężko mi oddychać pod uciskiem jej ramion i entuzjazmu. Beth pachnie słodko, jakbym wdychała watę cukrową. Całuje mnie w oba policzki i dopiero wtedy wypuszcza. Nareszcie.

– Co? Nie wygłupiaj się. Nie wierzę, że naprawdę cię widzę. Chodź, oprowadzę cię.

Beth bierze mnie za rękę, a ja idę za nią. Prowadzi mnie w chłód pięknego drzewa cytrynowego, całą drogę trajkocząc radośnie jak papużka.

– Wyglądasz fantastycznie. Czuj się tu jak u siebie w domu. Nie mogę się doczekać, aż poznasz Ernesta. Teraz śpi, ale kiedy się obudzi, będzie cały twój. Jak ci minęła podróż?

Dlaczego ona jest taka zadowolona, że mnie widzi? Przeszczęśliwa. Rozdygotana. Niemal nerwowa. Już mam odpowiedzieć, kiedy nadpływa pojedyncza chmura i zasłania słońce. W ogrodzie nagle robi się chłodniej i ciemniej. Z willi wynurza się samotny mężczyzna ubrany cały na czarno. Twarz ma zasłoniętą okularami przeciwsłonecznymi, a na głowie czarnoszary kapelusz. Facet sunie niczym nietoperz prosto do samochodu zaparkowanego na wysypanym żwirem podjeździe. Otwiera drzwi lśniącego

czarnego minivana i wchodzi do środka. Lekki wiatr owiewa mi szyję. Czuję dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– A to kto?

– Nikt.

Aha, jasne.

Przyglądam się, jak samochód z chrzęstem przejeżdża po żwirze i ponuro pełźnie po długim, wijącym się podjeździe. Elektryczna brama otwiera się bezszelestnie. Facet w minivanie wyjeżdża i znika za rogiem.

– Chodź do środka – mówi Beth i znów zaczyna nawijać.

Czy ona gada więcej niż zwykle? A może po prostu odzwyczaiłam się od jej nieprzerwanej paplaniny? Ambrogio wyciąga moje torby i walizki z bagażnika i idzie za nami. Nie słucham gadaniny Beth; mogę się tylko gapić. Widzę za dużo rzeczy pochłaniających moją uwagę; wszystkie inne zmysły są przytłumione. Ciało Elizabeth. Twarz Elizabeth. Włosy Elizabeth. Mój wzrok zatrzymuje się na opalonym ramieniu bliźniaczki. Jej skóra jest aż promienista i opalizująca. Patrę jej w oczy: zielonkawe i pełne życia. W przyżłoconych słońcem włosach widać blond pasemka. Wygląda fantastycznie. Chyba nawet nic sobie nie poprawiała. To wszystko wygląda zbyt prawdziwie. Może to dobre geny? Nie, niemożliwe. To muszą być pieniądze. Pieniądze zdecydowanie pomagają. Ona dosłownie wygląda dwa razy młodziej ode mnie.

Patrę na Beth jak Narcyz w swoje odbicie. Zakochuję się. Jestem chora z zawiści.

Przechodzę z nią pod pergolą pnących różowych róż, po mozaikowej posadzce, marokańskich dywanach. W środku willa jest jasna i przestronna: majestatyczne atrium, zapach magnolii. Nigdy dotąd nie byłam w Ritzu, ale wyobrażam sobie, że to właśnie tak wygląda. Chyba wszystko jest z białego marmuru; drobinki srebra lśnią w promieniach słońca niczym diamentowy

pył. Szezlongi i fotele wszystkie mają kremowo-złote obicia. Na ścianach wiszą przepiękne arraszy i portrety kobiet: renesansowe arystokratki w wystawnych jedwabnych szatach, obwieszane biżuterią i z klejnotami we włosach: szmaragdy, diamenty, migoczące perły.

Idę za Beth, mijając złocone lustra; nasze twarze odbijają się w nieskończoność.

– Szesnasty wiek... Oryginalne detale...

Beth miała rację, już zakochałam się w tym miejscu. Błagam, kto by się nie zakochał. Nigdy, przenigdy nie chcę stąd wyjeżdżać.

Wspinamy się po marmurowych schodach. Zatrzymuję się, żeby popatrzeć na obraz wiszący na ścianie. To portret chłopca: jego skóra jest biała i świetlista na tle spowitego cieniem tła. Czarne na białym. Białe na czarnym. Chłopiec śpi: spokojnie, słodko, anielsko. To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Beth zauważa, że się przyglądam.

– Och, podoba ci się? – mówi z uśmiechem.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale ona już się odwróciła i biegnie na górę. Patrzę, jak jej stopy znikają na piętrze: lśniące sandały na platformie ze złotymi paskami wokół kostek. Te same, które widziałam na wystawie Prady. To druga najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Chyba wywalę te stare rebooki. Nie żebym ich potrzebowała. Nie żebym uprawiała jakikolwiek sport.

– Twój pokój – oznajmia promiennie Beth.

Otwiera szeroko podwójne drzwi i prowadzi mnie do zalanej słońcem sypialni dla gości: jest na pierwszym piętrze, a z okien roztacza się widok na basen. Jest ogromna i okazała: sufit dwa razy wyższy niż w moim starym pokoju w Archway. Łóżko jest gigantyczne: zmieściłyby się na nim co najmniej trzy osoby (gdybym tylko miała tyle szczęścia...). Na ścianie wisi obraz ze sceną ukrzyżowania: podstawowe kolory i słoneczne niebieskie

niebo. Chrystus aż promienieje; w Taorminie każdy jest szczęśliwy. Oprócz okien jest tu też porte-fenêtre z ozdobną żeliwną balustradą i zabytkowy parawan w kącie. Przesuwam palcami po śladach japońskiego pędzla; stylizowany wizerunek ptaka w locie. Na toaletce stoi bukiet kwiatów w wazonie; ich słodki zapach wypełnia pokój.

Wstrzymuję oddech; tego jest zbyt wiele. To nie może być prawdziwe: to tylko piękny sen. Za chwilę ona mnie uszczypnie, a ja się obudzę. Znów znajdę się w Archway w mieszkaniu z oblechami i będę gorączkowo szukać paszportu, którego nigdy nie znajdę. Pocieram powieki i mrugam kilka razy.

– Kupiłam ci parę rzeczy, na wypadek gdybyś czegoś potrzebowała – mówi Beth. – Pomyślałam, że pewnie się lekko spakujesz. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko... – dodaje, trzepocząc rzęsami prosto z reklamy Benefit, i przygryza pociągniętą błyszczącym dolną wargę.

Czuję, że się ślinię. Pod ścianą stoi sześć albo siedem gigantycznych papierowych toreb. Wszystkie śnieżnobiałe, z logo Prady na każdej stronie. Uchwyty mają przewiązane ślicznymi kokardami z czarnej wstążki. To dla mnie? Więc dlatego wypytywała mnie o wymiary. Łał.

– Och, nie trzeba było – mówię. Czy tak właśnie należy odpowiedzieć?

– To tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy... Kostiumy kąpielowe, sarongi, kapelusze, spódnice. Daj znać, gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze.

Wysypuję zawartość toreb na łóżko: sukienki i bluzki, wciąż z metkami. Letnia spódnica w kwiatowy wzór. Mały szydełkowy kardigan. Samo bikini kosztowało 600 euro. Zwykle robię zakupy w TK Maxx! Przesuwam palcami po luksusowych materiałach, gładzę, rozkoszuję się...

– Tak cudownie cię widzieć – mówi Beth.

Wstaję i patrzę na nią. Nie jestem pewna, czy to kupuję. Nikt nigdy się tak nie cieszył na mój widok, może z wyjątkiem starego psa naszej babci, ale to tylko dlatego, że lubił posuwać moją nogę: „Fenton! Fenton! Zostaw

Alvine!”.

– Więc nie masz pretensji o...

– O wesele? – pyta Beth.

Odwracam wzrok. Zamierzałam zapytać o Oksford.

– O wesele?

Ona znowu mnie przytula.

– Wiesz, już dawno o wszystkim zapomniałam.

– Okej – mówię. Jej włosy cudownie pachną, jak łąka pełna kwiatów.

Może ona naprawdę mi wybaczyła. Może rzeczywiście mnie kocha? Przez otwarte okno wpada niesione wiatrem odległe nawoływanie kukułki.

Chyba poczuję się tu jak w domu, Beth, chyba tak.

* * *

– Na jaką herbatę masz ochotę? Earl grey? Ceylon? Rooibos? Darjeeling? Mam też właśnie wspaniałego liściastego oolonga z Tybetu?

– Eee – jąkam się. Nie mogę poprosić o Tetleya.

– Zaparzę nam oolonga.

– Super.

Patrzę, jak plecy Beth znikają w kuchni. Włosy powiewają za nią jak lśniąca blond grzywa. Wygląda jak lalka Barbie. Jak Brigitte Bardot. Wygląda jak nowa, ulepszona wersja mnie: Alvina Knightly 2.0. To nie jest przyjemne uczucie. Siadam na brzeżku kremowobiałego fotela i staram się niczego nie dotknąć, żeby przypadkiem nie pobrudzić. Trzymam się z daleka od stolika kawowego ze szklanym blatem, na wypadek gdyby miał pęknąć. Czuję ucisk w piersi, jakby ktoś owinął mnie ciasno taśmą izolacyjną; żebra nie mogą się unosić ani opadać. Wbijam paznokcie w mięsiste części dłoni i czekam na powrót Beth. Pocę się. Jestem ciekawa, o co chciała mnie poprosić. I dlaczego tu jestem...

Kremowy dywan wypełnia pokój; wzdłuż krawędzi ciągną się wyszywane kwiaty, splątany wzór bieli i zieleni. To chyba lilie. Przypominam sobie nasz starożytny dywan w Archway, w którym coś żyło. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek kiedykolwiek tam odkurzał. Nie jestem pewna, czy w ogóle mieliśmy w domu odkurzacz. Zagłębiam palce u stóp w głębokim, puszystym dywanie. Wszystko jest nieskazitelnie czyste. Beth pewnie ma służbę.

Na stoliku kawowym jest zdjęcie przedstawiające Beth i Ambrogia; srebrna ramka tak błyszczą, jakby dopiero co ktoś ją wypolerował. Wyglądają jak Brangelina albo jakaś inna para z Hollywood. Porcelanowobiałe zęby, zbyt szerokie uśmiechy: wydają się nieprawdziwi. Rozglądam się jeszcze po pokoju. Niebiesko-żółty porcelanowy wazon, ręcznie malowany w cytryny i kwiaty plumerii. Kominek tak czysty, że chyba nigdy nikt z niego nie korzystał.

– Proszę bardzo – mówi Beth, sunąc przez pokój. Aż podskakuję. W rękach trzyma srebrną tacę, którą stawia na stole. Po kolei bierze w dłonie dwa małe imbryczki, dwie delikatne porcelanowe filiżanki i dwa spodeczki od kompletu i ustawia wszystko symetrycznie przede mną na stoliku. Do jednej filiżanki nalewa herbatę z jednego imbryka, do drugiej z drugiego, a wszystko to z gracją gejszy. Herbata płynie i ładnie dzwoni o porcelanę. Normalnie cała ceremonia.

– Alvie, odpowiada ci ten kolor? – pyta. – Nie za słaby?

– Nie, w porządku – mówię.

– Nie za mocny?

– Nie.

Odstawia imbryk na stół. To jest ten moment. Nie wiem, czego ode mnie chce, ale oto nadchodzi...

– Chcesz do tego cukru? Mam biały albo brązowy. Nic się nie martw, fair trade.

Wyglądałam na zmartwioną?

– Nie, dziękuję – mówię tylko.

– A może wolisz słodzik? W kuchni jest stewia.

Stewia? Co to, kurwa, jest? Brzmi jak choroba weneryczna.

– Nie, dzięki – zapewniam.

– To żaden kłopot.

– Nie trzeba, nie chcę cukru.

Rozglądam się za mlekiem.

– Nie masz gdzieś mleka?

– Och, oolonga nie pije się z mlekiem.

– Och.

Oczywiście, że nie. Ależ ja jestem głupiutka.

– No więc – zaczynam. – Chciałaś mnie o coś poprosić?

Ale w tym momencie moją uwagę pochłania coś innego. Wszystko schodzi na boczny tor. Beth zdejmuję przykrywkę z patery na ciastka i odsłania kryjącą się pod spodem fenomenalną zawartość. Jest tam ciasto z pastelowożółtym kremem i wijącym się ślicznym wzorkiem z orzeszków piniowych. Orzeszki wyglądają na prażone, są złote i pyszne... A krem puszysty i lekki.

Beth widzi, że zaczęłam się ślinić.

– *Torta della nonna*. Moje ulubione. Zakochasz się w nim.

Kroi mi szczodry kawałek ciasta i podaje na filigranowym talerzyku, razem ze złożoną serwetką i maleńkim srebrnym widelczykiem. Wdycham zapach cytryn i cukru. Na talerzyku jest namalowana gałązka usiana kwiatami i nierozwiniętymi pączkami. Widelczyk to chyba antyk.

– A ty nie będziesz jadła? – pytam naiwnie, kiedy widzę, że tylko mi nałożyła.

– Och, nie – wyjaśnia Beth. – Jestem na diecie: zero glutenu, nabiału

i cukru.

To co ona niby zje? Powietrze? Chwytam widelczyk i dziabię ciasto.

– Mmm – mruczę.

Beth się uśmiecha.

– Mówiłam ci.

Przygląda się, jak przeżuwam.

Biorę kolejny kawałek na widelec, a potem jeszcze i jeszcze. O, mój Boże. Nie mam dość. Czy można mieć orgazm w ustach? Bo chyba właśnie miałam.

– Mogę jeszcze jeden? – pytam, ocierając usta wierzchem dłoni. Oblizuję wargi. To było dobre. Naprawdę dobre.

Wyraz twarzy Beth nagle kompletnie się zmienia. Jej uśmiech opada. Dolna warga zaczyna się wyginać...

Przestaję przeżuwać ostatni kęs ciasta. O, nie, co ja zrobiłam?

– Alvie, kruszysz na dywan.

Rozdział siódmy

– **ALVIE? ALVIE?** Wszystko okej?

Chyba na chwilę odpłynęłam albo przysnęłam. Siedzimy w pokoju dziecięcym, wszędzie wokół pełno żaglówek i łodzi podwodnych. Otaczają nas zabawki i dziecięce akcesoria: stół do przewijania, kojec, stojak na buty z kompletem kilku par niebieskich bucików, nowych i maleńkich. Rząd miniaturowych kartonowych książeczek, *Moje pierwsze od A do Z*. Czuję się jak olbrzymka w wiktoriańskim domku dla lalek: nie pasuję do tego miejsca.

– Dobrze się czujesz? – pyta Beth, dotykając mojego ramienia.

Odsuwam się.

– Tak. – Nie. Wcale nie czuję się dobrze. Czego ona chce? Co tu się dzieje? Nie zaprosiła mnie tu, żeby bawić się w żłobek. A ja nie przyjechałam na herbatkę.

Ernie rozpromienia się w wielkim głupim uśmiechu, a w kąciku jego ust wykwita bańka śliny.

– Ga, ga, ga – mówi, patrząc w górę. Przyglądam się uważnie twarzy swojego siostrzeńca.

– Wszystko okej. Po prostu... – Po prostu co, Alvina? On wygląda zupełnie tak jak ty? Po kolei analizuję rysy jego maleńkiej buzi: to moje oczy. Mój nos, moje wargi, moja broda. Rozpoznałabym je wszędzie. Wygląda tak samo jak ja w dzieciństwie. Mógłby być moim synkiem.

Ból rozlewa mi się po wnętrznościach jak świeżo otwarta rana i wszystko sobie przypominam: drapiący zapach środka do dezynfekcji w klinice, smród chloru, sufit bezmyślnie odwzajemniający moje spojrzenie, pusty wazon na

stoliku koło łóżka, odgłosy płaczu innych ludzi, lśniąca igły, jednorazowe miski na wymioty i oślepiające cierpienie, które doprowadzało mnie do szaleństwa, niosąc za sobą jedynie ślady zębów na moich rękach i krew, krew, krew.

Minęło osiem lat.

To wszystko jej wina.

– Po prostu... on jest taki piękny – odpowiadam w końcu, zaskakując samą siebie. Ale to prawda; on wygląda jak cherubin.

Beth się uśmiecha; ona wie.

– Dziękuję – mówi z dumą, przeczesując palcami jego złote loki, i składa pocałunek na jego anielskiej główce. Ernesto jest prześliczny, jak te dzieci na reklamach w metrze, jak śpiący chłopiec na tym obrazie w korytarzu. Wielkie niebieskie oczy jak krople oceanu. Ernie uśmiecha się do mnie z tym naiwnym optymizmem właściwym jedynie dzieciom. Jego policzki są okrągłe i różowe niczym słodkie pianki: cały jest jak ogromna landrynka. Cukrowy. Słodki. Nigdy nie powiedziałam Beth o ciąży. Nie wie, że poroniłam. Ale ignorancja to żadna wymówka.

– Chcesz go potrzymać?

– Co? Nie. – Wypełnia mnie panika.

– Ernie, masz ochotę się poprzytulać z ciocią Alviną? – pyta Beth, podnosząc go i podsuwając w moją stronę.

– Nie, nie ma potrzeby, nigdy nie trzymałam...

– Nie wygłupiaj się, nic się nie stanie. Lubi cię. Przecież widzę – śmieje się. – Może podasz mu butelkę?

I już po chwili Ernie siedzi mi na kolanach, taki lekki, a przy tym taki pulchny. Trzymam go mocno, cała sztywna i przerażona, że go upuszczę, połamię albo jeszcze coś gorszego. Ernie podnosi głowę i patrzy na mnie, gulgocze, chichocze.

– Ma, ma, ma.

Chyba nic mu nie jest.

Słucham, jak oddycha, wciąga i wypuszcza powietrze, płytko jak kociak, i wącham jego włoski pachnące kąpielą z pianą. Mrugam, żeby odpędzić łzy. To takie niesprawiedliwe. On powinien być moim dzieckiem. Chcę zatrzymać go na zawsze.

– Mama – mówi, wyciągając ręce w stronę Beth.

– Aach – ożywia się Beth. – Chce wracać do mamy.

– Weź go – mówię, oddając Erniego. – Jest twój, weź go.

Beth marszczy brwi. Czuję, że się czerwienię. Jest tu o wiele za gorąco. Czy ktoś podkreślił ogrzewanie?

– Ma, ma, ma.

To wszystko jej wina i nigdy jej tego nie wybaczę.

– Ma, ma, ma, ma, ma.

* * *

– Więc co się stało z twoją pracą? – pyta Beth, podając mi nożyczki, żebym mogła odciąć metki od mojego nowego bikini. To czarno-czerwony bandażowy komplet od Prady z błyszczącymi klejnotami na przedzie. Nożyczki są przyjemnie ostre.

– A, to...? – Ciach. – Tak świetnie sobie radziłam, że usłyszała o mnie konkurencja. – Ciach. – Wiec mnie zrekrutowali. – Ciach. – Uwierzysz?

– Niemożliwe! Nie wiedziałam, że poetów też rekrutują.

– Zaproponowali kupę kasy. Firmowy samochód. – Rzucam nożyczki na łóżko.

– Aha? Więc kto to był?

– Kto? – pytam. Rozpinam sukienkę i odlepiam od ciała: mam na skórze czerwone linie tam, gdzie weszły mi szwy.

– Ta konkurencja?

– Eee... – Rozpinam stanik. – „Esquire”? Ten magazyn. Szukali naczelnej poetki.

Beth mierzy mnie wzrokiem. Chyba tego nie kupuje.

– Więc cię wylali?

– Wylali? Nie, no co ty.

Przygląda się, jak ściągam bieliznę, i patrzy na moją linię bikini. Odwracam się.

– A jak tam twoje nowe mieszkanie w Londynie? Układa ci się ze współlokatorami?

Zostawiam ubranie na podłodze, ale Beth wygląda na przerażoną. Ściąga wargi w oskarżycielską kreskę, więc składam wszystko w kostkę i zostawiam w nogach łóżka.

– Graham i Pam? Och... wiesz, oni są wspaniali – mówię. – Bardziej jak rodzina niż przyjaciele. Od razu między nami zaskoczyło, od samego początku. – Przekładam stopy przez majtki od bikini i podciągam do ud. Coś trzeszczy. W kroczu wciąż jest plastikowa naklejka ochronna. Zdejmuję majtki i odrywam nalepkę.

– Jasne... więc ich nienawidzisz? – stwierdza Beth z uśmiechem.

Jak ona to robi, do jasnej cholery? Jakby czytała mi w myślach. Patrę na nożyczki. Okrągłe czarne uchwyty. Długie srebrne ostrza. Błyszczące. Lśniące. Migoczące w oślepiającym słońcu. Wołają moje imię.

– Są... w porządku – odpowiadam. Poprawiam bikini. Paski wżerają mi się w ciało jak drut do krojenia sera. Beth nie musi wiedzieć, że wykopali mnie z domu.

Ona ma na sobie bikini składające się z maciupeńkich stringów i stanika w różowo-beżowy wzór Missoni. Chowam swój nowy strój pod sarongiem od Louisa Vuittona i wkładam na głowę słomkowy kapelusz z szerokim

opadającym rondem. Jak to możliwe, że Beth i ja nosimy ten sam rozmiar, ale ja wyglądam grubo?

* * *

Leżymy nad basenem i chłoniemy promienie słońca; topię się na leżaku niczym waniliowe gelato. Słońce jest brutalne. Zaczynam już cała skwierzeć, mimo że wyszpachlowałam się kremem z filtrem pięćdziesiątką. Moje kolana przybrały niepokojący odcień czerwieni. Patrzę, jak moja siostra łapie za iPhone'a i wbija PIN: 1996. Łatwo zapamiętać: to był rok, kiedy Spice Girls wypuściły *Wannabe*. Beth pisze do kogoś wiadomość z dużą liczbą buziaków.

Na patio wchodzi kobieta z wódką i zmrożoną limonatą na tacy. Absolut, który kupiłam Beth na lotnisku. To był zajebiście dobry pomysł, bo już umieram z desperacji. Beth od godziny nie zamyka dzioba. Moja cierpliwość się wyczerpuje. Kobieta ma ciemne oczy, kręcone czarne włosy i ogorzałą brązową skórę. Posyła mi uśmiech.

– *Mamma mia!* Co się dzieje, dwie Elisabetty! – mówi, klaszcząc w dłonie, po czym przykłada koniuszki palców do ust.

Super, już się zaczyna: darmowa rozrywka, freak show, podwójny występ. Cały ten scenariusz, który znam na pamięć do porzygu. Powinniśmy kasować ludzi od minuty. Wtedy obie byłybyśmy milionerkami (a nie tylko Beth).

Beth wybucha beztroskim śmiechem, z którego zrobiła swój znak rozpoznawczy.

– *Non ci credo;* wyglądają zupełnie tak samo! – mówi kobieta.

Nie wydaje mi się. Ona chyba jest troszkę przygłupia. Nie mają tu bliźniąt we Włoszech?

– Alvie, to jest Emilia, nasza fenomenalna niania i gospodyni. Emilio,

poznaj moją siostrę Alvinę.

– *Piacere* – wita się kobieta i przygląda mi się od góry do dołu. Poprawiam się na leżaku. Chowam się pod kapeluszem.

– No hej – mówię.

Moja siostra ma niewolników? Oczywiście, że tak. Ja miałabym trzech, gdyby tylko było mnie na to stać: jeden by mi gotował, drugi sprzątał, a trzeci wachlowałby mnie w ogrodzie gigantycznym liściem. Ja pierniczę, ale upał.

– Ona tu mieszka? – pytam, kiedy Emilia już znika z horyzontu.

– Matko, nie. Mieszka w takim małym różowym domku za rogiem. Z wiszącymi koszykami przy drzwiach. Pracuje tu tylko od siódmej rano do dziewiątej wieczorem, sześć dni w tygodniu.

– Och. To wszystko? – Jakim cudem Beth w ogóle sobie radzi?

– Myślałam, czy nie powinnam kogoś zatrudnić, żeby się wprowadził do pomocy nocami, no wiesz, z tym wszystkim przy dziecku, ale on tak grzecznie śpi, że w sumie tego nie potrzebuję.

– Hmm.

„Z tym wszystkim przy dziecku”... Boże, jaka ona jest leniwa. Nawet od bycia matką ma ludzi. No błagam. Jakie to może być trudne? Oktomama ma ośmioro dzieci. Beth ma tylko jedno. Nie żeby miała cokolwiek do roboty, jak na przykład chodzenie do pracy. Nie, praca nad opalenizną się nie liczy. Błagam, niech się nie okaże, że ona pisze następną powieść. Nie mogę się zmusić, żeby o to zapytać.

Zamiast tego siorbię limonate: chłodny, rześki smak cytrusów z konkretnym kopem wódki. Już rozważam następną kolejkę. Emilia robi świetne koktajle na wódce, to muszę jej przyznać. Może faktycznie jest fenomenalna?

– Mówisz do niej po angielsku? Do Emilii? – zagaduję.

– Tak – odpowiada Beth.

– Nie nauczyłaś się włoskiego?

Siostra posyła mi krzywe spojrzenie.

– Nie, po co?

Mówiłam: leniwa krowa.

– Wszyscy tu mówią po angielsku. Poza tym... Nie zamierzam tu zostać na zawsze... – Przerywa, jakby powiedziała zbyt wiele.

– Poważnie? Dlaczego nie? Co ci się tu nie podoba? – Jak dla mnie temu miejscu nic nie brakuje. Przyglądam się promieniom słońca migoczącym na powierzchni basenu. Wyglądają jak tysiące lśniących diamentów.

– Och, wszystko jest w porządku. Po prostu... nigdy mi się nie podobał ten język. Wolę niemiecki. – Beth zamyka oczy i wyciąga się na leżaku. Koniec tematu. Przy następnym spotkaniu pewnie usłyszę, że przeprowadzają się do Monachium.

To pierwsza chwila od mojego przyjazdu, kiedy Beth przestała nawijać. Alkohol w żyłach i ciepło pieszczące moje plecy posyłają mnie już w objęcia snu, kiedy nagle gdzieś po lewej stronie ogrodu rozlega się agresywne buczenie. Rozklejam powieki. Beth już siedzi wyprostowana, gotowa namierzyć źródło niepokoju. Zeskakuje z leżaka niczym gazela albo latająca wiewiórka i sprintem pędzi w stronę hałasu. Zwlekam się ze swojego miejsca i pełnę za nią po trawie, owijając się jednocześnie sarongiem.

Jakiś facet z piłą łańcuchową ścina drzewo. Fajna piła.

– Ej, co ty wyprawiasz? – krzyczy Beth.

To oczywiste, że facet nie jest ogrodnikiem. Tnie dalej, aż drzewo w końcu zwala się na ziemię. To było drzewo cytrynowe. Teraz to drewno na opał. Smród spalonej benzyny miesza się z zapachem cytrusowych liści. Facet ściąga z twarzy akrylowe okulary, odsłaniając przeszywająco niebieskie oczy, chłodne jak lodowiec, niczym u Daniela Craiga. Wyłącza

piłę i wyjmuję papierosa z ust. Jest nagi od pasa w górę, szeroki, wysoki i ociekający potem. Po wypukłości w kroczu dżinsów oceniam go na jakieś dwadzieścia centymetrów. Na pewno porządny obwód. Wygląda, jakby sporo siedział na siłce. Przypomina mi Channinga Tatum. (Szlag, trzeba było zabrać ze sobą ten plakat. Wiedziałam, że coś w tym jest...) Ma taki dołek pośrodku brody, który aż się prosi, żeby go pocałować, tak doskonały, jakby ktoś go dorobił w Photoshopie. Ciemnoblond włosy ma bardziej zmierzwione niż nieporządne, odgarnięte z czoła czarną szeroką opaską: może trochę dziewczęcą. Ale tak jak Leonardo DiCaprio i piłkarze z pierwszej ligi, on też jakimś cudem nieźle w niej wygląda.

Kto by pomyślał, że Beth trzyma w ogródku seksownych drwali? Dla tego widoku warto było się obudzić.

– Mówiłem twojemu mężowi, że ma się go pozbyć. Dalej tu było. Więc już go nie ma – oznajmia z twardym włoskim akcentem. Widać, że to lokalny. Lokalny, któremu nie podobało się to drzewo.

– Salvatore, nie możesz tak po prostu ścinać cudzych drzew – protestuje Beth.

– Mogę. Właśnie ściałem.

Z tą logiką nie można się sprzeczać.

– Ambrogio nie będzie zadowolony.

Salvatore zaciąga się papierosem. Nie wygląda, jakby się przejął.

– Powiedziałem mu, że drzewo zabiera mi światło. Potrzebuję światła do moich rzeźb. Albo on albo drzewo. Niech się cieszy, że padło na drzewo. –

Uśmiecha się. Jest słodki; ma w sobie tę wyluzowaną nonszalancję gwiazdy rocka. Włosy na piersi. Drogi zegarek. Musi być niezłym artystą, skoro stać go na Patek Philippe. Ociera pot z czoła wierzchem dłoni.

Stoimy i gapimy się na drzewo. Wtedy Salvatore mnie dostrzega.

– Jesteście spokrewnione? – śmieje się, wskazując na nas petem. Nasze

oczy się spotykają. Nie odrywa ode mnie wzroku; mam wrażenie, że jest w tym jednocześnie jakaś bezbronność i napastliwość. Beth już ma odpowiedzieć, kiedy z willi wybiega Ambrogio. Z krzykiem.

– *Ma che cazzo hai fatto?!* – wrzeszczy z drugiej strony ogrodu. Jest trochę czerwony na twarzy. – Mój ojciec posadził to drzewo! *Merda*, Salvatore, rzygam już tobą i tymi twoimi zasranymi rzeźbami!

Mężczyźni zaczynają pojedynek na krzyki w ożywionej włoszczyźnie. Nie mam pojęcia, co mówią, ale to brzmi bardzo ostro. Beth i ja czekamy przez chwilę we wściekłym upale i przyglądamy się widowisku. Obaj pojedynkują się na przesadne gesty rękami i ogłuszające decybele, zbliżając się do siebie coraz bardziej, aż w końcu praktycznie się pieprzą, wrzeszcząc sobie prosto w twarz, zmieniające powoli kolor z czerwonego na ciemnofioletowy.

– Chodźmy stąd – zarządza w końcu Beth, przewracając oczami. – Chodź, ubierzemy się. Chcę ci pokazać coś wspaniałego.

– Spoko – mówię, nie żeby mnie pytała. Założę się, że to o to chodzi... To będzie prawdziwy powód, dla którego mnie zaprosiła.

Wolałabym dalej przyglądać się awanturze.

Rozdział ósmy

PEŁZNIEMY PRZEZ ŻAR, aż w końcu dochodzimy do amfiteatru. Plakaty z primadonnami reklamują operę; właśnie wystawiają *Nabucco* Verdiego. Ach, Nabuchodonozor, szalony król Babilonu; czy to nie on wypędził Żydów z ich ojczyzny w Księdze Daniela? Wiedziałam, że niemal dekada przesiadywania co tydzień pod przymusem w szkółce niedzielnej pewnego dnia mi się opłaci. Dziś jest ten dzień.

Z autokaru wylewa się ławica czapek z daszkiem i plecaków, i zaczyna opstrykiwać widok. Wszyscy mają na sobie workowate T-shirty i noszą skarpety do sandałów. Tłoczą się wokół wejścia niczym plaga szarańczy. Kurwa, jak ja nienawidzę turystów. Wiem, że jakby przyczepić się do szczegółów, to ja też jestem turystką, ale nadal ich nienawidzę. W Archway nigdy żadnych nie było; muszę przyznać, że to miejsce miało jednak jakieś zalety.

Beth zna ochroniarza; to wysoki blondyn z błyskiem w oku. Wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat i jest ubrany w mundur złożony z wykrochmalonej białej koszuli i szortów khaki. Mało atrakcyjnie. Prowadzi nas przez kolejkę i do mnie też puszcza oko, uradowany, że obraz mu się rozdwoił. Zbok.

– Tak jakby się przyjaźnimy – wyjaśnia Beth. – Często tu przychodzę... To mnie inspiruje.

Inspiruje? Błagam? Czy ona mogłaby być jeszcze bardziej pretensjonalna? Inspiruje do czego? Do pisania babskich czytań? Jestem pewna, że muza ma lepsze rzeczy do roboty, niż przesiadywać w amfiteatrach i czekać, aż

moja bliźniaczka wpadnie z wizytą. Ona nie jest pisarką, tylko żonką trofeum. Jeśli Beth napisze kolejną komedię romantyczną z zakochaną główną bohaterką i szczęśliwym zakończeniem, to się zabiję. A może ona chciała po prostu powiedzieć, że się z nim pieprzy? Ale nie. Nie moja bliźniaczka. To bardziej w moim stylu niż w jej. Nie żebym była łatwa.

Beth prowadzi mnie w górę po kruszących się schodach, na tyły audytorium. Dyszę, włączając mozolnie po niekończących się stopniach. Naprawdę mi się nie chce; jest stanowczo za gorąco.

Chcę jeszcze jedną wódkę ze zmrożoną limonadą. Ale kiedy docieram na szczyt i odwracam się, żeby popatrzeć na rozciągający się przede mną widok, wszystko rozumiem.

– Oż, ja cię sunę.

– Podoba ci się? – zagaduje Beth.

Właśnie na takie rzeczy mówi się „widokowe porno”. Scena odsłania najbardziej dramatyczną twarz natury. Niemal słyszę głos Michaela Palina w tle: coś o korynckich kolumnach, Eurypidesie, Sofoklesie, Ajschylosie.

– Co to za góra? – pytam, wskazując na gigantyczny, stożkowaty czarny kloc w oddali.

– To nie góra. To wulkan. Etna? Pamiętasz?

– A, tak. – Oczywiście. Jak mogłam zapomnieć?

– Jest w uśpieniu? – upewniam się, mrużąc oczy, żeby przyjrzeć się szczytowi: unosi się z niego smużka dymu i ciągnie się po bezchmurnym niebie.

– Nie, ale nie musisz się obawiać.

Nie muszę, ale i tak będę. Widziałam, co się stało z tymi ludźmi w Pompejach.

– Włosi mówią na nią *Mongibello*: „piękna góra” – dodaje Beth.

– Mówiłam ci, że to góra.

Etna nie wygląda zbyt „bello”. Jak dla mnie wygląda dość morderczo. Wzdrygam się i patrzę na morze. Kolumny obramowują zbocza wulkanu spływające łagodnie z krateru prosto do oceanu. I owszem, Morze Śródziemne naprawdę migocze w słońcu; muszę przyznać, że Beth nie ściemniała. Biorę głęboki oddech i czuję smak soli w powietrzu. *Mamma mia...* To wygląda jeszcze lepiej niż na zdjęciach w kolorowych magazynach. Mogłabym zrobić zdjęcie bez żadnych filtrów i wrzucić je prosto na Instagrama. Ale tysiące ludzi przede mną zrobiło tysiące identycznych zdjęć, więc nie będę marnować czasu.

Siadamy obok siebie na gorących kamieniach i patrzymy na rozciągającą się pod nami starożytną Grecję. Odwracam głowę, żeby popatrzeć na Beth, i pierwszy raz dostrzegam na jej ramieniu coś niebieskawego: siniak, całkiem spory. Akurat rozmiarów męskiej pięści. Próbowwała go ukryć pod warstwą podkładu i korektora, ale trochę się starło od sukienki.

– Kurde, Beth! Co ty tu masz? – pytam, podciągając jej rękaw, żeby się przyjrzeć.

– Nic – mówi, z powrotem opuszczając materiał. – Nieważne, zostaw.

– To nie jest żadne nic. Jak ty to sobie zrobiłaś? – Patrzę jej w oczy.

– Spadłam z drabiny w ogrodzie – upiera się. No, to na pewno kłamstwo. Beth potrząsa głową. – Alvie, słuchaj. Muszę cię o coś poprosić. To ważne. Okej? – Zmiana tematu. Nie ma mowy.

– Ja pierdołę, Beth. Ambrogio ci to zrobił? – naciskam, ale ani przez sekundę w to nie wierzę. On jest zbyt piękny na damskiego boksera. Wątpię, żeby pił Stellę albo choćby posiadał stary biały podkoszulek.

– Alvina! Proszę. Po prostu mnie wysłuchaj.

Beth nie zaprzeczyła, ale dlaczego nie chce mi powiedzieć? Jej głos robi się coraz bardziej piskliwy.

– Boże, o co chodzi? – pytam w końcu. Jest stanowczo za gorąco na taką

rozmowę. Fantazjuję o wannie wypełnionej kostkami lodu.

Nagle znikąd pojawia się japońska dziewczynka w koszulce Hello Kitty i z plecakiem większym od siebie. Wskazuje na swojego iPhone'a.

– Proszę?

Patrzę na Beth, ale ona nawet nie drgnie.

– Skoro muszę – mówię, wstając. Dziewczynka robi znak „V” palcami i uśmiecha się promiennie do obiektywu. Jest urocza. Przekrzywiam telefon tak, że ucinam jej głowę: widać tylko kolana i stopy w różowych tenisówkach na platformie, z których wystają białe szydełkowe skarpetki. Robię zdjęcie. Dziewczynka ucieka w podskokach, a ja znowu siadam.

– Alvie? – zaczyna znowu Beth. Okej, no to jedziemy. Słucham. Oto prawdziwy powód, dla którego tu jestem. Oczywiście, że za mną tak po prostu nie tęskniła. Nie oddam jej nerki; niech zapomni. Trzeba było zadbać o własne. Wargi Beth układają się w ponurą kreskę. Przyglądam się piegom rozsypanym na jej nosie i zastanawiam się, czy moje są dokładnie takie same. Pewnie tak, nie żeby komukolwiek chciało się to kiedyś sprawdzić...

– Potrzebuję, żebyś jutro udawała mnie, tylko przez kilka godzin. Zrobisz to?

– Słucham?

– Jutro po południu, po obiedzie, zamieniłabyś się ze mną miejscami. Nie na długo. Nikt nie zauważy. Proszę, powiedz, że to zrobisz?

Co to ma być, do chuja pana?

Więc dlatego mnie zaprosiła, dlatego brzmiała tak desperacko, dlatego zapłaciła za bilety: *Potrzebuję cię. Błagam cię. Przyjedź....* Ona jest niewiarygodna.

– Tak jak robiłyśmy w szkole, pamiętasz? Bez przerwy chodziłam na twoje lekcje, a ty na moje, i nikt nigdy nie zauważył – nalega Beth.

– Ale to było dawno, jak byliśmy młodsze i wyglądałyśmy tak samo.

Oczywiście, że ludzie się zorientują. Popatrz na siebie i popatrz na mnie...

– Alvie, jesteśmy identyczne. Identyczne. Rozumiesz? Wiem, że my tak nie uważamy, ale wszyscy inni tak myślą. To będzie proste. Powiesz, że wychodzisz na całe popołudnie, że zabierasz Erniego na spacer. Zamienimy się ubraniami, zrobimy sobie tak samo włosy, ale to ja wyjdę.

Mrużę oczy.

– Po co? Dokąd idziesz? Co ty robisz? Skąd te wielkie tajemnice?

Moja siostra zdążyła już to wszystko sobie zaplanować...

– Proszę, błagam, nie zadawaj pytań. To dla mnie naprawdę ważne, Alvie, przysięgam. Gdybym mogła ci powiedzieć, zrobiłabym to. Zrozumiałabyś.

– Więc mi powiedz, to zrozumiem!

Jak ona śmie? Rozpuszczona gówniara. Mówi: „Skacz!” i oczekuje, że zapytam tylko: „Z jakiej wysokości?”. Zrób to, Alvie. Zrób tamto, Alvie. Zwijam palce w pięści. Czuję, jak napinają mi się ramiona.

– Nie!

Beth zrywa się na nogi. Myślę, że zamierza odejść, ale ona spogląda w niebo i podnosi głos.

– Boże, Alvie, proszę! Potrzebuję cię.

Jej dolna warga zaczyna drżeć. Ja pierdolę, czy ona naprawdę zamierza się rozplakać? Znów jesteśmy małymi dziećmi i kłócimy się o zabawkę, i oczywiście jak zwykle to ona wygra. Zajebicie. Zaciskam szczęki.

– Alvie, błagam, musisz to zrobić. – Jej wielkie zielone oczy wypełniają się łzami. – Dla mnie?

Och, do kurwy nędzy... Czy jeśli to zrobię, Beth zostawi mnie w spokoju? Jeśli to zrobię, ona będzie mi coś winna. To mogłoby się przydać. Beth wie, że będzie musiała mi za to zapłacić. Ciekawe, co zamierza zrobić. Obrabować bank? Strzelać do ludzi z pędzącego samochodu? A może szykuje napad na salon Prady? Ale nie, nie Beth. Ona jest na to zbyt grzeczną

dziewczynką. O wiele zbyt dobrze wychowaną. Pewnie po prostu musi iść do biblioteki, żeby uniknąć kary za przetrzymanie książek.

Patrzę na jej stopy.

– Buty – mówię. – Zrobię to, ale chcę buty.

Żałuję już w chwili, kiedy to mówię. To koszmarny pomysł; nie ma szans, żeby Ambrogio się na to złapał. W dwie sekundy zorientuje się, że to ja.

– Które buty, te?

Wyciąga przed siebie nogi i wykręca kostki. Wpatrujemy się w lśniąca sandaalki na szpilce, migoczące złotymi refleksami na jej stopach. Wyglądają jak kule dyskotekowe na haju. Kocham te buty bardziej niż samo życie.

– Oczywiście! – woła i aż podskakuje, cała rozpromieniona. Zarzuca mi ręce na szyję i składa mokrego buziaka na policzku.

– Ale tylko na to jedno popołudnie – zastrzegam.

Jest mi winna ogromną przysługę. Więcej niż tylko buty. Choć są prześliczne.

– I trochę wieczorem... tylko kilka godzin, to wszystko. – Kładzie mi rękę na ramieniu. W jej oczach błyszczą łzy. Uśmiecha się smutno.

Znów mnie kocha. Idziemy z powrotem do willi, a niebo powoli przybiera barwę terakoty. Beth upiera się, żebyśmy szły pod rękę; jesteśmy prawie jak najlepsze przyjaciółki. Ale to nie jest przyjaźń. Nasza przyjaźń skończyła się w Oksfordzie, kiedy przespałam się z Ambrogiem. Ja to wiem i ona też to wie. Teraz udaje, bo chce czegoś, co tylko ja mogę jej dać.

Może jeśli to zrobię, to mi wybaczy? Może wtedy wreszcie będę miała czystą kartę?

Rozdział dziewiąty

WYCHYLAM SIĘ PRZEZ OKNO BALKONOWE. Jestem wściekła, palę papierosa za papierosem. Jest wieczór, więc upał na zewnątrz już nieco zelżał, ale nadal czuję się jak homar gotowany żywcem. I jeszcze ta pojebana Beth. W co ona sobie pogrywa? To jakiś obłąd. „Zrób to, Alvie. Zrób tamto, Alvie...” Mało zespołowe podejście. Beth nie gra zbyt fair. A przecież to ona zawsze lubiała siatkówkę i hokeja... Różne takie debilne gry zespołowe, w których wszyscy się przytulają i przybijają sobie piątki. Ja wolałam biegi na długie dystanse. Im dłuższe, tym lepsze. Jak najdalej od rodziny. Od świata. Współpracuję tylko pod przymusem. Owszem, wprowadzie w słowie „kooperacja” nie ma miejsca na „mój” ani „moje”, ale jak dobrze poszukać, to „ja” się znajdzie.

Beth i Ambrogio rozmawiają na patio. Nie słyszę, co mówią. On szepcze jej coś do ucha, a potem nachyla się i całuje ją w usta. Ona mierzwi mu włosy na czubku głowy i idzie z powrotem do willi. Boże, oni są obrzydliwi. Piękne, zadowolone z siebie małżeństwo. Jak ja się cieszę, że jestem singielką. Niektórzy mężowie żyją po sześćdziesiąt lat. Wyobrażacie sobie coś gorszego? Nigdy nie byłam w stanie wytrzymać z facetem dłużej niż jedną noc.

Byli sobie raz...

A potem żyli długo

i szczęśliwie: NIE!!!!

Beth wierzy w bajki o królewnach; założę się, że ogląda pornosy na

podwójnej szybkości, żeby zobaczyć, czy na końcu będzie ślub. Ja wolę oglądać od tyłu i patrzeć na fiuty wciągające spermę jak odkurzacze; to zajebiście zabawne.

Przyglądam się Ambrogiovi, jak chodzi tam i z powrotem po tych szalonych kafelkach nad brzegiem basenu i wrzeszczy do słuchawki. Gestykułuje gwałtownie, jakby osoba po drugiej stronie mogła go zobaczyć. Och, może jest na FaceTime? Patrzę na niego, palę jednego peta za drugim i wydmuchuję białe chmury dymu wysoko w niebo. Tytoń ma słodki smak. Ambrogio się odwraca, zauważa mnie i macha z uśmiechem. Wciągam gwałtownie powietrze i też macham. Kogo ja próbuję nabrać? Oczywiście, że chciałabym być jego żoną. Chciałabym być matką jego dziecka. Jakie to ma znaczenie, czy jest damskim bokserem? To Adonis.

Doszłam do wniosku, że chcę Włocha (najlepiej Ambrogia, choć Salvatore zajmuje teraz bardzo niedalekie drugie miejsce. Jestem prawie pewna, że Channing ma włoskie korzenie. Albo niemieckie... Albo indiańskie... A może walijskie?). Chyba chodzi o język. Aż mi miękną kolana, kiedy słyszę cokolwiek, co brzmi choć trochę po włosku. Proszę bardzo: *Figlio di puttana*, brzmi jak płynny miód, nie? To znaczy „ty sukinsynu”. *L'anima de li mortacci tua*, przepiękne! „Zaczynasz mnie już ostro wpieniać”. *Va ancuro*, to musi być poezja spod pióra samego Petrarke? A znaczy „spierdalaj”. Cały dzień można słuchać kłótni o dziwkach i szczyinach, a i tak będzie brzmieć jak sonet o dworskiej miłości. Nawet nie chcecie wiedzieć, co znaczy: *Ti prego, scopami in culo...* (Nauczyłam się całkiem sporo włoskich przekleństw, oglądając włoskie porno).

Gaszę peta o balkonową poręcz. Spada na podłogę, więc strącam go stopą z krawędzi posadzki. Wracam do sypialni. Cała się kleję; ten żar jest niewiarygodny. Po prostu nie da się schłodzić. Czuję, jak krew bulgocze mi w żyłach i gęstnieje jak melasa, mózg się smaży, organy wewnętrzne

skwierczą jak boczek na patelni. Może wezmę prysznic? Wybieram kilka opakowań kosmetyków z walizki baby od Vuittona i zamykam się w swojej prywatnej łazience. To taki pokój kąpielowy z deszczownicą: wszędzie niebieskie mozaiki i błyszczące srebro. Nie mogłaby bardziej się różnić od łazienki u oblechów w Archway. Włosy w odpływie, zapleśniała zasłona prysznicowa, obrzydliwa wanna w kolorze nadpsutego awokado i zapchane rury.

Żel pod prysznic to Chanel No. 5. Jestem zachwycona: piana roztacza cudowny zapach róż i jaśminu, podczas gdy chłodna woda spływa mi po ciele, oczyszcza umysł i łagodnie pieści moje plecy. Mmm, Ambrogio... Te jego przeszywające oczy, ten ostry zarys szczęki. Nie mogę się powstrzymać i zaczynam się dotykać. Na jego widok znów ogarnęły mnie niegrzeczne myśli. W lamborghini miałam wrażenie, że ja jemu też się podobam. Jestem prawie pewna, że ze mną flirtował. Przesuwam palcami po pulsującej łechtaczce. Wargi mam gładkie i mokre, są ciepłe i śliskie w dotyku. Wsuwam dwa palce głęboko do środka, mocno pocierając łechtaczkę kciukiem. Czuję, jak narasta we mnie napięcie, coraz bardziej, ciepło rozchodzi się coraz wyżej i silniej, ale nie. To nie wystarczy. Nie oddaję Ambrogiovi sprawiedliwości.

Wychodzę spod prysznic i idę do sypialni, ociekając wodą. Wyciągam Mr Dicka z torebki (zdążyłam już załadować nowe baterie), po czym pędzę z powrotem do łazienki. Przyczepiam go do ściany za sobą, na wysokości bioder, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Zwykle w tym momencie pojawia się Channing bez ubrania, ale tym razem to Ambrogio. Stoi za mną, obejmuje ramieniem w talii, przyciskając biceps mocno do moich piersi, i silnymi, szerokimi palcami masuje moją łechtaczkę. Stanowczo, lecz łagodnie, okrężnymi ruchami. Mówi coś seksownego po włosku, na przykład „cappuccino”. Nabijam się na dildo, ale to Ambrogio posuwa mnie od tyłu,

to przez niego jestem cała mokra i uginają się pode mną nogi. Woda leje się z sufitu i pryska wokół mnie; ślizgam się na posadzce i prawie łamię sobie kark.

* * *

Z kim ona tam gada? Przyciskam ucho do drzwi Beth. Dotykam drewna policzkiem: jest chłodne i gładkie, pomalowane lśniąco białą farbą.

– Proszę? Proszę? Musisz to zrobić.

Dlaczego tak miauczy? Co jest grane?

– To musi być jutro. Salvo, proszę? Kończy nam się czas – mówi Beth. Głos ma wysoki, nosowy, piskliwy. Odbija się echem po jej sypialni.

Opieram się o drzwi, ale nie są zamknięte i wpadam do pokoju. Beth podnosi głowę, kiedy zauważa, że lecę na twarz. Jest zszokowana, przestraszona, oczy jej płoną.

– Oddzwonię do ciebie.

Rozłącza się.

– Nigdy nie pukasz, Alvina? – rzuca ostro.

– Nie. Sorry, chciałam, eee... Nie masz dezodorantu?

Ona tylko przewraca oczami i wściekłym krokiem udaje się do łazienki. Rozglądam się po jej ślicznej sypialni, siadam na łóżku. Jest naprawdę wysokie, nie jak mój badziewny futon. Materac jest zbity, ale sprężysty. Kapę ozdobi haftowany wzór w motylki.

– Z kim rozmawiałaś? Przez telefon? – wołam za nią. Beth grzebie po szafkach w łazience. Jej telefon leży na łóżku, mogłabym się zalogować i sprawdzić. Mogłabym przejrzeć jej historię połączeń. Znam PIN: 1996. Ale nie miałabym dość czasu.

– Z nikim. Nic takiego. A co? Podsłuchiwałaś? – Wysuwa głowę bokiem przez drzwi łazienki.

– Nie. Tylko byłam ciekawa. – Biorę jej telefon do ręki i znów odkładam.

Za mało czasu.

– Wiesz co... To była mama. Chciałaś też pogadać?

– Boże, nie.

– Mogę zadzwonić jeszcze raz – proponuje zza drzwi.

– Nie, nie musisz. Nie ma potrzeby.

To nie była nasza matka, tylko ktoś o imieniu Salvo. Słyszałam wyraźnie.

Czy to Salvatore?

Beth wynurza się z łazienki z dezodorantem w aerozolu Dove Go Fresh o zapachu owocu granatu. Rzuca nim we mnie. Mocno.

– Proszę bardzo. Psikaj się do woli – mówi.

Rozdział dziesiąty

No, TO JEST TROCHĘ DZIWNIE.

Siedzimy przy stoliku w najbardziej wypasionej restauracji, jaką w życiu widziałam. Czy to Kanye West zajada owoce morza z P. Diddy? A tam przy barze to chyba Drake zamawia szoty ze Snoop Doggiem. Patrzę na Beth, potem na Ambrogia, potem znowu na Beth i znów na Ambrogia. Próbuję się uśmiechnąć. Czuję się jak dziecko zabrane z rodzicami na kolację, bo niania w ostatniej chwili zadzwoniła, że nie da rady przyjść. Albo jak na najgorszej rozmowie rekrutacyjnej w historii świata. W końcu pojawia się kelner, przerywając ciszę.

– *Buonasera, signori.* – Kłania się przed Ambrogiem. – *Signore Caruso, sei troppo fortunato! Che belle donne!* – Uśmiecha się szeroko, najpierw do mnie, potem do Beth. – *Gemelle?* – pyta.

– *Sì, gemelle* – potwierdza Ambrogio z seksownym uśmiechem.

Kelner szczyrzy się jeszcze bardziej. Podaje mi menu, z którego nic nie rozumiem. Ambrogio mówi coś po włosku, a kelner się śmieje.

– *Un vodka martini, per favore* – mówi Ambrogio.

– Poproszę Virgin Mary – dodaje Beth.

– *Certo, signora* – potwierdza kelner. Patrzy na mnie.

– Co to jest? – pytam szeptem Beth.

– Coś jak Bloody Mary, ale bez wódki.

– Czyli po prostu sok pomidorowy?

Beth kiwa głową.

– Dla mnie Bloody Mary – oznajmiam. Nie mogę po prostu zamówić

wódki. To byłoby dziwne.

– *Certo, signora.*

Kelner odchodzi.

– Jestem chyba największym szczęściarzem na świecie, że mogę tu z wami siedzieć, takie dwie *belle donne*... – zagaduje Ambrogio, puszczając do mnie oko.

Żadna z nas nie odpowiada.

– Pięknie dziś wyglądasz, kochanie – szepcze do Beth. Odgarnia niewidzialny kosmyk włosów z jej policzka i całuje ją łagodnie, biorąc ją, och, jakże delikatnie, pod brodę, po czym patrzy jej głęboko w oczy. Jakby w ogóle mnie tu nie było. Jakby byli tylko we dwoje na pierwszej randce. Na miesiącu miodowym. Jeszcze chwila i zaczną się tu pieprzyć.

– Ahem! – kaszlę głośno i odpalam papierosa.

Oboje się odwracają i gapią się na mnie. Cisza jest nie do wytrzymania, a napięcie tak namacalne, że można by je ciąć nożem do kartonu i patrzeć, jak się wykrwawia na sztywno wykrochmalone obrusy z białego lnu.

– Słyszałem dziś nowy żart. Opowiedzieć wam? – proponuje Ambrogio. Odchyła się na krześle i posyła mi uśmiech. Właśnie sobie przypomniał o moim istnieniu.

– Nie. Nie ma potrzeby – mówi Beth, po czym chowa się za swoim menu. Zdzira.

Odwracam głowę i patrzę na krajobraz, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Z tarasu restauracji, przycupniętej nad zboczem klifu, roztacza się widok na morze. Z tej wysokości woda wygląda na nieruchomą, jak kałuża rtęci albo płynnego srebra. W zatoce stoi statek wycieczkowy. Lśni jak puzderko na biżuterię na tle ciemnego aksamitu. Od wody powiewa łagodna bryza, wpadająca na taras, żeby popieścić moją skórę.

Gdyby nie Beth, to byłoby naprawdę ostro romantyczne.

Taras wychodzi prosto na stromy, pionowy skalny spadek. To byłoby wspaniałe miejsce, żeby się zabić. Terakotowe dachy, baldachimy z liści palmowych, a daleko, daleko w dole kamienista plaża. Koronkowe zatoki niczym półksiężyce, migoczące od rozpiętych między drzewami światełek, coraz mniejsze i mniejsze, aż znikają w oddali. A na horyzoncie rysują się zbocza Etny. Znowu. Ona jest wszechobecna na tej wyspie; nie da się przed nią uciec. Z ulgą odnotowuję, że jeszcze nie wybuchła. Ostatnie promienie słońca podkreślają jej kształt; czarne jak węgiel zbocza spływają prosto do morza. Jest majestatyczna. Prehistoryczna. Otacza ją aura wieczności. Coś wyrefinowanego, ale jednocześnie w chuj przerażającego.

Naprawdę, gdyby nie Beth, byłoby absolutnie idealnie. Wszystko w restauracji jest białe: obrusy, zasłony, kolumny, krzesła. Diamentowe żyrandole. Lśniący fortepian na pokaz. Przyglądam się stolikowi: nieskazitelne serwetki, kieliszki z rżniętego kryształu. Nie chcę niczego dotykać; tylko pobrudzę albo coś popsuję. Sztuńce aż błyszczą; biorę do ręki nóż, zostawiając odciski palców. Płomienie białych świec tańczą na delikatnym wietrze. Eleganckie wazy. Jedyne barwne akcent stanowią szkarłatne kwiaty geranium.

Gdyby tylko Beth się od nas odpierdoliła.

Spoglądam na bar po drugiej stronie restauracji. Błyszczą od bieli, jak wnętrze śnieżnej kuli. Białe skórzane kanapy. Wypolerowane kafelki. Półki pełne butelek, zwielokrotnionych w lustrach: Campari, Grappa, Sambuca, Amaretto. Pojawia się kelner z wypolerowaną srebrną tacą; z przedramienia zwisa mu biały ręcznik. To może być ten sam, który nas obsługiwał, albo jakiś inny; wszyscy wyglądają podobnie. Ale muszę przyznać, że z którymkolwiek bym się przespała. Nie byłoby różnicy. Eleganckie czarne spodnie, wykrochmalone białe koszule. Jest coś takiego w mężczyźnie z drinkiem na tacy... to obłędnie seksowne. Stawia przed nami dwie szklanki

z krwiście czerwonym sokiem, łądygami selera i długimi czarnymi słomkami. Ambrogio bierze do ręki swoje martini z wódką i pociąga łyk; przyglądam się, jak porusza gardłem w górę i w dół, przelękając drinka. Teraz żałuję, że też tego nie zamówiłam.

Rozchmurz się, Alvie. Weź się w garść. Przecież to mają być wakacje. Powinnaś się dobrze bawić! Tylko popatrz, gdzie jesteś! To przyjemne miejsce. Przynajmniej nie jesteśmy syjamskie.

– Panie wybaczą – mówi Ambrogio i nagle wstaje. – Za chwilę wrócę, muszę przypudrować nosek.

Ma na myśli kokainę? Czy musi się odlać? Jeśli chodziło o kokainę, to ja też chcę.

Przechodzi przez restaurację. Wszyscy się odwracają, żeby się pogapić. Jakby był jakimś megacelebrytą: Cristiano Ronaldo albo Davidem Beckhamem. Patrę, jak jego plecy znikają między stolikami i gośćmi obwieszonymi diamentami, o natapirowanych fryzurach i w perfekcyjnie skrojonych włoskich garniturach. Kelnerzy z tacami zastawionymi spaghetti. Kołyszące się palmowe liście. Ambrogio ma piękne plecy, cudowny tyłek. Jak Channing Tatum.

– Alvie – mówi Beth. Wygląda, jakby zamierzała mnie opieprzyć. – Przestań myśleć o Oksfordzie.

– Wcale nie myślałam o Oksfordzie! – protestuję. To naprawdę niesprawiedliwe. Przecież myślałam o czymś zupełnie innym.

– Okej, w porządku, to przestań myśleć o Ambrogio.

Posyłam jej niechętne spojrzenie.

– Myślałam o Channingu Tatumie.

Tak jakby.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Będę myśleć o czymkolwiek i kimkolwiek mi się podoba. Za kogo ty się

masz, za jakieś umysłowe gestapo? – Odpalam kolejnego papierosa.

Beth prychna krótkim śmiechem.

– Co to ma być, rok 1984?

– Nie – odpowiada, odgarniając włosy z ramion. Ma fantastyczne włosy. –

To najlepsza restauracja w Taorminie i nie chcę tu dziwnej atmosfery.

– Wcale nie jest dziwnie – kłamię.

– Masz w ogóle pojęcie, jak trudno zarezerwować tu stolik?

– Nie. Powiedz. Co musiałś zrobić? Sprzedać duszę? Zaprowadzić pokój na Bliskim Wschodzie? Rozwiązać teorię wszystkiego?

– Co? Nie, po prostu trzeba znać właściwych ludzi.

– Jasne. – Więc... zrobiła laskę kierownikowi sali.

– Po prostu wysił się trochę, okej? – wzdycha Beth. – Nie odezwałam się ani słowem, odkąd wyszliśmy z domu. Chcę, żeby to była przyjemna kolacja.

– A co chciałabyś ode mnie usłyszeć? Podziwiałam widoki. Bardzo tu ładnie.

– Świetnie. Cieszę się, że ci się podoba – odcina się Beth.

– Bardzo – mówię.

– Świetnie.

– Super.

– Super.

Wydmuchuję dym w stronę morza i wbijam wzrok w mewy.

– Słuchaj – zaczyna znowu Beth. – Po prostu przestań myśleć o Ambrogiu. On nie jest taki, jak ci się wydaje. A tamtej nocy w Oksfordzie myślał, że ty to ja... – Moja siostra zawsze miała doskonałe wyczucie czasu. Wybrała ten moment, żeby przywalić mi czymś takim? To nie może być prawda.

– Nie wierzę ci. Pewnie powiedział tak tylko po to, żebyś dała mu spokój.

Albo ona łże mi prosto w twarz.

– On powiedział... powiedział, że...

– Co powiedział?

– Nieważne.

Beth unosi wysoko brwi.

– Cóż, powiedział mi właśnie to. – Wzrusza ramionami.

Czuję, że serce bije mi szybciej, żołądek się zaciska. Dłonie mam śliskie i mokre od potu. Chce mi się krzyczeć. Chcę zepchnąć ją z tego zasranego klifu. Tamta noc była wyjątkowa. To wszystko, co mam. Jak ona śmie próbować mi to odebrać?

Armani Code Black. Obie podnosimy wzrok. Ambrogio podchodzi do stolika.

– Wszystko dobrze? – pyta, siadając obok Beth. Rozkłada sobie serwetkę na kolanach. – Zamawiamy? Umieram z głodu.

Posyłam siostrze nienawistne spojrzenie.

– Rozmawiaj – mówi bezgłośnie.

Co ja mam teraz powiedzieć, do jasnej cholery? Och, Ambrogio, kochanie, zajebiście zabawna historia: moja siostrzyczka właśnie sprzedała mi ciekawą informację. Pamiętasz tamtą noc w Oksfordzie, osiem lat temu? Kiedy się poznaliśmy? Tę naszą przygodę na jedną noc? No cóż, okazuje się, że według Elizabeth... Jak by to powiedzieć? Myślałeś, że jestem nią? Szalenie śmieszne, nieprawdaż, bo przez cały ten czas pozostawałam pod wrażeniem, że przespałeś się ze mną dlatego, że chciałeś, że byłeś zainteresowany mną. Mną! Nie moją siostrą! Wyobraź sobie! Ale okazuje się, że po prostu pomyliłeś mnie z moją bliźniaczką. Nietrudne. Nie ma nad czym się rozwodzić. Upiłeś się, przeleciałeś mnie, zrobiłeś mi brzuch, i przez cały ten czas... Myślałeś, że jestem Beth.

– Uprzejmie – dodaje Beth, znów jedynie poruszając ustami.

Siorbię swój koktajl do ostatniej kropli, ocieram wargi wierzchem dłoni;

fioletowa szminka brudzi mi rękę. Wygląda trochę jak siniak.

– No – zaczynam, spoglądając na Ambrogia – to czym ty się właściwie zajmujesz? No wiesz, w pracy? Coś ze sztuką?

Beth potrząsa głową i patrzy w podłogę. Kopie mnie pod stołem, mocno.

– Ała! – piszczę. Co ja powiedziałam nie tak?

Ambrogio marszczy brwi i rozciąga wargi w wymuszonym uśmiechu.

– Tak – odpowiada, odkasłując. – Jestem dealerem sztuki. Kupuję i sprzedaję dzieła sztuki z całego świata. To nie jest aż takie ciekawe – śmieje się. Przyglądam się, jak składa serwetkę w gołębicę, a potem znów rozkłada. Cisza jest nie do wytrzymania. Ambrogio odwraca się do Beth.

– Skarbie, masz ochotę na coś konkretnego, czy chcesz, żebym zamówił dla wszystkich?

Znów patrzy na mnie, uśmiecha się i z powrotem odwraca do Beth. Ona nadal się krzywi.

– Dealer sztuki, powiadasz? – ciągnę temat. – To brzmi bardzo ciekawie.

– Tak – zgadza się Ambrogio.

Kiwam głową i posyłam mu zachęający uśmiech, sugerując, żeby kontynuował. To się nazywa uprzejma rozmowa.

– Czasami... ludzie... no cóż, wiesz, czasami ludzie umierają. I czasami... ci ludzie... posiadają dzieła sztuki. Które ktoś inny chciałby kupić. Ja jestem tylko pośrednikiem – wyjaśnia, wzruszając ramionami.

Koniec tematu. Koniec rozmowy. Beth wygląda, jakby jej ulżyło.

Pierwsze na stół wjeżdża *prosciutto e melone*. Melon jest pokrojony w miniaturowe gondole, owinięte leniwie szynką parmeńską. Wygląda przepysznie, soczyście, zachwycająco. Melony rosną na miejscu, na wyspie. Szynka dojrzewiała ponoć dwanaście miesięcy. Następnie *carpaccio z tuńczyka*: plastry tuńczyka, cieńsze niż papier ryżowy, w kolorze głębokiego, krwistego różu, rozłożone w wachlarz na talerzu. Całość

skropiona sokiem z cytryny i oliwą z oliwek, przybrana pietruszką i pomidorkami pachino. *Soppressata di polpo* jest piękniejsza niż kwiatki kwiatów. Macki ośmiornicy skręcają się niczym koralowce. Fioletowe i błękitne jadalne kwiaty. *Spaghetti alle vongole* pachnie obłędnie; białe wino, czosnek, małże, pomidory. Aromat uderza do głowy, jest wyrazisty i upojny. Homary, langusty, mieczniki, kraby. A na deser *semifreddo* z miodem, polane sosem z solonego karmelu, serduszka z białej czekolady i mnóstwo, mnóstwo prawdziwych płatków złota.

Nie mogę niczego przełknąć. Straciłam apetyt.

* * *

Jest za zimno, żeby zasnąć. Rzucam się, przewracam z boku na bok. Kręcę się i wiercę. Trzęsę i dygoczę. W głowie wirują mi skłębione neurozy. Stopy mam jak z lodu. „A tamtej nocy w Oksfordzie myślał, że jesteś mną”... Jak ona mogła powiedzieć mi coś takiego? A jeśli to prawda? Odrzucam kołdrę i siadam na łóżku. Zapalam światło. Spoglądam nienawistnie na wentylator, moją pękającą z zimna, zdrętwiałą twarz rozciąga grymas. Dlaczego tu zawsze musi być jak w piekarniku albo jak w lodówce? Nie ma nic pomiędzy? Wciskam guziki pilota, żeby wyłączyć klimatyzację, ale albo jestem za daleko, albo baterie zdechły. Zeskakuję na podłogę i naciskam każdą kontrolkę po kolei, aż w końcu zielone światełko gaśnie. Wiatraki przestają buczeć, a powiew arktycznego powietrza ustaje. Nareszcie. Tak lepiej. Może teraz uda mi się zasnąć?

I wtedy to słyszę: ścinający krew w żyłach wrzask. Jakby ktoś obdzierał kota ze skóry. Zamieram w pół kroku. Czy to Beth? Co, do chuja? Pędzę do drzwi sypialni i otwieram, tylko troszeczkę. Wyglądam na korytarz. Ciemno. Cicho. A potem znowu to słyszę. Wrzask. A potem płacz. Brzmi jak Beth; wszędzie rozpoznałabym to jej miauczenie. Szlochy rozbrzmiewają coraz

głośniej, robią się histeryczne, intensywne, rozdzierające. Wszystkie mięśnie mam napięte. To jest totalnie nefajne. Już po pierwszej w nocy.

Wracam do łóżka i chowam głowę pod poduszkę. Zatykam uszy palcami. Czy ona nie może się już zamknąć? Dalej słyszę jej jazgot. Przedziera się przez ciało, kość, pierze. Wwierca mi się aż do mózgu. A jeśli on ją bije? Tłucze? Teraz? Dobiegają krzyki dwojga ludzi: stłumione, niewyraźne. Nie rozróżniam słów, ale jestem pewna, że to moja siostra i Ambrogio. Więcej wrzasków. Znowu płacz. Będę musiała wstać.

Już mam wyjść z pokoju, kiedy przypominam sobie, że nic na sobie nie mam. Lubię spać nago, jak Marilyn Monroe. To mało praktyczne, gdyby wybuchł pożar. Lecę do walizki i wyciągam parę majtek, grzebię w ciuchach, aż znajduję jakąś starą koszulkę, i wkładam ją przez głowę. Na lewą stronę. Wysuwam głowę na korytarz i rozglądam się w obie strony. Nic. Nagle zapadła cisza. Może tylko mi się wydawało? A może ona nie żyje! Ale wtedy rozlegają się krzyki. Znowu. Boże kochany! Teraz to on na pewno ją leje, nie? Widziałam siniaki. Muszę znaleźć jakąś broń. Wracam do sypialni i rozglądam się po kątach. Jeśli on atakuje moją bliźniaczkę, to muszę go powstrzymać! Też mu przyleję! Zrobię to! Na sto procent! Beth jest nie do wytrzymania, ale to krew z mojej krwi. Nie chcę, żeby ją zabił. Nie dzisiaj!

Przetrząsam torbę w poszukiwaniu scyzoryka, ale nie mogę go znaleźć. Przy kominku wisi stary żelazny pogrzebacz. Może być. Chwytam pogrzebacz; jest ciężki. Długi, czarny, poskręcany. Idealny. Waham się, przyciskam ucho do drzwi. Wstrzymuję oddech, żeby nic nie przegapić. Znowu! Te krzyki! Jakby kogoś mordowali!

Otwieram drzwi i wymykam się na korytarz z pogrzebaczem wzniesionym nad głową. Bose stopy toną w grubym dywanie, mój cień na ścianie wygląda jak jakieś potworne zwierzę. Tyle tu drzwi, tyle sypialni; jak w hotelu. Które to? Podążam za odgłosami. Idę na palcach wzdłuż korytarza, a z każdym

krokiem krzyki przybierają na sile. Zbliżam się do drzwi Beth. Serce mi wali, oczy mam jak spodki. Co tam się dzieje? Pogrzebacz drży mi w rękach, aż nagle drzwi otwierają się szeroko. Wychodzi Ambrogio. Włosy ma w nieładzie. Naga pierś. Ciało jak u pływaka olimpijskiego. Ma na sobie tylko spodnie od piżamy. Robię krok w tył i kurczę się w cieniu. Chciałabym rozpląnąć się w powietrzu. Chciałabym być znowu w łóżku.

– O, hej, Alvie, nie zauważyłem cię. – Mierzy mnie wzrokiem i marszczy brwi.

– Hej, Ambrogio – mówię swobodnie. – Dokąd idziesz?

– Po kanapkę. Twoja siostra właśnie zasnęła z małym. Mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy? On potrafi nieźle hałasować.

– Nie. Nie, w porządku. Nie spałam.

Zapada cisza. Zastanawiam się, czy kłamie. Patrzę, czy ma na dłoniach ślady krwi. Nie ma.

– No to dobranoc – mówi w końcu Ambrogio. – Śpij dobrze. Zobaczymy się rano. – Odchodzi korytarzem w przeciwną stronę, ale nagle się zatrzymuje. – Pomóc ci z tym pogrzebaczem?

Spoglądam na „broń”, którą wciąż trzymam kurczowo. Teraz wygląda idiotycznie. Co ja sobie wyobrażałam, że co niby z tym zrobię? Chowam pogrzebacz za plecami.

– Och, nie, nie trzeba. Chciałam rozpalić w kominku u siebie w pokoju, ale zamiast tego włączyłam klimatyzację.

On gapi się na mnie, jakbym bełkotała od rzeczy.

– Zrobiło się trochę chłodno – wyjaśniam.

Kiedy Ambrogio znika mi z oczu, czekam i nasłuchuję. Słyszę własny oddech. Z pokoju Beth nie dobiega żaden dźwięk. Cienka linia światła, którą widziałam wcześniej pod drzwiami, zniknęła. Tłumię ziewnięcie i pocieram oczy. Nieważne. Może to rzeczywiście był Ernie. Wracam do łóżka.

DZIEŃ TRZECI

Gniew

Czasami jestem taka wściekła, że mam ochotę przywalić pięścią w lustro.

@Alvinaknightly69

Rozdział jedenasty

TO PRZEZ BETH nigdy nie dostawałam prezentów na Gwiazdkę.

Dorastałam w przekonaniu, że Mikołaj mnie nienawidzi. Co roku pisałam list z prośbą o wymarzone prezenty i wysyłałam go do Laponii, jak wszystkie inne dziewczynki i chłopcy. Co roku, kiedy Mikołaj nie przychodził, mama mówiła dokładnie to samo:

– Może gdybyś nie była taka niegrzeczna, gdybyś nie próbowała zabić psa/podpalić szkoły/kopnąć dyrektora w gonady, to dostałabyś jakieś prezenty? Popatrz na te wszystkie śliczne zabawki, które Mikołaj przyniósł Beth. Ona była grzeczna jak aniołek.

Beth. Beth. Mała księżniczka mamusi. Zawsze ta kochana. Zawsze złote dziecko. Dlaczego ona musiała być taka doskonała? Zachowywała się tak tylko po to, żebym na jej tle gorzej wyglądała.

Każdego roku święta odbywały się według identycznego scenariusza. W Wigilię kładłyśmy się do łóżek, ale ja całą noc nie mogłam zasnąć. Wpatrywałam się w sufit i czekałam z nadzieją, bojąc się nawet odetchnąć, żeby przypadkiem nie przegapić *stuk, stuk, stuk* kopyt reniferów na dachu, dzwoneczków sań, ciężkiego stąpania lśniących czarnych butów. Kiedy tylko do pokoju wpadały pierwsze promienie słońca, pędziłam po schodach na dół, gdzie pod choinką już czekały ogromne sterty prezentów. Wszystko tonęło w przepychu wielkich czerwonych wstążek. Zielono-złoty papier lśnił i kusił. Z kominka zwisała jedna skarpeta, po brzegi wypchana słodyczami. I co roku siedziałam i patrzyłam, jak moja siostra otwiera prezent za prezentem, godzina po godzinie. Wściekłość bulgotała i kipiała mi w brzuchu, podczas

gdy planowałam po cichu, co zrobię Mikołajowi, jeśli go kiedyś dopadnę. Beth rozpakowywała swoje kucyki Pony – o lśniących oczach z kryształków, o ogonach i grzywach, które same rosną – albo ścisnęła kolejnego misia, a ja planowałam słodką zemstę.

Może wydlubię mu oczy ołówkiem HB? Zawsze go porządnie temperowałam, tak na wszelki wypadek. Albo mogłabym poderżnąć mu gardło kompasem? Ale ta jego gęsta broda mogłaby to uniemożliwić. Zawsze pozostawała trutka na szczury, którą mama trzymała pod zlewem i której zabraniała nam dotykać. Mogłabym go zwabić kubkiem gorącej czekolady; jeden łyk i wyciągnąłby kopyta. Wyobrażałam sobie, jak się telepie na dywaniku przed kominkiem: biały pompon na końcu czapki podskakuje przy każdym spazmie, lśniące czarne buty wierzgają w powietrzu. Tarzały się w czerwonym płaszczu, rzygając, dławiąc się, tocząc pianę z ust. Ale nawet to byłoby dla niego zbyt dobra śmierć. Kutas.

Aż kiedyś poszłam z mamą i siostrą na zakupy w grudniu. Dzieci śpiewały kolędy: *Cicha noc*, *Przybieżeli do Betlejem*. Wszędzie piętrzyły się choinki, ciężkie od lampek i łańcuchów. W powietrzu unosił się zapach cynamonu. Mama i Beth trzymały się za ręce, a ja ciągnęłam się tuż za nimi. „No, Alvie, tylko się zachowuj! Nawet nie próbuj znowu urządzać scen”. Mama zwykle nigdzie mnie nie zabierała, żebym nie narobiła jej wstydu. Nie wiem, o co było robić tyle hałasu.

Skręciłyśmy za róg i wtedy go zobaczyłam: ten gruby, czerwony knur! Pobiełam najszybciej, jak potrafiłam, wrzeszcząc jak banshee, przepychając się przez tłumy ludzi prosto do jego pełnej elfów groty, rozkopując po drodze styropianowe śnieżynki. Rzuciłam się na Mikołaja, zaczęłam go ciągnąć za brodę i drapać po twarzy, strącając mu okulary z nosa. Do dziś pamiętam ten jego nieświeży oddech, śmierdzący ciastkami i na wpół przetrawioną whisky. Krzyczał: „Niech ktoś ją zabierze!”. Z nadludzką siłą kopałam go w pizczcele

i atakowałam dziko wszystkimi kończynami, aż w końcu mama mnie odciągnęła.

To podziałało. Od tamtej pory stary kutasiarz już zawsze zostawiał mi pełną skarpetę. Zwykle przynosił mi poradniki samopomocy i DVD do fitnessu, ale to nadal było lepsze niż nic. Z perspektywy czasu wiem, że tak naprawdę to była mama.

* * *

Środa, 26 sierpnia 2015 r., 11 rano

Taormina, Sycylia

Popycham drzwi i wchodzę do środka, po czym zamykam je cicho za sobą. Sypialnia Beth, cała w zgaszonych różach, złocie i kremowych bielach wygląda jak buduar Coco Chanel z lat dwudziestych w Paryżu. Przechodzę przez sypialnię, stąpając po grubym, puszystym dywanie. Gładzę palcami kapę na łóżku: chłodny, gładki jedwab. W powietrzu unosi się zapach wanilii, temperatura jest utrzymana na stałym poziomie. Na kominku migocze zapachowa świeczka Jo Malone; воск spływa na srebrny spodeczek. W tle gra cicho Mozart, jak w przebieralni designerskiego sklepu. Rozglądam się za głośnikami, ale nigdzie ich nie widzę.

Beth wyskoczyła do Taorminy na jakieś trywialne zakupy. Ernie jest z Emilią w bawialni na dole. Nie wiem, co z Ambrogiem, chyba gdzieś wyszedł z kolegami. Nie powinnam tu wchodzić, ale nie mogłam się powstrzymać. „Mogę się oprzeć wszystkiemu z wyjątkiem pokusy”. Kto to powiedział? Zbliżam się do toaletki Beth: mahoń, antyk. Puzderka na biżuterię piętrzą się niczym maleńkie prezenty opakowane w turkus Tiffany’ego, pudrowy róż, krwistą czerwień. Ponoć najlepsze rzeczy na świecie kryją się w małych opakowaniach, ale skąd miałabym wiedzieć.

Wybieram największe pudełko na stoliku; czerwony aksamit ociera się miękko o skórę, jak uszy spaniela. Pudełko ma kształt serca i jest ciężkie, cięższe, niż się spodziewałam. Chcę zajrzeć do środka. Zerkam przez ramię w stronę drzwi. Zamknęłam je za sobą, kiedy wchodziłam. Nikogo tu nie ma. Waham się; patrzę sobie w oczy w lustrze, prowokuję samą siebie. Dalej, Alvie, wiesz, że masz na to ochotę.

Przygryzam wargę, czując wzbierającą falę podniecenia, i podnoszę przykrywkę.

Oślepiają mnie diamenty wielkości małych planet. Okej, może przesadzam: może wielkości meteorytów albo komet. Tak czy inaczej, są zajebiście wielkie. I założę się o piątkę, że prawdziwe. Jezu najśłodszy, co za чудо. Zabiłabym za taką błyskotkę. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę oddychać. Mogę się tylko gapić. Są hipnotyzujące. Chcę je mieć. Potrzebuję ich. Marzę o nich. Jedenaście diamentów o rosnącej wielkości, oprawione w białe złoto i zebrane razem w przepiękny naszyjnik. Diament w samym środku ma kształt jajka. Moje palce błagają, żebym go dotknęła, pogładziła, włożyła na szyję. Same sięgają do pudełka i podnoszą naszyjnik z satynowej poduszeczki. Jest ciężki, nabity jak karabin, kamienie ciągną w dół jak pełny magazynek nabożów. Pozwalam, żeby zawisł mi między palcami, wiotki, ale żywy. Przyglądam się, jak migocze w chybotliwym świetle rzucanym przez płomień świecy. Przypominają mi się klejnoty koronne w Tower of London. Kiedy w końcu udaje mi się oderwać oczy od diamentów, znów patrzę na drzwi.

Co, jeśli ktoś teraz wejdzie? Nie obchodzi mnie to. Pierdolę. I tak go przymierzę.

Odgarniam włosy z szyi tak, żeby spływały na jedno ramię. Moja pierś wygląda pusto w lustrzanym odbiciu. Nago. Jest zbyt biała. Drżącymi palcami podnoszę naszyjnik i przykładam do ciała. Jest surrealistycznie

piękny. Jak wyśniony. Nierzeczywisty. Ja pierdolę, czuję się jak królewna. Rozpinam zamek i ściągam końce naszyjnika na karku. Próbuje zapisać, ale jestem zbyt niezdarna. Męcę się i kombinuję, ale nie mogę zapisać.

– Czekał, pomogę ci – dobiega zza moich pleców męski głos.

Ambrogio! Jak on się tu znalazł, do cholery?

– Nie, nie trzeba... – mówię i próbuję zdjąć naszyjnik, ale Ambrogio bierze go w dłonie i zapina wokół mojej szyi.

– No, zobaczmy – mówi, stając obok mnie przed lustrem. – Świetnie na tobie leży, Alvie. *Molto bella*.

Diamenty wiszą mi na szyi, a mi chce się rzygać. Chcę zerwać je z siebie i rzucić na podłogę. Ambrogio się uśmiecha.

Odwracam się w jego stronę, ale unikam kontaktu wzrokowego i patrzę mu na buty. Ma cudne buty; wyglądają, jakby były z miękkiej włoskiej skóry, jak drogie designerskie broggy. Wyciąga dłoń i odgarnia mi kosmyk włosów za ucho, pewnie po to, żeby mieć lepszy widok na diamenty. Koniuszki jego palców pozostawiają na mojej skórze ciepły ślad. Zakrywam dekolt dłońmi.

– Pięknie wyglądasz.

– Och!

Spoglądam mu w oczy i natychmiast odwracam wzrok. Jestem pewna, że dostrzegł mój palący wstyd. Dlaczego musiał wejść akurat w tej chwili? Dlaczego tak mi wali serce? Teraz stoi odrobinę za blisko. Czuję jego zapach, kawę w jego oddechu. Przez jedną szaloną chwilę myślę, że mnie pocałuje. Nie poruszam ani jednym mięśniem. Zamykam oczy. Nie mogę uwierzyć, że stoję w sypialni Ambrogia. Nie mogę uwierzyć, co właśnie powiedział.

– No hej – rozlega się nagle głos Beth. Moja siostra wchodzi do pokoju lekkim krokiem. Jak zefirek.

– Och, właśnie wychodziłem – mówi Ambrogio.

Posyła mi uśmiech i rusza do wyjścia. Patrzę na jego plecy, znikające za

progiem. Zamyka za sobą drzwi. A ona skąd się wzięła, do chuja pana? Przyczała się na nas jak kot na polowaniu.

– Myślałam, że gdzieś pojechałaś – mówię, sięgając po naszyjnik. Nie dodaję: „Lepiej, żebyś zapisała mi to w testamencie”.

– Och, bo pojechałam – odpowiada cicho Beth. Niemal bezgłośnym szeptem. – Ale wróciłam, żeby się z tobą zobaczyć.

– Czyżby.

– Żeby się upewnić, czy jesteś gotowa na później.

– A-ha.

– Że nie zmieniłaś zdania.

Wreszcie rozlega się „klik” i zapięcie puszcza. Ściągam diamenty i oddaję Beth. Zauważam, że lekko drżą jej palce. W jej zielonych oczach czai się cicha desperacja.

– Spoko – mówię. – Wszystko jedno. Spoko.

Im szybciej to zrobimy i zapomnimy, tym lepiej. A potem zabieram buty i spadam do domu, gdziekolwiek to jest. Nie chcę jej już więcej widzieć. Nigdy, przenigdy.

Rozdział dwunasty

– **NIE MOŻESZ MI CHOCIAŻ POWIEDZIEĆ**, dokąd idziesz?

– Nie mogę, Alvina, po prostu nie mogę. Przykro mi.

Beth posyła mi wymowne spojrzenie i patrzy na buty. Ja też patrzę na buty. Dobrze wie, jak bardzo chcę je mieć. Wzdycham. Chcę tylko mieć ją wreszcie z głowy, pozbyć się jej z pamięci i z życia, tym razem na zawsze. Po jaką cholereę ja tu w ogóle przyjeżdżałam? Zabieram buty i spadam.

Kłócimy się w sypialni Beth, przebierając jednocześnie na naszą podmiankę. Czuję się jak w naszym starym pokoju w domu mamy: Beth chce spać na górnym łóżku, zjeść największy kawałek ciasta z owocami, zatrzyma CD Hear'Say tylko dla siebie. Jeśli mi nie dasz, powiem mamie, co zrobiłaś z tym chomikiem/wiewiórką/moją lalką. Zrób to, Alvie. Zrób tamto, Alvie. Zrób moją pracę domową. Wyczyść mi buty. Tweedledum i Tweedledee. Jedward.

Stoimy obok siebie przed lustrem do ziemi. Jest jedna bardzo oczywista różnica.

– Potrzebna ci opalenizna – wzdycha Beth. – Chodź.

Wpycha mnie w samej bieliźnie do łazienki. Chwilę przetrząsa szafkę z kosmetykami, aż w końcu wyciąga butelkę samoopalacza St. Tropez. Cała się trzęsę, kiedy ona rozsmarowuje chłodny, oślizgły płyn na moich ramionach, nogach, dekolcie, plecach. Pachnie jak biszkopty. Chyba jest za ciemny.

– Woskujesz w ogóle czasem nogi? – pyta.

– To się nie uda.

Przyglądam się, jak Beth zdejmuje ubranie i wieszka na haczyku. Jej brzuch lekko się trzęsie po ciąży, tak jak mój. Nie ma już tego płaskiego pilatesowego brzucha co kiedyś. Pewnie zrobi sobie liposukcję. Ja bym zrobiła, gdyby było mnie stać. Ale zamiast tego będę dalej wpychać w siebie ciastka, pączki i brownie z potrójną czekoladą, solonym karmelem i bekonem, aż uduszę się we własnych fałdach, a tłuszcz na brzuchu pochłonie mnie niczym żarłoczny różowy alien. Jest na co czekać. A to i tak lepsze niż pilates.

Beth wkłada małą czarną, którą miałam na sobie wczoraj. Ona lepiej w niej wygląda. Odwraca się drobnymi kroczkami, żebym pomogła jej się zapiąć. Zamek śmiga między jej złotobrazowymi łopatkami, pod kark; jej skóra jest biała pod włosami, tam, gdzie nie sięgnęło słońce. Przyglądam się delikatnym białym włoskom na jej ramionach. Z tej perspektywy Beth wygląda tak bezbronne.

– To naprawdę niesprawiedliwe. Każesz mi być tobą, ale nie chcesz powiedzieć dlaczego – protestuję.

– Wychodzę tylko na parę godzin. – Znów odwraca się twarzą do mnie. – Daj już spokój z tymi pytaniami, okej?

Następny siniak, na drugim ramieniu Beth, dokładnie w tym samym miejscu. Zielononiebieski i fioletowy jednocześnie. Nie wiem, jak ja go wczoraj przegapiłam. Może jest świeży?

– Czy to ma coś wspólnego z tymi siniakami? – naciskam. To przecież nie mógł być Ambrogio? On jest księciem z bajki.

Beth udaje, że mnie nie słyszała, i znika za drzwiami. Drepczę za nią jak Alicja w Krainie Czarów biegnąca za białym królikiem. Nagle znajdujemy się w pokoju wypełnionym setkami sukienek – wszystkie są idealnie skoordynowane kolorystycznie, tworząc tekstylną tęczę. Nigdy wcześniej nie byłam w prawdziwej garderobie. Jest taka piękna, że odbiera mi dech. Do

ścian i dziesiątek szuflad są przyklejone polaroidowe zdjęcia wszystkich jej ubrań; moja siostra jest Cher ze *Słodkich zmartwień*. Myślę o swoim pokoju w mieszkaniu oblechów w Archway; moje ciuchy mieszkały w jutowych workach z pralni i zalegały w stertach na podłodze.

– Włóż tę sukienkę.

Rzuca mi w twarz jakąś kwiecistą szmatką; fioletowy szyfon z wąską talią i puszystą spódnicą. Nie wyszłabym w czymś takim do ludzi nawet za pieniądze. Jak ja mogłam się na to zgodzić?

– Serio? – pytam, marszcząc nos. Nie mogę tego na siebie włożyć. Może na Beth to dobrze leży, ale ja będę wyglądać jak czterolatka w drodze do kościoła.

– Serio – potwierdza Beth.

Sprawdzam metkę.

– Jaki to rozmiar? – Jeszcze próbuję się wymigać.

– Trzydzieści osiem. Nie martw się, to ten, co trzeba. Brytyjska dziesiątka, obie nosimy ten sam.

Wzdycham. Wciągam sukienkę, przegrzebując się rękami przez warstwy halek: trzepoczę się, jakbym tonęła w tiulu.

– Noż do chuja wafla, mogłabyś mi chociaż powiedzieć, o co tu chodzi. I co jest grane z tymi siniakami. Wciąż nie powiedziałaś o siniakach.

Beth przewraca oczami.

– Powiedziałam. Wczoraj, zapomniłaś? Spadłam z drabiny w ogrodzie.

– Dwa razy?

– Co? O co ci chodzi, jakie dwa razy?

– No, ten jest nowy. – Dźgam ją palcem w ramię. – Wczoraj go nie było.

– Ała! – piszczy, odsuwając się ode mnie. – Nie bądź głupia. Tylko raz spadłam.

Pociera ramię w miejscu, gdzie ją przycisnęłam, i posyła mi wściekle

spojrzenie.

– No cóż, obie wiemy, że walisz ściemę. – Wiem, kiedy kłamię. Nie jest w tym zbyt dobra. – Słyszałam cię wczoraj w nocy. Ryczałaś.

– Daj już spokój, okej?

Beth się odwraca. Wyciąga zmywacz do paznokci z szuflady toaletki. Podaje mi buteleczkę i trochę wacików. Chyba nic mi nie powie. Może naprawdę spadła z tej drabiny? Pewnie zbierała organiczne kumkwaty czy coś w tym rodzaju. Żeby zrobić bezcukrowy dżem z kumkwatów i quinoi. Może już miała tego siniaka w amfiteatrze, a mi odbija? Może rzeczywiście to Ernie tak wył w nocy.

– Masz ten, eee, zielony? – pyta, patrząc na moje paznokcie. Na jej ładnej buzi maluje się czysta zgroza. Beth nigdy nie malowała swoich na inny kolor niż pudrowy róż. Zaraz dostanie zapaści.

– Jasne, proszę bardzo – mówię, sięgając do torebki. Wyciągam lakier i rzucam jej na kolana.

– Pomalujesz mi, Alvie? Nie umiem sama... – miauczy Beth.

– Nie, zrób to sama. Lepiej, żeby wyglądał trochę niechlujnie. Będzie bardziej autentycznie.

Beth bierze buteleczkę w dwa palce, jakby gryzła.

– Więc dlaczego wczoraj płakałaś? – nie odpuszczam.

– Kto płakał? Ja?

– Wczoraj w nocy – upieram się.

– To Ernie płakał. Chyba miał kolkę.

– Kolkę? – Jasne, na pewno. Brzmiało, jakby kogoś torturowali.

Pocieram paznokcie wacikiem, aż cała neonowa zieleń znika. Moje nozdrza wypełnia cierpki smród nawilżającego zmywacza do paznokci, bez acetonu i z witaminą E. Potem siadamy i patrzymy, jak Beth schną paznokcie. To jak patrzeć na schnącą farbę, tylko jeszcze nudniejsze, bo

jest tu Beth.

– Ciekawy kolor – mówi, poruszając palcami. – A teraz musimy sobie zrobić dokładnie takie same fryzury – mówi, zmuszając się do uśmiechu.

Beth staje przed lustrem z suszarką i lokówką. Przyglądam się, jak odprawia jakieś czary i zmienia się w Barbie z Malibu. Blond loki spływają jej po plecach luźnymi falami. Taka idealnie wyważona mieszanka seksownego bałaganu wymaga godzin pracy i długich dni pielęgnacji w najlepszych salonach; to czysta doskonałość. Myślę o swoich przetłuszczonych strąkach i dziesięciocentymetrowych odrostach.

– To nie zadziała – mówię. – Moje włosy są beznadziejne.

Beth przerywa układanie własnej fryzury i marszczy czoło. Rozpuszczam włosy i pozwalam, żeby opadły mi na ramiona. Moja siostra przygląda się jednemu mysiemu kosmykowi: zwisa wiotko spomiędzy jej wymanikiurowanych palców.

– Masz rozdwojone końcówki – mówi przerażona. – Zadzwońię do swojej stylistki. Powinna dać radę wpaść i coś z tym zrobić.

Beth na wszystko ma odpowiedź.

Wyciąga komórkę z torebki i zaczyna dźgać ekran palcem. Ja w tym czasie siadam na łóżku i oglądam wystawkę perfum i rozmaitych eliksirów na toaletce Beth. To jest prawdziwa Kraina Czarów: Wypij mnie. Zjedz mnie. Rozsmaruj mnie na całym nagim ciele. Buteleczki wyglądają jak małe dzieła sztuki, jak maciupęńkie rzeźby ze szkła i porcelany. Zastanawiam się, jakie cuda alchemii się w nich kryją. Myślę o na wpół opróżnionej butelce Clean & Clear, którą zostawiłam na zlewie w mieszkaniu oblechów. Super, teraz pewnie mnie wysypie. Właśnie tego mi trzeba. Założę się, że Beth nigdy nie ma pryszczycy.

– Nic z tego – słyszę jej głos za plecami. – Do wtorku ma pełny kalendarz. Będziemy musiały wymyślić coś innego.

Mam fuksa. Może Beth zmieni zdanie? To nie ma prawa się udać.

Beth otwiera szufladę w mahoniowym kredensie i zaczyna przekopywać się przez stosy bielizny: różowy jedwab, kryształki, wymyślne nieskazitelnie białe koronki. Dostrzegam nawet parę puchatych różowych kajdanek, nadal z metką – widać, że nigdy ich nie używała. Może to ironiczny prezent z weekendu panińskiego w Puerto Banús? Ciekawe, czy jej przyjaciółki przypięły jej wielką błyszczącą odznakę przyszłej panny młodej i kazały pić piña colady przez słomkę w kształcie penisa? Ja bym tak zrobiła, gdybym była zaproszona. Pewnie dlatego nie byłam zaproszona.

– Znalazłam! – oznajmia, wyciągając przemysłowej wytrzymałości stanik.
– Mój wonderbra. Jak go włożysz, nikt nie zwróci uwagi na twoje włosy.

Widzę w tym pewną logikę. Wyplątuje się z kiecki i zapinam stanik. Pierwszy raz w życiu mam prawdziwy dekolt. Wygląda niewiarygodnie. Czuję się tak zajebiście seksownie, że mogłabym tańczyć na scenie za pieniądze, podbić Moulin Rouge albo Crazy Horse. Oczy wylatują mi z orbit i toczą się po podłodze. Aż mi żal Ambrogia.

– A co z Ambrogiem? – pytam, gapiąc się na swoje cycki w lustrze. – Nie sądzisz, że on zauważy?

Na pewno zauważy moje cycki, akurat co do tego nie ma wątpliwości.

– Opaska, szczotka. Trzymaj. – Podaje mi suszarkę. – Zwiąż sobie tak...

Zbiera mi włosy w kucyk, a potem zawija w węzeł. Ciągnie, ściska, szarpie.

– Ała! Zostaw. Sama sobie zrobię – mówię, odsuwając się od niej. Ciągnę suszarkę na swoją stronę lustra. Tak łatwo byłoby udusić ją kablem; mogłabym owinąć go jej wokół szyi i skończyć z nią w niecałe dwie minuty. Powinnam to zrobić? Beth upina sobie włosy dokładnie tak samo jak ja. Kiedy są tak związane, nie widać moich odrostów. Naprawdę wyglądają zupełnie jak u Beth.

– Czekaj – zatrzymuje mnie. – Jeszcze nie skończyłam.

Wyciska trochę Crème de la Mer i wmasowuje mi w twarz i szyję. Potem nakłada podkład Diorskin maleńką gąbką. Następnie wyciąga puder od Chanel i gigantyczny pędzel. Jej twarz wyraża głęboką koncentrację. To musi być trudne zadanie.

– Rozprowadź to sobie po całej twarzy i décolletage’u – nakazuje, podając mi puder. To chyba po prostu „dekolt” po francusku. Jakby nie mogła normalnie powiedzieć. Rozciera mi brązowy cień na powiekach i otwiera maskarę dodającą objętości: They’re Real Benefitu w odcieniu „Najczarniejsza czerń”. Jakby zwykła czerń nie była wystarczająco czarna. Łzawią mi oczy, kiedy Beth zaczyna dziabnąć mi rzęsy szczoteczką. Potem wyjmuję z kosmetyczki błyszczący Juicy Tube od Lancôme i wyciska mi na rozchylone wargi. Pachnie obrzydliwie słodko; smakuje jak karmel. Na koniec Beth podaje mi buteleczkę perfum, ozdobioną małą srebrną kokardką: Miss Dior Chérie.

– Spryskaj się tym – rozkazuje. – Tylko nie szalej. To mój ostatni flakon. Wyszły ze sprzedaży w dwa tysiące jedenastym.

Rozpylam perfumy na szyję; paczula i pomarańcze. Jasna cholera, teraz nawet pachnę jak Beth.

– I jeszcze to – dodaje, ściągając zegarek (Omega Ladymatic, cyferblat z macicy perłowej, z maciupkami diamencikami zamiast godzin) i pierścioneł zaręczynowy, na którego widok aż robi mi się słabo. Ta błyskotka jest warta więcej niż PKB kraju rozwijającego się. Pragnę go. Dobrze na mnie wygląda. O, w dupę jeża, jak ja go chcę.

– I kolczyki, Ambrogio kazał je zrobić na specjalne zamówienie, kiedy urodziłam Ernesta.

Podaje mi parę diamentowych kolczyków: ostatni szczegół. Są w kształcie łezki i wyglądają na bardzo drogie. Gdybym je sprzedała, mogłabym za nie

kupić mieszkanie w Archway. Nie chcę wiedzieć, co Beth by mi zrobiła, gdybym któryś zgubiła. Przygląda mi się, kiedy je zakładam.

Znów wciągam na siebie sukienkę i jeszcze raz stajemy ramię w ramię przed lustrem. Tym razem ja wyglądam jak Beth, a Beth wygląda jak ja. Dokonało się, transformacja zakończyła się sukcesem. Nawet ja jestem zaskoczona. Poruszam ręką i macham sobie przed nosem, żeby się upewnić, która to ja. Czyli to jednak się dzieje; to naprawdę się dzieje. Boże kochany, jak ona mnie wpienia. Na szczęście to zajmie tylko kilka godzin...

– Twoja torebka – mówi wesoło, ale w jej głosie jest więcej napięcia niż jej zwykłego świergotu. Wskazuje na nasze torebki, leżące na łóżku. Dlaczego czuję się jak marionetka? Beth pociąga za wszystkie sznurki. Moje życie rozgrywa się przed moimi oczami, jakbym tańczyła na scenie, jakby wszystkie moje kończyny były kontrolowane przez niewidzialne żyłki.

– Beth – zaczynam jeszcze raz, ale już wiem, że na próżno. – Naprawdę nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Alvie – ucina ostro Beth, posyłając mi przeszywające spojrzenie. – Może pozwól, żebym to ja podejmowała decyzje, okej? Obie wiemy, kto ma lepszą historię osiągnięć...

– A to co niby miało znaczyć? – pytam, chociaż doskonale wiem. Popatrz na mnie i popatrz na siebie. Zobacz, jaka jestem bogata, szczęśliwa i spełniona, a potem przyjrzyj się dobrze, jakie masz chujowe życie. TY SZMATO! ZDZIRO! KROWO! Ręce mi się trzęsą. Mogłabym ją walnąć w nos. Albo dać jej w twarz. Albo wypchnąć przez okno. Gdybym rozwaliła to lustro, mogłabym poderżnąć jej gardło ostrym odłamkiem. Próbuję to kontrolować. Zwykle jestem w stanie to kontrolować.

– Och, nic – prycha Beth.

Zaciskam szczęki.

Moja bliźniaczka wyrzuca na łóżko zawartość swojej torebki: portfel

Mulberry z mięciutkiej brzoskwiniowej skóry, ogromne okulary Gucci, jeszcze jeden karmelowy błyszczak. Podnoszę jej śliczną torbę od Hermèsa i gładzę materiał. Podaję jej swój wysłużony portfel z Primarka, paczkę marlboro i wiśniowy balsam do ust. Na dnie torby Beth dostrzega fioletową szminkę – mój znak rozpoznawczy. Miałam ją na ustach wczoraj, kiedy Ambrogio przyjechał po mnie na lotnisko.

– Ooch, mogę trochę? – Ożywia się. – Proszę?

Podaję jej szminkę. Ściąga nasadkę i wykręca sztyft, zdejmując z końcówki jakieś paprochy i okruszek.

– Nie miałaś nic ostatnio, co? Żadnych wyprysków czy wrzodów? – upewnia się, obracając szminkę w palcach, żeby dobrze się jej przyjrzeć.

– Sugerujesz, że mogłabym mieć opryszczkę? Albo jakąś chorobę weneryczną na twarzy?

– Może...

– Pierdol się.

Beth wzdycha i nakłada kolor na usta. Wydyma wargi i patrzy sobie głęboko w oczy. Jasna cholera, ten fiolet lepiej na niej wygląda.

– Musimy się zamienić dokumentami. Tak na wszelki wypadek.

Daje mi swój paszport, więc ja daję jej swój. To już chyba lekka przesada. Po co ona aż tak się zabezpiecza?

– One też mogą ci być potrzebne – mówi, nie podnosząc wzroku. Rzuca mi klucze do willi.

– Klucze? Wątpię. Nigdzie się nie wybieram. No i przecież wychodzisz tylko na...

– Tak na wszelki wypadek.

Wreszcie skończone. Beth jest gotowa do wyjścia.

– Pamiętaj, teraz jesteś Beth – szepcze mi do ucha.

– Przecież wiem. – Ona myśli, że jestem upośledzona.

– I pamiętaj, co ci powiedziałam. – Beth patrzy mi w oczy z żelazną determinacją i ściska mocno za ramię. – Powiesz Ambrogiovi, że idziesz poczytać w ogrodzie. Moja powieść leży na stoliku przy łóżku. Jestem mniej więcej w połowie... Postaraj się nie uprawiać z nim seksu.

– Co? To twój mąż. Nawet bym nie...

– I jeszcze jedno, skarbie, jestem ci bardzo, bardzo wdzięczna. – Beth bierze mnie za rękę, a potem chwyta w objęcia. Odsuwam się prędko.

– Spoko, w porządku. Ty zrobiłabyś dla mnie to samo. Leć.

– Przygotuję Erniego – mówi i zatrzymuje się na chwilę. – Kocham cię, Alvie.

Zamieram w pół ruchu. Ostatni raz słyszałam te słowa z ust Ambrogia, osiem lat temu: „Kurwa, jak ja cię kocham”. Zaciskam mocno powieki, żeby oczy nie zaszyły mi łzami. Wciągam głęboko powietrze przez nos i powoli, powoli wypuszczam przez usta. Nieważne. Boże, jaka z niej manipulatorka. Powie wszystko, żebym tylko była miła, nie rzuciła się na jej męża i nie ściągnęła na nią kłopotów. Albo nie obciągnęła jej mężowi. Jesteś dla mnie jak otwarta książka, Elizabeth Caruso. Nie to debilne do porzygu czytadło, które napisałaś, tylko taka normalna książka z prawdziwą fabułą, którą łatwo się czyta; stąd moje porównanie.

– Naprawdę cię kocham – powtarza.

Chyba lekko załamuje się jej głos. Uśmiecha się, ale powstrzymuje łzy, prawdziwe łzy. Widzę je. Na sekundę ogarnia mnie panika – mdłości wzbierają mi w żołądku – czy ona zostawia mnie samą z brutalnym damskim bokserem? Wyląduję na intensywnej terapii? Albo jeszcze gorzej, w kostnicy? Gdzie ona w ogóle idzie, do jasnej ciasnej? Ale przecież obiecała, że wróci. Jeszcze nie wyszła, a ja już chcę, żeby wróciła.

– Buty? – mówię.

Beth wzdycha. Podaje mi swoje lśniące złote szpilki. Ja wręczam jej

szpilki baby od Vuittona. Siadam na łóżku i przymierzam, przewlekam delikatne paseczki przez maleńkie złote zapinki, poruszam palcami u stóp między klejnotami. Leżą idealnie. Wyglądają niebiańsko. Z zachwytem przyglądam się własnym stopom. Błyszczą, migocą. Mam stopy modelki Victoria's Secret. Beth odwraca się na pięcie i wychodzi z sypialni.

– To nie zadziała – wołam za nią po raz ostatni, żeby się upewnić, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

Nie jestem zbyt dobrą aktorką. Ostatni raz udawałam kogoś innego podczas przedszkolnych jasełek. Byłam tylną częścią osiołka i wypadłam niespecjalnie przekonująco, łagodnie rzecz ujmując. Nie żeby ktokolwiek patrzył na mnie. Beth w roli Dziewicy Maryi przyćmiła całą resztę obsady. Dużo, dużo później, kiedy miałyśmy jakieś jedenaście albo dwanaście lat, a może trzynaście, znalazłyśmy kasetę z jasełek, nagraną przez mamę.

– Chodź, obejrzymy! – powiedziała Beth, po czym starła z kasety kurz i wetknęła ją do odtwarzacza. Godzina i piętnaście minut zbliżeń na Beth; osiołka ani widu, ani słyhu.

Rozdział trzynasty

CZEKAM W SWOIM POKOJU i wyglądam przez okno, obgryzając paznokcie. Ambrogio poszedł popływać w basenie, a teraz widzę, jak opala się na patio: czarne slipy, głęboka opalenizna, sześciopak jak u action mana.

Może tłucze swoją żonę, ale i tak jest zajebiście seksowny.

Widzę Beth, to znaczy Alvie, to znaczy Beth, jak wychodzi na patio z Erniem w wózku. Podnosi głowę i patrzy w okno, prosto na mnie. Nawet stąd słyszę, co myśli, głośno i wyraźnie: „Alvie, bierz dupę w troki i złaż tu natychmiast. Ruchy!”. Chyba czas się zbierać. Ambrogio siada i przeczesuje mokre włosy palcami. To jakiś obłąd. Chyba nie dam rady. On zauważy... Może nie natychmiast, ale prędzej czy później dziś zauważy. Nie ma szans, żeby pomylił mnie z własną żoną. Będę musiała mu po prostu powiedzieć, że to wszystko był pomysł Beth. Ona potrafi być czasami bardzo przekonująca. Mam ochotę rzucić się pod prysznic i zetrzeć z siebie makijaż; czuję się jak drag queen. Ale potem myślę o Beth, o „kocham cię, Alvie”. Myślę o butach. Do kurwy nędzy. Schodzę na parter. Będzie musiała mi się nieźle odwdzięczyć... może jeszcze torebka do butów? A, i jeszcze chcę ten diamentowy naszyjnik.

Powietrze jest suche i nieruchome. Słońce tak praży, jakby ta kula ognia wisiała kilka metrów nad nami. Wszędzie wokół jebie plumerią.

– No cześć – mówię, o wiele za głośno.

Oboje podnoszą głowy i gapią się na mnie. Zamieram. Rozciągam wyszpachlowaną makijażem twarz w sztucznym uśmiechu. Ambrogio odwzajemnia uśmiech i odwraca się do mojej siostry.

– Alvie, nieźle się opaliłaś od wczoraj – śmieje się. Patrzy na Beth. To będzie skomplikowane.

– Trochę oszukałam – chichocze Beth. – To St. Tropez. Nie mogłam znieść, że jestem przy niej taka blada. – Wskazuje na mnie głową. Jestem Beth.

– Cóż, obie świetnie wyglądacie – zapewnia Ambrogio, patrząc na nas obie z szerokim uśmiechem. Jego wzrok spoczywa na moim stuningowanym dekolcie; a więc tak się czuje Eva Herzigová. Mam ochotę machać dłonią i szczebiotać „Hej, chłopcy”, posyłać oczko i całuski, ale chyba nie wypada, biorąc pod uwagę kontekst całej sytuacji. Kurde, ale chcę sobie strzelić selfie. Możliwe, że już nigdy nie będę tak dobrze wyglądać.

Nie mam pojęcia, co zrobić czy powiedzieć. Co powiedziałyby Beth? Po prostu stoję tak i się szczerzę, jak statystka w jakimś debilnym filmie, jak *Głupi i głupszy*, albo coś takiego.

Beth patrzy na mnie. Łał, rzeczywiście wygląda jak ja: szminka, sukienka, zielony lakier na paznokciach. Ja w dobry dzień, czyli nadal trochę badziewnie.

– Beth – mówi (to ja... tak?) – właśnie mówiłam Ambrogiovi, że chyba przejdę się do Taorminy, trochę sobie pozwiedzam. Pewnie wrócę dopiero wieczorem.

– Aha. – Kiwam głową.

Proszę, nie zostawiaj mnie. Błagam, nie idź. Ambrogio rzuci się na mnie, kiedy tylko odwrócisz się plecami.

– Chciałabym zobaczyć willę D. H. Lawrence’a i ten sławny stary kościół na placu. Fajnie będzie trochę poodkrywać miasto... zgubić się... rozumiesz, nie?

Beth na mnie patrzy.

Ambrogio na mnie patrzy.

– Jasne, to brzmi... to brzmi dobrze – mówię w końcu. Miło i lekko.

Czy to był głos Beth?

– Nadal nie masz nic przeciwko, żebym zabrała ze sobą Erniego? Żeby trochę poznał się z ciocią? Strasznie bym chciała pobawić się jedno popołudnie w mamę – ćwierka Beth. Ernesto wyciąga rączkę z wózka i chwyta jej palec w tłusciutką piąstkę.

– Oczywiście – odpowiadam.

Zaczynam się pocić. Chyba robi się jeszcze goręcej; lądymatic Beth twierdzi, że właśnie minęło południe.

– Więc zostajemy tylko we dwoje? – zagaduje Ambrogio i zeskakuje z leżaka. Staje za mną i obejmuje mnie w talii. Patrzę w dół, na jego silne przedramiona – brązowe, umięśnione – które nagle mnie otoczyły. Jego duże dłonie trzymają mnie w żelaznym uścisku. – Nareszcie! – dodaje zadowolony. – Możesz spędzić trochę czasu sam na sam ze swoim przystojnym mężem.

Całuję mnie w szyję, tam, gdzie spryskałam się perfumami. Czuję, jak unoszą mi się włoski na karku. Cała sztywnieję. Nie widzę twarzy Ambrogia, ale jestem pewna, że właśnie puścił oko do Beth. Gapię się na swoją bliźniaczkę, oczy mam jak spodki z niedowierzania. Beth się uśmiecha, ale chyba nieco wymuszenie. Czyżby była zazdrosna? O mnie? No, to będzie pierwszy raz.

– Tak, nacieszcie się trochę sobą. Miłego dnia.

Co ona wygaduje? Poruszam ustami w bezgłośnym: „nie!”. On zacznie się do mnie kleić. Wiem o tym. Małe dzieci to cyjanek dla życia seksualnego; Beth zabiera Erniego, więc dla Ambrogia otwiera się okienko okazji. Ten facet zaraz się na mnie rzuci. Jeszcze do mnie nie dotarło, co się właściwie dzieje, a Beth już odwróciła się na pięcie i wychodzi przez bramę. Co ona sobie wyobraża, że co tu się będzie działo? Co może być aż tak ważne, żeby

chciała wszystko ryzykować? Dłoń Ambrogia ześlizguje się po moim biodrze w stronę tyłka i zaczynam panikować.

– Pójdę z tobą, pomogę ci z Erniem – wołam, wykręcam się z uścisku Ambrogia i biegnę w jej stronę. Cóż, mówię „biegnę”, ale to bardziej truchcik. Piętnastocentymetrowe obcasy nie zostały stworzone do sprintu. Może do siedzenia. Do siedzenia i sączenia Sex on the Beach. Szybko się poddam.

– Nie, nic się nie martw – odkrzykuje Beth przez ramię. – Poradzimy sobie sami, prawda, Ernie?

– Podwieźć cię do miasta, Alvina? – proponuje Ambrogio.

– Nie, dzięki – rozlega się jej głos. – To nie tak daleko.

Patrzymy, jak jej plecy znikają za rogiem.

– Wiesz przynajmniej, dokąd idziesz? Zgubisz się! – śmieje się jej mąż.

– Po to jest Google Maps!

Ambrogio patrzy na mnie i szepcze prawie niesłyszalnie:

– Jesteś pewna, że Erniemu nic nie będzie? Twoja siostra to raczej nie Mary Poppins.

Muszę zaprząć absolutnie wszystkie siły, żeby się powstrzymać i nie wrzasnąć: „Nie!”.

– Nic mu się nie stanie – mówię.

I tak po prostu Beth znika. Gapię się w punkt na patio, gdzie przed chwilą stała. Teraz naprawdę się pocę. Wyobrażam sobie, że sztuczna opalenizna spływa mi beczelnymi strumyczkami po nogach. Sprawdzam, ale nic takiego się nie dzieje. Krzywię się i ruszam z powrotem w stronę willi.

– Ej, dokąd idziesz?

– Do łazienki – mówię, nie zatrzymując się.

– Okej, to wróć, jak skończysz – woła. – Mam pomysł.

* * *

Poważnie, nie jestem w stanie czytać tego gówna. Rzucam książkę na stół i odchylam się na krzesło. Ta powieść, do której Beth kazała mi się zabrać, to jakieś totalne badziewie. I co ja mam teraz zrobić? Ambrogia oczywiście unikam.

Ten facet to chodząca reklama viagry. Poważna odpowiedzialność. W innych okolicznościach wykorzystałabym szansę, żeby się na niego rzucić, ale nie w taki sposób. Nie kiedy jestem Beth. To po prostu nie jest to samo.

Rozglądam się po bibliotece Beth: rzędy półek zastawionych po brzegi książkami. Połowa jest po włosku; te pewnie należą do Ambrogia. Machiavelli, Dante, Tomasi di Lampedusa. Druga połowa jest po angielsku, ale to niekoniecznie dobre wieści. Wszystko, co ma na grzbiecie tytuł wypisany różowymi zapętlonymi literami, od razu dyskwalifikuję jako przesłodzoną babską komerczę. Rzygać mi się chce od romansów; wątpię, żebym była targetem. Jeśli mam już czytać powieść, chcę, żeby była bardziej pokrecona niż boa dusiciel, i dwa razy bardziej agresywna. Musi mi zatrzymać serce i połknąć w całości. Obawiam się, że literatura na obcasach raczej mi tego nie zapewni. Ani ta babska szmira, którą wypociła Beth: *Obciągara i tampony* czy tam *Huragan miłości*.

Dostrzegam małą sekcję książek, które wyglądają dość obiecująco, ale kiedy zdejmuję jedną z półki, okazuje się, że to erotyki. Harlequiny, kostiumowe jebadełka. Miękkie świntuszenie o miłości. *Lord bez serca*, *Rzykowna narzeczona*, *Niepokorna lady Felsham*. Jak to może być erotyczne? Przecież nawet obrazków tam nie ma. Nie czaję. Co z nią jest nie tak? Beth ma najgorszy gust czytelniczy ze wszystkich ludzi, jakich znam. I ona twierdzi, że jest pisarką? Błagam. Kiedy byłyśmy młodsze, czytałyśmy sobie nawzajem: Enid Blyton, Roald Dahl, Beatrix Potter. Teraz wydaje mi się, że to było milion lat temu. Jak odległy sen. Ja chciałam czytać gotyckie horrory. Ona wolała mówiące zwierzątka i bale o północy.

Mogłabym zabić za egzemplarz któregoś z klasyków: *Lolite*, *Psychozę*, *Milczenie owiec*. Wycieram kurz z grzbietów jakichś starych brązowych książek, wciśniętych w kąty i zapomnianych. Uwielbiam zapach starego papieru. Tak łatwo byłoby spalić tę chatę do fundamentów. Tych książek od bardzo, bardzo dawna nikt nie czytał. Szekspir. *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*, *Wesołe kumoszki z Windsoru*, *Opowieść zimowa*, *Makbet*. Wyciągam szkocką sztukę i otwieram na przypadkowej stronie. Lady Makbet:

Przybądźcie, o wy duchy, karmiciele

*Zabójczych myśli, z płci mej mię wyzujcie
I napełnijcie mię od stóp do głowy
Nieubłaganym okrucieństwem! Zgęście
Krew w moich żyłach: zatamujcie wszelki
W mym łonie przystęp wyrzutom sumienia,
By żaden poszept natury nie zdołał
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać*

Ni stanąć w poprzek między mną a skutkiem!

*Zbliżcie się do mych piersi, przeistoczcie
W żółć moje mleko, o wy, śmierć niosące
Potęgi, które niewidzialnie krążąc
Na szkodę świata czatujecie!* ¹

Ekstra. Podoba mi się jej styl. Nie wiem tylko, po co tak marudzi z tymi „wyrzutami sumienia”. Lady Makbet to fenomenalna postać. Ta kobieta ma jaja; nie boi się sięgnąć po to, czego chce, tak samo jak Hillary Clinton. To rzadkie w dzisiejszych czasach. Nie mogę jej nie podziwiać.

Zamykam książkę i odstawiam na półkę. Tuż obok stoi *Otello*: moja

ulubiona sztuka. Otwieram bliżej końca:

Parę słów tylko. Oddałem Wenecji

*Pewne przysługi, są one wiadome;
Nie mówmy o tym. W doniesieniu, które
O tych nieszczęsnych sprawach prześlesz, panie,
Wystaw mię, proszę, takim, jakim jestem;
Nie ujmij ani nie dodaj niczego.
Przyjdzie ci przeto mówić o człowieku,
Co nieroztropnie, ale bardzo kochał;
Co nie był skory do podejrzeń, ale
Raz je powziąwszy, nie był siebie panem ².*

Boże drogi, Otello, weź się uspokój. Co za palant. „Co nieroztropnie, ale bardzo kochał”. Bla, bla, bla: pieprzenie w bambus. Facet po prostu łał żonę, cała filozofia. Rozkapryszony, zazdrosny zwyrol. Zasługiwał na śmierć... Jago jest najlepszą postacią w całej sztuce, bez dwóch zdań. On był sprytny. Robił wszystkich w konia. Co za charyzma! To on powinien być tytułową postacią. Dlaczego sztuka nie jest zatytułowana *Jago*? Szekspir naprawdę trochę tu dał dupy.

Upuszczam książkę na stół. I tak jestem już dość zestresowana; nie potrzebuję jeszcze czytać tragedii. Zamówię sobie rano parę tomików poezji na Amazonie, coś przyjemnego, jak Siegfried Sassoon.

- Beth! Beth? – Z korytarza rozlega się głos Ambrogia.
- Beth? – Szlag. Zbliża się.
- Beth? – Jeszcze bliżej.

Odsuwam krzesło – nogi skrzypią głośno na kafelkowej posadzce – i chowam się pod stołem. Słyszę jego kroki tuż przy drzwiach. Podsuwam

krzesło do siebie, powoli, cichutko; zasłania widok. Wstrzymuję oddech. Ambrogio otwiera drzwi.

– Szekspir? – mruczy do siebie. Pewnie zauważył *Otella* na stole. Ups. Muszę pamiętać, żeby zgrywać trochę głupszą, jeśli mam go nabrać, że jestem Beth...

Widzę jego stopy i dolną część kostek. Włoskie buty. Słyszę, jak oddycha. Widzi mnie? W końcu się odwraca i wychodzi. Nasłuchuję jego kroków na korytarzu. To jakieś kpiny. Ile jeszcze mam tu siedzieć? Już czuję, że łapie mnie skurcz w szyi. Moja siostra naprawdę sporo mi zawdzięcza. Dokąd ona polazła?

Wypełzam spod stołu, rozcierając obolały kark. Opadam na krzesło. Blisko było. Prawie mnie dopadł. A co by było, gdyby mnie znalazł? Różnilibyśmy się tu i teraz, na tym osiemnastowiecznym stole z orzechowego drewna. Boże, jak ja bym chciała go przelecieć. Nawet jego kostki wyglądały seksownie. Ale nie mogę zapomnieć, co powiedziała Beth: „Tamtej nocy w Oksfordzie on myślał, że jesteś mną”. A jeśli to prawda? Co, jeżeli to naprawdę był przypadek? Nie chcę przespać się z Ambrogiem jako Beth. Chcę go uwieść i bzyknąć jako ja. Odzyskam go. To będzie ostateczne zwycięstwo. Może jutro, kiedy znów będę sobą.

Rozdział czternasty

GDZIE ONA SIĘ PODZIEWA, do chuja pana? Już po dziesiątej. Jaskółki śmigają po niebie i nurkują w powietrzu przez ogród. Muskają powierzchnię wody w basenie i znów odlatują, jak ciche widma. Szkoda, że nie mam wiatrówki. Albo bazooki. Może kałach byłby najlepszy? Siedzę na leżaku na szalonych kafelkach z lawy, patrzę, jak zapada zmrok, i aż mnie trzęsie ze złości. Pociągam łyk z butelki Absoluta, którą skitrałam sobie pod leżakiem, i skubię skórki na kciukach, aż zaczynają krwawić. Wszystko się we mnie gotuje, pieni, bulgocze. Jestem napięta jak kobra. Kleję się od potu. Minęło dziesięć godzin. Jak ją zobaczę, to ją zajebię. I czy to dziecko nie powinno już iść spać? To nieodpowiedzialne, normalnie nieodpowiedzialne. Kurwa, co za patologia.

Wschodzi księżyc w pełni, a ja czuję się trochę jak te wariatki, na które księżyc sprowadzał szaleństwo. Ciekawe, czy to prawda. „To księżyc temu winien; on w tych czasach bardziej niż zwykle zbliżył się do ziemi, stąd szła napada ludzi”³. Gwiazdy powoli zapalają się na niebie, jedna po drugiej. Są ich miliony, tryliony. Jakby nie miały się nigdy skończyć. Rzygać mi się już chce od tego czekania. Dotąd udawało mi się unikać Ambrogia, ale nie mogę przed nim uciekać w nieskończoność. Słyszę skrzypienie drzwi ogrodowych i odgłos kroków na patio. Cały czas gapię się na bramę, więc jestem pewna, że to nie Beth. Albo on, albo Emilia.

– Beth? – rozlega się męski głos. – Tu jesteś, zastanawiałem się, gdzie zniknęłaś. Dlaczego tak siedzisz tutaj sama po ciemku?

– Och, hej – odpowiadam, siląc się na lekki ton. Jestem Elizabeth. Jestem

Beth. On przysiadła na leżaku i podsuwa go w moją stronę. Zapach feromonów i Armani Code Black. Na sto procent Ambrogio.

– Przeszedł ci już ból głowy? Aspiryna pomogła? – Przesuwa ciepłą dłoń wzdłuż mojego uda i zatrzymuje się na kolanie. Boże jedyny, on jest sexy nawet w ciemności, kiedy go nie widzę. Zamykam oczy i z trudem przełykam ślinę.

– Tak, dziękuję. O wiele lepiej – mówię. Mój głos jest cichy i odległy, jakby ktoś mnie dusił gdzieś daleko stąd. Gdzie ona jest. Do jasnej anielki. On się zorientuje.

– Twoja siostra niedługo wróci z Erniem, a ja stęskniłem się za moją piękną żoną – mruczy, po czym nachyla się bliżej i przytula policzek, szorstki od świeżego zarostu, do mojej twarzy. Ambrogio, Ambrogio, Ambrogio, Ambrogio: nawet jego imię brzmi jak manna z nieba. Wdycham zapach jego wody po goleniu. Już go pragnę. Cokolwiek się wydarzy, nie pocałuję go. Beth może wrócić w każdej chwili.

– Tak – szepczę cicho, bez tchu.

Czuję jego wargi na ustach i już, Ambrogio mnie całuje. Przyciąga moją głowę ku swojej twarzy i pogłębia pocałunek, jego język wślizguje mi się do ust i – nic na to nie poradzę – ja też go całuję. Smakuje jak espresso i papierosy. Przeczesuję palcami gęste, ciepłe włosy na jego karku i jęczę – pragnę go. Kurwa, jaką ja mam na niego ochotę. On jest wszystkim, czego w życiu chcę. Od tego ostatniego razu, mojego pierwszego, naszego jedynego. (Te trzysta przygód na jedną noc nic nie znaczyło). Czuję jego erekcję, nabrzmiewającą pod rozporkiem. Po skórze chodzi mi prąd, uda same rozsuwają się na boki. Jego dłoń przesuwana się wewnątrz mojego uda, palce ocierają się o majtki; kurwa! To jak elektryczność. Moja cipka jest cała mokra i aż pulsuje. On nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jestem; mogłabym go mieć tu i teraz. Byłoby obłędnie, zajebiście orgazmicznie. Niczego innego

nie chcę, tylko zedrzeć z niego ubranie, ale wtedy sobie przypominam. Nie w ten sposób, nie jako Beth. Odsuwam się.

– Nie mogę. Przykro mi – mówię, wstając. – Alvie może wrócić w każdej chwili. Nie chcę, żeby nas przyłapała. – Doskonale, Beth powiedziałaaby dokładnie coś w tym stylu. Cnotka-niewydymka.

Ambrogio siada na leżaku i przekrzywia głowę. Nawet po ciemku widzę, że jest wkurzony.

– A gdzie tak właściwie ona się podziewa? – pyta. – Późno już. Ernie powinien chyba być w łóżku o tej porze?

– Na pewno niedługo wróci. Zadzwoń do niej – uspokajam. Bądź spokojna. Na luzie. Jestem niczym Etna, w każdej chwili gotowa wybuchnąć. – Muszę... – zaczynam. Ale nie wiem, jak dokończyć to zdanie. Co muszę? Wydrzeć się? Tak, muszę się wydrzeć. Ona nie powinna się tak spóźniać. Ja to wiem, Ambrogio to wie. A jeśli coś jej się stało? Mam kurewską nadzieję, że nie. Nie zostało mi już zbyt wiele cierpliwości.

– Wybacz, kotku – dodaję nagle, przypominając sobie, kogo zgrywam. Zanurzam palce w jego włosach i masuję mu czubek głowy, jakby był kotem. Włosy ma jedwabiste i miękkie. – Na pewno już wracają.

Ambrogio kiwa głową, a ja całuję go w czoło, smakuję słoną skórę. Dobry kotek.

– Będę w środku – mówi, wstając. Nie uśmiecha się; po prostu odwraca się i odchodzi. Patrę, jak jego plecy znikają mi z zasięgu wzroku. Znowu.

Super, teraz Ambrogio ma focha... Ale tak naprawdę nie za powodu mnie, tylko z Beth. Czekam, aż wejdzie do willi i zamknie za sobą drzwi, po czym opadam na leżak i wrzeszczę w duchu.

Od trzech godzin nic innego nie robię, tylko wydzwaniam do Beth i w kółko słucham jej poczty głosowej. „Hej, tu Elizabeth Caruso. Przykro mi, ale nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę, zostaw wiadomość”.

A potem się rozłączam i dzwonię jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, jak jakaś porąbana stalkerka. Ale ona ma wyłączony telefon. Nie mam pojęcia dlaczego. Ma nowego iPhone'a, więc na pewno nie padła jej bateria. Musiała go wyłączyć specjalnie. Co za sucz.

Chwytam flaszkę z Absolutem i gulgoczę łyk za łykiem. Ciepła. Alkohol pali mnie w gardle. Przełykam jeszcze trochę. I jeszcze. Aż do dna. Rzucam butelkę z powrotem na kafelki: szkło zgrzyta na betonie. Ogród wiruje wokół mnie, jakbym wpadła w wir, który wciąga mnie przez odpływ w zlewie. To o wiele lepsze uczucie, niż być trzeźwą.

Jeśli jeszcze chwilę tu posiedzę, to wybuchnę.

Ciszę przeszywa wysoki pisk; w uchu brzęczy mi komar, jak zawodzenie skrzypiec na najwyższej nucie. Uderzam się mocno w bok głowy. Żrą mnie żywcem. Nad basenem unoszą się całe chmury komarów. Czy na Sycylii mają malarię? Jesteśmy praktycznie w Afryce. Zeskakuję z leżaka i idę ku obrzydliwej ciemności. Tu, w Taorminie, panuje porządny mrok, a nie ten monochromatyczny odcień pomarańczowej szarości, która zalewa Londyn nocą. Tęsknię za zanieczyszczeniem świetlnym. Tyle tu tych zasranych gwiazd.

Znów próbuję zadzwonić do Beth, ale – oczywiście – wciąż ma wyłączony telefon. Co ja sobie myślałam? Ale ze mnie idiotka. Jak ja się wpakowałam w taki bajzel? Skopuję ze stóp buty Beth i zostawiam je pod leżakiem; już zaczynały mi się wrzynać w skórę. Oczywiście, Beth ma mniejsze stopy ode mnie. Szczuplejsze. Smuklejsze. Czuję się jak Anastazja albo Gryzelda, jedna z brzydkich przyrodnich sióstr Kopciuszka. Jak dynia zamieniona w karoce.

Idę na bosaka przez gryzącą trawę. Przeciskam się koło różanego krzaka; zahaczam sukienką o jakiś kolec. Ciągnę. Rozdziera się. I tak mi się nie podobała. Drzewa zagradzają mi drogę niczym złośliwe trupy; ich długie,

pokrzywione palce chwytają mnie za nagie ramiona. W co ta Beth sobie pogrywa? Nie powinnam była się na to zgadzać. Od samego początku wiedziałam, że popełniam błąd. Pajęczyna przykleja mi się do twarzy; coś prędko przemyka mi po szyi. Wrzeszczę, wykręcę się i trzępię się dłonią po plecach. Chyba schował mi się we włosach.

Dochodzę do drogi na końcu ogrodu. Nie bardzo wiem, dokąd zamierzam iść dalej. Biorę głęboki wdech – butwiejące liście – i odwracam się z powrotem w kierunku willi. Trzeba było się z nim przespać, kiedy miałam okazję. Beth na to zasługuje. To było to, moja jedyna szansa. Chciałam, kurwa, naprawdę chciałam, i Ambrogio też. Czułam to. On pragnął mnie. Moglibyśmy się teraz rznąć: nasze ciała splecione w jedno na leżaku, mąż Beth szepczący mi do ucha: „Kocham cię”. Byłoby super. Ale nie, zamiast tego łażę po krzakach i zachowuję się jak grzeczna dziewczynka, dokładnie tak, jak chciała Beth, bo oczywiście wszystko zawsze musi być tak, jak chce Beth. Marionetka. Kukielka. Szlag! Rozlega się ciche chrupnięcie. Coś twardego i ostrego, a potem coś oślizgłego wciska mi się pomiędzy palce u stóp. Właśnie włożyłam na ślimaka. Biegnę przez trawę, próbując wytrzeć stopę. Fuj! Fuj! Fuj!

Kiedy podnoszę głowę, jestem w ogrodzie Salvatorego. Włączają się światła i nagle jestem zupełnie oszołomiona; jak lis w reflektorach ciężarówki. Zamieram. Nie oddycham. Rozglądam się, poruszając wyłącznie oczami, ale lampy są automatyczne, zapalają się po prostu w odpowiedzi na ruch; nikogo tu nie ma. Podjazd jest pusty; Salvatore gdzieś pojechał. Znów mogę się poruszać. Mogę oddychać. Z chrzęstem przechodzę po żwirowej ścieżce i ruszam po podjeździe w stronę domu. Powoli. Ostrożnie. Jego willa nie jest tak obscenicznie wypasiona jak ta należąca do Beth, ale i tak robi wrażenie. Przyciskam dłonie do szyby i zaglądam do środka. Widzę hol wejściowy Salvatorego: współczesny, artystyczny. Wyeksponowana surowa

cegła, palmy w ceramicznych donicach, obrazy na ścianach...

I wtedy to widzę: posąg kobiety, która wygląda dokładnie tak jak ja. Jest naturalnych rozmiarów, cała z marmuru, i stoi na postumencie w holu wejściowym Salvatorego. Ma moją twarz, moje ciało, moją sylwetkę. Ale wtedy dociera do mnie, że to przecież nie ja, tylko Beth. Salvatore wyrzeźbił w marmurze moją siostrę. Albo ma bardzo płodną wyobraźnię, albo widział ją nago. Krągłość jej piersi, krzywizna bioder... jest doskonała. Jakbym patrzyła na nagą Beth, na Beth z kamienia. Nic dziwnego, że Ambrogio nie lubi jego rzeźb. Ciekawe, czy o tym wie. Mam ochotę wyciągnąć rękę przez szkło i dotknąć jej warg: byłyby chłodne, gładkie. Mam wrażenie, że zaraz przemówi, roześmieje się, zrobi jakiś ruch. To w chuj dziwne. On musi posuwać moją siostrę! Nie mogę w to uwierzyć. Na pewno nie Beth. To po prostu nie w jej stylu. Nie czaję.

Aż podskakuję, gdy nagle rozlega się warkot silnika. Światło reflektorów zalewa podjazd i zamieram. Jestem z kamienia, zupełnie jak ta rzeźba. Czy to Salvatore? Kto siedzi w samochodzie? Opony piszczą na podjeździe. Szlag. Co robić? Nie powinno mnie tu być. Waham się, po czym pędzę przed siebie i wpadam w krzaki dzielące ogród Salvatorego i Beth. Ostre gałęzie wbijają mi się w skórę. Kolce drapią mnie po plecach. I wtedy słyszę – kurwa, nareszcie – głos Beth: ochrypli, szorstki. Dziwnie brzmi; jest pijana? A potem odzywa się mężczyzna: Salvatore? Co oni mówią? Krzyczą? Kłócą się? Sprzecząją się o coś przy samochodzie. Wychwytyję kilka słów. Salvatore mówi: „walnięta”, a Beth: „moja siostra”. Ktoś trzaska drzwiami. Co tu się dzieje, do jasnej anielki? „Obiecałeś”, mówi Beth. Reszty nie słyszę. Kłócą się jeszcze przez kilka minut, aż motor znów ryczy i piszczą opony. Beemka jedzie ku mnie, pryskając żwirem na boki, tak blisko, że aż czuję zapach rozgrzanego silnika. Czuję jego moc, aż wydaje mi się, że ziemia drży. Kucam nisko za krzakiem; jeśli się nie poruszę, to mnie nie

zobaczy. Ale ja jego widzę.

Salvatore otwiera drzwi i wysiada z samochodu. Ma na sobie dżinsy i ciasno przylegającą czarną koszulę, opinającą mu się na szerokiej piersi i potężnych barach; wygląda jak niedźwiedź czy inne dzikie zwierzę. Jak bestia. Słyszę chrzęst jego kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Na co on czeka? Beth już sobie poszła. Rozlega się brzęk kluczy, Salvatore otwiera drzwi. Dopiero gdy się zamykają, przypominam sobie o oddychaniu.

Rozdział piętnasty

BETH! WRÓCIŁA. Muszę ją znaleźć. Przedzieram się przez krzaki i wpadam do ogrodu Beth, wrywając liście z włosów i jakąś gałązkę zza dekoltu. Materiał się rozdziera. Kiecka do wyrzucenia. Beth się wkurzy.

Ale to najmniejsze z moich zmartwień. Pędzę przez trawnik, potykam się pod gałęziami, śmigam między drzewami. Przystaję na chwilę, żeby złapać oddech, wciąż wiruje mi w głowie. Trawnik zwija się, rozwija, faluje. Po co ja wypiąłam całą tę wódkę? Terkotanie kółek i żwawe kroki. Rozpoznaję postać pchającą wózek: czarne na czarnym. Zerkam na willę Beth i widzę, że wszyscy śpią: nie pali się ani jedno światło.

– Pssst – wzywam ją szeptem. – Tutaj!

Sylwetka Beth się zatrzymuje, odwraca, rozgląda, ale coś mi nie gra. Nie idzie prosto. Kołysze się, potyka, niepewnie stawia kroki. Parkuje wózek przy leżakach i – jakoś, powoli – podchodzi do mnie w ciemności nad brzeg basenu.

– Beth, co ty odpierdalasz? Gdzie byłaś?

Nie odpowiada. Jej głowa zwisa nisko.

– Beth? Co się dzieje? Nawaliłaś się?

Szepczę, ale mam ochotę wrzeszczeć, złapać ją za ramiona i potrząsnąć z całych sił. Rany, muszę zapalić. Gdzie moje fajki? Zabiłabym za strzałą nikotyny. Smród chloru. Kwaśny posmak wódki zalega mi w gardle.

– Nic mi nie jest – mówi w końcu, podnosząc wzrok. Jej oczy dziwnie wyglądają; nie jest w stanie skoncentrować spojrzenia. Czy ona płakała? Boże, znowu? Tylko nie to. To się nazywa kobieta niezrównowazona

emocjonalnie. Ja ostatni raz płakałam w dziewięćdziesiątym piątym.

– Ćśś. Nie tak głośno. Obudzisz Ambrogia.

Ramiona mi się napinają. Coś zaczyna buzować w środku. Jakim cudem wciąż jest tak gorąco? Przecież już środek nocy. Z patio aż bije żar. Wilgotne powietrze przykleja mi się do ramion, naciska na pierś i zaczynam się pocić. Brzęczy komar: wysokie, uparte zawodzenie. Czuję, jak wbija mi się w szyję.

– Jebać Ambrogia. Nienawidzę go – oznajmia Beth.

Ręce mi się trzęsą. Zaciskam mocno zęby. Jak ona śmie mówić coś takiego o Ambrogiu? Przecież on jest doskonały. Ona na niego nie zasługuje. Ukradła mi go, a teraz pewnie zamierza go wywalić jak stary kebab. Beth sypia z tym rzeźbiarzem; o to tu chodzi! Co za zdzira! Ale po co brała ze sobą dzieciaka?

Beth zaczyna szlochać.

Ernie uderza w płacz. Wydaje z siebie wysokie, desperackie, osamotnione zawodzenie, jakby ktoś dusił niechcianego kota. Możliwe, że to brzmi trochę podobnie. Nadal nie wiem, kto płakał wczoraj w nocy. Do kurwy nędzy, to ostatnie, czego potrzebuję do szczęścia: rozhisteryzowane dziecko. Rozhisteryzowana Beth. Moja siostra jest niewiarygodna. Zaprosiła mnie tutaj tylko po to, żeby odstawić tę podmiankę. Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Zamknij się, Beth. – Robię krok w jej stronę.

– Chciałabym być milion kilometrów stąd...

Beth mówi dziwnym, bełkotliwym głosem, którego nigdy dotąd nie słyszałam.

– Chciałabym umrzeć – dodaje, patrząc w ziemię.

Podchodzę jeszcze trochę bliżej. Ona prawie się przewraca. Chwytam ją obiema rękami za ramiona i ściskam mocno. Teraz się śmieje, śmieje i płacze jednocześnie.

– Jebać Ambrogia, jebać Salvatorego. Możesz sobie wziąć ich obu. – Czuję na twarzy jej gorący oddech. – Chciałabyś, co? – Śmieje mi się w twarz okropnym, pustym śmiechem bez cienia radości. – Nareszcie ktoś cię chce! – Przy księżycu w pełni jej oczy wydają się lśnić własnym blaskiem.

– Suka z ciebie! – mówię.

– A z ciebie wariatka! Ty też się pierdol. Myślisz, że łatwo mieć taką siostrę jak ty? Zawsze się starałam, naprawdę się starałam. Jeden jedyny raz, kiedy cię potrzebowałam! Wszystko zjebane!

Teraz już krzyczy, jest tak wściekła, że aż się trzęsie. Coś jest bardzo, bardzo nie tak, moja idealna siostra nigdy nie przeklina.

– Co to ma niby znaczyć: z taką siostrą jak ja?

– Jesteś porębana! Jesteś przegrywem. Wszyscy to wiedzą.

Wzbiera we mnie wulkaniczna furia.

– Jak to wszyscy?

– Prawie zafundowałaś mamie załamanie nerwowe. Jak myślisz, dlaczego chciała wyemigrować?

– Bo wyszła za...

– Naprawdę myślisz, że Ambrogio kiedykolwiek wybrałby ciebie? Ja pierdołę, w jakim ty świecie żyjesz? Myślisz, że ci go ukradłam? Założę się, że go nabrałaś. Pewnie udawałaś mnie, żeby tylko zaliczyć!

Skąd te oskarżenia? To takie niesprawiedliwe. Wyżywa się na mnie, bo jej własne życie nie jest perfekcyjne.

– Wcale nie! O co chodzi, Beth? Co się dzieje?

– Jasne. Mów sobie, co chcesz.

– Zaszłam z nim w ciążę – wypalam. – Tak, to prawda. Nigdy ci nie powiedziałam. Ukradłaś mi to życie, Beth! To powinno być moje dziecko! On powinien być moim mężem! To powinien być mój zasrany dom! –

Wskazuję ręką na willę, na ogród wokół nas, srebrny jak rtęć w świetle księżyca.

– Nie wierzę! Nie byłaś w ciąży. Te same stare głodne kawałki Alvie Knightly. Te same stare durne kłamstwa.

– Byłam! Naprawdę byłam! Straciłam dziecko. Ukradłaś mi Ambrogia! A ja... a ja...

Potrząsam nią, potrząsam, potrząsam, a ona się wymyka, wypada, wyslizguje mi się z rąk. Spada – w ciszy – na plecy do basenu. Rozlega się obrzydliwe chrupnięcie. Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, czas rozciąga się jak nitka gumy do żucia. Jej głowa uderza o krawędź. Jej ciało wpada do wody. Chlup! Jestem cała przemoczona. Lodowate zimno wody mrozi mi nerwy. Wrzeszczę. Ona zapada się coraz głębiej, głębiej, głębiej w wodę, a ja stoję – zamarła – i patrzę, jak znika.

Kurwa. Co teraz?

Patrzę, jak życie Beth przelatuje mi przed oczami: pieniądze, mąż, dziecko, samochód. Ona ukradła mi Ambrogia. Ukradła mi wszystko, od samego początku. A ja jej na to pozwoliłam! Nic dziwnego, że nazwała mnie przegrywem. No, teraz jej pokażę. Obie możemy grać w tę grę. Ukradnę go sobie z powrotem. Ukradnę jej życie. Zasługuję na to wszystko. Oliwa sprawiedliwa.

Kucam nisko za leżakiem i modlę się, żeby nikt mnie nie zobaczył. Nagle czuję się absolutnie rozbudzona. Każde zakończenie nerwowe żyje własnym życiem. Cała buzuje, szumię w środku. Tracę głowę. Czekam cztery minuty, odmierzone przez larymetyc Beth. Jeśli serce zatrzyma ci się na cztery minuty, oficjalnie nie żyjesz. Czytałam to gdzieś ostatnio. A może na Discovery tak mówili? Oglądam sobie czasami, kiedy nie mogę zasnąć.

Cztery minuty wloką się jak dekady; każda sekunda trwa wieczność. Rozglądam się za kamerami, ale nigdzie żadnej nie dostrzegam; dziwne.

Patrzę na ogród; każdy cień to Ambrogio. Zerkam do sąsiadów, przyglądam się willom: czy Salvatore wybiegnie? Ale jest bezpiecznie. Spokojnie. Ernie przestał płakać. Cykady dalej ćwierkają.

Obserwuję, jak sekundnik pełźnie po tarczy zegarka.

Minuta: na powierzchni pojawiają się bąbelki. Czy Beth wynurzy się, żeby zaczerpnąć powietrza? Jeśli pojawi się na powierzchni, czy przytrzymam jej głowę pod wodą? A może wyciągnę ją na brzeg? Słyszę, jak serce wali mi w piersi: DU-DUM! DU-DUM! Wypatruję znaków życia w basenie. Bąbelki się kończą.

Dwie minuty: szlag. Gdzie bąbelki? Muszę ją wyciągnąć. Kurwa, ona się tam topi! DU-DUM! DU-DUM! Co ja wyprawiam? Jeśli teraz po nią nie pójde, to będzie za późno.

Trzy minuty: to jest to. To jest to. Spokojnie, Alvina. Tylko spokojnie, nie denerwuj się. Opanuj się, dasz sobie radę. DU-DUM! DU-DUM! DU-DUM! DU-DUM! Gryzę wewnętrzną stronę warg i obserwuję wodę jak jastrząb. Jeszcze tylko chwilka. Całe życie czekałam na ten moment.

Trzy minuty trzydzieści sekund: o, Boże. Co ja zrobiłam? Biegnę do basenu i wskakuję do wody. Woda rozcina mi skórę jak skalpel. Ja pierdołę, ale zimna. Nie mogę oddychać. Nie mogę się ruszać. Ręce mam ciężkie. Nogi jak z ołowiu. Próbuję płynąć, ale sukienka ciągnie mnie w dół. DU-DUM! DU-DUM! DU-DUM!

– Ratunku! – krzyczę między haustami wody. – Niech mi ktoś pomoże! Pomocy! Pomocy!

Zapomniałam, jak się pływa. Rozpaczliwie trzępię rękami i nogami na wszystkie strony; utopię się. Woda zamyka mi się nad głową. Ciemność. Cisza. Chwytam się krawędzi, usta mam pełne wody. Dyszę, trzęsę się, przeklinam; kurwa mać. Jej ciało opadło na dno basenu; nie mam dość siły, żeby wyciągnąć ją na powierzchnię. Znów nurkuję, i jeszcze raz, i jeszcze,

chwytam dłoń Beth, ale jest śliska i wiotka; ledwo mogę ją chwycić. Jestem na adrenalinowym haju, mam paniczny odłot. Nie mogę... nie mogę... nie mogę jej wyciągnąć. W końcu zapalają się światła w willi i wybiega jakaś postać: Ambrogio.

– Ratunku!

Dziecko zaczyna jazgotać. Znowu.

– Co się stało?

– Ona się topi...

Ambrogio skacze na główkę do basenu i płynie prosto na dno. Chwytam się krawędzi, jakbym do niej przyrosła. On wypływa z chlustem, z Beth w ramionach.

– Pomóż mi – mówi.

Podciągam się i wychodzę z basenu. Cały świat wiruje; zaraz się porzygam. Drżącymi rękami chwytam ramię Beth. Martwy ciężar. Nie mogę jej utrzymać. Ambrogio podnosi jej ciało wyżej; wtacza ją na patio: ciężką i wiotką. Jej głowa przetacza się okropnie z lewa na prawo. Złamała sobie kark?

– Oddychaj – krzyczę, potrząsając Beth za ramiona, tłukąc pięścią w jej pierś. – Oddychaj, oddychaj, proszę, oddychaj!

Jest jak szmaciana lalka bez kości. Kładę ją na kafelkach, przykładam usta do jej ust – tak jak mnie uczyli lata temu na kursie pierwszej pomocy – dmuchać, dmuchać, dmuchać. Ambrogio podciąga się na rękach i wyskakuje z basenu. Czekam na kaszel, na plucie wodą. Ale nic się nie dzieje. Przewracam ją na brzuch i tłukę po plecach.

– Oddychaj, proszę. Błagam, oddychaj!

– Daj, ja spróbuję. – Ambrogio odpycha mnie na bok. Podnosi ją do pozycji siedzącej, nachyla do przodu i wali ją otwartą dłonią w plecy. Bam! Bam! Z pęknięcia po prawej stronie jej głowy cieknie krew, jej policzek jest

czerwony, jej szyja jest czerwona. Strużki krwi wiją się po jej piersi i ramionach. Głowa opada bezwładnie na bok.

– Alvie, Alvie, słyszysz mnie? – krzyczy Ambrogio. – Oddychaj! Alvie. Kurwa, oddychaj!

Tłucze ją po plecach, i jeszcze raz, i jeszcze. Oczy Beth są puste i szeroko otwarte, jak u manekina. Gapią się w nicłość, mętne i płytkie. Nie mrugają. Nie widzą. Nie wiedzą. Martwe. Żółć wzbiera mi w gardle i rzygam. Wymiotuję sobie na nogi, na ziemię dookoła, przerywam i znów rzygam, aż już nic we mnie nie zostaje. Trzeba było nie pić całej tej wódki.

– Kurwa, Beth – mówi Ambrogio w ciemność. Odwraca się w moją stronę. – Nie taki był plan.

Ziemia przestaje obracać się wokół własnej osi. Planety zatrzymują się na swoich orbitach.

– Plan? – powtarzam. O czym on gada?

– Nie miałś jej zabić tutaj. To w ogóle nie ty miałś ją zabić.

Otwieram jej usta, ale nie wychodzi z nich żadne słowo.

– Dlaczego nie mogłaś po prostu trzymać się planu?

Stoimy obok siebie nad ciałem mojej siostry w oszołomionej ciszy. Był jakiś plan? Co to ma znaczyć? Dziecko wreszcie przestało się pruć; biedaczek, tak długo płakał, aż w końcu zasnął. Jest cicho. Nawet cykady wstrzymały swoją monotonną serenadę. Coś ciemnego rozpływa się pod głową mojej siostry, tworząc kałużę na tych szalonych kafelkach. Kładę się obok niej i próbuję się rozpłakać. Oglądam niskobudżetowy horror, jakąś jatkę klasy B albo którąś część *Krzyku*. To nie jest prawdziwe życie. To jakiś koszmar, potworny sen. Plan? Plan? Jaki znowu plan? Czy Beth i Ambrogio zamierzali mnie zabić? Na pewno nie Beth. Nie rozumiem. Mam paranoję? A może po prostu się nawaliłam w trzy dupy? Na pewno halucynuję.

Chwytam dłoń Beth. Jest mokra, zimna jak lód. Krzywizny jej ciała są

dobrze widoczne na tle świateł z willi. Jej głowa. Biodra. Łydki. Spodziewam się, że zaraz wstanie i odejdzie. Że zawoła mnie po imieniu albo powie coś wkurzającego. Ale ona jest nieruchoma jak posąg w willi Salvatorego. Nieruchoma i zimna.

W końcu to Ambrogio się do mnie odzywa.

– Beth, wstawaj. Chodźmy do środka. Nic tu nie poradzimy.

Beth, Beth, Beth. Nadal mówi na mnie Beth. Odnajduje moją dłoń na końcu mojego ramienia zwisającego wzdłuż mojego ciała. Jego palce są mokre od wody z basenu. Przestraszona wyrywam rękę. Nie chcę nigdzie iść z tym człowiekiem. On chce zabić Alvie! Ale on znów sięga po moją dłoń i chwyta ją w żelazny uścisk, z którego już nie mogę się uwolnić. Podciąga mnie na nogi. Patrzę mu w oczy. Mocny zarys szczęki. Przystojna twarz. Jest równie piękny jak Channing Tatum. Ale ja nie dam się nabrać; wiem, że nie mogę mu ufać. Co to był za plan, do jasnej anielki?

Ambrogio jedną ręką popycha wózek, a drugą trzyma mnie za ramię. Moja torebka zwisa z rączki wózka. Podnoszę buty Beth spod leżaka. Działam na autopilocie, w głowie kłębią mi się setki myśli. Czuję się tak, jakbym właśnie przeżyła tsunami: wokół mnie destrukcja, dezorientacja, nieznośne dzwonienie w uszach. Chwiejnie idę w stronę willi, krok za krokiem; jak zgubione dziecko podążające niepewnie ku domowi. Nie odzywamy się do siebie, gdy prowadzi mnie do swojej sypialni, którą dzielił dotąd z Beth. Stoję na środku pokoju i rozglądam się dookoła. Beth i ja przebierałyśmy się tu zaledwie kilka godzin temu. Teraz mam wrażenie, że to był inny pokój, w innym życiu.

Ambrogio przynosi dwa ręczniki z prywatnej łazienki; podaje mi jeden. Nie poruszam się. Owija mi ręcznik wokół zgarbionych ramion, po czym sam się wyciera. Zdejmuje koszulę, spodnie, bokserki, i trze całe ciało ręcznikiem. Jest zupełnie nagi. Jego penis jest mniejszy, niż zapamiętałam,

ale to było dawno, no i w sumie teraz nie ma erekcji... Przyglądam mu się, jak osusza swoje umięśnione ciało, patrzę na jego plecy, na uda, na linię opalenizny na tyłku. Jestem kompletnie otepiała. Patrzę na swoje dłonie i bawię się pierścionkiem Beth, obracając go sobie na palcu. Jej pierścionek zaręczynowy dobrze na mnie wygląda.

On myśli, że jestem Beth. Myśli, że ja nie żyję.

Ambrogio zwija swoje mokre, zakrwawione ubranie w kłębek i wrzuca do kosza. Szybko przebiera się w nowy zestaw: biała koszula, kremowe chinosy, skarpety w niebieskie i białe paski. Jak on to robi? Dwie minuty i znów wygląda jak model z katalogu; zbyt cool, żeby był prawdziwy. Zbliży się do mnie.

– Beth – mówi, biorąc mnie za rękę. Jest wiotka jak węgorz. Pozwalam mu ją potrzymać. – Beth, proszę, ubierz się. No dalej. Przeziębisz się.

Przeziębienie to teraz najmniejszy z moich problemów.

– Nie powinniśmy zadzwonić po karetkę? – pytam.

– Obawiam się, że na to już za późno.

Spoglądam na Ambrogia, widzę niepokój wypisany na jego twarzy. On nie wie. Nie ma zielonego pojęcia, kim ja jestem. Wtulam twarz w jego pierś i staram się nie płakać; tusz do rzęs spływa mu po koszuli. Znów będzie musiał się przebrać.

– Musimy zadzwonić po karetkę, żeby zabrali ciało.

– Ćśś, Beth – szepcze, gładząc mnie po włosach. – Daj, wytrzymaj cię.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do łazienki. Idę za nim posłusznie na miękkich nogach. Czuję się, jakbym miała sto lat. Opieram się o umywalkę, a Ambrogio rozpina mi sukienkę na plecach.

– Nie – protestuję. On nie może zobaczyć mnie nago. – Daj mi to zrobić... samej.

Chwytam ręcznik, wypycham Ambrogia z łazienki i zamykam za sobą

drzwi. Na klucz. Stoję z plecami przyciśniętymi do drzwi i biorę głęboki oddech. O, kurwa. Co się właśnie wydarzyło? Ściągam z siebie mokre ubranie: sukienkę Beth, wonderbra, przemoczone majtki, i rzucaam wszystko na stertę na podłogę. Mam krew na rękach, na ramionach, na twarzy. Wyglądam jak jakiś pojebany morderca z siekierą. Jak statystka z *Piły*. Odkręcam wodę i kieruję prysznic na stopy, zmywając wymiociny, na ręce, żeby pozbyć się krwi za paznokciami, czerwieni rozmazanej na przedramionach, na szyi, policzkach.

– Położę Erniego do łóżka – woła Ambrogio przez drzwi.

– Okej – mówię. Mały Ernie... Boże kochany, teraz jestem jego mamą.

Zakręcam kran i wychodzę spod prysznic. Nadal nie czuję się czysta, ale stałam pod wodą jakąś godzinę. Wkładam szlafrok Beth – ciepły i puchaty – i jej kapcie, które wyglądają jak prezent z jakiegoś drogiego hotelu. Staję przed lustrem i przyglądam się swojej twarzy. Czy ja naprawdę wyglądam jak Beth? Mrużę oczy, kołyszę się, kręci mi się w głowie po prysznicu. Chwytam się umywalki. Nie widzę żadnego podobieństwa.

Na policzkach nadal mam rozmazany tusz, jak sztuczne czarne łyzy klauna. Widzę emulsję do oczyszczania Beth; ścieram makijaż z powiek i spod oczu, trę w nieskończoność, aż do czerwoności, aż cała czerń zupełnie znika.

Rozdział szesnasty

– **TO BYŁ WYPADEK.** Poślizgnęła się.

– W porządku, Beth, nie musisz nic tłumaczyć.

Ambrogio siedzi na brzegu łóżka z głową w dłoniach. Podnosi głowę, kiedy wchodzi do pokoju. Wślizguję się do sypialni powoli, milimetr po milimetrze, kroczonek za kroczonekiem, jakbym zbliżała się do śpiącego tygrysa, jakbym omijała przydrożną bombę. Twarz Ambrogia jest blada i wydłużona, prawie jakby nagle się postarzał. Czoło przecinają mu zmarszczki, których wcześniej nie zauważyłam. Czy to siwy włos na skroni?

– To był wypadek – powtarzam, opadając na materac obok niego. Jeśli będę to w kółko powtarzać, może w końcu sama w to uwierzę?

– O co ci chodzi? Oczywiście, że to nie był wypadek. Przecież mieliśmy ją zabić. Tylko nie na własnym podwórku. *Merda.*

Mieli mnie zabić. Na pewno nie mówi poważnie? Beth nigdy nie zgodziłaby się na coś takiego. No i niby dlaczego mieliby życzyć mi śmierci? To jakiś absurd. Nic złego im nie zrobiłam. Owszem, moja siostra powiedziała, że mnie nienawidzi, ale była wzburzona. Nie mówiła na serio. Nie Beth.

– Nie chciałam – dodaję w końcu. Mój głos brzmi fałszywie i słabo.

– Co ty wygadujesz? To był po prostu zbieg okoliczności?

– Kłóciłyśmy się nad basenem, a ona się poślizgnęła i wpadła do wody.

Ambrogio patrzy na mnie z niedowierzaniem. Przygląda się uważnie mojej twarzy. Myśli, że kłamie.

– Naprawdę. To był wypadek – powtarzam. – Synchronizacja? Łut

szczęścia?

– Okej. Niech ci będzie. Wypadek – wzdycha Ambrogio. – Ale dla służb to może wyglądać inaczej. Jeśli zadzwonimy po karetkę, wmiesza się w to policja. Brytyjska turystka ginie akurat tutaj? Prasa nas zeżre żywcem; będzie cyrk medialny. Jeszcze ci zarzucą nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie mogę mieć na karku pierdolonych psów.

Mówi szybko, ponaglająco; w jego głosie pobrzmiwa desperacka nuta, jak u marudzącego dziecka. On nie może mieć na głowie policji? A co z nim jest nie tak? Nie odzywaj się, Alvina; gdybyś była Beth, wiedziałabyś, o co chodzi.

– Nie zamierzam tak ryzykować. Nie teraz, w samym środku tego dealu... – teraz mówi już głośniejszym głosem. Zeskakuje z łóżka i wali pięścią w drzwi. BAM! Drewno pęka. On stoi odwrócony do mnie plecami, ramiona unoszą mu się gwałtownie i opadają. Kurwa, o czym on gada? Jest zły na mnie? Mnie też przywali? Kurczę się pod wezgłowiem łóżka i zwijam w kłębek, szykując się na cios.

Nic.

Ambrogio się odwraca; na jego twarzy maluje się zimna furia. Krąży po pokoju, wte i wewte, jak rozjuszony goryl w klatce w zoo.

– Więc co robimy? – pytam wreszcie, kiedy już mam pewność, że się na mnie nie rzuci. – Nie możemy jej tam tak zostawić.

– Daj mi pomyśleć – ucina ostro Ambrogio.

Chodzi jeszcze trochę tam i z powrotem.

Zależy mu tylko na tym, żeby go nie przyłapali. Gównon go obchodzi Alvie! Ja!

– Słuchaj – mówi w końcu, podchodząc do mnie. – Kto wiedział, że Alvie przyjeżdża na Sycylię? Ty, ja, British Airways. Ktoś jeszcze?

Potrząsam głową.

- Ktoś z jej przyjaciół?
- Ona nie miała przyjaciół.
- Żadnych? Jesteś pewna?

Przytakuje.

- Beth, każdy ma jakichś przyjaciół. A znajomi z pracy?
- Wątpię. Naprawdę. Wydaje mi się, że właśnie ją wylali.

Wpatruję się we własne dłonie i bawię się pierścieniem Beth. Diament i onyks, czerń i biel.

Ambrogio wzdycha.

– To wydarzyło się zbyt szybko. Plan był taki, żeby poczekać. Żebyśmy mieli kontrolę nad całą sytuacją, do kurwy nędzy.

– Przepraszam – mówię, bo mam wrażenie, że powinnam. – Przepraszam za wszystko.

Ambrogio znów przysiada na skraju łóżka.

– Jeśli ktokolwiek sprawdzi jej przeloty, to zobaczy, że wylądowała w Katanii. Kto wiedział, że Alvie przyjechała tutaj, do tej willi?

– Ty, ja, Emilia, Salvatore – wyliczam. Myślę o Erneście i o ochroniarzu w amfiteatrze, ale nie mam pojęcia, jak się nazywał. Beth wiedziała, ale teraz już nie mogę jej spytać.

– To wszyscy?

Chwilę się waham.

– Tak, tak, wszyscy.

– Okej, w takim razie słuchaj, co teraz zrobimy. Oczywiście w innych okolicznościach zadzwonilibyśmy po karetkę. Ale biorąc pod uwagę naturę moich interesów, naszych interesów, nie możemy mieć na karku żadnych węszących mundurowych.

Zupełnie stracił fason. Na czole wyszła mu wściekła żyłka, fioletowa, pulsująca, nierówna.

– Teraz uważaj, bo to najważniejsze – ciągnie, przysuwając się do mnie na łóżku. Nachyla się blisko, chwyta moją dłoń i ściska mocno. Na dolnej wardze ma białą kropelkę śliny. Zniża głos.

– Powiemy Emilii i Salvowi, że Alvie pojechała do domu. To tragiczne, co stało się twojej siostrze. Jest mi bardzo przykro. Ale musisz zrozumieć: sami zajmiemy się jej ciałem.

Zeskakuję z łóżka.

– Zajmiemy się jej ciałem? – powtarzam. – Ona dopiero co umarła, a ty mówisz, że co?

– Beth, posłuchaj mnie: mamy tylko kilka godzin, zanim zrobi się jasno. Przyjdzie Emilia. Sąsiedzi, listonosz... Nie możemy jej zostawić, żeby leżała i krwawiła nam po całym zasranym patio. Nawet jeśli to był wypadek...

– Co masz na myśli, mówiąc „jeśli”?

– Mimo że to był wypadek... Policja nie da nam żyć. To zbyt wielkie ryzyko.

Dlaczego, co on ryzykuje?

– Mogliby nawet podejrzewać cię o morderstwo.

I już słowo na m. Nie podoba mi się to. Patrzę mu w oczy. Chyba stara się mnie chronić.

– Więc co chcesz zrobić? Zakopać ją w ogrodzie? – pytam w końcu.

– Żeby ogrodnik znalazł trupa pod moim trawnikiem? Oszalałaś?

Chyba nie mówiłam poważnie, ale nie mam zielonego pojęcia. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Nie wiem, jak wygląda protokół pozbywania się zwłok.

– W takim razie jak chcesz to załatwić?

Ambrogio ścisza głos.

– Zadzwońię po chłopaków. Są mi winni przysługę, pomogą. Ale musimy to zrobić teraz. W tej chwili. Dzisiaj w nocy.

– Gdzie ją zabiorą? A co z pogrzebem?

– Ja pierdołę, Beth, przecież nie jesteś pobożną katoliczką, do kurwy nędzy. Nie zgrywaj mi teraz świętej i nie udawaj, że zależy ci na pogrzebie w jakimś jebanym kościele. Planowaliśmy to tylko po to, żeby zyskać trochę więcej czasu. A teraz tak się zachowujesz, jakbyś się martwiła o jej duszę. *Cristo! Dio!*

Wybiera jakiś numer w telefonie, po czym wykrzykuje coś do komórki wściekłą włoszczyzną. To miał być piękny język, balsamiczny, romantyczny, ale teraz brzmi jak seria z karabinu. Zerkam na budzik na szafce nocnej. Cyfry podskakują, czerwień miga na czarnym tle. Ledwo udaje mi się odczytać: 1.13. Po chwili Ambrogio się rozłącza. Jego głos jest teraz spokojniejszy, łagodny.

– Beth, chcesz wyjść na zewnątrz i się z nią pożegnać?

Och, szlag. Nie mam najmniejszej ochoty jej oglądać. Nagle robi mi się niedobrze. Nadal czuję smak wymiocin w gardle.

– Dokąd ją zabiorą? – pytam jeszcze raz.

– To nie nasz problem. Nie musimy wiedzieć. Na Sycylii często się zdarza, że ktoś znika. A teraz muszę jeszcze do kogoś zadzwonić – dodaje, wskazując na drzwi.

Czy dla Beth to byłoby okej? Pozbycie się mojego ciała tak bezceremonialnie, w środku nocy? Nie miałyby problemu z tym, że Ambrogio dzwoni po jakichś typów, żeby mnie „sprzątnęli”? Potrząsam głową z niedowierzaniem. Beth na pewno nie przystałaby na coś takiego. Za chuja w porcelanie. Przecież to kompletnie pojebane. Ale ja? Wiecie co? Ja też nie mam ochoty, żeby kręciła się tu policja. Więc przynajmniej jeden problem z głowy...

Rozdział siedemnasty

PATRZĘ NA SWOJĄ DŁOŃ, jakby należała do kogoś obcego; nie poznaję jej. Nie pamiętam, do kogo należy. Kurwa, nie poznaję własnej dłoni. Trzęsie się, dygocze tak gwałtownie, że nie mogę jej uspokoić. Próbuję chwycić za klamkę i otworzyć drzwi wiodące na patio, prowadzące do mojej siostry, ale nie mogę dobrze złapać. Palce mi drżą; dłoń się ześlizguje i nie mogę – nie mogę nawet otworzyć zasranych drzwi. Ambrogio znów wisi na telefonie i gada z „kolegami”. Kim są ci goście, którzy wiszą mu przysługę? Kto pozbywa się martwych ciał w środku nocy? Nic mnie to nie obchodzi, jeśli tylko ją sprzątną. Nie chcę jej już nigdy więcej widzieć. Nie wiem, jak długo tak stoję z rękami trzepoczącymi jak u ptaszka z połamanymi skrzydłami, ale ostatecznie klamka opada i wychodzę na zewnątrz.

Ciemno. Cicho. Spodziewam się, że zaraz z krzaków wyskoczy policjant – „Jest pani aresztowana!” – że usłyszę Salva, pędzącego przez podjazd: *Ma che cazzo hai fatto?* Ale wszędzie panuje spokój; nikogo. Dygoczę na zimnym nocnym powietrzu. Temperatura spadła chyba o dwadzieścia stopni. Ogród za basenem rozciąga się w nicość, otacza nas wyłącznie czerń. Światło z willi pada na basen i wydłużoną, potworną sylwetkę trupa mojej siostry, który leży tuż nad wodą.

Gwiazdy spoglądają na mnie z góry, osądzają, obwiniają, jak biliony maciupenkich gałek ocznych, jak oczy Boga. Księżyc zaczyna zachodzić za Etnę. Niedługo wzejdzie słońce i ujawni krwawą jatkę. Przyjdzie listonosz. Salvatore. Emilia. Muszę się pospieszyć.

Koncentruję się na poruszaniu nogami. Idę, jeden cichy krok za drugim,

miękkie kapcie tłumią odgłos moich stóp. Płynę jak we śnie, kroczę przez powietrze. Patrzę w dół, żeby nie stracić równowagi; skupiam wzrok na ziemi, żeby nie odfrunąć, nie zacząć dryfować coraz wyżej i wyżej. Jestem nieważka, kosmiczna, chodzę po Księżycu. Zatrzymuję się kilka centymetrów przed głową mojej siostry. Jej czaszka leży w kałuży krwi; śliskie, czarne jezioro. Teraz, kiedy już tu jestem, nie wiem, co powinnam zrobić. Po prostu się gapię. Wpatruję się w Elizabeth, cichą i oniemiałą. Ciało Elizabeth. Twarz Elizabeth. Włosy Elizabeth. Dreszcz przechodzi mi po kręgosłupie. Elizabeth nie żyje, bo ją zabiłam. To takie łatwe. Takie szybkie. Jakby w ogóle nic nie zaszło. Gwiazdy nadal migoczą. Jestem w tym samym ogrodzie. Wulkan jak stał, tak stoi. To nie wydaje mi się prawdziwe.

Nie mogę uwierzyć.

Potrzebuję więcej dowodów.

Sięgam dłonią w stronę kałuży krwi, wyciągam palec, zanurzam. Krew wydaje się ciepła w porównaniu z chłodnym nocnym powietrzem. Jest śliska, gęsta i mokra. Przyglądam się koniuszkowi palca: lśniący, czerwono-czarny. Ogarnia mnie zew instynktu, coś prymitywnego, pierwotnego. Muszę to zrobić. Sprawdzić, czy jest prawdziwa. Oblizuję palec: ciepły, mokry, metaliczny smak. Nie do pomylenia. Krew.

* * *

Wpadam do pokoju, a Ambrogio wstaje. Skończył rozmowę. Na jego twarzy maluje się dziwny wyraz, którego nie potrafię rozszyfrować. Wyciąga dłoń w stronę mojej głowy – o, kurwa! – zaciskam powieki i odchylam głowę – ale on tylko odgarnia mi kosmyk włosów z policzka.

– O co chodzi? Odsunęłaś się.

– Nic – mówię. Jestem hiperczujna, w każdej chwili gotowa do ucieczki, jak kot.

– Tak, odsunęłaś się. *Amore*, chodź do mnie. Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie uderzył! Co to jest? – Przyciąga mnie do siebie i przyciska mocno do piersi. Chyba mu wierzę. Ledwo co, ale wierzę. Może jednak nie jest damskim bokserem? Nie uderzyłby Beth, ale czy miałby opory z Alvie? Najgorsze, że nie wiem. – Pożegnałaś się? – pyta wreszcie.

– Mhm. – Kiwam głową.

– *Bene*. Dobrze.

Obejmuje mnie ramieniem w talii i prowadzi do łóżka.

– Nino będzie tu za piętnaście minut. Wezmę się do sprzątanía. Powinnaś iść spać, spróbuj trochę odpocząć.

– Okej – przytakuję. Kim jest ten Nino? Wypijam szklanekę wody i mdłości przechodzą.

– Tak mi przykro, Beth – powtarza i składa mi pocałunek na czole. – To zabrzmi okropnie, ale... tak się cieszę, że to nie byłaś ty.

Żołądek zwija mi się w supek; ziemia wyslizguje mi się spod nóg. Że, kurwa, co?

Posyłam mu takie spojrzenie, jakbym życzyła mu śmierci. Chyba zauważyła, że przegiął, bo natychmiast dodaje:

– Przepraszam, to było nie na miejscu. Po prostu... tak bardzo cię kocham. – Próbuje mnie pocałować, ale odwracam głowę. Wciąż czuję smak rzygów w ustach. Zamiast tego Ambrogio mnie przytula. – Przecież wiesz, że to wszystko po to, abyś była bezpieczna, nie zapominaj. To dla ciebie! I dla mnie, i dla Erniego. Kiedy ją tam zobaczyłem, jak tak leży – kropka w kropkę jak ty – po prostu... Robimy to, co należy zrobić. Dla naszej rodziny.

– Dziękuję – mówię, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Mój mózg już nie pracuje; zapomniałam, jak się mówi. Odgarniam pościel i siadam na łóżku. Na łóżku Beth. Moim łóżku.

Już mam się położyć, kiedy Ambrogio pyta:

– Nie chcesz się przebrać w koszulkę?

Pojęcia nie mam, gdzie Beth trzyma piżamę. Patrzę na niego bezradnie. Nie wiem. Ale on nie może zobaczyć, że mam problem. Słyszę własne serce: DU-DUM, DU-DUM. Wszystkie mięśnie w ramionach mam napięte. W końcu, po chwili, która rozciąga się w godziny, Ambrogio podchodzi do mahoniowej komody i otwiera drugą szufladę od dołu. Och. A więc tutaj. Podaje mi maleńką jedwabną koszulkę nocną od Giorgio Armaniego. Jest lżejsza niż powietrze. Biorę ją w dłonie i przyglądam się drobnym różowym różyczkom wyszytym wzdłuż krawędzi, ślicznej koronce, delikatnym ramiączkom. Pachnie jak Beth: Miss Dior Chérie. Kładę się do łóżka i zamykam oczy.

Rozlega się gwałtowne stukanie do drzwi; Ambrogio podskakuje.

– Ach, Nino – mówi.

DZIEŃ CZWARTY

Pożądanie

Moja damska anatomia zaciska się niczym dźwiałą mojej babci na krówkach.

@Alvinaknightly69

Rozdział osiemnasty

TO PRZEZ BETH miałam złamane serce.

Była ostatnia noc tygodnia integracyjnego dla pierwszorocznych i nasze dziewiętnaste urodziny. To było pożądanie od pierwszego wejrzenia.

Poszliśmy do baru przy Corpus Christi College. Pięć wódek z Red Bullem, trzy rundy picia na czas i butelkę Malibu później już widziałam podwójnie. Do tego przez cały dzień zjadłam tylko paczkę prażonych orzeszków. Paliłam fajkę za fajką z paczki mentoli, które znalazłam w toalecie, i miałam na sobie sukienkę, którą kupiła mi siostra: obcisłą mini w kolorze fuksji, tak ciasną, że nie mogłam oddychać. Beth była ubrana w taką samą, tylko fioletową. Z całych sił starałam się nie spaść ze stołka, kiedy nagle Beth przestała mówić i spojrzała na drzwi. Właśnie wszedł jakiś mężczyzna.

– A to kto? – spytałam.

Z początku mi się rozmazywał, ale kiedy podszedł bliżej, z alkoholowych oparów wynurzył się śródziemnomorski półbóg, niczym tancerz wychodzący zza sztucznej mgły na koncercie Backstreet Boysów. Miał typowo hollywoodzki wygląd: niebieskie džinsy, biała koszula – dwa górne guziki rozpięte – i marynarka. Ciemne włosy falami opadały mu na ramiona. Zęby miał lśniące i białe jak z reklamy Colgate. Co ktoś taki robi na Oksfordzie? Wszyscy inni faceci wyglądali przy nim jak Gollum z *Władcy pierścieni*. I gdzie on się tak opalił? Beth wyciągnęła rękę i przytuliła go na powitanie. Przyglądałam się z niedowierzaniem. Moja siostra go zna?

– Alvie, to Ambrogio. Ambrogio, poznaj Alvie, moją bliźniaczkę –

oznajmiła Beth.

– Bliźniaczka? Niemożliwe, to niesamowite. Jesteście jednojajowe, prawda?

Popatrzyłyśmy na siebie i wzruszyłyśmy ramionami.

– Beth nigdy nie wspominała, że ma bliźniaczkę – dodał Ambrogio.

Beth się skrzywiła. Mnie też nie powiedziała o istnieniu Ambrogia; raczej bym nie zapomniała.

– Niewiarygodne! – ciągnął. – Wyglądacie dokładnie tak samo... Uścisnęłam jego wyciągniętą dłoń. Skórę miał ciepłą i gładką.

– Miło mi cię poznać. W którym college'u jesteś?

Mówił z akcentem, którego nie mogłam zidentyfikować. Pomyślałam, że może jest Hiszpanem.

– Och, ona tu nie studiuje – wyjaśniła Beth. – Tylko przyjechała na weekend.

– Właśnie – przytaknęłam z wymuszonym uśmiechem.

– A, chodzisz na inną uczelnię? Co studiujesz?

– Eee, nic nie studiuję – odparłam ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Pracuję w Yo! Sushi.

Nie mogłam iść na studia, bo nie miałam matury. Nie miałam matury, bo wywalili mnie ze szkoły. Rozmowa nie szła w dobrym kierunku. I co to za dziwne pytanie. Ostatnio skończyłam czytać *Szatańskie wersety*, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

– A co ty studiujesz?

– Robię magisterkę z historii sztuki.

Wyszliśmy z baru. Ambrogio i Beth wzięli się pod ręce, a ja szłam kilka kroków za nimi, słuchałam ćwierkania flirtującej Beth i gapiłam się na tyłek Ambrogia, prosto z reklamy dietetycznej coli. Przeszliśmy przez wiatr i zacinający deszcz do podziemnej puszdki na sardynki o nazwie

Pomarańczowy Delfin czy tam Turkusowa Złota Rybka albo Platynowy Mrówkojad, albo coś takiego. Waliło tam potem. Z sufitu kapało. Na samym środku parkietu była mała kałuża rzygów. Wydaje mi się, że DJ musiał być głuchy/martwy/najebany, bo zagrał *The Power of Love* Celine Dion trzynastejście razy z rzędu. Nikt inny chyba nie zauważył. W Oksfordzie ludzie mówili na coś takiego „night club”.

Wypiłam parę tanich drinków z butelki i kilka szotów tequili. Muzyka była tak głośna, że nie słyszałam, co ktokolwiek do mnie mówi. Nikt w ogóle nic nie słyszał. Staliśmy w kółku i popijaliśmy przez słomkę wściekle kolorowe koktajle w szklanych butelkach. Beth poszła do baru po następną kolejkę Breezerów Bacardi, a ja uśmiechnęłam się do Ambrogia. On odwzajemnił uśmiech. Trochę się pobujaliśmy do muzyki, zupełnie nie trafiając w rytm, a potem on objął mnie w talii i przyciągnął do siebie. Doskonale wiedziałam, że Beth ma kisiel w majtkach na jego widok. Ale wiecie co? Ja też. A ona знаła go niecały tydzień. Więc jebać to. Był wolny i podany mi na talerzu. Przycisnęłam się do niego mocno.

– Jesteś piękna – wyszeptał, a mnie zmiękły kolana.

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Zawsze mówili to Beth.

Czułam jego gorący oddech tuż przy uchu. Miał cudowną wodę po goleniu. Oparłam policzek na jego piersi i zaczęliśmy znów tańczyć. To pewnie trwało jakieś dwadzieścia sekund, ale wydawało mi się, że bujamy się tak całą wieczność. Czas potrafi wyprawiać takie dziwne rzeczy. Wokół nas huczało *The Power of Love*. Parkiet zniknął. Nagle, o wiele zbyt prędko, rozbłysły światła, a muzyka się zatrzymała. Beth powiedziała, że czas iść do domu. Całą grupką wyszliśmy chwiejnym krokiem na ulicę i ruszyliśmy do jakiejś budki z fast foodem. Ja zamówiłam frytki z serem i fasolkę w sosie pomidorowym, a Ambrogio burgera.

– Ja nic nie chcę – powiedziała Beth. – Wracam do akademika. Idziesz?

Popatrzyłam na swoje frytki, a potem na Ambrogia.

– Niedługo przyjdę.

Beth się skrzywiła. Ambrogio się zakołysał; chyba był pijany. Bardziej ode mnie, bo inaczej bym nie zauważyła. Usiedliśmy przy dwuosobowym stoliku, żeby zjeść. Sięgnęłam po keczup.

– Ciao – pożegnał ją Ambrogio, machając dłonią. – Do zobaczenia.

Beth przewróciła oczami i wyszła rozwścieczona.

Nie pamiętam, żebym cokolwiek zjadła, tylko gapiłam się na Ambrogia. Na jego oczy jak u księcia z bajki Disneya, usta aż proszące się o pocałunek. Nie wyglądał prawdziwie. Bardziej jak chodząca reklama jakichś suplementów, po których człowiek ma odmłodzić i wypięknąć. Jak statysta z *Zoolandera*.

– Chodźmy – powiedział, wstając i biorąc mnie za rękę. Nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę się dzieje. Dlaczego wybrał mnie, a nie Beth?

Zanim zdążyłam się obejrzeć, byłam już w pokoju Ambrogia, słuchałam *Umbrelli* Rihanny i myślałam, że to przeznaczenie, jak w *Romeo i Julii*. To oczywiste, że byliśmy sobie pisani. Na pierwszy rzut oka widziałam, że to było zapisane w gwiazdach. Miałam tylko nadzieję, że nie będziemy tragicznymi kochankami, jak w tej sztuce. Dla nich to się źle skończyło.

Na biurku Ambrogia, obok niezaścielonego pojedynczego łóżka, stała lampa lava. Coś czerwonego nabrzmiewało i pływało w górę i w dół wewnątrz kolumny z metalu i szkła. Patrzyłam, jak się przekształca i przelewa, niczym magma albo lava... (och, lampa lava; chyba o to chodzi), jak wrze i się gotuje. Bez reszty mnie to pochłonęło. Zahipnotyzowało. Kiedy znów podniosłam wzrok, Ambrogio zaczynał się rozbierać.

– Wiem, że dopiero cię poznałem – powiedział do swojego pępka, mocując się z guzikami od koszuli – ale, kurwa, naprawdę cię kocham.

Ostatecznie się poddał i ściągnął koszulę przez głowę. Rozpiął rozporek

i ściągnął spodnie. Wlepiłam w niego zszokowany wzrok. Nie wiem, co mnie tak zaskoczyło. Chyba po prostu nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny. Oczywiście oglądałam ilustracje i zdjęcia. Wiedziałam, czego się spodziewać. Jak oni wyglądają. Ale nie w prawdziwym życiu. Nie z bliska. Nie w ten sposób. To było obłędne. Jak elektryczność. Nagle poczułam się zupełnie rozbudzona. Otrzeźwiona. Tak jakby.

– Co ty powiedziałaś?

– Kocham cię – powtórzył, po czym chwycił dolną krawędź mojej sukienki i podciągnął do góry. Jego słowa uderzały we mnie niczym naboje i lokowały mi się w piersi. Nikt wcześniej nie powiedział mi nic takiego.

– Kochasz mnie? Naprawdę? Jesteś pewien?

– Przysięgam na Boga. Wyjdiesz za mnie? – zapytał. Ściągnął bokserki, które zaczepiły mu się o stopę, potykając się o własne nogi, opadł na łóżko.

– Przestań – zaprotestowałam, odwracając twarz. On bełkotał. – Jesteś pijany, nie mówisz tego na poważnie. – Jaja sobie ze mnie robił.

– Mówię poważnie, naprawdę. – Sięgnął do mojego stanika i zaczął się zmagać z zapięciem, ale nie mógł sobie poradzić i w końcu się poddał.

– Przyznaj się, wolisz moją siostrę. Ja nigdy nie podobam się facetom. Myślę, że jestem dziwna; ta dziwna siostra. Ta frajerka. Ta nienormalna. – Wstałam z łóżka i zaczęłam rozglądać się za butami. Znalazłam tylko jeden, jak kopciuszek. On też wstał, złapał mnie w talii, przyciągnął do siebie i mocno przytrzymał. Jego oddech załatywał Jägermeisterem. Był tak blisko, że praktycznie czułam jego smak.

– Ja lubię dziwne.

Spojrzałam mu w oczy i się pocałowaliśmy.

Potem wszystko było trochę zamglone, ale kiedy obudziłam się rano, wiedziałam, że nie jestem już dziewicą, bo zobaczyłam na pościeli ślady krwi, a Beth wyglądała na wkurzoną.

Opuściłam Oksford w pośpiechu. O dwunastej zaczynała się moja zmiana w Yo! Sushi i nie mogłam sobie pozwolić na spóźnienie. Kolejne. Ostatnim razem dostałam już ostatnie ostrzeżenie. I potrzebowałam kasy. Zapisałam więc swój numer z tyłu koperty i położyłam obok niego na poduszce: „07755 878 4557: ALVIE. ZADZWONŃ X”. Wyglądał tak spokojnie, że nie chciałam go budzić. Po prostu wyślizgnęłam się po cichutku i zamknęłam za sobą drzwi. Przeszłam na palcach przez korytarz z promiennym uśmiechem na twarzy. Nie wiem, dlaczego mówi się na to „marsz wstydu”. Gdyby ktoś zobaczył mnie tego poranka, jak wymykam się z pokoju Ambrogia o ósmej rano, pomyślałby, że jestem puszczalska, albo oceniałby mój nieporządny wygląd. Bez butów (bo jeden zgubiłam; chyba lepiej iść na bosaka niż w jednym bucie?), pognieciona sukienka, potargane włosy, rozmazany makijaż, malinki, plamy po spermie, poranny oddech. Ale ja nie czułam się nieprzyzwoicie, nie było mi wstyd. Poznałam mężczyznę, za którego chciałam wyjść za mąż. Byłam wniebowzięta, oszołomiona, w totalnej ekstazie. Pierwszy raz w życiu czułam się szczęśliwa. Wiecie, jak się czułam? Czułam się kompletna.

Pod koniec tygodnia, kiedy Ambrogio się nie odezwał, zadzwoniłam do siostry sprawdzić, co słychać. Beth powiedziała, że Ambrogio zabrał ją na randkę i teraz są ze sobą. Parą. Oficjalnie razem. Dodała, że jest zakochana po uszy. Jemu wybaczyła tę przygodę na jedną noc. Właściwie już planowała wesele.

* * *

*Czwartek, 27 sierpnia 2015 r., 10 rano,
Taormina, Sycylia*

Jeśli potraktować używki rekreacyjne jak narzędzia, to alkohol byłby młotem

dwuręcznym – albo nie, młotem parowo-powietrznym (druga zasada dynamiki Newtona: większa moc). Nie pamiętam, żebym piła, ale to BANG! BANG! BANG! w mojej głowie nie pozostawia miejsca na wątpliwości: mam kaca. Musiała mnie w nocy odwiedzić spirytusowa wróżka i skopać mi dupę; niewiele pamiętam z wczorajszego wieczoru. Nie wiem, gdzie jestem. Czuję na skórze ciepły, miękki bawełniany szlafrok, pod głową mam różową jedwabną poduszkę, której nie rozpoznaję. Ziewam, przeciągam się, przecieram oczy pięściami. Dobrze spałam. (Albo raczej urwał mi się film. Alvie, musisz z tym skończyć; źle ci to robi na wątrobę). Moje siatkówki się kurczą i skręcają w oczodołach. Otwieram oczy i uderza mnie oślepiające słońce. Znowu zaciskam powieki. Ja pierniczę, gdzie ja jestem? To nie moja sypialnia. To nie moje łóżko.

Siadam jak wystrzelona z procy i rozglądam się po pokoju; to sypialnia Beth. To łóżko Beth. Patrzą na jego drugą połowę, ale nikogo tam nie ma. Macam pościel; zimna. Gdzie jest Ambrogio? Nie śpi tutaj? Czy przespałam się z mężem swojej siostry? (Znowu). Potrząsam głową. To bym zapamiętała. Pokój wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj, kiedy Beth i ja się przebierałyśmy. Na poduszce leży koszulka nocna w maleńkie haftowane różyczki.

Beth!

Wspomnienia sączą mi się powoli do mózgu, niczym krew spływająca przez cienkie włosy na kafelki. Beth. Zabiłam ją. Czy ja ją popchnęłam, czy może sama się poślizgnęła? Nie pamiętam. Jestem morderczynią? Kurwa mać, co ja zrobiłam? Wyskakuję z łóżka i pędzę do okna, wyglądam przez szparę między żaluzjami. Ogród przed willą jest pusty. Nie widzę stąd basenu.

Gdzie ona jest? Co ja teraz zrobię? I gdzie, do chuja pana, podziwia się Ambrogio? Czy on mówił coś o jakimś planie? Spokojnie, Alvina, mówię

sobie. Spokojnie i do przodu. Rozegraj to na luzie. Zachowuj się normalnie. Dasz sobie radę. Jesteś gwiazdą rocka. Tylko pomyśl: co by zrobiła Beyoncé? Biorę głęboki oddech.

O MÓJ BOŻE...

Zrobiłam to!!!!

Wzbiera we mnie euforia, bąbelkuje jak spieniony szampan.

Jestem tak nabuzowana, że mogłabym wzlecieć aż do nieba, unoszę się, płynę w przestworzach, spoglądam w dół na jej ciało, na ziemię. Mogłabym tańczyć, śpiewać, mogłabym, kurwa, wybuchnąć. Jestem wolna! Nareszcie! Chce mi się śmiać. Płakać ze szczęścia. Ogarnia mnie radość. Jestem na haju. Jakbym jechała za szybko na hulajnodze. Twarz rozjaśnia mi mimowolny uśmiech; zakrywam usta dłońmi.

Umarła Elizabeth! Niech żyje Elizabeth!

To Alvie leżała tam z krwią we włosach, w czarnej sukience z oderwanym ramiączkiem, to jej skóra lśniła bielą w gasnącym świetle księżyca. Wyglądała tak spokojnie. Tak pięknie. Alvina. Nikt nie będzie za nią tęsknić. Nie ma męża, który niepokoiłby się jej zniknięciem. Nie ma dziecka płaczącego, żeby je wziąć na ręce. Żadnych przyjaciół w Anglii, którzy czekali na wiadomość, na telefon, błagających, by wróciła do domu. Tak jest lepiej. Dobrze, że Alvina umarła.

„Zawsze się starałam, naprawdę się starałam!” O czym ona gadała? Słyszę jej głos w głowie.

Nie, jestem tu i tu zostaję. Jestem gotowa do walki. Nie mam nic do stracenia i wszystko do zyskania. To Ambrogio powinien się bać. Proszę bardzo, szanowny panie! Teraz to ja mam plan. Mam w planach żyć życiem siostry i wycisnąć z niego wszystko, cieszyć się każdą sekundą. Dopóki on uważa mnie za Beth, jestem ustawiona. Wszystko jest ślicznie. Zajebicie. Nie ma się czego bać. Ale kiedy tylko on nabierze najmniejszych podejrzeń,

trzeba będzie się pożegnać, koteczku. *Arrivederci*, Ambrogio. Skoro zabiłam raz, to mogę zabić i drugi. To on powinien teraz srać żarem. Ja nie będę się niczego bać. (Łał, jestem jeszcze większym hardkorem, niż sądziłam. Jestem Lisbeth Salander. Jestem Joanną d'Arc.)

Moja torebka leży na krześle przy toalecie. Torebka Beth. Moja torebka. Ambrogio przyniósł ją wczoraj w nocy. Teraz pamiętam, wisiała na rączce wózka. Podnoszę ją i zaglądam do środka: mój portfel z Primarka, wiśniowa pomadka i jeszcze coś... coś luźno lata na dnie torebki... diamentowy naszyjnik Beth! Co on tu robi? Po co zabrała go ze sobą na spacer? Mogłabym tak stać do końca świata i się nad tym zastanawiać, ale naprawdę muszę siku.

Staję przy umywalce i przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze.

– Siemanko, Elizabeth – mówię.

Odkręcam prysznic i wchodzę pod strumień wody. Nadal czuję się brudna po wczorajszej nocy.

Szoruję ciało myjką, zużywam całą butelkę Moltona Browna. Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę ogolić nogi i bikini. Beth była zupełnie goła od brwi w dół. Znajduję jej żyletkę na półeczce pod prysznicem i rozsmarowuję piankę do golenia. Wychodzę spod prysznicza w chmurze gorącej pary i owijam się ręcznikiem.

W ustach nadal mam obrzydliwy posmak. Na półce ładują się dwie elektryczne szczoteczki do zębów; wybieram pierwszą z brzegu. Nigdy w życiu bardziej nie chciałam umyć zębów. Włączam szczoteczkę i rozlega się piskliwe buczenie, aż podskakuję. To brzmi jak piła łańcuchowa w ogrodzie, jak wiertło przebijające się prosto do mózgu. Patrę w lustro i zaczynam szorować zęby. Jestem Elizabeth. Jestem Beth, powtarzam sobie w kółko.

Nagle zamieram. Szlag, jeśli jestem Beth, to jestem praworęczna.

Przekładam szczoteczkę do drugiej dłoni. Próbuję jeszcze raz. Mycie zębów niewłaściwą ręką jest prawie niemożliwe. Czuję się niezdarna jak przedszkolak, ale jadę dalej. Muszę poćwiczyć. Muszę to opanować. Nagle w lustrze pojawia się jakaś postać; prawie dostaję zawału. Ambrogio.

– Dzień dobry, skarbie – mówi, stając za mną.

Jego głos jest zachrypnięty, gardłowy. Wyłączam buczącą szczoteczkę, usta mam pełne piany.

– Jak się czujesz? – pyta.

Wypluwam pastę do umywalki i odkręcam wodę. Przyglądam się jego twarzy: wory pod oczami, na brodzie wczorajszy zarost. Wygląda, jakby przez całą noc nawet nie zmrużył oka.

– Ernesto jest z Emilią; zjedli śniadanie i bawią się w pokoju dzieciennym. Chciała go zabrać do parku, jeśli nie masz nic przeciwko.

A co z ciałem? Kurwa mać, co z moją siostrą?

– Dobrze – mówię. Chcę zobaczyć Erniego... pocałować go, wziąć na ręce. Mały Ernie! Jest cały mój!

– Słuchaj, Beth – zaczyna Ambrogio. – Hmm, jak by to...

Nachylam się pod kran i płuczę usta letnią wodą, spluwam do umywalki.

– Mamy problem.

– Problem?

– Tak.

Znajduję ręcznik i wycieram usta.

– Twoja matka – wyjaśnia.

– Moja matka jest w Australii.

– Wiem, *amore*, ale ona jest elementem ryzyka. Prędzej czy później zacznie się zastanawiać, co się stało z twoją siostrą. – Przerywa i marszczy brwi, patrząc na mnie w lustrze. – Ostatnie miejsce, w którym odnotowano obecność Alvie, to lotnisko w Katanii, kiedy przyjechała do ciebie z wizytą.

Szlag. On ma rację. Moja matka jest elementem kurewsko wielkiego ryzyka.

– No to co zrobimy? I gdzie jest ciało? – pytam. Wycieram całą twarz ręcznikiem.

– Ciało jest u moich chłopaków, tutaj, w Taorminie.

– I?

– I myślę, że najlepiej będzie się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Tak jak przed jej przyjazdem – oznajmia Ambrogio.

– A co z moją matką?

– Musisz do niej zadzwonić i powiedzieć, że Alvie nie żyje. Zaprosisz ją na pogrzeb.

Że, kurwa, co?

– Pogrzeb? Jaki znowu pogrzeb? Myślałam, że nie możemy zrobić jej pogrzebu.

– Powiesz, że pogrzeb jest dzisiaj. Ona mieszka na drugim końcu świata, nie przyjedzie. Ale nawet jeśli jakimś cudem da radę, to nic nie szkodzi. Nino ma ciało u siebie, na wszelki wypadek. To jest Sycylia; możemy zorganizować pogrzeb bez żadnych papierów. Będzie strasznie dużo zawracania dupy, ale da się zrobić. Bez przerwy dzieją się tu takie rzeczy.

Znów odkręcam wodę i spłukuję pastę do zębów. Woda wiruje wokół umywalki coraz niżej i niżej, do odpływu: gulgocze, burczy, znika. Ambrogio chyba ma rację. Moja matka przyjechałaby, gdyby to Beth umarła, ale podróż z Australii do Europy to cholernie długa wyprawa, żeby popatrzeć, jak obcy ludzie wypełniają dziurę w ziemi ciałem osoby, której się nawet nie lubiło. Wbijam paznokcie w plastikowy uchwyt szczoteczki do zębów.

– Zadzwonię do niej – zapewniam. Nie mam wyboru. Ale jeśli przyjedzie, to mam przerąbane. Ona jest jedyną osobą na świecie, która potrafi nas

rozróżnić. – Zadzwoń dzisiaj... ale chcę to zobaczyć.

– Co chcesz zobaczyć? – Ambrogio kładzie mi dłonie na ramionach, masuje mi szyję. Boli. Jestem spięta.

– Co z nią zrobią. Gdzie ją pogrzebią. – Chcę się upewnić, że trafi pod ziemię.

– Nie chcesz tego oglądać. To nie będzie nic przyjemnego.

– Muszę to zobaczyć. – Muszę wiedzieć, że ona już nie wróci.

Patrzemy sobie w oczy w lustrze. On stoi tuż za mną.

– Będę przy tym – upieram się.

On tylko wzdycha i potrząsa głową.

– Okej. Możesz iść z nami. Zadzwoń do Nina i mu powiem. – Obejmuje mnie ramionami i przyciąga blisko do siebie. – Wszystko będzie dobrze, Beth.

Jest ciepły; to miłe uczucie i nagle mu wierzę. Wszystko będzie dobrze, doskonale. Nadal trzymam w dłoni szczoteczkę do zębów; odstawiam ją na półkę.

– Ej, dlaczego używasz mojej szczoteczki? Przecież masz swoją – mówi Ambrogio.

Rozdział dziewiętnasty

STOJĘ NA ŚRODKU GARDEROBY i rozglądam się dookoła: czuję się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Ile tu cudownych ciuchów! Wszystkie ekskluzywne, drogie, designerskie. Skąd Beth miała na to wszystko kasę? Aż tyle nie mogła zarobić na tej swojej powieści. Czy Ambrogio jej to kupił za pieniądze odziedziczone po rodzicach? A może trzepie aż taki hajs z dilowania sztuką? Co by tu na siebie włożyć? Chyba coś czarnego? Wróc, nie. Zachowujemy się tak jak wcześniej, jakby nic nie zaszło. Tak powiedział Ambrogio. Jasne, kotku: jak sobie życzysz...

Wybieram jaskrawożółtą sukienkę od Roberta Cavallego, ze złotą obwódką wokół szyi i na rękawach. Po chwili widzę żółte koturny z lakierowanej skóry, które idealnie pasują do stylizacji. Śliczny słoneczny odcień doskonale odzwierciedla mój nastrój. Dopóki wszyscy będą myśleć, że jestem Beth, nie nie muszę się niczym martwić. Nie istnieje żadne prawo, które mówi, że mamy obowiązek ratować ludziom życie. Cztery krótkie minutki: co to jest? Nic. Każdy sąd by mnie uniewinnił.

Jeśli tylko uda mi się utrzymać moją matkę na odległość, wygrałam życie. Jebać Alvinę Knightly. Wszystko ustawione. Jestem milionerką. Obracam się przed lustrem i podziwiam sukienkę. Wyglądam jak gwiazda jakiegoś reality show, jak ktoś piękny i elegancki z *Ekipy z Newcastle*. Jestem żoną najseksowniejszego faceta na całej wyspie, faceta, który mi się należy. Kogo to obchodzi, czy chciał zabić Alvie. Ja nie jestem Alvie. Jestem Beth. Jestem bezpieczna. To ja tu mam wszystko pod kontrolą. To ja nadal żyję. Dopóki Ambrogio myśli, że jestem Beth, wszystko jest cacy. Będę najlepszą Beth na

świecie. Będę bardziej Beth niż Beth. Nie wrócę do Archway, za chuja w porcelanie. Przecież mogę mieć to wszystko!

No i nareszcie jestem matką! Właśnie zyskałam syna bez konieczności przechodzenia przez poród. Ale w sumie Beth też nie musiała; miała cesarkę (naturalne porody są dla plebsu).

Wszystkie Gwiazdki w jeden dzień!

Niespiesznie nakładam makijaż Beth, nucąc pod nosem klasyk Kylie: *I Should Be So Lucky*. Podkład Chanel, błyszczący Juicy Tube, maskara z Benefit... A na koniec szczodry prysk Miss Dior Chérie. Znajduję szczotkę Beth na toaletce i zaczesuję znów włosy w wysoki węzeł, tak samo jak wczoraj. Wygląda nieźle, ale muszę zapamiętać, żeby zadzwonić do tej stylistki. Potem namierzę iPhone'a Beth. Może zrobię sobie też paznokcie? Facial, masaż i ten zabieg, kiedy cię owijają folią jak kurczaka przed włożeniem do piekarnika. Ciekawe, jak długo utrzyma się ta sztuczna opalenizna. Muszę dziś trochę poleżeć na słońcu. Patrzę w lustro: ani śladu Alviny. Jestem gotowa.

Niepewnym krokiem wychodzę na korytarz, chwiejąc się na koturnach. To najtrudniejsze w byciu Beth: piętnastocentymetrowe obcasy. Zawsze się ubierała, jakby dopiero co zeszła z wybiegu: tydzień mody w Londynie, Paryżu, Mediolanie. Przytrzymuję się ścian, żeby nie fiknąć koziołka. Znajduję okno z widokiem na basen. Wciągam gwałtownie powietrze i zerkam na zewnątrz: widzę to miejsce na patio, gdzie leżało wczoraj ciało Beth. Pusto. Czysto. Basen wygląda jak oaza spokoju, jakby nic się nie wydarzyło. Błękitna woda migocze w porannym słońcu. Może później wyjdę popływać? Mogę robić, co mi się tylko podoba.

Nagle przez całe ciało przebiega mi dreszcz; łaskotanie od czubka głowy po koniuszki palców u stóp. Prąd. Eksplozja. Wszystkie moje najdziksze marzenia się spełniły. Wychylam się przez okno i biorę głęboki oddech. Już

czuję, że będzie dziś gorąco, naprawdę zajebicie gorąco. No tak, Beth mnie ostrzegła w mejlu, „Nie zapomnij zabrać bikini i kapelusza na słońce – mamy tu morderczą pogodę”. Ale dzisiaj ten upał już mi tak nie przeszkadza; idealna pogoda, żeby popracować nad opalenizną. Beth była tak brązowa, jak Tom Hanks w *Poza światem*. Nie dam się złapać. Nie przegram! To moja gra i zamierzam zgarnąć całą pulę, zmiotę wszystkie pionki.

Kręcę się po willi, aż znajduję kuchnię. To miejsce to jeden wielki labirynt. Rozglądam się za Davidem Bowiem w kostiumie króla goblinów. Siłownia. Kino. Salon. Pokój muzyczny. Biblioteka. Nareszcie trafiam do kuchni; jest gigantyczna. Utrzymana w tradycyjnym sycylijskim stylu: żółte i białe kafelki, sufit z drewnianych belek, na ścianie wiszą lśniące miedziane garnki. W powietrzu unosi się zapach świeżych cytryn i czegoś, co właśnie dochodzi w piekarniku. Na kredensie rozstawiona ręcznie malowana ceramika. Wygląda jak z reklamy Cath Kidston. Wszystko jest tak czyste, że aż się świeci.

Widzę kobietę, odwróconą do mnie plecami. Czy to Beth? Zamieram. Wszystkie mięśnie mi się napinają. Ale ma nie takie włosy: czarne i kręcone. Odwraca się i widzi, że się na nią gapię.

– *Ciao, signora* – wita mnie z uśmiechem.

Teraz pamiętam. To musi być Emilia. Emilia i Ernesto byli w parku. Mina mi rzednie. Nie znam włoskiego (tylko przekleństwa... a poza tym „pizza” i „cappuccino”), więc mówię tylko: „No hej”. Całe szczęście, że Beth nie chciało się uczyć włoskiego. To byłaby niezręczna sytuacja.

– Jak się pani miewa? – pyta Emilia.

– Dobrze – odpowiadam. W życiu nie czułam się lepiej. Jestem Elizabeth. Wszystko jest wspaniale. – A ty? Jak się czuje Ernie? – Podchodzę do wózka i zaglądam do środka. Mały śpi jak dziecko. Usta ma uchylone i mała strużka śliny cieknie mu po brodzie. Nie mogę uwierzyć, jaki jest piękny. Jest

doskonały. Prześliczny i cały mój. Ciekawe, czy zauważy, że zabiłam mu mamę. Wyciągam dłoń i głaszczę go palcem po mięciutkim policzku. Powieki mu drżą, ale się nie budzi.

– Ach! On śpi! – oznajmia Emilia i podchodzi, żeby objąć mnie po włosku: buziak w każdy policzek, a potem miażdżący kości uścisk. Emilia cudownie pachnie: mydło lawendowe? Dobrze, że pamiętałam o perfumach Beth.

– To dobrze. – Uśmiecham się ciepło, tak żeby zrobiły mi się kurze łapki w kącikach oczu. Zauważyłam, że Beth właśnie tak się uśmiechała, kiedy rozmawiała z nianią.

– A gdzie pani siostra, Alana?

O, Boże? Poważnie? Co ją to obchodzi?

– Alvie musiała jechać do domu, z powrotem do Londynu – wyjaśniam. – Jakiś kryzys w pracy. Ona ma strasznie odpowiedzialną pracę. Jest naczelną poetką w dodatku literackim do „Timesa”. Emilia patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Cappuccino? – dodaję.

– Ja przygotuję, *signora* – mówi z uśmiechem.

Nie potrzebuję kofeiny; i tak już jestem jak na szpilkach, zupełnie rozbudzona. Zapomniałam, że mam kaca. To mi się nigdy nie zdarza. Czasami mam kace, które trwają dwa albo trzy dni. Zdarza się, że cztery. Raz spędziłam cały tydzień w szpitalu. Emilia wyjmuję srebrny garnuszek i torbę pełną ziaren kawy. Nie odrywam od niej wzroku. Nie zawsze będę ją miała pod ręką, a przecież muszę wiedzieć, jak zrobić kawę we własnej kuchni. Nie ma tu słoika z rozpuszczalną Nescafé ani czajnika. Nawet bym nie wiedziała, od czego zacząć.

Emilia znajduje na półce małe srebrne urządzonek i rozkręca je na części. Podstawę wypełnia wodą z filtra. Potem wsypuje czekoladowobrązowe

ziarna kawy do innej maszyny i naciska pstryczek. Rozlega się ogłuszające warczenie, a pomieszczenie wypełnia aromat świeżo zmielonej kawy, jakby ktoś rozpylił w powietrzu chmurę cracku. Ślina napływa mi do ust. Emilia nabiera miarkę drobno zmielonego kawowego proszku i wkłada do srebrnego dzbanuszka. Następnie odkręca gaz i przykłada długą, cienką zapalną do palnika. Zapamiętuję, gdzie Emilia trzyma zapalną, tak na wszelki wypadek, jakbym ich kiedyś potrzebowała: w małym ceramicznym naczynku, na lewo od kuchenki.

– *Due minuti* – oznajmia.

To chyba znaczy „dwie minuty”.

– Chce pani mleka?

Kiwam głową. Urządzone bulgocze. Emilia nalewa centymetr kawy do maciupieńkiej filiżaneczki i dodaje łyżeczkę spienionego mleka. To wszystko? Nie ma mowy. Jestem przyzwyczajona do Starbucksowego venti: dwa litry piany w wiadrze, a do tego karmelowa dekoracja. Tutaj mam kawę w naparstku.

– Dzięki – mówię. Super.

Biorę łyżeczek. Ja pierniczkę. Jakbym piła kwas.

– Uch! Potrzebuję trochę cukru.

Ona patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym dopiero co wylądowała na tej planecie.

– *Ale signora, mi dispiace!* Pani zawsze mówi, cukier to zło?

– No cóż, zmieniłam zdanie.

Pakuje do filiżaneczki kilka łyżeczek cukru i mieszam, żeby pozbyć się goryczy. Emilia przygląda mi się z dziwną miną i przechyla głowę na bok. Hmm, Emilia, będę musiała na nią uważać. Gdyby to była powieść, to właśnie ona by mnie zdemaskowała. W klasycznych kryminałach to zawsze służba najlepiej wie, co jest grane: lokaje, sprzątaczkę, nianie, gosposie.

Poprawiają zasłony. Podszuchują pod drzwiami. Są oczami i uszami całej posiadłości. Żaden skandal im nie umknie. Żadna tajemnica się przed nimi nie ukryje. Oj, tak, muszę mieć na nią oko.

– Gdzie jest Ambrogio? – pytam.

– Pływa.

Wyglądam przez okno i patrzę na basen. Nieruchomy jak oczko wodne.

– W morzu – dodaje Emilia.

Ach, no tak. Zapomniałam o morzu. Co powinnam teraz zrobić? Muszę pozbyć się tego nerwowego napięcia. Jestem napięta jak struna. Może powinnam się wybrać na mały rekonesans, trochę poznać okolicę? Mogłabym poćwiczyć chodzenie w nowych butach.

– Chyba pójdę na spacer... do amfiteatru! – oznajmiam. Beth często tam chodziła. Twierdziła, że to „inspirujące”. No i może będzie tam ten ochroniarz; może trochę mi rozjaśni, o co chodziło Beth. – Do zobaczenia później.

Nachylałam się nad wózkiem i całuję Erniego. Jego maleńki policzek jest ciepły i miękki. Wychodzę z kuchni na korytarz. Całkiem nieźle sobie radzę na obcasach. Ale potem sobie przypominam: muszę wykonać ten międzynarodowy telefon. O, Boże. To będzie okropne. Będę musiała ją obudzić; w Sydney jest środek nocy. Ostatnie, na co mam ochotę, to rozmowa z moją matką.

Rozdział dwudziesty

– **CO TO MA ZNACZYĆ:** „odeszła”?

– W sensie, że nie żyje, mamó. Przykro mi.

Następuje niezręczna cisza. Przyciskam słuchawkę mocniej do ucha i owijam poskręcany kabel wokół palców.

– Halo?

– Beth? Beth? Przerywa mi, kochanie? Nie słyszałam ani słowa.

Biorę głęboki oddech. To będzie tortura. Nie rozmawiałam z matką od miesiący. Może nawet już rok. Zazwyczaj po prostu unikam jej telefonów, nie żeby chciało jej się do mnie dzwonić. Nie potrafi używać mejla. Nawet nie słyszała o Facebooku i Twitterze. Raz dostałam od niej kartkę z Ayers Rock, ale to było w grudniu 2009 roku. Krzywię się, słysząc w jej głosie australijskie zaciąganie. Wszystko, co mówi, brzmi jak pytanie; na końcu każdego zdania jej głos podjeżdża do góry. Czuję się, jakbym była spokrewniona z kimś z *Sąsiadów*; na przykład z Madge Ramsay. Czy ona jeszcze żyje?

– Alvie, mamó. – Tłumaczę powoli, jakbym rozmawiała z trudnym dzieckiem. – Zdarzył się wypadek. Nie żyje. – Jak ptak dodo.

Na jakąś minutę w słuchawce zapada kompletna cisza. Chyba ją rozłączyło.

– Haaaaalooooooooo? – mówię. – Mamó?

– Och, Boże drogi... Kto nie żyje?

Ja pierdolę.

– Al-vi-na – wzdycham.

– Ach, rozumiem – odpowiada wreszcie.

Wyczuwam w jej głosie ulgę, promieniującą z drugiego końca świata. O, Boże. Wiedziałam! To prawda. Zawsze nienawidziła biednej małej Alvie. Co ja jej zrobiłam, żeby na to zasłużyć? To takie niesprawiedliwe. Nawet nie jest jej smutno. W ogóle się nie przejęła. Mrugam, żeby powstrzymać łzy.

– Pogrzeb będzie dzisiaj, więc raczej nie dasz rady przyjechać. Na pewno nie dasz rady.

– Jak to się stało? – pyta matka, wchodząc mi w słowo. Teraz brzmi trochę smutniej, odnotowuję z zadowoleniem, choć wciąż nie powiedziałabym, że się wzburzyła.

– Miała wypadek na basenie. Była pijana – wyjaśniam. To brzmi całkiem wiarygodnie. Alvie zawsze lubiła sobie wypić jednego. Albo dwa. Albo trzy. Lubiała pić, aż przestawała cokolwiek czuć, a świat stawał się lepszym miejscem. A potem piła jeszcze trochę. I jeszcze. I jeszcze. I nie pamiętała, jak wróciła do domu. A czasami (często) w ogóle nie udawało jej się wrócić do domu. (Miejsca, w których spałam, a które nie były łóżkiem: korytarze, rowy, krzaki, klatki schodowe, windy, autobusy, stawy).

– Pijana – powtarza mama. – Basen. Rozumiem. – Jej głos wydaje się teraz jeszcze bardziej odległy, jakby była dalej niż na południowej półkuli, dalej niż na Jupiterze albo Marsie. – Cała Alvina. Nie mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona. Ona zawsze była...

– Jak powiedziałam – przerywam – pogrzeb jest dzisiaj... – Rozciągam kabel telefonu między palcami, aż robi się prosty i napięty niczym sznur wisielca. Nie jest zaskoczona. W sumie to się tego spodziewała. Pewnie nawet się teraz cieszy.

– Kupię bilet.

Kurwa.

– Nie! Mamo, nie musisz przyjeżdżać. – Głos mi się podnosi; próbuję się

kontrolować. – Nie dotrzesz na czas, a poza tym i tak nic nie możesz zrobić.

Następuje długa pauza. Moja matka się zastanawia. Wstrzymuję oddech. Niemal słyszę, jak jej szare komórki wirują tak szybko, że jeszcze chwila i trybiki jej się powyłamują. Daleko. Dużo pieniędzy. To tylko Alvina umarła, nie Beth.

Proszę, mamó, nie przyjeżdżaj, błagam w myślach. Kurwa, nie przyjeżdżaj.

– Nie dałoby się trochę odłożyć pogrzebu, kochanie? Nie rozumiem.

– Widzisz, mamó, tutaj tak to się robi. Musi być dzisiaj. Taki katolicki zwyczaj. Nie dasz rady dojechać. Przykro mi – mówię i pozwalam, by głos mi się załamał pod idealnie wymierzoną ilością „smutku”. Niech ta rozmowa już się skończy. Gdyby to Beth umarła, ona już by się pakowała. Gdyby to Beth umarła, ona już by zapierdalała na samolot. Powinnam się po prostu rozłączyć. Może przerwać połączenie?

– Cóż... – mówi w końcu, namyślając się. – Skoro tak mówisz, kochanie. Naprawdę powinnam przyjechać. Ale jestem strasznie zajęta, nasza parafia organizuje właśnie piknik charytatywny i... cóż, żałuję, że nie pojawię się na pogrzebie własnej córki.

– Hmm. – Jakby jej zależało. Niewiarygodne. Praktycznie tańczy – nie, twerkuje – na moim grobie.

– Po prostu mi przykro, że nie mogę przyjechać, żeby cię wspierać... Dobrze się czujesz?

– Tak, w porządku – zapewniam. – To znaczy, oczywiście... wszyscy jesteśmy w szoku.

– Naturalnie. To zabrzmia okropnie, ale Beth, tak się cieszę, że to nie byłaś ty.

Boże, tylko nie znowu to. Nie wytrzymam tego dłużej. Najpierw Ambrogio, a teraz moja własna matka. Wpycham sobie pięść do ust i mocno

przygryzam. Ból odpędza chęć płaczu, ale nie na długo. Przynajmniej mama nie spiskowała, żeby mnie zabić. Chyba że współpracowała z Ambrogiem? Nie mogę mu ufać. Nie mogę ufać matce. Zaciskam zęby i wstrzymuję oddech. Trzymaj się, Alvina. Trzymaj!

Żegnamy się i odkładam słuchawkę. Mam dokładnie to, czego chciałam. Moja matka nie przyjedzie. Nie mam kompletnie przerąbane. Ale gdzieś w środku aż się we mnie gotuje. Nie musiałam jej przekonywać. Jak ona mogła nie przyjechać na mój pogrzeb? Piknik w parafii? Gównu to kogo obchodzi? To potwierdza podejrzenia, które żywiłam od urodzenia: moja matka nigdy nie lubiła Alviny. Od samego początku wszystko kręciło się wokół Beth. Zawsze uważała, że jesteśmy jak Jekyll i Hyde. Kategorie postanawiam nie płakać. Moja matka jest teraz dla mnie martwa.

W kącie stoi antyczna waza na wypolerowanym drewnianym stoliku. Ręcznie malowana na niebiesko, ze ślicznymi białymi kwiatuskami i delikatnym wzorkiem wzdłuż krawędzi. Ostrożnie biorę ją w obie ręce, trzymając u podstawy, i z całych sił rzucam na mozaikową posadzkę.

Roztrzaskuje się na tysiąc odłamków.

* * *

Do amfiteatru idzie się dwie minuty, ale żałuję, że nie wzięłam taksówki. Powietrze jest nieruchome i tak gorące, że aż parzy. W takiej temperaturze nie da się chodzić. Kopię pył na wyschniętej na wiór ziemi i próbuję iść jak Beth: broda do góry, ramiona do tyłu, spokój i pewność siebie. W przeciwieństwie do wtorkowego natłoku źle ubranych turystów dzisiaj jest tu prawie pusto. Całe miejsce jest ciche, zapomniane, praktycznie opuszczone. Dołączam do dwójki innych turystów w kolejce i próbuję wtopić się w otoczenie. Nie działa; odwracają się i gapią prosto na mnie. Jestem stanowczo zbyt dobrze ubrana. A może to przez ten żółty kolor, jak na znaku

drogowym? Już mam się skrzywić i posłać spojrzenie spode łba, ale przypominam sobie, że przecież mam być Beth. Próbuję przywołać na twarz swój najśłodszy wesoły uśmiech. Wyglądają na trochę przerażonych. Odwracają się do mnie plecami i coś szepczą.

Morze ma ohydny zielonkawoniebieski kolor. Kępy wodorostów rozchodzą się po dnie jak wielkie siniaki. Słońce odbija się od powierzchni wody i kaleczy mi siatkówkę oka. Niebo jest nieznośnie niebieskie.

– Elisabetta! Elisabetta!

Jakiś mężczyzna podbiega i staje przy mnie na końcu kolejki, dysząc ciężko. Ma jasnoniebieskie oczy i potargane blond włosy, niezwykle jak na Sycylijczyka. To musi być ten ochroniarz, którego widziałyśmy wczoraj. Ma na sobie mundur. To na pewno on.

– Elisabetta? To ty? Czy... czy jesteś tą drugą? – Patrzymy sobie w oczy. Chwilę milczę. Odwracam wzrok.

– To ja, Elizabeth – mówię.

– Oczywiście, że to ty, wszystko w porządku?

– Jasne – zapewniam. – Co u ciebie? – Jak on się nazywał? Beth mi nie powiedziała. Teraz raczej nie mogę go zapytać. Szkoda, że nie ma plakietki z imieniem.

– *Bene, bene.* Gdzie twoja siostra? – pyta z szerokim uśmiechem. Ogląda się za ramię, szukając wzrokiem bliźniaczki, w nadziei na darmową rozrywkę.

– Och, Alvina już pojechała do domu – wyjaśniam, próbując zabrzmieć nonszalancko. Nagle robi mi się jeszcze goręcej. Czuję, że pocą mi się dłonie. Wycieram je o wściekle żółtą sukienkę Beth, w górę i w dół. Chciałabym się czegoś napić.

– Tak szybko? – Facet marszczy brwi. – Przecież dopiero co przyjechała.

– Tak, wiem. Jakiś kryzys w pracy...

Gość przygląda się mojej twarzy. Wbijam wzrok we własne buty. Udamę, że ziewam i krzyżuję ramiona na piersi, markując zainteresowanie plakatem *Nabucco*.

– Więc... więc z tobą... naprawdę wszystko okej? – upewnia się. Znowu.

– Dlaczego jeszcze tu jesteś? Przecież miałaś uciekać? Wczoraj w nocy?

Patrzę na jego rękę na moim ramieniu: obgryzione paznokcie, cyfrowy zegarek. Nie chcę, żeby mnie dotykał; kto wie, gdzie był wcześniej.

– Nic mi nie jest – mówię, odsuwając się od niego. Won z mojej przestrzeni osobistej. Co go to obchodzi? Co on wie o tym całym planie?

– Ty jesteś Elisabetta, prawda? – upewnia się.

Głos mu słabnie. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Oddychaj, Alvie. Oddychaj. Wszystko okej. Te ciuchy są bardzo „Beth”. Nie mogłabym bardziej przypominać swojej bliźniaczki. A skoro tak, to dlaczego cała dygoczę? Dlaczego po piersi spływa mi kropelka potu? Dlaczego serce tak mi tłucze o żebra? Szlag, mam nadzieję, że on tego nie słyszy.

– Tak, to ja. Już ci powiedziałam. Alvie musiała jechać do domu. – Boże, o co mu chodzi? Nie powinnam była tu przychodzić. To był błąd.

Facet wzdycha i potrząsa blond włosami; nagle wygląda na zaniepokojonego. Oplata mnie ramionami wokół szyi i przyciąga do siebie w niedźwiedzim uścisku. Czuję zapach jego żelu do włosów; to znaczy, że je ułożył? Chyba zależało mu na takiej stylizacji „prosto z łóżka”. Stoję sztywna jak pał; nie lubię, kiedy kompletnie obcy ludzie mnie przytulają. Ale wtedy sobie przypominam; on nie jest obcy. Mam być Beth; to mój przyjaciel. Wygląda na to, że wszystko mu opowiedziała. Wygląda na to, że on doskonale wie o całym planie. Więc odwzajemniam uśmiech. Muszę wybadać, co ten koleś wie. Stawiam wszystko na jedną kartę.

– Zamierzałam wyjechać wczoraj w nocy. – (Tak mi się wydaje). Odsuwam się od niego.

– Wiem, więc dlaczego jeszcze tu jesteś? Przecież to niebezpieczne, Betta.

– Och, pomyślałam, że może jednak zostanę. – Wskazuję gestem na amfiteatr i morze. – Chyba trochę się przywiązałam.

On patrzy na mnie przez pół sekundy z dziwną miną. Na jego młodzieńczej twarzy maluje się niedowierzenie.

– Ale Elisabetta, mówiłaś, że nie masz wyboru. – Strzela oczami na prawo i lewo, obserwując pusty amfiteatr. – Jeśli tu zostaniesz, nie żyjesz. Ty i dziecko.

Czekam na wybuch śmiechu, na zapewnienie, że to przecież tylko taki żart, ale on tylko przestępuje z nogi na nogę w niezręcznej ciszy i czeka na moją odpowiedź. Zerkam na zegarek, jakbym miała zaplanowane spotkanie, na które nie mogę się spóźnić.

– Kurde. Przepraszam. Muszę lecieć.

Odwracam się na pięcie i ruszam w stronę wyjścia.

– Elisabetta? Dokąd idziesz?

– Zobaczymy się później – wołam do niego przez ramię.

– Nie idź do domu! To niebezpieczne!

Wybiegam z amfiteatru najszybciej, jak potrafię w tych kretyńskich żółtych bucikach. Pędzę po drodze w dół wzgórza, dyszę, gwałtownie skręcam, potykam się, pędzę przez alejki, przełamuję przez płot do ogrodu. Potem do następnego. Alejka. Droga. Potem gubię się w cytrusowym sadzie, drzewa wirują wokół mnie, zaplątuję się w gałęzie, potykam o korzenie. Biegnę bez końca, aż rozsadza mi płuca, ledwo wdycham gorące powietrze. Pszczoły i osy brzęczą mi przed twarzą. Macham rękami, tłukę się po ciele otwartymi dłońmi. Cała już jestem pogryziona przez komary. Ten kraj chce mnie zezreć żywcem.

Opadam pod powykręcany starym drzewem, opieram się plecami o pień, dyszę gwałtownie, ręce mi się trzęsą. Patrzę na swoje ciało, bezwładnie

wyciągnięte na brudnej ziemi. Nie wygląda ani trochę jak ja. Nie czuję się sobą. Pomarańcze i cytryny jak okiem sięgnąć. „Pod gorącym słońcem, w dalekich krainach, rośnie sobie w gaju złocista cytryna”. Śpiewaliśmy to z Beth, jak byliśmy małe.

„Mówiłaś, że nie masz wyboru”, powiedział ochroniarz. „Jeśli tu zostaniesz, nie żyjesz”.

Nie wiem, co mam zrobić. Z jednej strony chcę uciekać, biec przed siebie i nigdy się nie zatrzymywać. Jestem na wyspie. Prędzej czy później dobiegłabym do morza. A potem mogłabym płynąć i płynąć, aż już dłużej nie dałabym rady. A z drugiej strony mam ochotę wrócić do willi, złapać paszport i pędzić na lotnisko. Nie mam dokąd wracać. Żadnej rodziny. Przyjaciół. Nawet moja matka myśli, że nie żyję. „Pod gorącym słońcem, w dalekich krainach, rośnie sobie w gaju złocista cytryna. Chociaż bardzo kwaśna, aż krzywią się miny, sok z cytryny pić trzeba, bo ma witaminy. Nie potrzeba czarów, gdy sok nam pomoże być jak ryba zawsze zdrowym i w dobrym humorze”.

Z trudem powstrzymuję się od szlochu.

Ogarnij się, Alvie. Do kurwy nędzy, ogarnij się.

Ocieram policzki palcem i pociągam nosem. Zostanę tutaj. Tego chciałaby Beth. Ambrogio potrzebuje żony. Ernesto potrzebuje mamy. To bezinteresowny, szlachetny gest.

Ale dlaczego ten ochroniarz tak się o mnie martwił? Dlaczego Beth zmusiła mnie, żebym zamieniła się z nią miejscami? Dlaczego tak dziwnie się wczoraj zachowywała? Dlaczego płakała? Co ją tak zdenerwowało? I gdzie ona zarobiła te wszystkie siniaki?

Nie mam pojęcia, co tu się dzieje.

Jeśli mam się czegoś dowiedzieć, to muszę udawać Beth. Nie ma innego wyjścia. To jedyny sposób. Na zawsze zostanę Beth, jeśli będę musiała. Będę

Beth aż do ostatniego tchu. Podciągam się, wstaję, otrzepuję. Śliczna sukienka Beth jest cała w kurzu. Zabiłaby mnie, gdyby to zobaczyła. Sprawdzam metkę. Uch: tylko pranie chemiczne. Super. Oczywiście.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Parco Dell' Etna, Sycylia

NINO WYGLĄDA, jakby przyszedł tu prosto z planu zdjęciowego *Ojca chrestnego*. Może to po prostu taka moda w tej części Sycylii. Wygląda cool, w ten sam sposób co Al Pacino w roli Michaela Corleone.

Wąs w podkowę. Czarna marynarka, czarny krawat, szara fedora z czarną wstążką. Teraz pamiętam: to jego widziałam, jak wymyka się z willi zaraz po moim przyjeździe.

– Fajny kapelusz – mówię.

Nino nie odpowiada. Nic nie mówi, kiedy wsiadamy do jego lśniącego czarnego vana i pędzimy przez sycylijski krajobraz. Z głośników leci Metallica – tak głośno, że zaraz rozsadzi mi bębunki (*Master of Puppets*, niezły kawałek). Nino kiwa głową w kapeluszu do rytmu odjazdowej ścieżki basu.

– *Dov'è il cadavere?* – pyta Ambrogio, przekrzykując muzykę.

– *Bagagliaio* – odpowiada Nino.

– Co? – Patrzę na Ambrogia. Siedzę sama z tyłu i chrupię serowo-cebulowe pringlesy. – Chcesz jednego? – proponuję. Ambrogio posyła mi dziwne spojrzenie i potrząsa głową.

Chłopcy siedzą z przodu. Z lusterka zwisa odświeżacz powietrza o zapachu gumy balonowej. Deskę rozdzielczą zdobi przyklejony taśmą obrazek z Jezusem. Drewniany różaniec ze srebrnym krucyfiksem.

– Twoja siostra jest w bagażniku.

Wzdrygam się i odwracam głowę ku tyłowi samochodu, odkładam chipsa z powrotem do puszki i nakładam przykrywkę. Bagażnik jest tuż za mną, ale zakrywa go gruba czarna plandeka, więc nie widzę, co jest w środku.

– Poważnie? – wołam. – Naprawdę tam jest?

– Tak – potwierdza Ambrogio.

– Jesteś pewien?

– Co? – krzyczy Ambrogio, oglądając się przez ramię. – Chcesz się zatrzymać i popatrzeć? Myślisz, że Nino o niej zapomniał? Jedziemy pogrzebać trupa, ale zapomnieliśmy o trupie? Ten facet to profesjonalista, prawda, Nino?

– Profesjonalista – mówi Nino.

Raczej mu wierzę; po prostu wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, że ciało mojej siostry naprawdę leży w bagażniku. W końcu jedziemy po ulicy w biały dzień. Nino prowadzi jeszcze gorzej niż Ambrogio. Jakby marzył o śmierci. Chyba wszyscy tu tak jeżdżą, więc raczej nie powinna nas zatrzymać policja. Bardziej podejrzanie byśmy wyglądali, gdybyśmy trzymali się przepisów. Ale co, jeśli drogówka akurat urządzi łapankę z przeszukaniem? Rutynowa kontrola? Mielibyśmy przejebane. Mrużę oczy, rozglądając się za radiowozem na poboczu, ale nie widzę. Zarzuca mnie na siedzeniu z lewa na prawo, przy każdym zakręcie uderzam o drzwi. Może to stąd się wzięły te siniaki Beth? Nie ma tu pasów bezpieczeństwa. Niezbyt bezpieczna wycieczka.

Wyglądam przez okno i patrzę na wysokie cyprysy, wystrzelające ku niebu niczym długie zielone świece; na gołe szare twarze skał spoglądające ze wzgórz. Autostrada do Katanii wiję się wzdłuż linii brzegowej i bez przerwy jesteśmy blisko morza. A może wyrzucą jej ciało gdzieś do wody? Morski pogrzeb, jak dla Osamy bin Ladena. Mam nadzieję, że nie wypłynie na powierzchnię jak czarownica.

– Dokąd jedziemy? – pytam w końcu.

– Kolega Nina buduje sobie domek na wsi – wyjaśnia Ambrogio. Jego głos ledwo przebija się przez muzykę. – Prawda, Nino?

Solista wrzeszczy: „Master! Master!”. Linia basu huczy: DUUM! DUUM! DUUM!

– Domek na wsi – potwierdza Nino.

– Okej... – mówię. – No i?

– Zobaczysz.

Wjeżdżamy na bardziej oddaloną wieś, gdzieś w okolicach Katanii. Nino skręca w piaszczystą drogę i przez kilka minut jedziemy przez las. Na trasie jest pełno dziur i wystających korzeni. Odbijam się w górę i w dół na twardym siedzeniu. Drzewa rosną strasznie gęsto, więc zupełnie zasłaniają słońce. Jest ponuro, robi się coraz ciemniej. Wreszcie wyjeżdżamy na otwarty teren, Nino wyłącza silnik. W pierwszej chwili myślę, że nic tu nie ma, tylko polana pośrodku lasu, pod nami ziemia, a nad nami mały skrawek nieba przebijający się przez pierścień drzew. Potem jednak dostrzegam stertę pustaków, dziurę w ziemi i zaparkowanego pikapa. Trochę dalej, za gęstwiną gałęzi, stoi ciężarówka z betoniarką. Jesteśmy na placu budowy.

– Chcesz wysiąść? Możesz zostać w samochodzie, jeśli to dla ciebie zbyt wiele. – Ambrogio posyła mi wymuszony uśmiech i wyskakuje z vana. Aż się podrywam, kiedy zatrzaskuje drzwi do samochodu.

Uch. Dlaczego w ogóle chciałam tu przyjeżdżać? A teraz Ambrogio ma fochy, bo narobiłam problemów i nie trzymałam się jego głupiego planu. Przyglądam się mężczyznom przez zaciemnione okno: Ambrogio, Nino i ktoś jeszcze. Nino stoi przy dziurze w ziemi: milczący, nieruchomy. Jest zwrócony do mnie plecami. Chyba w ogóle się nie rusza. Wygląda, jakby nawet nie oddychał. W życiu nie widziałam, żeby ktoś był aż tak spokojny. Jest w nim coś takiego. Nie potrafię tego nazwać. Nagle w samochodzie robi

się strasznie gorąco. Duszno. Parno. Klima jest wyłączona. Od choinki zapachowej robi mi się niedobrze. Muszę wyjść na zewnątrz; zaraz się porzygam. Nie mogę oddychać. Otwieram drzwi i wysiadam z auta.

– *Domenico, e pronto il cemento?*

– *Sì, sì. E pronto. E pronto.*

Na przyczepie pikapa siedzi wielki facet w brudnych niebieskich ogrodniczkach i pali kubańskie cygaro. Zgaduję, że to Domenico. Podnosi głowę, kiedy mnie zauważa: blizny po trądziku, złamany nos, głowa ogolona prawie na zero, jak w więzieniu. Zostawia zapalone cygaro na krawędzi metalowej półki i zeskakuje na ziemię.

– *Professore* – mówi, kiwając głową w stronę Ambrogia.

Dlaczego nazywa go *professore*?

Domenico odwraca się do mnie.

– Pani siostra umarła?

Nic nie mówię. Ja pierdolę, to chyba oczywiste. Dlatego tu wszyscy jesteśmy. Nie mam ochoty stać i plotkować z facetem, którego w ogóle nie znam, zwłaszcza jeśli wygląda, jakby właśnie własnymi rękami wykopał sobie drogę z więzienia. Czarne upaprane paznokcie, brudna twarz, podarte spodnie, łeb jak u skazańca; wygląda jak brzydkie dziecko Steve’a McQueena i jakiejś narośli, tylko mniej atrakcyjne.

– No, mój brat umarł w zeszłym tygodniu – dodaje. – Wypruli mu flaki.

Kurwa, obrzydliwe.

Ambrogio potrząsa głową.

– Po jaką cholere gadasz takie rzeczy w obecności damy? – Chyba mówi o mnie. Podchodzi do Domenica.

– Właśnie – dodaje Nino. – Chuj kogo obchodzi twój brat? Był debilem.

– Nie mów tak o rodzinie, chłopie – odpowiada Domenico, patrząc na Nina. Głos ma jak papier ścierny.

– Nie był moją rodziną – mówi Nino. – Moja matka nie dawała dupy własnemu bratu. Debil zasrany. Szkoda, że sam go nie zabiłem.

– *Figghiu ri buttana.*

– *Minchia.*

– *Stronzo.*

– *Che palle* – przerywa Ambrogio, stając między nimi. Odsuwają się od siebie, warcząc jak psy. – *E basta. Calma! Calma!* – dodaje.

– Co się stało? – pytam, patrząc na Nina. – Z jego bratem?

– Lizał za dużo cipki i się zrobił *pazzo* – wyjaśnia, odpalając sobie czerwonego marlboro, po czym pstryka zużytą zapalką w twarz Domenica.

Cóż. To chyba wszystko tłumaczy.

Teraz mam ochotę na papierosa.

Nino i Domenico podchodzą do vana i otwierają bagażnik. Kurczę się za Ambrogiem. Też zapala papierosa. Teraz naprawdę chce mi się palić.

– Eee, mogłabym też jednego? – pytam. Wiem, wiem, Beth nie paliła, ale wydaje mi się, że to wyjątkowa sytuacja. Poza tym jeśli zaraz nie zafunduję sobie strzała nikotyny, będzie nieprzyjemnie. To znaczy jeszcze bardziej nieprzyjemnie. O ile to w ogóle możliwe.

Ambrogio patrzy na mnie krzywo, ale potem kiwa głową. Wkłada mi swojego papierosa do ust i odpala sobie nowego. Zaciągam się głęboko. Czuję się trochę lepiej. On kładzie mi dłoń na ramieniu i przyciska mnie mocno do siebie.

Wtedy ją widzę i aż zapiera mi dech.

Beth nie leży w trumnie ani nic w tym stylu. Nie jest nawet zapakowana do worka. Jest półnaga i idealnie mlecznobiała. Nadal ma na sobie tę sukienkę od Louisa Vuittona, którą ukradłam na lotnisku. Ledwo się na niej trzyma. Ramiączko jest oberwane. Na twarzy ma zaschniętą krew, włosy zlepione i potargane. Nie wiem, dlaczego to dla mnie taki szok. Może po

prostu chodzi o to, że jej włosy zawsze były takie idealne. Zawsze była doskonale wypielegnowana.

– O, Boże – mówię. Zakrywam twarz dłońmi.

Nino i Domenico niosą ciało Beth za ramiona i kostki. Zatrzymują się nad dziurą w ziemi. Szyję ma sztywną, a ramiona wyglądają jak przyklejone do boków. To chyba *rigor mortis*; wygląda jak ta lalka Barbie, którą znalazłam kiedyś w śmieciach, tylko głowę nadal ma przyczepioną do ciała.

– *Uno, due, tre* – odliczają, po czym wrzucają ją do rowu.

Bum.

– Fundament pod nowy domek – mówi Ambrogio.

Podchodzi do kolegów i staje na krawędzi rowu.

Idę za nim. Stoimy we czwórkę nad dziurą w ziemi i gapimy się na ciało Beth. Leży twarzą do ziemi. Sukienka jej się zadarła do góry i widać jej tyłek. Może ma na sobie stringi, ale jeśli tak, to są takie cienkie, że pod tym kątem w ogóle nie da się ich dostrzec. Dla mnie to zupełnie oczywiste, że patrzymy na dupę Beth. Moja własna wydaje mi się o wiele większa. Rozstępy. Cellulit. Zerkam na Ambrogia, ale on chyba nic nie zauważył. Dziwne.

Skóra Beth jest tak biała, jakby cała jej opalenizna się zmyła w basenie. Nigdy nie widziałam jej takiej bladej. Zerkam na swoje przedramiona. Sztuczny brąz chyba zszedł ze mnie pod prysznicem, więc teraz obie jesteśmy tego samego koloru. Mam fuksa.

Domenico podchodzi do ciężarówki, wsiada i odpala silnik. Maszyna chwilę kaszle, dławi się i charczy, po czym nabiera życia. Ciężarówka wydaje z siebie wysoki, piskliwy sygnał, a na dachu kabiny zapala się lampka, która migocze na niebiesko, podczas gdy samochód cofa się w stronę rowu. Pełźnie powoli, tak zajebiście, koszmarnie powoli, aż w końcu przystaje. Domenico wysiada z szoferki i robi coś z betoniarką. Maszyna

stęka, jęczy, obraca się i odchyła, a z jej otworu spływa gęsty, mokry beton. Prosto do rowu. Kiedy uderza o świeżo wykopane podłoże i zakrywa trupa, rozlega się głośnie, głuche ciamkanie. Jej stopy, łydki, kolana, uda. Plask, plask, plask. Jej tyłek, plecy, łopatki, głowa. Czuję zapach palonej ropy. Z betoniarki unoszą się kłęby czarnego dymu. Po kilku minutach już nie ma Beth, tylko kwadratowa dziura wypełniona bladoszara breją.

Co zrobiłaby Beth, gdyby stała tu na moim pogrzebie? Czy zachowałaby taki stoicki spokój? Byłaby taka zdystansowana? Zrelaksowana? A może by szlochała i beczała w ataku hysterii? Nie mam pojęcia. Nie dostałam instrukcji obsługi na taki wypadek. Wiem tylko, że gdyby w tej dziurze nie leżała moja siostra, to byłabym tam ja. Nigdy się nie dowiem, jak blisko byłam. Czy Beth zaprosiła mnie tu tylko po to, żeby mnie zabić? Potrząsam głową. Nie.

Nie Beth. Niemożliwe, za chuja w porcelanie. Ale może Ambrogio? Zerkam na niego, ale jest zajęty telefonem. Muszę mieć na niego oko. Chyba powinnam się cieszyć, że jeszcze tu jestem.

Wydaję z siebie długie, głębokie westchnienie ulgi, gaszę papierosa i wgniatam go w ziemię. Ambrogio, Nino i Domenico jednocześnie wykonują znak krzyża na piersi. Jakby mieli przećwiczoną całą choreografię, jak tancerze na koncercie Taylor. Naśladuję ich gest.

Wsiadamy z powrotem do samochodu.

Zerkam na ladowanic Beth: trzynasta czterdzieści dwie. Mam nadzieję, że droga powrotna nie zajmie nam zbyt wiele czasu; mam umówioną wizytę u stylistki Beth i wolałabym się nie spóźnić.

Rozdział dwudziesty drugi

Taormina, Sycylia

– **MAMMA MIA**, jak ci szybko rosną włosy. Dwa tygodnie temu rozjaśniałyśmy pasemka, a teraz już takie odrosty! *Non ci credo...* – Stylistka, która według iPhone'a Beth nazywa się „Cristina Włosy Uroda”, stoi za mną i przeczesuje mi włosy palcami. Szeroko otwiera powieki z kreskami z kohlu. Potrząsa lśniącymi lokami.

– Hmm – mrużę, przeglądając włoskiego „Vogue'a”. Ooch, jaka cudna sukienka od Valentino; śliczne falujące falbany i głęboki dekolt. W sam raz na czerwony dywan. Może ją sobie kupię na randki z Ambrogiem? Beth ma przepiękne szpilki od Jimmy'ego Choo, będą świetnie pasować. Powinnam wybrać się na zakupy do Taorminy czy lepiej polecieć na kontynent, do Mediolanu? Jak się nazywała ta słynna ulica mody? Via Monte Napoleone? Założę się, że wszystkie celebrytki tam chodzą...

– Brałaś jakieś suplementy? Albo jadłaś ostrygi? – wypytuje Cristina.

Podnoszę wzrok znad magazynu, który mam rozłożony na kolanach. Nawiązujemy kontakt wzrokowy w lustrze.

– Co? Nie, nic takiego – mówię.

– W ostrygach jest mnóstwo cynku. Od cynku rosną włosy.

No kto by pomyślał? W spermie też jest dużo cynku. Ciekawe, jakoś nie zapytała, czy robiłam często łaskę.

– A co z rzęsami? Robiliśmy przedłużanie, odpadły?

– No, odpadły. W basenie – wyjaśniam.

– Już? Żaden problem. Zrobimy jeszcze raz...

Pociągam łyk prosecco, które chłodzi się na toaletce: lekkie i owocowe. Supermniem. Wrzucam truskawkę do ust i zaczynam przeżuwać. Na stole leży iPhone Beth; biorę go w dłoń i gapię się na ekran. Tęsknię za Twitterem. Nie mogę uwierzyć, że Beth nie ma konta. Co ona robiła całymi dniami, jeśli nie tweetowała? Założę jej profil. Dla mnie. Dla niej. Nie ma za co.

@TaylorSwift Hej Taylor! Nazywam się Elizabeth Caruso. Chyba znasz moją siostrę, Alvinę. Nieważne, chciałam tylko się przywitać!

Założę się, że Elizabeth odpisze. Mnie nigdy nie odpowiedziała.

Cristina przeczesuje moje włosy palcami, masuje mi skórę głowy. Jej żelowe tipsy drapią mnie w czaszkę. Pakuje mi włosy w folię i smaruje odrosty rozjaśniaczem. Pachnie jak wybielacz albo domestos. Godzinę zajmuje jej zawinięcie wszystkich moich włosów w lśniące srebrne paczuszki. Cristina opowiada mi ze wszystkimi szczegółami o rozstaniu Giny i Matteo, o kwalifikacjach swojego syna do drużyny piłki nożnej dla dzieci do jedenastu lat i o weselu Stefanii, na którym była w ostatni weekend. Opowiada absolutnie wszystko o swoich problemach z nową lodówkozamrażarką, o wzdęciach męża (może ma alergię na jajka?) i o tym, co się wydarzyło we wczorajszym odcinku *Inspektora Montalbano*. Kiwam głową, jakby mnie to obchodziło. Wydaje mi się, że powinnam znać tych ludzi, zmyślonych czy nie.

Przeoglądam ogłoszenia drobne na końcu magazynu. Nie rozumiem, co jest w nich napisane, ale mogę popatrzeć na zdjęcia. We Włoszech są tak samo badziewne jak w Anglii. Nie mogę powiedzieć, żebym tęskniła za tą robotą. Nie tęsknię za piwnicą. Z całą pewnością nie tęsknię za Angelą Merkel i wątpię, żeby ona tęskniła za mną.

– Musimy ci wywoskować brwi – wzdycha Cristina. Gdyby mogła zmarszczyć nabotoksowane czoło, pewnie by się skrzywiła. – I potrzebujesz

manikiuru, pedikiuru też. Możemy tu przesiedzieć cały dzień...

Nasuwa mi na głowę hełmofon, żeby rozjaśniacz szybciej złapał mi włosy. Potem wyciąga pilnik i zaczyna mi ogarniać dłonie i stopy. Maluje mi paznokcie „jak zwykle” na blady róż z białymi końcówkami we francuskim stylu (mam ochotę na Chanel Rouge Noir, ale to nie jest zbyt Beth). To naprawdę o wiele wygodniejsze, kiedy to stylistka przychodzi do ciebie, co? Unosi krawędź folii, żeby sprawdzić kolor, a potem ściąga jedną po drugiej wszystkie folijki. Spłukuje mi rozjaśniacz słuchawką od prysznicza nad wanną. Woda jest przyjemna i ciepłutka. Potem suszy mi włosy i układa w duże, luźne fale, a następnie koncentruje się na mojej twarzy.

Wyciąga kilkadziesiąt maleńkich rzęs i przyczepia je pojedynczo klejem do moich prawdziwych rzęs. To trwa całą wieczność. Mam nadzieję, że Cristina wie, co robi. Chciałabym móc potem otworzyć oczy. Są mi potrzebne. Cristina rozsmarowuje mi trochę rozpuszczonego wosku na skórze pod brwiami. Jednym szybkim szarpnięciem odrywa pasek, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Krzyczę! Gorące! Kurwa, boli!

Po zakończonej pracy patrzymy w lustro.

– Podoba się?

– Bardzo podoba się.

Ćwir. Ćwir. Ćwir.

Wiadomość od Taylor Swift. Odpowiedź do Elizabeth Caruso.

@ElizabethCaruso Hej, Elizabeth! Miło mi cię poznać! Buziaki xoxox

* * *

– Emilio? Emilio!

– Sì, signora? – Głos dobiega z odległej części willi.

– Zabieram Ernesta na zakupy.

Ambrogio wyszedł gdzieś z kolegami. Czas na małą zakupoterapię.

– Sì, signora – mówi Emilia.

– Wrócę przed trzecią.

– Sì, signora. Ciao, signora.

– Ciao – wołam.

Lubię mówić *ciao*. To sprawia, że czuję się bardziej cool. Oni tutaj po prostu tak mówią, więc to nie jest pretensjonalne. Ciało, ciało, ciało.

Kładę Erniego do wózka: to Silver Cross Balmoral. Beth mówiła, że księżna Cambridge ma dokładnie taki sam dla księżniczki Charlotte.

– Idziemy na zakupy! – mówię.

Ernie uśmiecha się do mnie z zadowoleniem, jego wielkie błękitne oczka są pełne radości. Mierzwię miękkie złote loczki na jego tłusciutkiej, krągłej główce. Chichocze, ślini się, macha w górę i w dół grubiutkimi łapkami niczym świeżo wykluty pisklak.

– Ma, ma, ma.

Gładzę go po różowym policzku.

– Ty słodziaczku.

Czuję przyływ macierzyńskiej miłości. Nadal nie mogę uwierzyć, że jest cały mój. Zawsze chciałam mieć dziecko z Ambrogiem. Marzyłam o tej chwili osiem długich lat! A teraz on tu jest! Moje najwłaśniejsze dzieciątko. Nie mogę powstrzymać myśli, że właśnie tak miało być. Nachylam się nad wózkiem i robię sobie milusińskie selfie z Erniem. Wrzucam na Facebooka Elizabeth: „Ja i mój śliczny chłopczyk!!!”. Pcham wózek po podjeździe i wychodzę na drogę.

Jest piękny dzień. Zakładam ciemne okulary Beth, żeby ochronić oczy przed oślepiającym słońcem, a potem rozkładam daszek wózka nad Ernestem. Proszę bardzo, jestem dobrą matką. Nie chcę, żeby dostał poparzeń słonecznych. Wzięłam nawet trochę kranówki w dziecięcej butelce (jakby zachciało mu się pić) i belgijskie czekoladki, które znalazłam w kuchni na

popołudniową przekąskę (jeśli nie będzie chciał, to ja je zjem). Kurwa, zapomniałam spakować krem do opalania! I pieluchy! I nawilżane chusteczki! I ubranko na zmianę! I jego misia. Ale nie szkodzi. Nie wychodzimy na długo. Jestem pewna, że da sobie radę. Dobrze się zaopiekuję swoim maleństwem. Będę go zabierać do Disneylandu. Wyślę go do Eton. Na lekcje gry na skrzypcach. Krykiet. Lokaj. Własny koń. Wszystkie te rzeczy, których ja nigdy nie miałam. Będzie rozpieszczony jak królewicz i jeszcze trochę. Będzie szczęśliwy, że jestem jego mamą.

Kółka od wózka skrzypią wesoło, gdy schodzimy po wzgórzu. Mam ochotę skakać z radości. Ernie podśpiewuje coś niezrozumiałego; może to ma być „Wyszły w pole kurki trzy”, ale nie stawiałabym na to żadnych pieniędzy. Kiedy będzie trochę starszy, zapiszę go na lekcje śpiewu. Może zostanie słynnym śpiewakiem operowym? Może pewnego dnia dostanie główną rolę w *Nabucco*? Nowy, młodszy, szczuplejszy Pavarotti? Jest w końcu w połowie Włochem. I ma przystojnego ojca.

Biorę głęboki oddech. Aaach, świeże, czyste powietrze, zapach cytryn. Nie, nigdy w życiu nie chcę wracać do Londynu: spaliny, kosze na śmieci, psie gówno, tłuszcz. Dlaczego miałabym wyjeżdżać, kiedy mam to wszystko? Możliwe, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. W mojej torebce (torebce Beth) leży jej portfel Mulberry (mięciutki jak skórka brzoskwini) i pęka w szwach: 713,50 euro (policzyłam) i trzy lśniące karty kredytowe. Troszkę się niepokoję, że nie znam jej PIN-u. Ale na razie się tym nie martwmy.

Skrećamy za róg i idziemy długą, krętą uliczką: starożytne budynki o kruszącymi się ścianach, pomalowane na pastelowy róż. Drzewa są ciężkie od kwiatów w kolorze głębokiego, intensywnego fioletu. Marmurowy kościół z rzeźbionymi cherubinami. Widok jest śliczny jak z pocztówki. W oddali Etna, obramowana palmami. Za wulkanem turkusowe morze. Aromat

plumerii. Śpiew ptaków. Kurwa, to jest raj.

Znów skręcamy i jesteśmy na Via Umberto. Nie, to dopiero jest raj: zakupowe niebo. Sklepy ciągną się jak okiem sięgnąć: designerskie salony, małe butiki, galerie sztuki, restauracje, bary. Na uroczych tarasach pod parasolami siedzą piękni ludzie i patrzą na innych pięknych ludzi, spacerujących pod rękę. To idealne miejsce na miesiąc miodowy. Słyszę, jak rozmawiają w śpiewnym włoskim dialekcie, wydmuchują dym papierosowy w dobrze ubrane tłumy. Czuję smak ich nikotyny i uśmiecham się do siebie. Ach, to jest życie.

Za kawiarnią jest bankomat. Wybieram pierwszą z błyszczących kart Beth. Wsuwam w wąski otwór i stukam w ekran. Spróbuję z tym samym numerem, którym zabezpieczyła iPhone'a. Jak znam Beth, nie chciałoby jej się zapamiętywać więcej niż jednego kodu. Co to było? *Wannabe*. 1-9-9-6. Na ekranie pojawia się migający czerwony napis na czarnym tle. SCORETTO. Nieprzyjemny pisk. Bankomat wypłuka kartę, a ja wrzucam ją na dno torebki Beth, wyciągam następną: 1-9-9-6. SCORETTO. Nic. Kolejny wściekły pisk. Wypłuka kartę. Szlag, lepiej, żeby ta ostatnia zadziałała. Wyciągam jedyną pozostałą kartę drżącymi palcami. Jest piękna, lśniąca, czarna, z błyszczącym srebrnym napisem: *Signora Elizabeth Caruso*. Platynowa. Premium. Jeśli ta nie zadziała, mam totalnie przerąbane... 1-9-9-6. HURRA! Wiedziałam! Sprawdzam stan konta Beth i prawie mdleję. Ma 220 000 euro tylko na tym koncie. Wyciągam pięć stów, tak po prostu – bo mogę. Banknoty wychodzą z podajnika, a ja chwytam je w garść, są gładkie i szeleszczące. Wyglądają przepysznie. Pachną jak prosto z mennicy. Ledwo się powstrzymuję, żeby nie potrzeć sobie nimi twarzy. Mam ochotę je polizać. Otwieram portfel i wkładam gotówkę do środka: teraz jest tak wypchany, że nie chce się zamknąć. Wyciągam kartę kredytową Beth i daję jej buziaka.

Nagle jestem rozdarta: czy chcę usiąść sobie przy stoliku nakrytym wykrochmalonym lnianym obrusem i zamówić prosecco i talerzyk zielonych oliwek, czy może iść na zakupy? Decyzje, decyzje... Jak myślisz, mały Ernie? Zauważam ulicznego artystę, siedzącego przy wystawce swoich prac: portrety aktorów, piosenkarzy, polityków. Są całkiem niezłe; facet ma talent. Są naprawdę podobne, prawie jak zdjęcia. Widać, kogo mają przedstawiać. Nicole Kidman i Gwyneth Paltrow, Channing Tatum i Tom Cruise! Ej! Zaraz, zaraz. Channing Tatum? No to jednak zakupy!

– *Ciao.*

– *Ciao.* – Facet podnosi wzrok.

– Ile za portret Channinga Tatuma?

– *Venti euros.*

– Co pan mówi? Dwadzieścia?

– *Sì.* Dwadzieścia.

– Nie dam tyle. To o wiele za drogo. Dam panu dziesięć.

– Nie, kosztuje dwadzieścia.

– Dobra. Jedenaście. To moje ostatnie słowo.

– Dwadzieścia. Jest dwadzieścia.

– Okej, niech będzie. Dwanaście. Ostatnia szansa.

– Nie.

– Trzynaście?

– Nie.

– Czternaście?

– Nie. *Mamma mia!*

– W takim razie szesnaście? Więcej nie dam.

– *Venti euros!* Dwadzieścia! Dwadzieścia!

– W porządku. Dam szesnaście euro. Ani centa więcej. I chcę to mieć zapakowane na prezent. – Mimo że to tylko dla mnie.

– Nie. Się nie da.

– Siedemnaście?

– Nie.

– Osiemnaście?

– Nie.

No co za kutas.

Powinnam po prostu wyrwać mu obrazek i uciec, ale wózek mógłby mnie spowolnić.

– Świetnie! Miarka się przebrała! I tak nie byłam zainteresowana. Proszę bardzo. Odchodzę!

Odwracam się na pięcie i maszeruję ulicą, pchając wózek w karkołomnym tempie. Sprzedawcy nawet powieka nie drgnie. Pociąga łyk Nastro Azzurro i patrzy w inną stronę.

AAAAAAAAGH! – Zawracam i pędzę do niego z powrotem.

– DZIEWIĘTNAŚCIE EURO! OKEJ? Dogadamy się wreszcie?

Facet podnosi głowę i marszczy brwi.

– Dwadzieścia euro za obrazek.

Twardziel. Nie odpuści.

Patrzę na portret Channinga Tatum: na jego piękną twarz, na oczy jak u szczeniaka. Naprawdę tęsknię za swoim plakatem. Jeśli muszę go zastąpić, to chyba to jest to.

– Okej. W porządku. Dziewiętnaście pięćdziesiąt. Co pan na to? Świetny interes.

Facet wstaje i podaje mi rękę. TAK! Wiedziałam, że w końcu pęknie. Alvie: jeden. Koleś od obrazków: zero.

– *Bene, bene. Finalmente.*

Wyciąga rękę i zdejmuję obrazek. Znajduję dwudziestkę w portfelu Beth.

– Och, ma pan wydać z dwudziestu?

– Nie ma drobnych. Przykro mi. *Mi dispiace*.

Wzrusza ramionami i wskazuje na zwitek banknotów upchnięty do puszki.

Nie widać ani skrawka srebra. Nie ma żadnych monet.

Rzucam mu dwie dychy w twarz i wyszarpuję obrazek. Trochę się rwie.

– Okej, dobra. Wszystko jedno. Jebać to. Proszę bardzo, weź sobie.

Wszystko weź!

– *Arrivederci, signorina* – woła za mną.

Wpycham Channinga do wózka obok dziecka.

W witrynie sklepu z ubraniami na honorowym miejscu stoi torebka z krokodylej skóry. Obok, na replice korynckiej kolumny, leży pasek i kopertówka do kompletu. Emporio Armani. Jest niewiarygodnie seksowna. Już chcę ją mieć. Obejrzę sobie. Sklep nazywa się Marianna. Popycham wózek w stronę drzwi wejściowych. Chcę sobie kupić coś specjalnego, Bóg jeden wie, że zasługuję. Po tym wszystkim, przez co przeszłam. Po wszystkim, co zrobiłam. Nie chcę już zawsze nosić tylko starych ciuchów po Beth. Chcę mieć własną garderobę. Coś nowego. Wyjątkowego. Potrzebuję czegoś seksownego na randki z Ambrogiem: jestem jego nową, lepszą, seksowniejszą żoną. Może znów zabierze mnie do tamtej restauracji? A może zna jakieś inne miejsce, na przykład klub albo uroczy mały bar tuż nad morzem. Już widzę, jak sunę po parkiecie w sukience do samej ziemi: neonowa zieleń albo pomarańczowy zachód słońca. Coś przyciągającego uwagę. Coś drogiego. Chcę, żeby wszyscy odwracali za mną wzrok, żeby tłumy się rozstępowały, żeby ludzie szeptali, wskazywali mnie palcem, gapili się: „Co to za dziewczyna?” (ale w tym dobrym sensie). Ja też chcę mieć swoje pięć minut w blasku reflektorów.

No i jeszcze dodatki... Oczywiście będę potrzebowała nowych diamentów. Jakieś kolczyki, bransoletka, jeszcze kilka pierścionków. Widziałam parę ślicznych błyskotek na wystawie Van Cleef & Arpels. Chcę

kopertówkę od Valentino. Kozaki do połowy uda od Miu Miu.

Lśniące szklane drzwi rozsuwają się z szelestem i wchodzę do chłodnego wnętrza sklepu.

– *Ciao*, Betta! – piszczy sprzedawczyni, truchtając w moim kierunku na gigantycznych szpilkach. O, szlag, ona mnie zna. – *Ciao*, Ernie! – dodaje.

– *Ciao!* – witam ją swoim najlepszym głosem „Beth”. Nisko, ochryple. Wymuszam uśmiech.

Podchodzi druga ekspedientka, w rozmiarze XS, ze lśniącymi czarnymi włosami i niemal nieistniejącym tyłkiem. Buziaczki w powietrzu. Przytulaski. Nachyla się nad wózkiem i grucha do Ernesta.

– *Come stai, bimbo Ernesto? Mamma mia, che bello* – mówi uradowana, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy odnaleźli się po latach. Czy on zna tę ekspedientkę?

Kobieta podnosi głowę i uśmiecha się do mnie: niewidzialny aparat na zębach, wargi w kolorze fuksji. Pachnie obrzydliwie słodko, jak skoncentrowany sprite. Tanie perfumy. Stanowczo wolę te od Beth.

– Betta, mam niesamowite nowe buty! Chodź! Zobacz! Zakochasz się!

Tak naprawdę nie łapie mnie za rękę i nie ciągnie po podłodze przez cały sklep, ale tak właśnie się czuję. Idę za nią po marmurowej posadzce, wzdłuż ścian zastawionych butami na szklanych półkach. Wszystko błyszczący. Migocze. Świeci. Reflektory, niczym małe słońca, oświetlają rzędy bezcennych torebek: Dolce & Gabbana, Gucci, Hogan, Roberto Cavalli, Tod's. Ekspedientka się zatrzymuje i odwraca do mnie z wyczekującym uśmiechem na młodziutkiej twarzy. Wskazuje na nową parę butów.

– Patrz!

Są zrobione z czerwonego przezroczystego plastiku na czarno-białej szpilce. I są kurewsko obrzydliwe.

– Och, no dobrze – mówię.

* * *

Kupiłam je. Oczywiście, że je kupiłam. Nie miałam wyboru. Kupiłam buty, choć były ohydne, a do tego jeszcze plastikową torebkę i plastikowy pasek do kompletu – 4498 euro. Kupiłam je, bo Beth by je kupiła. Gdybym nie kupiła tego gówna, to ona domyśliłaby się, że nie jestem Beth. Tupię po nierównym bruku Via Umberto i zgrzytam zębami. Rączki torby z zakupami wrzynają mi się w dłonie. Kurwa, jakie to ciężkie.

Sukienka. Kupię sobie sukienkę. To mi poprawi humor. Starożytna fontanna blokuje mi drogę. Woda leje się z pysków kamiennych ryb. Pyska na mnie. Ochlapuje. Moczy mi ubranie. Woda powinna być czymś relaksującym, prawda? Fontanny powinny brzmieć kojąco, jak w japońskich ogrodach: liście lilii wodnych i figurki Buddy, ale ta mnie wkurwia. Wściekle omijam fontannę i idę dalej. Muszę znaleźć inny sklep z ciuchami. Muszę znaleźć sobie sukienkę.

Wchodzę do sklepu z dwuwarstwowymi oknami. Szyby błyszczą w oślepiającym słońcu; musieli zużyć całe wiadro Mr Clean, żeby tak się świeciły. Lśniące białe manekiny mają na sobie migoczące srebro, neonową żółć, oszałamiającą biel. Prada, Fendi, Pucci, Missoni. To wszystko wygląda tak doskonale. Wchodzę do środka. Leci tu jakaś elektroniczna muzyka: eteryczna, magiczna, niezwykła. Długi, jasno oświetlony korytarz prowadzi ku mocnym światłom wnętrza. W holu stoi jeszcze więcej manekinów: pozują, obserwują idealnymi twarzami. Wypolerowane lustra. Święta przestrzeń. Manekiny stoją w prostokątnych szklanych pudłach: jak żywe, nieruchome. Przyglądam się ich plastikowym głowom. Ich martwe, puste oczy wyglądają zupełnie jak oczy Beth. Odwzajemniają moje spojrzenie. Idą po mnie, jestem tego pewna. Kątem oka zauważam w lustrze Beth.

Podskakuję.

Panikuję.

Uciekam!

I znów jestem na ulicy, dyszę, łykam powietrze wielkimi haustami. Nagle robi mi się słabo. Wkładam głowę między nogi. Ziemia wiruje. Co to, kurwa, było? Beth! Przysięgam. Widziałam ją! Rozglądam się, ale jej nie widzę. Pocę się. Oddycham ciężko. Ludzie się na mnie gapią. Gdzie wózek? Nagle uświadamiam sobie, że nie mam wózka. Ernie zniknął! Mam kamień w żołądku. Kurwa, kurwa, gdzie się podziało dziecko? Patrzę wszędzie wokół, sprawdzam z powrotem w sklepie. Pędzę z powrotem po Via Umberto, przepycham się między turystami, potykam się o własne nogi. Ta zasrana fontanna znów wyrasta mi na drodze. Krew huczy mi w uszach. Mózg pulsuje. Mam sucho w ustach. Muszę się napić. Boże kochany, Beth by mnie zabiła... Który to był sklep? Tyle ich tu jest. Zostawiłam go w środku? Czy ktoś go zabrał? Pędzę od witryny do witryny, szukając tej głupiej torebki: skóra krokodyla? Czy węża? Emporio Armani? A może D&G? Uspokój się, Alvie; musi tu być! Gdzieś tutaj. Gdzieś. Gdybym nie była tak kurewsko odwodniona, to chyba bym się rozpląkała. Bottega Veneta. John Galliano. Emilio Pucci. Moncler...

W końcu widzę sklep po drugiej stronie ulicy: Marianna. Emporio Armani: krokodyla skóra. Dzięki Bogu. Wpadam do środka, potykam się, dyszę, pocę, wszyscy się gapią. Wózek nadal tu jest, zaparkowany tuż przy drzwiach. Myślałam, że go zgubiłam, naprawdę. Mały Ernie mocno śpi. Ekspedientka otwiera usta, a potem je zamyka. Chwytam wózek i ruszam z powrotem do willi. Nie mogę uwierzyć, że o mały włos nie straciłam Channinga. Sukienkę kupię sobie innym razem.

Rozdział dwudziesty trzeci

– **ALE DLACZEGO MUSZĘ IŚĆ Z TOBĄ?** – pytam, pędząc po ulicy za Ambrogiem.

Idziemy z powrotem do Taorminy, po drodze mijamy mały bar o nazwie Mocambo z krzesłami na tarasie. Obrusy w szachownicę. Zapach kawy. Miałam nadzieję, że Ambrogio zostanie trochę dłużej z kolegami, żebym zdążyła nieco ochłonąć. Wymyślić własny plan. Ale nie, musiał wrócić. Przyszedł do willi i chyba potrzebuje mojej pomocy.

– Bo on cię lubi – mówi.

– Kto?

– Ksiądz.

Nie widzę w tym żadnego sensu, ale skoro dla Ambrogia to ważne, chyba powinnam iść. Posłuszna żonka. Kochająca partnerka. Będę jego idealną kobietą. Wydawało mi się, że Ambrogio nie jest religijny, ale jak widać, dziś idziemy do kościoła. Mam nadzieję, że dobrze się ubrałam. Co Beth włożyłaby do kościoła? Czy wypada włożyć Pradę na spotkanie z księdzem?

Przechodzimy po czarno-białych kafelkach placu Piazza IX Aprile, mijamy klomby pełne kwiatów. Wokół stoją żeliwne latarnie ze staromodnymi lampami. Kościół nazywa się Chiesa di San Giuseppe. Wygląda jak tort weselny, który powoli rozpływa się na słońcu. Przy wejściu kłębi się tłum drobnych staruszek, wychodzących z mszy. Jakiś chłopiec podbija piłkę, która przelatuje trochę za blisko mojej głowy. Mały chujek. Prawie oberwałam. Gdybym nie była Beth, kopnęłabym mu ją z całej siły prosto w twarz. Inny dzieciak w koszulce „Totti” kopie piłkę o ścianę kościoła. „Gol! Gol!”. Biegają po placu, śmieją się, gwizdzą i krzyczą.

Próbuję się nie krzywić. I nie przeklinać.

Zostawiamy słońce i morski krajobraz turystom modlącym się do widoczków i wkraczamy w chłód siedemnastowiecznego barokowego kościoła. Pastelowe obrazy. Latające cherubiny. Zawsze dziwnie się czuję w kościele, jakbym wtargnęła na prywatny teren czy coś w tym rodzaju. Takie subtelne, choć nieodparte uczucie, że nie pasuję. (Ostatni kościół, jaki odwiedziłam, to tamta katedra w Mediolanie, ale chyba zachowam to dla siebie).

Ambrogio prowadzi mnie za rękę przez pogrążoną w półmroku nawę. Kadzidło. Kurz. Moje oczy przyzwyczajają się do braku światła. Tak wygląda otchłań: to *chiaroscuro*. Czuję zapach grzechów, które nazbierały się tu przez kilkaset lat.

Kapłan odmawia liturgię na przedzie kościoła. Jest wysoki, wyjątkowo wysoki jak na Włocha, szczupły i przygarbiony, i ma długi haczykowaty nos. Brzmi, jakby zdychał z nudów. Mówi to samo po raz milionowy. Te słowa pewnie już zupełnie straciły dla niego znaczenie. W jego głosie nie ma żadnych emocji. Też bym tak brzmiała, gdybym musiała codziennie mówić łaciną od – tak na oko – stu lat.

Idę za Ambrogiem wzdłuż nawy i dołączamy do kolejki wiernych, nadal czekających na przyjęcie komunii. Nie mam pojęcia, co zrobię, kiedy przyjdzie moja kolej. Ksiądz mówi: *Corpus Christi*, a każdy odpowiada: Amen. Potem po kolei otwierają usta, a kapłan kładzie im opłatek na języku. Okej, wygląda dość łatwo. Pozwalam, by Ambrogio poszedł pierwszy. Ksiądz wygląda na wkurzonego, kiedy go widzi. Składa wargi w ciup i marszczy czoło. Dziwne. Potem kolej na mój opłatek. Ciało Chrystusa jest suche, jakbym jadła pringlesa. Przydałoby się jakieś wino do popicia. Albo raczej należałoby powiedzieć: krew Chrystusa. Siadam obok Ambrogia w ławce z przodu po lewej i czekamy w ciszy, aż podejdzie do nas ksiądz.

Szelest szat.

– *Salve* – mówi kapłan. – Elisabetta! Dobrze cię widzieć! Jak zawsze!

Całuje mnie w rękę. Czuję zapach espresso i papierosa, którego wypalił przed początkiem swojej zmiany.

– Dobrze cię widzieć, ojczy. Jak się czujesz? – Wiem, jak rozmawiać z księżmi. Kiedyś oglądałam *Ballykissangel*.

– O wiele lepiej, kiedy cię zobaczyłem. – Uśmiecha się, spogląda mi głęboko w oczy i trochę za mocno ściska moją rękę w obu dłoniach. To obleśne. Zalotne. Nie na miejscu. Chciałabym, żeby mnie już puścił. Co on robi? Szuka mojej duszy (i nie znajduje)? Czyta mi w myślach? Wie, że nie jestem Beth? Czy Jezus mu właśnie powiedział?

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. W kościele jest zimno. Ksiądz odwraca się ode mnie.

– Ambrogio – mówi, podając mu dłoń, po czym obejmuje go jak syna odnalezionego po latach. – *Come stai?*

– *Bene, bene, grazie, Padre.*

Ambrogio patrzy na mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– *Amore*, może poczekaś na mnie tutaj? – Wskazuje na kościelną ławkę. – Idę do spowiedzi. To nie powinno trwać zbyt długo.

Patrzę, jak Ambrogio odchodzi ramię w ramię z księdzem w stronę ciemnej drewnianej budki pod ścianą. Konfesjonał wygląda jak gigantyczna szafa. Czy niebo wygląda jak Narnia? Czy Bóg wygląda jak Aslan albo Pan Tumnus? O czym oni będą tam gadać? Mam nadzieję, że nie o mnie. Zaciągają szkarłatną aksamitną zasłonkę za drzwiczkami. Rozlega się skrzek metalowych zawieszek. Myślę o Adamie. Nigdy do mnie nie zadzwonił. Czy Ambrogio zamierza uprawiać seks z księdzem?

Wyobrażam sobie, że klęczą, jak ludzie na filmach. „Pobłogosław mnie ojczy, bo zgrzeszyłem”. Ciekawe, ile zdrowasiek ja bym dostała? Mam

nadzieję, że szybko im pójdzie; już się nudzę. Co ja tu w ogóle robię? Gapię się na Jezusa przybitego do krzyża i wiem dokładnie, jak się czuje. Pospieszcie się tam...

Siedzę i przyglądam się figurom i obrazom. Jeśli mam być szczerą, to trochę niekomfortowe doświadczenie. Sporo malowideł przedstawia płonących ludzi. Wszędzie wokół kobiety w ogniach. Wrzeszczą w ciszy, skręcają się z bólu. To chyba ma być wizja czyścica. Dostrzegam renesansowy obraz przedstawiający Jezusa i Maryję, za nimi rozciąga się oszalałający toskański krajobraz: łagodne wzgórza, soczyście zielone drzewa, bladobłękitne jezioro. Nie bardzo to przypomina Judeę z pierwszego wieku. Z jakiegoś powodu Maryja zawsze przywodzi mi na myśl Beth. Ciekawe, czy Maryja miała siostrę.

Nagle z konfesjonau zaczynają dochodzić jakieś hałasy. Ktoś mówi coś, co brzmi jak „Caravaggio”. Ambrogio i ksiądz krzyczą na siebie po włosku, a przynajmniej Ambrogio krzyczy. Nie mam pojęcia, co mówią. Jeśli mam zostać na Sycylii, muszę nauczyć się włoskiego. Chociaż z drugiej strony Beth się nie chciało. Wystarczy powtarzać coś wystarczająco głośno i powoli po angielsku i w końcu ludzie łapią, o co chodzi.

Ambrogio odciąga zasłonkę i wychodzi wściekły z konfesjonau.

– Elizabeth! Wychodzimy – oznajmia.

Jego głos huczy i odbija się echem od kościelnych ścian. Wydaje mi się, że nawet podłoga drży.

– Chodź. Idziemy – mówi, po czym chwyta mnie za rękę i podrywa na nogi. Och, szlag, chyba się nieźle wkurzył. Czy ten ksiądz właśnie mi powiedział, że jestem niewłaściwą bliźniaczką? Jest zły na mnie czy na księdza?

– Ej! – wołam, potykając się na obcasach. On nie puszcza. Ciągnie mnie przez kościół do frontowych drzwi i wypycha na oślepiające słońce.

– Zastrany klecha – mówi, kiedy już jesteśmy na zewnątrz. Zatrząskuje za nami drzwi do świątyni. No, to odpowiada na moje pytanie. Mam nadzieję.

– Co się stało? – pytam.

Idziemy za róg do baru Mocambo i siadamy przy stoliku na zewnątrz z widokiem na plac. Ambrogio zamawia dwa kieliszki grappy. Trzęsie się z wściekłości. Ja trzęsę się z przerażenia.

Dłoń mi drży, gdy sięgam po paczkę papierosów, którą Ambrogio położył na stole. Wyciągam dwie fajki. Wtedy sobie przypominam: jestem Beth, więc jestem praworęczna. Niezdarnie próbuję odpalić papierosa tą głupią niewłaściwą ręką i psuję zapalniczkę. Ambrogio podnosi wzrok.

– Co? Dalej palisz?

– No. Jestem zestresowana.

Jakoś udaje mi się zapalić papierosa dla Ambrogia. Wkładam mu go do ust. Zapalam jednego dla siebie i zaciągam się głęboko. Ach, formaldehyd i substancje smoliste; od razu lepiej.

– Od kiedy ty palisz? – Ambrogio marszczy brwi.

– Od teraz – odpowiadam i próbuję zabrzmieć cool. Chyba o niczym nie wie. Chyba jest okej. – No to o co tam było tyle krzyku?

Posyła mi krzywe spojrzenie: Nie tutaj, mówi mi jego wkurzona mina. Przychodzi kelner z dwoma kieliszkami grappy na małej tacce. Obczajam jego tyłek. Całkiem niezły, ale Ambrogia nie przebije. Jednym haustem opróżniamy kieliszki. Niezbyt dobre. Chyba jednak wolę malibu.

– Przepłyniemy się jachtem, oderwiemy się na chwilę od tego gówna – postanawia nagle Ambrogio, odstawiając z trząskiem opróżniony kieliszek na stół. – Chodź. Tam będziemy mogli normalnie pogadać.

O, nie. Tylko nie łódka. Tylko nie jacht na morzu. Tylko nie ja sam na sam z Ambrogiem na otwartym morzu. Oglądam tę scenę w myślach i to wcale a wcale nie kończy się dla mnie dobrze. Może on blefuje? Może wie?

Tylko gra razem ze mną, dopóki nie dopadnie mnie na osobności. Nie chcę tam iść. Wiem, że nie mogę mu ufać. Zamierzał mnie zabić. Taki był plan! Przywali mi w głowę i wyrzuci za burtę, kiedy tylko nadarzy się okazja.

– Nie moglibyśmy zostać tutaj? – pytam. W miejscu publicznym jest bezpieczniej, wokół kręci się mnóstwo ludzi. Chyba nie ruszy mnie w środku miasta? W środku dnia?

– Idziemy! – oznajmia, wstając od stolika.

Rozdział dwudziesty czwarty

Morze Jońskie

– **JESZCZE SZAMPANA, KOCHANIE?** – pyta Ambrogio.

Napełnia mój kieliszek alkoholem z butelki, która wygląda na starą i bardzo drogą.

– Mmm, Krug, rocznik osiemdziesiąty trzeci – mruczę, odczytując napis na etykiecie. Czy to się wymawia „Krug” jak „szług” czy „Krag” jak „szparag”? Ambrogio patrzy na mnie dziwnie. Przekładam kieliszek z lewej dłoni do prawej. Wypijam szampana jednym haustem. On wkłada butelkę z powrotem do wiadra z chrzęszczącym lodem. Długo nie będzie się chłodziła; jest tak gorąco, że jeszcze chwila i morze stanie w ogniu. Jakbyśmy płynęli po rozżarzonych węglach. Teraz na pewno łapię opaleniznę.

– Chyba lepszy niż rocznik osiemdziesiąty szósty, nie uważasz?

Nie mam zielonego pojęcia.

– O, tak. Stanowczo – przytakuje.

– To Grand Cuvée; niższy stopień *dosage* i bardziej wyrafinowana tekstura. Pinot Noir smakuje bardziej jak jabłka, jak myślisz?

Smakuje jak Lambrini.

– Tak, jabłka, stanowczo jabłka – zgadzam się. Ambrogio się uśmiecha; wygląda na zadowolonego, że przyznaję mu rację. Cieszę się, że wreszcie choć trochę się uspokoił. Nie sądzę, żeby zamierzał pozbyć się mnie na otwartym morzu. Ciekawe, o co mu poszło z tym księdzem. Muszę się

dowiedzieć, o co tu chodzi. Chcę jeszcze szampana.

Nasze ręczniki leżą rozłożone na pokładzie. Ciemne drewno parzy mi podeszwy stóp. Mam na sobie jedno z mikroskopijnych bikini Beth; Agent Provocateur. Jest praktycznie jak nić dentystyczna (całe szczęście, że ogoliłam bikini). W tych okularach wyglądam dość przekonująco, ale na wszelki wypadek zostanę w sarongu. Ambrogio leży obok mnie w slipkach tak obcisłych, jakby go w nie zapakowali próżniowo. Nasze ciała przyciskają się do siebie. Ambrogio jest seksowniejszy niż ratownicy w *Słonecznym patrolu* (nie żebym kiedykolwiek oglądała *Słoneczny patrol* czy jakieś podobne badziewie). Jego skóra jest gorąca. Jest praktycznie nagi. Raju, rajuśku, mam na niego taką ochotę. Podnieca mnie całe to niebezpieczeństwo. (Wiem, wiem, to trochę porąbane, ale nie wymyśliłam sobie tego, naprawdę jest takie zjawisko. Na przykład podczas londyńskiego Blitzu w 1941 roku londyńczycy bzykali się przez całe naloty. Lęk to naturalny afrodyzjak. Jaram się zagrożeniem).

Miło mi poinformować, że zaczyna wiać lekka bryza; akurat tyle, żeby nas trochę schłodzić, podczas gdy jacht kiwa się po rozleniwionym morzu. To idealny wieczór: lazurowe niebo jest puste i rozległe. Morze ciągnie się aż po horyzont, nieskończenie błękitne. Woda migocze i lśni wokół nas, gdy słońce powoli opada za horyzont. To jest niebo. Raj. Czysta rozkosz. Lepsze niż w tych katalogach z biur podróży. Lepsze niż *Dom w słońcu* (okej, może zdarzyło mi się przypadkiem to obejrzeć raz czy dwa). Spoglądam na wodę czystą jak diament i zaczynam się odprężyć. Potem jakoś rozkminię cały ten obłąd, na razie chcę tylko trochę wyluzować.

– Przynieść ci jeszcze ostryg? – pyta Ambrogio.

– Och, poproszę. Są przepyszne.

Wiecie co, nigdy nie sądziłam, że mi posmakują (obrzydliwe małe glutry schowane w pomarszczonych szarych muszlach, z oślizgłymi brązowymi

organami), ale moja siostra je uwielbiała, i o dziwo smakują całkiem nieźle. No i jeszcze ten cynk! Podobno.

– Ostrygi z Langwedocji są ostatnio strasznie wychudzone. Te włoskie naprawdę smakują morzem.

– Mhmm, taak. – Skoro tak twierdzisz.

Ambrogio przynosi ciężką, wypełnioną lodem tacę i wyciska na ostrygi sok z cytryny. Dodaje trochę posiekanej szalotki i kropelkę tabasco. Do tego odrobina posiekanej pietruszki i świeżo zmielony pieprz.

– Otwórz buzię.

Otwieram usta i połykam ostrygę w całości. Czuję się jak ostryga na pokazie w oceanarium.

– Mniam – chichoczę zupełnie jak moja siostra: dziewczęco, beztrosko. Ambrogio ma rację. Rzeczywiście smakują jak morze. W dobrym sensie.

Leżymy tuż obok siebie na pokładzie. Ambrogio głaszcze mnie po włosach, a ja wtulam się w niego. Kładę głowę na jego piersi, szerokiej jak poduszka. Czuję się bezpieczna, zaopiekowana, jak kurczak w gnieździe. On nie ma pojęcia, że jestem Alvie. Podoba mi się bycie Beth. Zaczynam się przyzwyczajać. Może nawet się razem zestarzejemy, Ambrogio i ja. Alvie i Ambrogio. Ambrogio i Alvie: AA, jak baterie, jak Anonimowi Alkoholicy. Wyobrażam sobie niezliczone godziny pływania tym jachtem, jego wyjebanym w kosmos jachtem za milion dolarów. Popołudnia przechodzące w wieczory. Wieczory przechodzące w noc. Leżelibyśmy jedno tuż przy drugim i patrzyli, jak słońce zachodzi i wykrwawia się do oceanu, jak księżycy wschodzą, a gwiazdy się wypalają. To doskonale, jak sen. Prawie zbyt doskonale; nie wydaje mi się prawdziwe. Ale to jest prawdziwe, a ja sobie na to zasłużyłam. Jak L'Oréal: *bo jestem tego warta*. Ciężko na to wszystko harowałam. To wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam. Zasługuję na to. Zasługuję.

– Masz ochotę przepłynąć się na Lampedusę? – proponuje Ambrogio, gładząc mnie po ramieniu ciepłą dłonią, aż dociera do mojego karku.

Co to jest Lampedusa, do jasnej ciasnej?

– Eee – mówię, rozglądając się wokół. Czy to jakaś latarnia morska?

– Widać ją za sterburką.

Patrzę w lewo.

– Nie, to jest port. Za sterburką – powtarza. – Co się dzisiaj z tobą dzieje? Uderzyłaś się w głowę?

Szlag. Wiem. Beth by to wiedziała. Uśmiecham się słodko i patrzę w dal, na prawo. Potrząsam głową. Nic nie widzę.

– Wiesz co, masz rację. Zostańmy tutaj. Wszystkie te wyspy i tak są do siebie podobne. Po jakimś czasie człowiek nawet nie odróżnia jednej plaży od drugiej. Nuda.

Znów się kładziemy i patrzymy na zwinne mewy tańczące wysoko na niebie, jak śmigają i wirują dwójkami i trójkami. Ich białe pióra są blade jak duchy. Może będziemy mieli dziecko, Ambrogio i ja. Dziewczynkę, do kompletu z chłopcem. Będzie wyglądała jak ja, ale w połowie włoska. Ciemniejsze włosy. Lepsza opalenizna. A co z imieniem? Musi być coś, żeby brzmiało z włoska: Sophia? Angelina? Monica Bellucci? Tak, to będzie w sam raz. Nasza doskonała rodzinka. Nasz doskonały domek. Zrobię im sto tysięcy zdjęć i wrzucę wszystkie na Instagrama. Facebooka. Twittera. Będę tweetować o swojej cudownej rodzinie. O swoim pięknym życiu. Patrzcie, jakiego mam seksownego męża. Jakie słodziutkie dzieciaczki. Będę miała więcej followersów niż Kim Kardashian; będę czesać setki tysięcy lajków.

No i z takim hajsem nie będę musiała pracować. Będę jeść, pić, chodzić na zakupy i znowu jeść. Emilia może mi pomóc z dziećmi. Może zatrudnimy więcej osób do pomocy? Wreszcie będę miała czas na moją poezję. Wybór haiku. Nagrody literackie. Może kupię sobie małego pieska, takiego do

torebki? Małą chihuahue na otarcie łez po Mr Dicku? Albo lepiej domowego niedźwiedzia, jak Lord Byron. To byłoby super.

– Beth? – Słyszę.

– Tak, mój skarbie?

Odwracam się, żeby popatrzeć na swojego przystojnego męża. Na swojego wspaniałego, pięknego, cudownego mężczyznę. Nadal nie wiem, skąd u Beth wzięły się te siniaki. Dlaczego moja bliźniaczka była taka wkurzona na Ambrogia? Dlaczego chciała od niego uciec? Diamenty w torebce? Awantura z sąsiadem? Ambrogio nagle poważnieje. Zamierza mnie zabić? Przyciśnie mnie do pokładu, udusi i wywali moje ciało za burtę!

– Tak mi przykro z powodu twojej siostry, że tak to wyszło.

Och, o to mu chodzi. Czaję. Podnoszę się na łokciach i mrużę oczy w słońcu. Znajduję okulary Beth od Gucciego i znów zakładam je na nos.

– Och. Tak. Mnie też jest przykro – zapewniam, patrząc w jego stronę. Ściągam usteczka w nadąsany grymas. Marszczę noseć, jak robiła to Beth.

– Że tak się to wszystko wydarzyło, nie mogliśmy jej pogrzebać, jak należy... Wiem, że miał być prawdziwy pogrzeb, na bogato. Okropnie się z tym czuję.

Wyciągam dłoń i biorę go za rękę. To miłe uczucie.

– Rozumiem – mówię, gładząc go po palcach. Noż do chuja wafla, możemy już zmienić temat? Zaczynałam się dobrze bawić.

– Po prostu... to nie mogło wydarzyć się w gorszym momencie, wiesz, z tym dealem? Z Caravagiem? Nie wiem, co my teraz zrobimy. Musimy wymyślić nowy plan.

Nie mogłabym mniej z tego rozumieć, nawet gdybym chciała.

– Wiem – wzdycham. – To wszystko jest takie... pokręcone.

– Będzie trzeba wymyślić coś innego. Czas nam się kończy. To nasza jedyna szansa. Jedyne wyjście. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy

błąd. Wiesz, co mogłoby się wydarzyć... co oni by wtedy zrobili...

– Mmm, no. Jasne – odpowiadam.

Ambrogio wzdycha i podnosi się na łokciach. Bierze łyk szampana.

– No wiesz, w pewien sposób to nawet lepiej, że ona nie żyje, jak eutanazja?

Cała się jeżę; ramiona mi się napinają.

– Nie, skarbie, nie wiem.

– Przecież sama zawsze mówiłaś, jaka ona jest porąbana... jakie ma smutne życie. Przynajmniej teraz jej cierpienia się skończyły. Może tak jest dla niej najlepiej.

Że co ona mówiła? Jak Beth mogła wygadywać o mnie takie rzeczy? Mam ochotę trzasnąć ją w twarz, ale przecież jej tu nie ma. Przeciągnąć ją po dnie morza, skopać, zatłuc! Co za dwulicowa suka! Jak ona mogła? Jak ona śmiała? Obgadywać mnie za plecami, i to jeszcze przed mężczyzną moich marzeń! Gadać o mnie takie kłamstwa! Co za krowa!

Ambrogio posyła mi pełen otuchy uśmiech, a ja go naśladowuję i udaję, że się z nim zgadzam.

– Tak, chyba tak jest najlepiej.

Gapię się na mewy. A to chyba albatros.

– Beth? – mówi. Znowu.

Boże, co tym razem?

On nagle wstaje i obraca się wokół własnej osi.

– Nic nie powiedziałaś. Nie podobają ci się moje nowe slipki?

Gapię się na krocze Ambrogia w majtkach do pływania. Jego jędrne pośladki są centymetr od mojej twarzy. Zwykle niebieskie slipy.

– Och, są nowe?

On znów się odwraca, żeby pokazać tyłek pod innym kątem.

– No. Naprawdę nie pamiętasz? Nie mogłem się zdecydować, czy kupić

czerwone czy niebieskie...

– I wybrałeś niebieskie.

– Kupiłem jedno i drugie. Te są niebieskie. Nie podobają ci się?

Przesuwa dłonią po swoim sześciopaku rodem z okładki „Men’s Health” i wygładza slipki.

– Są ładne – mówię. – To znaczy, są doskonałe.

– Ale wolisz czerwone, co?

– Nie. Jedne i drugie mi się podobają.

Nachyla się i całuje mnie prosto w usta: ciepły, miękki, powolny pocałunek. Smakuje jak jabłka – och, to szampan.

– Zdołasz mi kiedyś wybaczyć? – pyta szeptem, całując mnie po linii szczęki, po szyi, po obojczyku. – Że tak wyszło z twoją siostrą?

Och, Ambrogio...

– Już ci wybaczyłam.

Gładzę dłońmi jego seksowne, opalone, umięśnione plecy i biorę głęboki oddech. Jego zapach to czysty seks: Armani Code Black, feromony, tytoń. Zaraz oszaleję. Cokolwiek by się wydarzyło, nie prześpię się z nim... nie tutaj. Jeszcze nie teraz. Nie czuję się na to gotowa. Potrzebuję więcej czasu, żeby wejść w rolę. Muszę się „przemienić”. Jeśli teraz się z nim bzyknę, mam przesrane. Nie ma szans, żebym dawała dupy tak samo jak moja siostra. Beth była w łóżku jak ciepły budyń. Na sto procent.

Ambrogio wsuwa dłonie pod sznurki bikini, sięga niżej i bierze moje piersi w dłonie. Sutki mi twardnieją. Przygryzam wargę. Nachyla się ku mnie, całuje mnie po szyi, przyciąga bliżej. Odsuwam się.

– *Merda!* – krzyczy nagle, gwałtownie zrywając się na nogi.

Pędzi w stronę steru. Klify pną się ku niebu zaledwie metry od nas. Kurwa, jak to się stało?

– Pomóż mi – mówi, chwyta za stery i kręci gwałtownie.

Wstaję i biegnę do niego. Jak mogliśmy to przegapić. O Boże, rozbijemy się. Powtórka z „Costy Concordii”. Stoimy obok siebie i ciągniemy za ster. I wtedy się orientuję: nie mam na sobie sarongu. Nadal leży na pokładzie obok ręcznika. Patrzę na swoje ciało, nagle świadoma każdej niedoskonałości. Wpadam w panikę. Muszę odciągnąć jego uwagę. Rzucam się na koło sterowe i ciągnę z całej siły w dół. Ambrogio łapie za uchwyt i znów kręci do pionu.

Ale jest już za późno.

TRZASK! ŁUP! BUM!

Jacht szarpie, drży, cały się trzęsie. Wywrócimy się do góry dnem? Ster roztrzaskuje się o skały.

– *Merda!* – powtarza Ambrogio. – Mam nadzieję, że nie utknęliśmy.

Ale utknęliśmy. Na dobre.

– Tak mi przykro. Straciłam równowagę.

Ambrogio wpatruje się w morze, ale nie widać żadnych łodzi.

– Chodź – mówi w końcu. – Skaczemy. Możemy stąd dopłynąć do brzegu. To niedaleko.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do krawędzi jachtu. Patrzę w dół, na ciemnozieloną wodę; wygląda na bardzo głęboką. Wygląda naprawdę strasznie.

– Trzeba wrócić na ląd i ściągnąć pomoc – dodaje.

Nagle znika, a ja słyszę głośnie PLUSK! Zanim dociera do mnie, co się stało, on już odpływa. Wygląda jak delfin, śliski i błyszczący w wodzie. Widzę, że pływa o wiele lepiej ode mnie. Odwraca się w morzu i krzyczy:

– Dawaj, Beth! Skacz! Zabieramy się stąd.

Staję na samej krawędzi jachtu i patrzę w dół. Chyba nie mam wyboru. Raczej nie mogę zostać całkiem sama na tym pieprzonym „Titanicu”. Woda jest głęboka i przerażająca. Przelatują mi przed oczami sceny ze *Szczęk*.

Rzędy ostrych jak brzytwa zębów. Kończyny unoszące się na wodzie. Kawalki chrząstek. Morska woda czerwona od litrów krwi. Rozglądam się w poszukiwaniu krążących płetw grzbietowych. Nic nie widać. Okej, jedziemy z tym koksem. Zamykam oczy i zatykam nos. Raz, dwa, trzy – hop! Wpadam na bombę do wody. Z łodzi wyglądała na taką ciepłą, ale wcale taka nie jest! Zimna, lodowata. Trzępię rękami i nogami na wszystkie strony, szamoczę się jak żaba rażona prądem. Dawaj, Alvie, jesteś syreną. Ambrogio na ciebie patrzy. Płyn jak Beth.

Z całych sił próbuję wyglądać jak syrenka Ariel i płynę powolnym kraulem w stronę brzegu. Rozglądam się za cieniami w wodzie. Jeśli zobaczysz rekina, musisz przywalić mu w nos. Ambrogio bierze mnie za rękę – nareszcie! – i wyciąga na kamienie przy brzegu. Odwracam się i patrzę na tonącą powoli łódź. Dziura w kadłubie wypełnia się wodą. Jacht jest kompletnie zniszczony.

Rozdział dwudziesty piąty

Taormina, Sycylia

OPADAMY NA ŁÓŻKO, splątani, przyciśnięci mocno do siebie.

– Przepraszam za jacht. Wynagrodzę ci to – mówię.

Ambrogio nie odpowiada, tylko całuje mnie jeszcze głębiej; jego usta chciwie pochłaniają moje. Na pewno może po prostu kupić sobie nową łódź? Odsuwam się, a on zrywa z siebie koszulkę polo. Przyglądam się, jak napina mięśnie brzucha i gładzę je palcem. Jego skóra jest gorąca, gładka i opalona na ciemnozłoty brąz. Jest taki smakowity, że mogłabym go schrupać. Ma brzuch jak tabliczka mlecznej czekolady. Sięgam do lampki na szafce nocnej i gaszę światło, naciągam sobie krawędź kołdry na piersi. Nie chcę, żeby mnie widział, tak na wszelki wypadek. Ale nie mogę już dłużej czekać; chce mi się bzykać.

– Nie wyłączaj – protestuje Ambrogio. – Wiesz, że nie lubię przy zgaszonym świetle.

– Trochę boli mnie głowa – wykręcam się.

Robimy to! Teraz! Naprawdę to robimy! Przesuwam dłońmi po jego ciele i ściągam mu bokserki, szukam po omacku penisa.

– Och. – Wymyka mi się.

– Coś nie tak?

– Nic.

– Dlaczego przerwałeś?

Bardziej korniszon niż ogórek szklarniowy.

Ambrogio dochodzi w trzech krótkich spazmach, a potem opada ciężko na swoją stronę łóżka.

No, to było do dupy. Poważnie? Już po wszystkim? Musiałam być naprawdę grubo nawalona w Oksfordzie. Jemu chyba się podobało, ale ja raczej wolę Mr Dicka. Nie mogę w to uwierzyć. Po tylu latach. To takie niesprawiedliwe. Zaraz się poryczę.

– *Merda!* – dyszy Ambrogio, zeskakując z łóżka. Odsuwa się ode mnie jak najdalej, staje plecami do ściany. – Co to, kurwa, jest? Alvina?

Patrzy mi prosto w oczy jak rekin, próbuje mi coś wyczytać z mózgu niczym Larry David albo agent CIA. Cień pada mu na twarz.

– Alvina? – powtarzam. – O co... o co ci chodzi?

Zamieram. Nawet włos mi nie drgnie. Nie żebym jeszcze jakieś miała. Wszystkie zgoliłam, kiedy zmieniłam się w Beth. Jestem sparaliżowana, spetryfikowana, nieruchoma jak ludzie w muzeum w Pompejach, jak ta marmurowa figura Beth.

– Nie jesteś Beth. Inaczej dochodzisz.

Czyżby? O, szlag. Oczywiście, już rozumiem: chodzi mu o to, że inaczej udajemy.

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? Lepiej, żebyś mi to zajebiście dobrze wytłumaczyła! – krzyczy, waląc pięścią w wezglowie łóżka. – Co zrobiłaś z moją żoną?

Mogłabym wytłumaczyć, ale to nic by nie zmieniło. Widzę po jego oczach, że chce mnie rozszarpać na kawałki.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz – oznajmiam w końcu; głos mi drży. Zaraz umrę. To koniec.

– Naprawdę?! – wrzeszczy. Głos ma jak grzmot.

– Naprawdę – przytakuję.

Ambrogio stoi po przeciwnej stronie łóżka, rozluźnia i znów zaciska

pięści. Wygląda na nieźle wkurzonego.

– Co ty zrobiłaś? Zabiłaś ją? Ty pojebana suko, zabiłaś moją żonę!

– Nie! Wcale nie! Proszę... tylko posłuchaj!

– Zabiłaś swoją siostrę! Mogłem się wcześniej domyślić! Cały dzień dziwnie się zachowywałaś. Beth w życiu nie zjadłaby całej puszki pringlesów! I cała ta akcja z jachtem – Beth dobrze wiedziała, co gdzie jest na łodzi! Ona... ona... ona... ona... to my ciebie mieliśmy zabić! – Ambrogio ciągnie się za włosy, prawie wrywając sobie całe garście.

– To ja jestem Beth! Jestem Beth! Przysięgam, nie jestem Alvie!

Kulę się pod wezgłowiem łóżka, dławiąc się łzami. On chwyta mnie za kostki i wyciąga na łóżku. Wchodzi na mnie i przyciska całym ciałem do materaca.

– Co kupiłem ci na Gwiazdkę w zeszłym roku?

– N-n-nie pamiętam.

– Gdzie poszliśmy na pierwszą randkę?

– Wy...wyleciało mi z głowy.

Jego twarz wisi centymetr nad moją. Pryska mi śliną do oczu; gdybym nie była taka przerażona, uznałabym, że to obrzydliwe. Tracę dech pod jego ciężarem.

– Jaka jest moja ulubiona drużyna piłkarska?

Dobra, spróbuję zgadnąć...

– Włochy?

Na kominku za plecami Ambrogia siedzi lalka, ta, którą Beth dostała w dzieciństwie. Osuwa się na bok i gapi prosto na mnie, w jej lśniących szklanych oczach dostrzegam jakiś błysk. Spomiędzy palców u stóp wystaje jej samotna szpilka. Jakby Beth tu była. Jakby mnie obserwowała, teraz, właśnie w tej chwili. Czuję jej obecność. Czuję jej gniew.

– Czy chciałabyś mi coś powiedzieć, Alvino? – pyta Ambrogio,

nachylając się jeszcze bliżej. Teraz cały się trzęsie, oczy ma szeroko otwarte. Nie zauważyłam wcześniej, jaki jest silny. Potężne mięśnie ramion, bicepsy, szerokie bary. Mógłby złamać mi kark jak gałązkę.

– Skąd... skąd wiesz, że inaczej dochodzimy? – Warto spróbować...

– Puknąłem cię w Oksfordzie. A może byłaś zbyt nawalona, żeby zapamiętać?

– Kurwa – szepczę, zasłaniając usta. – Więc wiedziałeś, że to byłam ja? Że to była Alvie?

– Oczywiście, że wiedziałem. Co, uważasz mnie za kretyna?

– Nie, absolutnie nie. – Potrząsam głową.

Ambrogio nieco rozluźnia uścisk. Pociera skronie, zamyka oczy.

– Po prostu... po prostu... nie rozumiem. Po chuj przebierałaś się za Beth?

To moja szansa. Wygląda na skołowanego, muszę to wykorzystać! Wyślizguję mu się i zeskakuję z łóżka. Chwytam sukienkę i pędzę do drzwi; na szczęście są po mojej stronie sypialni. Ambrogio jest nagi, kątem oka widzę, jak gorączkowo szuka spodni. Wypadam za drzwi i nie oglądam się za siebie.

Gnam korytarzem, zbiegam po schodach, na przestrzał przez willę, naciągam kieckę przez głowę. Mam śliskie dłonie; czuję swędzący pot na całym ciele, na plecach, na szyi. Aż dygoczę od chłodnego nocnego powietrza. Otwieram drzwi i sprintem przebiegam przez taras, klaskając bosymi stopami o kafelki na patio. Pruję przez podjazd i wypadam na drogę. Nie odwracam się, ale słyszę, że on jest niedaleko, słyszę chrzęst żwiru pod jego stopami.

– ALVINA! WRACAJ! – krzyczy za mną.

On mnie zabije.

Jest cicho. Ciemno. Nie przegonię go, ale może dam radę się schować.

Pędzę w stronę amfiteatru. Spacerem można tam dojść w dwie minuty, więc zaraz tam będę. Musi tam być jakieś miejsce nadające się na kryjówkę: jakiś krzak albo kamień. Rozglądam się, szukam, patrzę. Zbiegam ze wzgórza, ból w nogach już nieźle daje mi do wiwatu. Pot cieknie mi strużkami po twarzy. Sukienka klei się do ciała. Chciałabym mieć na sobie majtki. Ostre kamyki wbijają mi się w stopy. Kopię coś mocno – kurwa! To bolało. Chyba złamałam palec u nogi! Adrenalina rozsadza mi żyły, potykam się, przewracam, ale to lepsze niż druga opcja: wkurzony Ambrogio.

W półmroku dostrzegam kamień pod ogrodzeniem, wskakuję na niego. Gramolę się na samą górę i zahaczam udem o zardzewiały gwóźdź – ała! szlag! – rozrywa skórę. Super, jeszcze tężec do tego. Coś ciepłego spływa mi po nodze. Co to? Krew, pot, sperma? Nie mam czasu sprawdzać. Przełazę na drugą stronę. Zeskakuję na ziemię i pędzę do teatru. Ambrogio też biegnie, jest kilka metrów za mną.

– Alvie! Stój. Chodź tu i powiedz, co jest grane. Po jaką cholere przebrałaś się za Beth? Co ona kombinowała?

Ogrodzenie zapada się z trzaskiem, kiedy on przełazi na drugą stronę.

– Chcę wiedzieć, co tu się dzieje, do kurwy nędzy.

Jedyne światło rzuca księżyc w pełni; ledwo widzę rozciągające się przede mną audytorium. Zbiegam po schodach w stronę sceny. Potykam się w ciemności i rozwalam sobie kolano. Ryję twarzą w ziemi; grys i żelazo. Mam piasek w oczach, łzawią, pieką. Mrugam gorączkowo i wdycham kurz. Słyszę za sobą kroki, coraz bliżej; Ambrogio już prawie tu jest. O, kurwa! Z trudem podnoszę się na nogi; kolano mi pulsuje, palec u nogi boli jak wściekły. Kaszlę, krztuszę się, z trudem łapię oddech.

Pędzę ku scenie i włączę na główną platformę. Z tyłu są kolumny, ruszam w tamtym kierunku. Chowam się za filarem, kucam, wstrzymuję oddech. Widzę, jak on zbiega na scenę. Pełznę na czworakach za następną kolumnę.

– Nie możesz uciekać w nieskończoność – mówi Ambrogio. – Wyłaź, Alvina! Wszyscy się dowiedzą, co zrobiłaś. Słyszysz mnie?

Nie! Nie! Nie! Nie! Potrząsam głową, żeby odciąć się od jego krzyków. Śpiewam sobie w myślach: *I Should Be So Lucky. Shake It Off...* Ambrogio wskakuje na scenę. Widzę, jak się zatrzymuje i rozgląda. Srebrny błysk. Trzyma coś w dłoni! Co to jest? Nóż? Pistolet?

Kurwa, on każe mi za to zapłacić.

Nie wie, w którą stronę uciekłam. Odwraca się i skrada ku przeciwnej stronie pustej sceny. Na palcach przechodzę za następną kolumnę. Kucam nisko w ciemnym kącie, dyszę, klnę, serce zaraz mi eksploduje, przyciskam czoło do chłodnego marmuru. Skóra mi płonie. W gardle mam sucho. Od Ambrogia dzielą mnie co najmniej trzy kolumny. Potrzebuję wódki. Chce mi się płakać.

Ambrogio rusza w moją stronę.

Ja pierdołę, on naprawdę ma pistolet!

Kurczę się jeszcze bardziej i wstrzymuję oddech, próbuję oddychać tak płytko, jak tylko się da.

Nie wydaj z siebie żadnego dźwięku. Cicho, Alvina. Nie spierdol tego. Żałuję, że nie mam przy sobie swojego szwajcarskiego scyzoryka. Wystarczyłby mi nawet korkociąg, jak w *Dziewczynie z pociągu*. Chciałabym też mieć pistolet. Tuż przy stopie wyczuwam kamień. Chwytam go drżącymi palcami. Jest rozmiarów sycylijskiej czerwonej pomarańczy, ciężki, okrągły ze spiczastym końcem. Ambrogio jest coraz bliżej. Bliżej. Bliżej. Wie, że gdzieś tu jestem... gdzieś niedaleko... tuż obok. Widzę w ciemności jego sylwetkę, skradającą się na palcach, podstępny czarny cień, próbujący się ukryć. Zbliży się do mnie, zagląda w ciemność. Jest cicho, słychać tylko jego oddech. Zwierzęcy. Groźny. Prawie jak warczenie. Wstrzymuję oddech, choć mam ochotę wrzeszczeć. Jeśli ja go słyszę, to on mnie też. Jest zaledwie kilka

metrów ode mnie. Dwa metry. Metr.

– Alvie, dlaczego byłaś przebrana za Elizabeth? – woła Ambrogio w ciemność. – Tego nie było w planie. Co tu się dzieje?

Podskakuję wysoko i mocno walę go kamieniem w głowę. Uderzam jeszcze raz, z całej siły. Ambrogio upada na posadzkę i wypuszcza pistolet. Pada twarzą w dół na scenę. Stoję teraz nad nim, nadal ściskając w dłoniach ostry kamień, cała się trzęsę, gotowa do ataku. On trzepocze rękami na boki i wyciąga dłoń ku mojej kostce. Chwyta.

– Kurwa! – wrzeszczę.

On ściska mocno. Daleko mu jeszcze do trupa. Muszę z nim skończyć, ale zaraz się przewrócę! Trzyma mnie za obie kostki i ciągnie ku sobie. Tracę równowagę i spadam mu na pierś. Unoszę kamień nad głowę i tłukę go prosto w czaszkę, rozwalam mu głowę, i jeszcze raz, i jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz.

TRACH!

TRACH! TRACH! TRACH!

Krzyczę, płaczę i dygoczę jednocześnie. Teraz on już się nie rusza – kurwa, nareszcie – ale jego palce wciąż oplatają mi kostki, mocno jak żelazne kajdany. Kopię, aż wreszcie udaje mi się uwolnić. Upuszczam kamień, nie jestem w stanie dłużej go ściskać. Mam coś oślizgłego na rękach aż po łokcie, i na sukience. Odrobina krwi wisi mi na wardze: smakuje jak surowy stek. Krople krwi obryzgały mi całą twarz i szyję. Całe moje ciało płonie, emituje żar. Chłodne nocne powietrze oplata mnie mackami jak kalmar albo ośmiornica, albo jak palce trupa. Patrzę na ciało pod swoimi nogami i aż się wzdrygam.

Zrywam się na nogi i odsuwam się chwiejnym krokiem, widzę pistolet upuszczony przez Ambrogia – leży niecały metr ode mnie. Dlaczego on w ogóle trzymał w domu pistolet? Blisko było. Mógł mnie zastrzelić! Co to

za ludzie, do chuja panicznego? Myślałam, że jesteśmy rodziną. Nic nie wiem, zupełnie nic. Biegnę i chwytam broń. Nigdy dotąd nie widziałam prawdziwego gnata, tylko takie zabawkowe i na wodę. Nigdy nawet nie byłam na paintballu, ani takim zwykłym, ani laserowym. Ważę pistolet w obu dłoniach: zimny i ciężki, zaskakująco ciężki. Obcy. Dziwny. Czuję, jak przez całe ciało przepływa mi fala podniecenia. Pistolet Ambrogia! Zatrzymam go. Teraz jest mój!

Patrzę na jego ciało, rozciągnięte na ziemi. Jest prawie nagi, ma na sobie tylko czarne bokserki. Tył głowy ma cały lepki od krwi. Stoję zgięta w pół, z dłońmi opartymi o kolana, chwytam oddech. Cała dygoczę, nie mogę tego opanować. Bolą mnie ręce. Uda mi drżą. Ambrogio się nie rusza. Na pewno już nie żyje? Ściskam pistolet w lewej dłoni i celuję mniej więcej w stronę jego głowy. Zbliżam się powolutku do ciała, opuszczam nisko dłoń, szukam żyły na szyi. Czuję ją pod palcami, odliczam dziesięć sekund. Raz, dwa, trzy, cztery... Dzięki Bogu: nie ma pulsu. Odrywam dłoń od jego szyi, spodziewając się, że odwróci głowę i mnie ugryzie, że skoczy i się na mnie rzuci, albo zacznie mi wrzeszczyć prosto w twarz. Jeśli tak zrobi, to go zastrzelę. Ale Ambrogio leży nieruchomo. Nie żyje. Nie mogę w to uwierzyć. Już go nie ma! Jestem bezpieczna!

I co ja mam teraz zrobić?

Rozdział dwudziesty szósty

WALĘ W DRZWI NAJMOCNIEJ, jak potrafię.

– Salvatore! Salvatore!

Dobijam się tak długo, aż w końcu słyszę dudnienie kroków w willi. Kurde, pistolet!

Jak zobaczy gnata, to mu odbije. Rzucam broń pod krzaki przed drzwiami i kopię na wierzch trochę liści. Przyjdę po niego później.

– *Che cosa? Che cosa?* – Słyszę.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Stoi w nich mężczyzna – wysoki i barczysty, wyższy niż Ambrogio; to Salvatore. Przypomina mi gwiazdę wrestlingu, jakieś ciacho z WWE. Przeciera oczy. Biedaczek, spał sobie. Obudziłam go. Pewnie myśli, że śni mu się najgorszy koszmar na świecie: zakrwawiona kochanka przed drzwiami.

– *Oh, minchia!* Co ci się stało?

On myśli, że to moja krew.

– Salvatore – mówię. Wpadam mu w ramiona, wybucham łzami i szlocham mu w pierś. On odsuwa mnie od siebie i robi krok w tył. Jest w szoku.

– Betta? Co się dzieje? Która godzina? – Spogląda na nadgarstek, gdzie za dnia znajdowałby się jego Patek Philippe, ale teraz go tam nie ma. No jasne, przecież jest środek nocy.

– Proszę, błagam, musisz mi pomóc – chlipię, chwytając go za przedramiona, wbijam mu paznokcie w skórę, oczy mam otwarte szeroko jak u wisielca. – On chciał mnie zabić, nie miałam innego wyjścia! On nie żyje.

Patrzę, jak zmienia mu się wyraz twarzy, kiedy dociera do niego, co właśnie powiedziałam.

– Co? Kto? Zabić cię? – powtarza.

– Ambrogio. – Przygryzam wargę. Nadal czuję smak krwi. Przesuwam językiem po przedzie zębów i z trudem przełykam ślinę.

– Ambrogio? Ciebie zabić? – mówi Salvatore. – Nie wierzę! Ambrogio w życiu by cię nie tknął. To zasrany *cornuto*. Pizduś.

– Miał pistolet – upieram się. – Naprawdę!

Salvatore bierze mnie za rękę i wciąga do środka, po czym wychyla się na dwór i rozgląda po ogrodzie. Nic. Nikogo. Zatrząskuje drzwi. Prowadzi mnie do kuchni i zapala światło: nieznośnie jasne, aż bołą mnie oczy. Zbyt długo kryłam się w ciemności, jak jakaś sowa.

– Siadaj – nakazuje.

Ma na sobie obcisły biały T-shirt i bokserki od Calvina Kleina w niebieskie i zielone paski. Już go widziałam półnagiego w ogrodzie. Wiem, że lepiej wygląda bez koszulki. Jest ogromny: wysoki i umięśniony. Chyba codziennie zasuwa na siłkę. Nie dziwię się, że wpadł w oko mojej siostrze. Ja też pewnie miałabym z nim romans. Jak to jest, że Włosi są tak niemożliwie atrakcyjni? Gdybym tu mieszkała, Tinder by mi się przegrzał! Ale niewierność nie jest w stylu Beth. To zupełnie do niej nie pasuje. Dlaczego kręciła z innym facetem? Dlaczego chciała uciec? Przecież Ambrogio był doskonały. Chociaż w sumie w łóżku straszna porażka. Ale na pewno chodziło o coś więcej. Beth nigdy nie chciałaby zostawić męża. Coś takiego nie leżało w jej naturze i koniec. Nic nie rozumiem.

Salvatore nalewa mi szklankę wody z kranu. Ręka mi się trzęsie, trochę rozlewam. Wypijam chciwie i patrzę na zegar ścienny – pierwsza trzynaście w nocy. Zabawne, dokładnie o tej samej godzinie umarła Beth. Salvatore stoi nade mną i patrzy na mnie dziwnym wzrokiem. Ma chyba ze dwa metry.

Gdybym nie była cała upaprana krwią, może nawet by mi nie uwierzył.

– Więc myślisz, że zabiłaś Ambrogia? – powtarza. Widzę, że dalej mi nie wierzy.

– Tak. – Kiwam głową.

– I jesteś pewna, że on nie żyje?

Znów czuję, jak wzbiera fala zwątpienia. Ziemia nagle kołysze mi się pod stopami. A co, jeśli Ambrogio wcale nie był martwy? Co, jeśli wstał i przyszedł tu za mną? Patrzę na drzwi wejściowe na końcu korytarza, ale są zamknięte; ciemno. Nikogo tam nie ma. Salvatore sprawdził. Wyjrzał do ogrodu. Ma oświetlenie z czujnikiem ruchu, od razu zapaliłyby się lampy. Biorę głęboki oddech.

– Jestem pewna.

– A jak go zabiłaś?

– Kamieniem.

Nawet w moich uszach to brzmi absurdalnie. Salvatore milczy i chwilę się nad tym zastanawia.

– *Minchia* – mówi w końcu. – Kamieniem.

Właśnie do niego dotarło. Teraz wpatruje się we mnie oskarżycielskim wzrokiem, w niebieskich oczach płonie gniew. Co ja zrobiłam? Czy on mi pomoże? A może się wkurzył? Sprzeda mnie policji? Salvatore chodzi po kuchni, bicepsy mu drżą i napinają się. Bose stopy klaszczą o kamienne płytki. Dwa metry żywego mięcha. Nic dziwnego, że Beth chciała z nim trzymać. Wkurwiony goryl. Niedźwiedź grizzly. O, Boże. Nagle wszystko rozumiem: siniaki na ramionach Beth. To nie był Ambrogio. Ambrogio to *cornuto*. Pizduś. Salvatore jej to zrobił!

– Kurwa, dlaczego on chciał cię zabić? Dowiedział się o nas?

– Tak – mówię i nagle robi mi się słabo. Chyba zemdleję. On mnie uderzy. Zatłucze. Och, dlaczego wyrzuciłam ten pistolet?

– A skąd się dowiedział?

– Moja siostra mu powiedziała. – Czy to brzmi wiarygodnie?

Salvatore przystaje.

– A po co ona miałaby to robić?

– Chyba chciała go tylko dla siebie. Ona jest trochę taką krową.

Dobre: czas terazniejszy. Jakby nadal żyła. Ślicznie, Alvie. Potrafisz improwizować.

Salvatore wzdycha. Chyba uwierzył. Dlaczego w to uwierzył? Co Beth nagadała mu o Alwinie? On myśli, że Alvie to sucz.

– No to... gdzie ono jest? Ciało? – pyta.

– Na scenie w amfiteatrze.

– W amfiteatrze? A co on tam robi?

Sama chciałabym wiedzieć.

– Nie wiem. Gonił mnie – próbuję wyjaśnić, ale załamuje mi się głos. Kręci mi się w głowie. Wszystko wokół rozmywa się we łzach. Już mam otrzeć policzek wierzchem dłoni, kiedy zauważam, że całą rękę mam we krwi.

Salvatore aż się trzęsie z wściekłości. Obudziłam go i przywlokłam mu problem na chatę. Wygląda na wkurwionego.

– Dlaczego miałbym ci pomagać? Po tym wszystkim, co powiedziałaś?

A co ja niby powiedziałam?

– A-a-ale...

– Wydawało mi się, że nie mówisz do mnie. Powiedziałaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Że jeśli ci nie pomogę, to nie chcesz mnie znać.

Co? Och. Tamta kłótnia z moją siostrą. Teraz sobie przypominam, jak wydzierali się na siebie przy jego samochodzie.

– Oczywiście, że tak nie myślę. Przepraszam – zapewniam. Czy brzmię przekonująco? Czy wyrażam dostateczną skruchę? Już nie kontroluję łez;

zalewają mi oczy i płyną po twarzy. Prawdziwe łzy. Już zapomniałam, jakie to uczucie. Boże, czy ja rzeczywiście płaczę? Chyba zmieniam się w Beth. On mi nie pomoże. Po co ja tu przylazłam? Zaraz mi przywali albo zadzwoni na policję.

– Więc nie chciałabyś, żebym umarł?

– Nie. – Serio? Ona mu tak wygarnęła? Ciekawe, co zrobił. To musiało być coś paskudnego.

– Ale tak powiedziałaś...

Szlag. Dzięki, Beth.

– Nie mówiłam poważnie... Poniosło mnie. Proszę? – Co zrobiłaby Beth? Trzepoczę rzęsami. Kokieteria pewnie lepiej się sprawdza, kiedy nikt z zainteresowanych nie jest uwalany krwią. – Proszę, błagam. – Teraz szlocham w dłonie. Kogo obchodzi krew? Jeśli on mi nie pomoże, mam przejebane.

– Poczekaj tutaj, pójdę się ubrać – mówi w końcu. Podnoszę głowę, mrugając przez łzy. Poważnie?

– Och! Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! – powtarzam. Salvatore, mój wybawca!

On znika za drzwiami w korytarzu. Ciężko wchodzi po schodach. Słyszę, jak chodzi na piętrze. Deski trzeszczą. Lampa pod sufitem się kiwa. Wielki facet. Dwieście kilo? Ciężki jak wystawowy buhaj.

Dopijam wodę i wkładam szklankę do zlewu. Kuchnia Salvatorego jest elegancka i obłędnie nowoczesna, designerska, zaprojektowana na zamówienie. BOSCH. SMEG. NESPRESSO. ALESSI. Wszystko aż się świeci, jakby nigdy nie było używane. Lśniące białe powierzchnie. Minimalistyczne wyposażenie. Włoski design. Dostrzegam ślad krwi w miejscu, gdzie oparłam rękę o biały plastikowy stolik. Odrywam kawałek ręcznika papierowego, moczę pod kranem i wycieram blat. To jedna z tych

kuchni ze schowanym śmietnikiem; nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Jeśli jeszcze czegoś dotknę, znowu nabrudzę. Stoję na środku kuchni, a różowa woda kapie z mokrego papieru na białe kafelki.

Salvatore zbiega z powrotem na parter. DUM. DUM. DUM. Przebrał się w granatowe dżinsy i elegancką czarną koszulę. Leży na nim jak ułak: pewnie była szyta na zamówienie. Zatrzymuje się i patrzy na mnie przez sekundę, zauważa papier w mojej dłoni. Zabiera mi go z ręki i wyrzuca do kosza. Okazuje się, że kosz był schowany w szafce pod zlewem. A, no tak. Następnym razem będę pamiętać. O ile trafi się jakiś następny raz.

– Przydałoby się wziąć trochę wody, żeby posprzątać. Może jakieś wiadra i gąbka?

– Idziemy – ucina Salvatore.

* * *

– Gdzie on jest?

Żałuję, że nie zabraliśmy latarki. Chyba zrobiło się jeszcze ciemniej. Wielka czarna chmura połknęła księżyc. Rozglądam się po scenie, ale prawie nic nie widzę. Kolumny. Skały. Morze. O, w mordę jeża! Boże, czy to jest erupcja na Etnie? Wiedziałam, że nie mogę jej ufać. Czy to nie jest niebezpieczne? Krater wulkanu pluje iskrami i migocze. Rozgrzana lava wystrzela wysoko w górę: pomarańczowa, żółta, złota, purpurowa. Po szczycie przetacza się chmura dymu. Obłoki popiołu rozświetlają rozbłyśki odległych błyskawic. Czuję ulotny zapach siarki. Smak żaru w ustach. Zerkam na Salvatorego, ale on nie wygląda na poruszonego. Może ona cały czas tak robi? Gapię się na szczyt. To wygląda niesamowicie. To chyba spoko doświadczenie, przeżyć wybuch wulkanu. Jeśli przeżyjemy. Fajna historia do opowiadania wnukom?

Z początku w ogóle go nie widzę. Wydaje mi się, że zniknął. Zwlókl się

ze sceny i gdzieś odczołgał. To wydaje mi się teraz takie nieprawdopodobne; jakbym wszystko sobie zmyśliła. Jak wytwór pojebanej wyobraźni. Oglądam się przez ramię. Może on nadal tu jest? Może się na nas zakrada z kamieniem albo z pistoletem? Wyobrażam sobie zombi ze *Świtu żywych trupów*. Ale w końcu go zauważam. Leży na scenie tam, gdzie go zostawiłam. Długa czarna sylwetka na szarej kamiennej posadzce. Cicha. Nieruchoma. Martwa.

– Tam, na scenie. Patrz! – mówię. Gryzę wargę od wewnątrz. Tak mocno, że zaczyna krwawić.

Salvatore spogląda we wskazanym kierunku. Czuję, jak cały się napina. Nie wierzył. Nie wierzył, dopóki nie zobaczył. Ja też nie. Zbiegamy po schodach do frontu sceny. Przynieśliśmy ze sobą dwa wiadra pełne wody, żeby wyczyścić cały ten bajzel: woda w wiadrze chlupie i się przelewa. Mam mokre stopy, całe nogi sobie ochlapałam. Czuję, że słabną mi kolana, przeskakuję po dwa, trzy, cztery stopnie na raz. Schody wydają się ciągnąć w nieskończoność.

Co ja wyprawiam? Mam wrażenie, że obserwuję samą siebie z daleka. Niczym widz starożytnej greckiej tragedii: im więcej krwi i rozmemłanych flaków, tym lepiej. Na końcu wszyscy umierają. Z perspektywy widowni morderstwa wydają się prawdziwe, ale to tylko gra, trzygodzinna rozrywka, ekscytująca, fascynująca, katartyczna. Wiem, że krew to tylko barwnik do żywności. Wnętrznosci są świńskie.

Podchodzimy do krawędzi i wskakujemy na scenę. Salvatore wchodzi pierwszy i podaje mi rękę, ale ja tylko stoję i się gapię. Naprawdę nie mam ochoty podchodzić bliżej. Chyba zwymiotuję. Salvatore łapie moją dłoń i wciąga mnie na górę, jakbym nic nie ważyła (chciałabym). Idę za nim w stronę rzędu kolumn z tyłu sceny, w stronę ciała. Zamieram. Ambrogio nadal ma szeroko otwarte oczy, lśniące bielą w świetle księżyca. Patrzy prosto na mnie. Wielkie, durne oczy jak u ryby na pokruszonym lodzie na

bazarze; usta ma rozdziawione, język mu się wylewa. Czy ryby mają języki? Ma pękniętą głowę; krew wylewa się na posadzkę. Włosy ma mokre i czarne. Zauważam coś białego: co to? Fragment czaszki?

Za trupem rozpościera się widok, który zapiera dech w piersiach. Erupcja Etny trwa. Zaczyna mi się to podobać. Rozbłyśki czerwieni migoczą na tle nocnego nieba. Oszałamiające, fenomenalne, epickie, podniosłe. Teraz, kiedy już wiem, że nie umrę od lawy, nie mogę oderwać wzroku od płomieni.

– Beth? BETH? BETH!

– Co?

– Musimy posprzątać ten syf.

Odwracam się z powrotem do ciała, podchodzę odrobinę bliżej. Od smrodu świeżej krwi żołądek podchodzi mi do gardła: krew zmieszana z siarką i słonym morskim powietrzem. Wypełnia mi nozdrza, oblepia przelyk; jak uderzenie prosto w usta, jak wybity ząb, krwawiący język. Krew bulgocze mi w gardle, wypełnia mi usta, żołądek, płuca. Dławię się, tonę, topię się we krwi.

Posadzka jest ciemna, śliska, mokra. Wykręcam gąbkę w wiadrze i ściskam. Zimna woda ochlapuje mi łydki i stopy, chłodzi złamany palec u nogi. Szoruję kamienie. Nie chce zejść. Nawet po ciemku widzę, że nadal tu jest: oślizgła czarna krew. Szoruję mocniej i szybciej, obcieram sobie kłykcie aż do krwi, do mięsa. Zaczynają mnie boleć ramiona. Szlag, nic z tego. Robi się tylko gorzej. Krew kurewsko trudno się czyści.

– Beth?

– No? – Boże. Co znowu?

– Mówiłaś, że Ambrogio miał pistolet?

– Tak. Miał! Miał pistolet.

– Więc gdzie on jest? Nie ma go przy sobie.

– Musiał... musiał... musiał go upuścić.

– Na scenie go nie widzę.

Szlag.

– Musi być gdzieś w teatrze.

Salvatore patrzy na mnie krzywo i rozgląda się dookoła. W teatrze panuje mrok, wszędzie jest pełno cieni. Widownia jest ogromna.

– Miał pistolet. Przysięgam. Widziałam.

On tylko wzdycha.

– Okej. Nieważne. Pomóż mi go przesunąć – mówi w końcu.

Wrzucam gąbkę z powrotem do wiadra. Salvatore staje przy głowie Ambrogia, wkłada mu ręce pod pachy, jest gotowy. Ocieram czoło wierzchem dłoni; jest śliska i mokra. Nie chcę go dotykać. Wiem, że będzie miał zimną skórę.

– Nogi – mówi.

Wstaję i aż syczę z bólu. Moje kolano! Mój palec! Schylam się, żeby złapać Ambrogia za nogi, chwytam jego kostki, kiedy nagle...

Kroki.

Latarka.

Jakaś postać.

– *Che cazzo fai?* – rozlega się męski głos.

Wali mi światłem po oczach. Oślepia. Wciągam gwałtownie powietrze. Upuszczam nogi Ambrogia i się prostuję.

– O, szlag – mamroczę.

– *Merda* – dodaje Salvatore.

Postać podchodzi bliżej. Kroki są coraz głośniejsze. Zbiega po schodach w niecałe dwie sekundy i podchodzi pod scenę.

Potargane blond włosy. Mundur. To ochroniarz. Oczywiście. Któż by inny?

– Betta? – mówi niepewnie.

Teraz jest dobry moment, żeby się rozplakać. Padam na kolana i zanoszę się szlochem.

– *Che cazzo?*

Chłopak wskakuje na scenę. Czuję jego rękę na ramionach.

– O, Boże! Betta? Co ty zrobiłaś?

– J-j-ja... – wyduszam między jednym spazmem a drugim.

– Co się stało? Betta? Dobrze się czujesz?

– Wszystko okej – mówi Salvatore donośnym głosem, który odbija się echem wśród martwej ciszy teatralnej sceny. – Mąż ją zaatakował, więc go uderzyła i zemdlął. Nic mu nie będzie.

Ochroniarz wstaje. Wskazuje latarką na ciało Ambrogia. Oświetlone wygląda jeszcze gorzej. Strumień światła wyciąga trupa z mroku niczym reflektor, jakby to był jakiś rekwizyt. Żółć wzbiera mi w gardle. Odwracam wzrok.

– *Ma è morto?* – upewnia się ochroniarz.

– *Forse è morto* – odpowiada Salvatore.

– Proszę – odzywam się w końcu i podnoszę się na nogi. – Proszę, proszę, nie mów nikomu. Musiałam to zrobić. Musiałam.

Ochroniarz patrzy mi w oczy. W świetle latarki widzę, że jest przerażony. Ja pierdołę; on spanikuje. To musi być jego pierwsze ciało.

– *Madonna mia* – szepcze. – Betta, ty go zabiłaś? Nie ten facet? – Wskazuje latarką na Salvatorego. On się krzywi i odwraca. Zasłania oczy dłońmi.

– Ja to zrobiłam. Ja. Proszę, nie mów nikomu. – Chwytam chłopaka za koszulę. On znów świeci na mnie. Zamykam oczy. – Proszę. Błagam.

– *Madonna mia*. Zwariowałaś? Rozum ci odjęło? Czy ty wiesz, co zrobiłaś? To jest Ambrogio Caruso! I jeszcze tu jesteś? Musisz uciekać! Oni cię zabiją! Kurwa, musisz stąd zniknąć!

Wpatruję się w ochroniarza. Niebieskie oczy wyłazą mu z orbit, jak u tych złotych rybek z teleskopowymi gałami. Wygląda, jakby był szczerze przerażony. Kto mnie zabije? Nino? Domenico? Emilia? Salvatore? Jak na razie tylko ja tutaj zabijam. Czy o to się martwi?

– Szlag – dodaje, jakby dopiero mu się przypomniało. – Co ja powiem szefowi?

Wstaję powoli, nogi mi się trzęsą, kolana uginają. Zarzucam mu rękę na szyję. Zajeżdżam żałuję, że nie znam jego imienia. Przyciskam się do niego mocno, oddycham mu prosto do ucha.

– Nie martw się. My... my tu posprzątam. On chciał mnie zabić, i... i... i... – Przytulam się do niego jeszcze mocniej – bardzo mocno – i zaczynam szlochać. Przyciskam mu piersi do ciała, przykładam policzek do jego policzka. Przeczesuję palcami jego potarganą czuprynę. Gdybym znała imię, wyszeptałabym je teraz czule. Kurwa, jak on się nazywa?

Ochroniarz odsuwa się ode mnie, robi krok w tył. Patrzy mi w oczy. Błagam go, żebrzę o litość. Żałuję, że nie jestem hipnotyzerką. Trzeba było ćwiczyć kontrolę umysłu.

– Posprzątajcie to. Już – mówi. – Mój szef za godzinę wraca.

Rozdział dwudziesty siódmy

Autostrada A-18: Mesyna–Katania

SALVATORE POMÓGŁ MI załadować zwłoki Ambrogia do bagażnika swojego bmw. Jedziemy na malowniczy klif kilka kilometrów stąd. Kończy się pionowym spadkiem prosto do morza. Ciekawe, czy to właśnie tam rozwaliliśmy jacht. To byłby niezły zbieg okoliczności. Salvatore siedzi w beemce, ja jadę tuż za nim w lambo. Zostawimy samochód Ambrogia na brzegu klifu, żeby wyglądało, jakby tu przyjechał. Szkoda, że nie mogę go zatrzymać. Może odzyskam go później, kiedy będzie już po wszystkim; taki piękny samochód. Naprawdę mi pasuje. Z opuszczonym dachem i wiatrem we włosach wyglądam jak ucieleśnienie *la dolce vita*.

Dźwignia zmiany biegów się zacina, trze, protestuje. Nie jestem pewna, do czego są te wszystkie guziki. Nie wiem, co oznaczają kontrolki. To nie automat. Ledwo udało mi się go odpalić. Pędzimy po morderczych zakrętach, a słońce powoli wypełza przez zaspany horyzont. Jest chyba piąta rano. Nikogo poza nami nie ma na drodze. Dociskam gaz, czuję skok adrenaliny. Salvatore prowadzi szybko i niebezpiecznie. Zajebicie mi się to podoba. Prawie zapomniałam, że mamy trupa w bagażniku. Nigdy tak bardzo nie czułam, że żyję. Teraz, kiedy Salvo mi pomaga, jestem trochę mniej zestresowana. Gdybyśmy nie byli na tajnej misji, puściłabym Taylor Swift na pełny regulator. Albo znalazłabym w radiu Miley i krzyczałabym do muzyki.

Wiatr rozwiewa mi włosy, uderza po twarzy, kłuje w oczy. Wyciągam kosmyk włosów z ust i oblizuję spękane wargi; są wyschnięte od pyłu

w amfiteatrze. Trochę bołą, bo wczoraj je przygryzłam. Nadal mam w ustach posmak krwi. Czuję się jak wampir, ale teraz jestem Beth. Wreszcie jestem tą ładną: jak Rosalie Hale albo Bella Swan.

Skrećamy gwałtownie i zatrzymujemy się z piskiem opon. Patrzę na beemkę Salvatorego: zaparkował i właśnie wysiada z samochodu. Chyba dotarliśmy na miejsce. Wyskakuję z lambo i idę za Salvatorem ku krawędzi potężnego klifu. Stajemy obok siebie i podziwiamy widok. Morska bryza jest ciepła i miękka jak kaszmir. Przed nami rozciąga się zakrzywiona linia brzegu, w oddali migoczą jasne światła, połykane przez ciemne morze. Za kilka minut Ambrogio wyląduje w tej obrzydliwej ciemności, połknie go zimna woda, co z oczu, to z serca. Pójdzie spać z rybkami, chyba tak się mówi? Kilka minut i zaczną go podgryzać. Za parę miesięcy nic z niego nie zostanie. A przynajmniej taki jest plan. Czy w Morzu Śródziemnym mają piranie? Albo żarłaczki białe?

– Betta – woła mnie Salvatore, otwierając bagażnik.

Chwyta Ambrogia za nogi i daje mi znak głową, żebym podeszła. Idę do beemki. Okej, jazda z tym koksem... Biorę Ambrogia pod ramiona. Jest zimny, ciężki, nierzeczywisty. Wspólnym wysiłkiem wyciągamy go z bagażnika i upuszczamy na ziemię. DUM. Boże, zrobił się jeszcze cięższy. Jak to w ogóle możliwe? Chyba powinien być lżejszy? Podobno dusza waży dwadzieścia jeden gramów. Patrzę na drogę w jedną i w drugą stronę. Lepiej, żeby teraz nie przejechał żaden samochód, autokar wypchany turystami albo radiowóz. Wyobrażam sobie tamtą japońską dziewczynkę, jak macha nam przez okno z uśmiechem, z odpalonym aparatem w iPhone: cyk, cyk, cyk. Prosto na Pinteresta: „Moje europejskie wakacje”. Kolejny film dla dorosłych na zasranym YouTube. Serio, mogłabym zbudować na tym całą karierę; jako zła bliźniaczka Zoelli. Z trudem przełykam ślinę i zerkam na Salvatorego.

– To musi wyglądać jak samobójstwo – oznajmia we własne dłonie,

odpalając papierosa. Zwisa mu z kącika ust, sprawiając, że Salvo wygląda jak kowboj z Wyoming w okolicach 1954 roku. Jest strasznie sexy.

– Dobry pomysł – zgadzam się. Gdyby ktoś pytał, Ambrogio miał depresję. W chuj głęboką depresję. Był na krawędzi. Na skraju wytrzymałości. Co noc płakał, aż w końcu udawało mu się zasnąć. Nic dziwnego, że ze sobą skończył. To była tylko kwestia czasu.

– Ale nikt nie skacze z klifu nago – dodaję, trącając jego tors tą stopą, w której nic sobie nie złamałam. – A nawet jeśli, to ktoś musi znaleźć jego ubranie.

To doskonała uwaga. Ambrogio jest prawie nagi, ma na sobie jedynie czarne bokserki. To nie wyglądałoby wiarygodnie. Chyba zacznę rozumieć, jak to działa. Zacznę ogarniać...

– Fakt – zgadza się Salvatore.

No i co? Jestem cennym nabytkiem. Raz-dwa uczę się nowych rzeczy. Przydaję się. Jestem proaktywna. To jakaś nowość.

Przyglądam się, jak Salvo zrywa z siebie koszulę i obcisłe granatowe dżinsy, po czym nachyla się, żeby ubrać Ambrogia. Obczajam jego tyłek. Nawet w półmroku widzę, że to niezłe mięsko. Szeroka klata, umięśnione plecy. Jest zbudowany jak gwiazda rugby: jak któryś z chłopców z All Blacks. Wysoki jak koszykarz. Założę się, że wyciska na siłce co najmniej dwa razy dziennie. Wyobrażam go sobie nago, fantazjuję o seksie na szczycie smaganego wiatrem klifu. Trudno mi się skoncentrować, ale muszę się otrząsnąć. Trzeba się pozbyć trupa.

– Pomóż mi – mówi Salvo. – Podnieś mu nogi.

Naciągamy na zwłoki dżinsy i koszulę. Ubranie jest trochę za duże na Ambrogia; Salvatore jest chyba o rozmiar większy, L zamiast M (a może XXL?), ale trudno, to nam musi wystarczyć. Raczej nie mamy wyboru.

– A co z butami? – pytam, spoglądając na adidasy Salvatorego. To chyba

Air Jordany. Wyglądają naprawdę super. Pewnie nie ma ochoty się z nimi rozstawać. Ja bym nie chciała.

– Buty mogły spaść. – To prawda. – No i nosimy inny rozmiar...

Racja. Jeśli gliny znajdą trupa w za dużych butach, to chyba mogą nabrać podejrzeń. Przyglądam się stopom Salvatorego. Są ogromne jak płetwy. Założę się, że świetnie pływa. Ciekawe, czy to prawda, co mówią o dużych stopach? Mam nadzieję, że się przekonam.

Salvatore się pochyła i chwyta Ambrogia za kostki. Ja też zginam się wpół i po omacku wyczuwam jego nadgarstki. Znajduję ramiona i wsuwam mu rękę pod pachy.

– Gotowa? Raz, dwa, trzy...

Podnosimy trupa i chwiejnie idziemy na klif. Kurde, teraz, kiedy tu jestem i stoję tuż nad krawędzią, widzę, że na dół jest naprawdę zajebiście daleko. Ledwo udaje mi się dostrzec białą pianę fal, rozbijających się o skały daleko pod nami. Świetnie, są tu skały. Jeśli ktoś go znajdzie, to pomyśli, że rozbił sobie głowę przy upadku. Kiedy ktoś go znajdzie. To chyba nieuniknione, tylko kwestia czasu... cała reszta to pobożne życzenia. Alvina, jesteś w Europie, nie w Nibylandii.

Nie mam ochoty podchodzić bliżej do krawędzi; mam lęk wysokości i nie chcę spaść. Już kręci mi się w głowie. Trochę mi niedobrze. To ja się kołyszę, czy to morze? Musimy stanąć na samym brzeżku, żeby go zrzucić, bo inaczej nie spadnie, jak należy. Podchodzimy najbliżej, jak się da, centymetr po centymetrze. Boję się patrzeć. Ciało zwisa między nami jak hamak. Zaczyna mi się wyślizgiwać z rąk; musimy go wywalić! Zaraz go upuszczę! Chciałabym, żeby Salvatore się pospieszył.

– Czekać chwilę – mówi nagle.

Czekać? Co tym razem?

– Dlaczego? Co się stało?

Upuszczamy ciało na ziemię. Dyszę, pocę się. Chcę to już mieć za sobą. Musimy się pozbyć tego trupa.

– Beth, muszę cię o coś poprosić.

Teraz? Człowieku, czy ty jesteś poważny? Jesteśmy w środku roboty. W każdej chwili może nas minąć jakiś samochód. Albo psy, do kurwy nędzy.

– Oczywiście – przytakuję. – O co?

Jasne, pogadajmy sobie. Albo w coś pograjmy: prawda czy wyzwanie.

Patrzę mu w oczy, ale jest ciemno. Nie jestem w stanie nic z nich wyczytać. Co się dzieje? Salvo odwraca wzrok. Boże, czy on dalej jest na mnie zły? Mnie też zamierza zrzucić z klifu? Kurwa, ile on tak naprawdę wie?

– Beth, czy jak to zrobimy, to przestaniesz się tak dziwnie zachowywać? Cały ostatni tydzień... za dużo tego było. Najpierw cała ta sprawa z twoją siostrą, a teraz to wszystko? Wiesz co... mam wrażenie, że już w ogóle cię nie znam. Jakbyś nie była sobą.

– Obiecuję. Przyrzekam. Koniec z dziwnym zachowaniem. Koniec z nerwami. Będę znowu sobą. – Czego tylko sobie życzysz. Co tylko powiesz. Próbuję przywołać na twarz uspokajający uśmiech.

Co on mówi o mojej siostrze? Nie rozumiem. To na pewno miało coś wspólnego z ich kłótnią. Muszę się dowiedzieć, co ona kombinowała. Może Salvo mi powie?

Salvatore nawet nie drgnie. Nie mówi ani słowa. Mam nadzieję, że go przekonałam. Mam nadzieję, że mi uwierzył. Spoglądam na ciało Ambrogia, leżące na ziemi w piachu. Wygląda teraz całkiem niegroźnie, w ogóle nie przypomina tego przerażającego potwora sprzed kilku godzin, żadnego krwi psychola, przed którym uciekałam.

Podnosimy ciało i przerzucamy je za krawędź klifu.

* * *

*Riserva Naturale Orientata Fiumedinisi e Monte Scuderi,
Prowincja Mesyna, Sycylia*

Siedzimy z powrotem w beemce, żadne z nas się nie odzywa. Mam ochotę zapalić papierosa Salva, przy dźwigni leży cała paczka, ale nadal jestem Beth i nie chcę się tłumaczyć. No i jest chyba za duży wiatr. Zerkam na Salvatorego, przyglądam się jego profilowi na tle drogi. Ja pierniczę, jaki on jest sexy. Rzymski nos, mocna szczęka, ciało jak z filmu akcji. Mógłby być kaskaderem Jasona Bourne'a. A może Thora? Moja siostra miała dobry gust, muszę jej to przyznać.

Jego gęste włosy w tym świetle wydają się czarne, a nie ciemnoblonde, powiewają za nim na wietrze. Ma zarost na twarzy; chyba od tygodnia się nie golił. Wszystko w jego wyglądzie aż krzyczy: „Jestem artystą! Chuj mnie obchodzi konwenanse”. To obłądnie pociągające.

Salvatore zjeżdża z klifów inną drogą; nie wiem dlaczego.

– Gdzie jesteście?

– W parku.

– Nie przyjechaliśmy stąd.

– Wiem.

Przejeżdżamy przez gęsty las. Salvo wjeżdża w boczną drogę, która bardziej przypomina leśną ścieżkę niż ulicę, i zatrzymuje się gwałtownie. W lesie pachnie butwiejącymi liśćmi i wilgotną ziemią. Jest śmiertelnie cicho. Najciemniej jest tuż przed wschodem słońca – gdzieś kiedyś słyszałam to powiedzenie, ale dopiero teraz widzę, że to prawda. W centrum Londynu nigdy nie jest tak naprawdę ciemno. Nigdy nie jest aż tak cicho. Tutaj ciszę przerywa jedynie świergot ptaków gdzieś w koronach drzew. Las zaczyna się budzić. Po co się tu zatrzymaliśmy? Zaczynam panikować. Z doświadczenia wiem, że sycylijskie lasy to miejsce na grzebanie kobiet. Kobiet, które

wyglądają dokładnie tak jak ja. Salvatore patrzy na mnie dziwnie... Albo mnie pocałuje, albo zabije. Kurwa.

Oboje jesteśmy brudni, spoceni i upačkani krwią. Mam na sobie podartą letnią sukienkę, jestem bez butów i bez bielizny. On jest w samych adidasach i bokserkach od Calvina Kleina. Wyglądamy co najmniej podejrzanie. Gdyby ktoś nas zobaczył, nie musiałyby być geniuszem, żeby połączyć fakty i skojarzyć nas z ciałem wyrzuconym przez fale pod klifem. Nadal leci mi krew z kolana i z tego skaleczenia na udzie. Złamany palec u nogi zaczyna pulsować. Słyszę własny oddech, urywany i płytki. Jeśli on mnie zaatakuje, nie mam najmniejszych szans. Nie sama, nie w starciu z taką górą mięśni. Nie mam żadnej broni. Nawet scyzoryka. Nawet kamienia. Dlaczego nie zatrzymałam tego pistoletu? Jest ciemno, ale dostrzegam krzywiznę jego bicepsa. Jest silny jak wół.

– Salvatore? – szepczę.

Nie mogę zapomnieć o siniakach Beth. Czarnych, fioletowych, niebieskich, zielonych. Miała je na obu ramionach. Najpierw jeden, potem dwa. Próbowwała się wykręcać. Zakrywać makijażem. Zaciskam oczy i wstrzymuję oddech. Wszystkie mięśnie mam napięte. Serce tłucze mi się w piersi, jakby chciało uciec. Co ja tu robię w środku nocy? W środku lasu? Chcę do domu.

Salvatore odwraca się i całuje mnie mocno w usta – oczywiście, przecież myśli, że jestem Beth – i zanim się obejrzę, już odwzajemniam pocałunek. Chwyta mnie za włosy z tyłu głowy, wbija mi palce w czaszkę, i przyciąga blisko, jak w akcie desperacji.

– Przepraszam – szepcze mi prosto w usta. – Nie mogłem dłużej czekać. Tak bardzo cię pragnę.

Więc się zgadzam. Oczywiście, że się zgadzam. Wychodzi na to, że Beth naprawdę miała romans! Nie wiem dlaczego. To po prostu nie w jej stylu.

Mimo że Salvo jest wściekle seksowny. Może tylko chciała go wykorzystać do ucieczki. Wykorzystywała go tak samo jak mnie. Tylko to ma sens! Odgrywam swoją rolę – i wiecie co, naprawdę mam na niego ochotę. Błagam, kto by nie miał? On jest tak seksowny jak Channing. Cały strach wyparowuje ze mnie w jednej chwili. Skórę mam pobudzoną, niemal zbyt wrażliwą. Serce bije mi zbyt szybko. Salvatore zdiera ze mnie sukienkę, ramiączka wbijają mi się w szyję i w ręce. Jego silne dłonie przyciągają mnie bliżej, wciskają w jego ciało. Odwzajemniam pocałunek. Jego gorąca, gładka skóra, wyrzeźbione barki. Już jestem mokra; chcę poczuć go w środku. W życiu nie byłam taka podniecona. On całuje mnie w szyję, przygryza, liże. Czuję, jaki jest sztywny pod bokserkami; twarda, pulsująca erekcja. Wsuwam palce pod materiał i chwytam jego fiuta w dłoń; jest gładki i smukły jak Mr Dick. I niewiarygodnie wielki.

Salvatore rzuca mnie na siedzenie pasażera i odchyła oparcie do samego końca. Pociąga za dźwignię przy moim siedzeniu, a ja kładę się na plecach. Robił coś takiego wcześniej... z moją siostrą? Wchodzi na mnie. Leżę pod nim brudna, naga, cała we krwi. Założę się, że wyglądam upiornie. Ale jestem na niego napalona, a on na mnie też. Chcę, żeby we mnie wszedł, błagam go w myślach. Chcę mieć orgazm.

Ściągam mu bokserki, zaczepiają mu się o stopę; nie ma tu zbyt dużo miejsca. Kurwa, on jest ogromny; czyli z tymi stopami to jednak prawda. Biorę jego mocnego, pulsującego penisa w dłonie, a później do ust: słodki, przepyszny. Kutas idealny. Cudownie smakuje; mam ochotę go zjeść. Ciągnę mocno i głęboko, poruszam głową w górę i w dół, czuję jego gładkość na języku. Salvatore wydaje z siebie niski jęk.

Chwyta mnie za ramiona i odsuwa, odwraca, przerzuca przez siedzenie. Całe szczęście, że to kabriolet, bo inaczej byłoby na to za ciasno. Słyszę szelest opakowania gumki. Przyciska mi twarz do siedzenia, czuję smak

skórzanej tapicerki. Boże, tak go pragnę; czuję go za sobą. Chcę, żeby wszedł we mnie cały na raz. Ścisną mnie za ramiona. Trochę boli, ale nic mnie to nie obchodzi. Wiem, że dojdę, kiedy tylko mnie dotknie. Zaraz eksploduję. Wchodzi we mnie mocno; łapie za piersi. Szwy na siedzeniu obcierają mi skórę.

– Och, kochanie, och, tak...

Jestem lżejsza niż powietrze.

Gdzieś w lesie nawołuje kukułka.

* * *

Taormina, Sycylia

Patrzę, jak woda obmywa moje opuchnięte stopy; jest szara od brudu. Kieruję strumień na udo i zmywam krew; woda robi się różowa. Skaleczenie piecze. Obmywam kolano. Drobiniki żwiru przyczepiły się do krawędzi rany, tam, gdzie robi się strup. Odrywam je po kawałku. Rana się otwiera i zaczyna krwawić; woda zmienia kolor na czerwony. Chwytam myjkę i szoruję skórę. Myślę o Salvatore, jak dobrze mi z nim było. Wciąż czuję go w ustach; jego twardy, pyszny kutas, słona skóra. Zamykam oczy i wsłuchuję się w plusk wody wokół mnie. Uśmiecham się.

Potem myślę o ciele.

Było blisko. Ambrogio mógł mnie zabić! Całe szczęście, że zrobiłam to pierwsza. Co on kombinował, do jasnej anielki? Moja perfekcyjna siostra na pewno nie miała z tym nic wspólnego. Założę się, że to on wymyślił cały ten plan. To doprowadza mnie do szaleństwa. Ale mojej siostry już nie ma. Ambrogia też nie. Samobójstwo. Nie mam się czego bać. Rano może troszkę sobie poleżę w łóżku, a potem wstanę i zapytam, gdzie się podział Ambrogio. Nie będę zbyt zaniepokojona. Po prostu zajmę się swoimi sprawami. Może

pójdę na masaż. Zrobię sobie paznokcie. Może maseczkę. Ale jeśli po kilku dniach się nie pojawi i nie będzie odbierał telefonu, a przyjaciele nie będą mieli pojęcia, gdzie się podział, zadzwonię na policję. Będę odchodzić od zmysłów z niepokoju. Ambrogio? Tak... kiedy o tym pomyślę... miał depresję. Coś go dręczyło. Teraz sobie przypominam! Tak, mówił o samobójstwie. Nigdy go tak naprawdę nie słuchałam. Myślałam, że to tylko takie gadanie: „Jeśli twoja matka jeszcze raz do mnie zadzwoni, to się zabiję. Jeśli Włochy nie wygrają Eurowizji, to się zabiję”, coś w tym rodzaju.

Czy tego ochroniarza też powinnam sprzątnąć? Tak na wszelki wypadek? Tak byłoby bezpieczniej. Ale w sumie nam pomógł... i może się jeszcze kiedyś przydać. Będę musiała się nad tym troszkę zastanowić... Chyba mnie lubi. Lubił Beth.

Wycieram się puszystym ręcznikiem i naciągam koszulkę nocną od Armaniego, tę z różowymi różyczkami wyhaftowanymi wzdłuż krawędzi. Jest strasznie słodka. Kładę się do łóżka Beth i Ambrogia. Ma rozmiar supersize king, więc mam mnóstwo miejsca, żeby się poprzeciągać, poziewać, poprzekręcać się z boku na bok, aż będzie mi wygodnie. Opadam na wielkie, mięciutkie poduszki, otulam się satynową pościelą i zasypiam. To był męczący dzień.

DZIEŃ PIĄTY

Obżarstwo

Ile pringlesów dacie radę włożyć na raz do ust?

Mój rekord to 19.

@Alvinaknightly69

Rozdział dwudziesty ósmy

TO PRZEZ BETH ARESZTOWALI MNIE za kradzież w Aldi w 1999 roku. To przez Beth zaczęłam kraść.

Kiedy dorastałyśmy, Beth miała niewidzialną przyjaciółkę o imieniu Tallulah, która strasznie mnie wkurwiała. Tylko Beth ją widziała i tylko Beth słyszała, co do niej mówi. „Och, Tallulah, jaka ty jesteś zabawna” – chichotała Beth. Wiedziałam, że rozmawiają o mnie, że się ze mnie nabijają. Godzinami bawiły się we wszystkie ulubione zabawy Beth: w księżniczki, magiczne księżniczki, mamusie i dzieci. Nie wiem, po co jej była niewidzialna przyjaciółka; przecież miała mnie. Nie wiem też, skąd ją wytrzasnęła. Ja nigdy żadnej nie znalazłam, nie żebym chciała albo próbowała. Może właśnie dlatego byłam taka samotna?

Nasza matka zawsze to popierała. Co wieczór przy kolacji stawiała nakrycie dla niewidzialnej przyjaciółki Beth, kupowała Tallulah słodycze, dawała Tallulah kartki z życzeniami na urodziny, zapraszała Tallulah na wakacje. „Beth, kochanie, czy Tallulah wybiera się z nami do teatru? Musimy kupić jej bilet!” To było porąbane. Tallulah dostawała więcej uwagi ode mnie. Tallulah była o wiele ważniejsza ode mnie.

Aż w końcu w nasze ósme urodziny uznałam, że wystarczy tego dobrego. To był mój wyjątkowy dzień, nie Tallulah. Krowa. Ukradłam marsa ze szkolnego sklepiku. Schowałam go sobie do rękawa za dużego mundurka, kiedy pani ze sklepiku nie patrzyła, ślinka mi ciekła, puls huczał mi w uszach jak bęben. Byłam jak na haju. Cały dzień trzymałam batonik na dnie plecaka: to był granatowy Jansport. Do końca lekcji nie byłam w stanie myśleć

o niczym innym. Angielski, historia i plastyka przeleciały nie wiedzieć kiedy. Po powrocie do domu schowałam batonik pod poduszką. A w nocy, kiedy Beth już spała nade mną w piętrowym łóżku, spróbowałam przekupić jej „przyjaciółkę”, żeby się pokazała.

– Hej? Tallulah? – zagruchałam słodko. – Mam tu czekoladowy batonik. Jeśli wyjdiesz, to ci go dam...

Czekałam i czekałam z poduszką w pogotowiu. Nie dlatego, że chciałam się z nią zaprzyjaźnić. Zamierzałam ją udusić na śmierć. Czekałam i czekałam, wydawało mi się, że minęły całe godziny, ale Tallulah się nie pokazała.

Ostatecznie sama zjadłam Marsa.

Był słodki, zakazany, pyszny. To była moja pierwsza zdobycz w cukrowym szaleństwie, które zakończył pamiętny incydent w Aldi w 1999 roku. Ochroniarz przyłapał mnie z ręką w słoiku pełnym oranżadek w saszetkach. Kieszenie miałam wypchane wielkimi lizakami, a usta sklejone różowymi czekoladowymi myszami. Zadzwoił na policję, a policja zadzwoniła do mojej mamy. Byłam za młoda, żeby pójść do więzienia. Spodziewałam się, że mamę szlag trafi, że będzie się drzeć, aż popękają wszystkie okna, że odbije jej palma. Ale ona nawet mnie nie ukarała. Jakby mnie w ogóle nie było.

Zwykle nie wolno mi było jeść czekolady. Mama nie dawała mi kieszonkowego – mówiła, że jestem zbyt niegrzeczna, że na to nie zasługuję, że i bez tego jestem wystarczająco gruba, przerażająco otyła... Mama zawsze powtarzała, że jestem upasiona jak stara foka, że mam tyłek jak autobus. Nie mogłam sobie kupować słodyczy jak moja siostra i wszystkie inne dzieci. Wiem, wiem, Beth się ze mną dzieliła, przemycała mi cukierki, kiedy mama nie patrzyła, czasem podrzuciła pół opakowania żelków. Ale ja chciałam mieć wszystkie tylko dla siebie. Chciałam, żeby mama kupowała je dla mnie.

Tak łatwo przyszła mi kradzież batonika. To było takie szybkie, takie oczywiste. Mama nawet nie zauważyła. Nie miała pojęcia. Nie potrzebowałam już jej głupiego kieszonkowego, skoro mogłam kraść. Nikogo już nie potrzebowałam.

Więc to był mój pierwszy raz, i jak już wspominałam, to wszystko przez Beth. To jej wina, nie moja.

* * *

Piątek, 28 sierpnia 2015 r., 9.52 rano

Taormina, Sycylia

– *Mamma, mamma!*

To mały Ernesto. Budzi mnie Emilia z dzieckiem w ramionach.

– Dzień dobry, *signora* – mówi. – Jak się pani spało?

– *Mamma* – piszczy Ernie, wyciągając rączki w moją stronę. Wielka okrągła łza spływa mu po buzi. Biedne maleństwo.

– Och, dzień dobry, Emilio. – Siadam i przeciągam się mocno. Kości mi trzeszczą. Stawy strzelają. Coś jest nie tak. Nie czuję się zbyt dobrze. Przekładam poduszki i biorę dziecko na ręce. Proszę, przestań ryczeć. Błagam, zamknij się.

– *Ćśśś, ćśśś, ćśśś.* – Przytulam Erniego mocno do piersi i rozcieram mu plecki.

– Chciał do mamy. – Emilia wzrusza ramionami. – Przynieść pani *caffè*? Już prawie dziesiąta.

– Tak, poproszę.

Ernesto nie przestaje szlochać; gorące łzy spływają mi na obojczyk, mokre śliskie smarki ciekną mi na piersi. Przytulam go mocno i gładzę włoski na jego maleńkiej główce.

– Ćśśś... Ćśśś... Nie płacz.

Emilia się uśmiecha, odwraca plecami i odchodzi.

– Emilio?

– Tak? – Jest już jedną nogą za drzwiami.

– Nie widziałaś Ambrogia?

– Nie, *signora*. Nie widziałam. Nie dzisiaj.

– A nie wiesz, gdzie jest?

– Nie, nie wiem.

– Może znów poszedł popływać w morzu?

– Możliwe, *signora*. Nie ma samochodu na podjeździe.

– Okej. Zadzwońię do niego. Dziękuję – wzdycham.

Przenoszę uwagę na niemowlę wyjące mi na rękach. Emilia wychodzi. Boże! I co teraz? Co ja mam z nim zrobić? Nie ma do niego instrukcji obsługi. Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli w szkole jakieś lekcje z opieki nad dziećmi. To byłoby bardziej przydatne niż jakiś zaszary wuef. Niech mi ktoś pokaże jedną życiową sytuację, w której przydaje się dwutakt. To będzie bolesny proces.

Wychodzę z łóżka, nadal trzymając Erniego w ramionach, i prawie się przewracam. Szlag, mój palec u nogi! Ledwo mogę stać. Wrzaski Erniego wchodzą na kolejny poziom i zaczynam się obawiać, że za chwilę popękają mi szyby w oknach. Uciszam go, kołyszę w jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Proszę, przestań ryczeć. Zamknij się. Patrę mu w oczy i widzę czystą panikę. Czy on widzi, że nie jestem jego mamą? Niemowlęta mają niesamowity węch, jak świnie albo owczarki niemieckie. Muszę pamiętać o perfumach Beth: Miss Dior Chérie. To powinno załatwić sprawę.

Chłopiec płacze.

I płacze.

Wrzaski robią się coraz głośniejsze i bardziej zawzięte.

Piszczycy już tak jazgotliwie i wysoko, że zaraz będą go słyszeć tylko nietoperze.

Dziecko wyje. Potworny szloch rozdziera jego maleńką pierś.

Teraz brzmi, jakby się dławił.

A teraz stłumiony pisk.

Haust powietrza.

Och, ratunku. Gdzie jest wyłącznik? Gdzie przycisk pauzy?

Emilia wraca z moją kawą na tacy. Odstawia ją na szafkę nocną i podnosi głowę. Twarz ma bladą.

– Och, *signora!* – przekrzykuje szloch Erniego, otwierając szeroko oczy i wskazując na moje ramiona. – Co się pani stało?

Patrzę w dół i widzę, że całe ręce i ramiona mam w paskudnych niebieskich siniakach. Skąd one się wzięły? Nawet nie zauważyłam. Emilia nie dostrzegła mojego palca u nogi i stłuczonego kolana (są spuchnięte, czerwone i wyglądają o wiele gorzej niż siniaki). Ponaciągałam sobie wszystkie mięśnie w rękach i w nogach. Podeszwy stóp mam starte do krwi.

– I kolano sobie pani rozbiła! – dodaje, wskazując na moją nogę.

– Nic mi nie jest – zapewniam. – Naprawdę. – Wyglądam przerażająco.

Żałuję, że mam na sobie tylko tę skąpą koszulkę nocną.

– Wstałam w nocy do łazienki i potknęłam się o dywan. Mogłabyś zabrać Erniego na chwilkę? Muszę się ubrać.

Emilia mruży powieki i potrząsa głową. Obawiam się, że mi nie wierzy.

– *Signora*, czy mam zadzwonić na policję?

– Ależ nie ma po co. Nic mi nie jest. – Próbuję się roześmiać, ale nie wypadam zbyt przekonująco.

Emilia otwiera usta, jakby chciała coś dodać, ale zmienia zdanie. Podaje jej chłopca: wrzeszczy i wymachuje rękami i nogami. Wygląda jak wściekła ośmiornica. Emilia go przytula i całuje w czoło.

– Ma, ma, ma – mówi Ernie.

Niemal natychmiast przestaje płakać. Emilia musi mieć jakąś szczególną zdolność, której ja nie posiadam. Może jest telepatką jak zaklinacz koni. Ma jakiś siódmy zmysł. Jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem z góry na dół z zatroskaną miną. Na jej twarzy maluje się dezaprobata. W końcu jednak wychodzi na korytarz i zamyka za sobą drzwi. Kurwa, jakie szczęście. Wrzaski nadal dzwonią mi w uszach, odbijają mi się echem po czaszce, jestem na wpół ogłuszona. Kręci mi się w głowie. Kłuje mnie w skroniach. Dalej słyszę ten płacz, jak morze w muszli. Wycieram smarki z dekoltu. Macierzyństwo to strasznie, strasznie ciężka praca. Co ja bym zrobiła bez pomocy?

Idę do łazienki i przeglądam się w lustrze. Siniaki na moich ramionach wyglądają dokładnie jak u Beth. Są w tym samym miejscu, mają ten sam rozmiar i kształt, choć jej były chyba bardziej fioletowe, prawie czarne. Potrząsam głową i marszczę czoło. Ambrogio nawet mnie nie tknął. Nic nie rozumiem. Chyba że zrobiły mi się, kiedy pieprzyłam się z Salvatore w samochodzie. Pamiętam, że mnie przycisnął. Chyba dość mocno. Nie był zbyt delikatny, ale wtedy praktycznie nie zwróciłam na to uwagi. To musi być genetyczne. Beth i ja obie łatwo się siniaczymy. No więc wszystko jasne.

Ale to przecież bez sensu. Jeśli Ambrogio nie znęcał się nad Beth, to z czym ona miała problem? Wyglądała żałośnie: przeklinała, płakała. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Jakby coś w niej pękło. Jakby jej odbiło. Te diamenty w torebce sugerują, że zamierzała uciec. Pocieram dłonią siniaki. Trochę bołą, ale wyglądają gorzej niż w rzeczywistości. Okej, w porządku. Czyli Ambrogio nie był agresywny, ale coś się kroilo. On myślał, że działa razem z Beth. Według niego mieli jakiś plan. Plan! I oboje zamierzali go wprowadzić w życie. A w każdym razie Ambrogio tak myślał. Tak powiedział. Ale przecież Beth zaplanowała naszą zamianę miejsc

w tajemnicy...

Może chciała uratować mi życie!

Tak, na pewno tak było. Musiało tak być. To on miał mordercze zapędy. Ona chciała, żebym była bezpieczna. Zamierzała uciec bez niego. To dlatego Ambrogio był taki zszokowany! „Dlaczego byłaś przebrana za Elizabeth, Alvie?” Podwójnie go wystawiła. Chytra sucz.

Wiele pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi, ale to wspaniały start. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem własnego talentu do dedukcji. Istna panna Marple. Sherlock Holmes. Może powinnam poszukać pracy w Scotland Yardzie?

Chwytam szczoteczkę, nieważne którą, i myję zęby.

* * *

Pływam w basenie. Żabką, żeby nie zamoczyć włosów. Góra, dół. Góra, dół. Dół, znowu góra. Jest kurewsko gorąco, tak przynajmniej mogę się ochłodzić. No i to mi dobrze zrobi na tyłek. Beth miała tyłek jak niedojrzała brzoskwinia. Muszę nabrać formy. To kluczowa sprawa. Widziałam w garderobie Beth obłędnie piękne (ale maleńkie) superkrótkie szorty od Balenciagi, ale teraz zbrodnią byłoby je włożyć. Superkrótkie szorty nie wyglądają dobrze przy cellulicie, to fakt potwierdzony naukowo. Chcę mieć tyłek jak Kim Kardashian, idealnie jędrny, lepszy niż Beth.

Czyli muszę pływać. Nienawidzę wszystkich innych form wysiłku fizycznego (poza seksem). Kiedyś trochę biegałam, kiedy byłam młodsza, ale teraz za tym nie przepadam. Nie lubię się pocić (poza seksem). Kiedy człowiek pływa, to poci się w wodzie i nawet tego nie zauważa. To dla mnie idealne rozwiązanie. Szlag. Skoro jestem Beth, to będę musiała trenować pilates. Założę się, że ona ma osobistą trenerkę. Będzie się zastanawiać, dlaczego jestem taka beznadziejna.

Koncentruję się na odliczaniu długości basenu: dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście. Spróbuję przepłynąć dwadzieścia długości, zanim padnę i odpalę fajkę. Próbuję oczyścić umysł. Zrelaksować się. Pomedytować. Jestem ostatnio bardzo spięta, muszę się wyluzować. Strasznie to wszystko stresujące. Nie spodziewałam się, że to będzie taki szalony wyjazd. To miały być wakacje, na litość boską! Chcę się odprężyć. Ale opalona, przystojna twarz Ambrogia co chwila majaczy mi przed oczami. Nie mogę przestać o nim myśleć.

Jeśli mam być szczerą, to jestem rozczarowana. Przez osiem długich lat marzyłam o tym facecie. Od tamtej pamiętnej nocy, kiedy wszedł do baru w Oksfordzie i na zawsze zmienił nasze życie. Naprawdę wierzyłam, że to ten jedyny. Osem lat jak psu w dupę. Mogłam mieć w tym czasie obsesję na punkcie kogoś innego. Może poszczęściłoby mi się z Channingiem Tatumem. Wiem... wiem... on jest hollywoodzką megagwiazdą... Ale kto wie, może przeprowadziłabym się do L.A. Dowiedziałabym się, gdzie mieszka. Którejś nocy poszłabym za nim, kiedy akurat wracałby do domu z planu zdjęciowego... Trzyznaście, czternaście, piętnaście, szesnaście.

Ale odbiegam od tematu.

Wiązałam z Ambrogiem wielkie nadzieje. Bylibyśmy idealną parą. Moglibyśmy zamieszkać na zawsze w tej willi, w tej kurewsko doskonałej willi, z naszym doskonałym małym dzieciaczkiem. Z jego seksownym samochodem. Ale nie, Ambrogio musiał wszystko spieprzyć. Wszystko zniszczyć. Tak bezczelnie dać mi to do zrozumienia. Nie widział, że tylko próbowałam pomóc? Nie mógł poszukać jakiegoś rozwiązania? Dlaczego nie chciał po prostu się dostosować? Chuj go obchodzi, czy jestem Alvie, czy Beth. Poważnie, niech mi ktoś powie, co za różnica? Odgrywałam swoją rolę? Robiłam, co do mnie należało. Ambrogio mógł się chociaż odrobinę wysilić. Potrzebował żony. Ernie potrzebował mamy.

Ambrogio... Ambrogio... Ambrogio... pierdol się. Całe szczęście, że jestem na pigułkach, bo inaczej mogłabym teraz być w ciąży z dzieckiem tego faceta (znowu). Dlaczego to ja muszę zawsze o wszystkim myśleć? Typowy facet. Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. Na krawędzi basenu widać smużkę zaschniętej krwi, to tam Beth uderzyła głową, kiedy się poślizgnęła. U góry po prawej. Nadal słyszę to chrupnięcie. Nie chcę o tym myśleć. Chłapię na plamę wodą i ścieram palcami. I już jej nie ma. Odwracam się w stronę willi. Widzę Emilię: stoi w oknie w kuchni, przygląda mi się, gapi się na mnie. Odwraca się. Bierze się do ścierania kurzu. Nie mogła stąd dostrzec krwi. Nie mam czego się bać. Nie ma szans, żeby wszystkiego się domyśliła. Spokojnie, Alvina. Bez spiny. Wspinam się po trzech srebrnych szczebelkach. Lśnią w promieniach słońca. Wycieram się do sucha ręcznikiem plażowym Beth. Koniec z obsesjami na punkcie Ambrogia. Godny pożałowania błąd. Ciężkie rozczarowanie. Jebana kula u nogi. Był stanowczo zbyt niebezpieczny, żeby zostawić go przy życiu. Gonił za mną z pistoletem, do kurwy nędzy! Zapalam papierosa i wyciągam się na leżaku. Zamykam oczy i wypuszczam dym z płuc. Pofantazjuję sobie zamiast tego o Salvatore.

– *Signora*, Nino przyszedł się z panią spotkać. Mam go wpuścić?

Na dźwięk głosu Emilii aż podskakuję. Nie słyszałam dzwonka. Nino? A co on tu robi? Och, pewnie szuka Ambrogia.

– Jasne – mówię, poprawiam włosy i siadam prosto na leżaku. – Powiedz, żeby tu przyszedł.

– *Sì, signora. Un momento.*

Emilia zerka na moją paczkę marlboro light i się krzywi, po czym rusza z powrotem do willi. Ocieram pot z czoła. Już się gotuję. Popołudniowe słońce jest tu nie do wytrzymania. Owijam ramiona sarongiem, żeby ukryć siniaki, nasuwam na nos gigantyczne okulary przeciwsłoneczne Beth. Gaszę

papierosa. Transformacja zakończona. Nino wpada przez drzwi ogrodowe z ogłuszającym trzaskiem. Słyszę jego ciężkie kroki na kamieniach. Rozgląda się po ogrodzie i podchodzi do mnie. Ha! Nie zobaczy Ambrogia, nieważne, ile by się rozglądał. Zbliża się. Patrzy prosto na mnie. Czuję ucisk w żołądku. Podciągam kolana pod brodę. Ciekawe, jak dobrze Nino znał moją siostrę. Chłodny dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, aż cała się wzdrygam.

– Gdzie jest *Il Professore*? Miał się ze mną zobaczyć!

O, szlag.

Owijam się ciaśniej sarongiem. Otula mnie jak kokon. Nino wisi nade mną i moim leżakiem niczym jakiś złowrogi monolit. Czeka. Zrywa z twarzy ciemne okulary. Ma oczy jak dwie czarne dziury. Lewy policzek przecina mu długa cienka blizna, różowa jak dżdżownica.

– *Il Professore*? – powtarzam. Ciekawe, dlaczego go tak nazywają. Czy chodzi o to, że jest po studiach?

Nino uśmiecha się krzywo, odsłaniając złoty ząb.

– Twój pierdolony mąż. Gdzie go schowałaś?

Hm: typ antagonistyczny.

– Nie wiem, gdzie jest. Nie widziałam go od wczoraj. Dzisiaj długo spałam, a kiedy się obudziłam, to już go nie było.

Nino marszczy brwi: środek czoła przecina mu głęboka, ciemna bruzda. Nie wierzy mi. Przyglądam się jego twarzy, jego gęstym wąsom, szczupłej sylwetce: jest napięty, gibki, wredny. Gdyby Nino był zwierzęciem, byłby jednym z tych ptaków, które wypuszcza się do walk w Tajlandii: wkurwionym kogutem. Wydziobie ci oczy. Rozdrapie gardło. Ale w Ninie jest jakiś magnetyzm. Nie można oderwać od niego wzroku. Jest hipnotyzujący, fascynujący, jak ten wąż z *Księgi dżungli*, Kaa. Nie tyle przystojny, ile charyzmatyczny, ma w sobie naturalny urok, niewzruszoną pewność siebie. To dziwnie pociągające. Nie jest stary, ile może mieć lat?

Trzydzieści pięć? Maks czterdzieści. Ale skórę ma ogorzałą od nadmiaru słońca. Zmarszczki na czole i wokół ust. Nie wygląda na faceta, który bawi się w kremy z filtrem. I wątpię, żeby nawilżał twarz przed pójściem spać.

– Nie odbiera telefonu.

– Wiem – przytakuję, przygryzając wargę. – Dopiero co do niego dzwoniłam, ale sądziłam, że jest zajęty. Nie odbierał. – Wzruszam ramionami. – Próbowałam kilka razy.

Nino wyciąga z kieszeni kurtki paczkę czerwonych marlboro. Kurtka jest z czarnej skóry, nabijana wielkimi srebrnymi ćwiekami. Musi się w tym czuć jak w saunie. Oferuje mi papierosa, ale potrząsam głową. Wyjmuje zapałkę i pociera o draskę, wydmuchuje mi dym w twarz. Patrzę, jak zapałka spada na ziemię; ogień podryguje na drewienku. Nadal się pali. Przyglądam się, dopóki nie zgaśnie.

– Co ci się stało w stopę? – pyta Nino, wskazując głową na moje nogi. – Masz rozjebany palec.

– Och, nic takiego. Przewróciłam się.

Podwijam nogi pod siebie, odwracam wzrok w stronę basenu. Powiewa leciutki wiaterek, tak delikatny, że ledwo go czuję, ale powierzchnia wody marszczy się jak blacha falista. Nino siada przy mnie na leżaku, jego ramię dotyka mojego. Wdycham zapach skóry. Jego kurtka aż parzy od słońca. Nino patrzy mi prosto w twarz, ocenia, czegoś szuka. Czujnik ściemy chodzi mu na najwyższych obrotach. Cała się spinam. Jestem sztywna jak kij.

– Betta, zapytam jeszcze raz. Gdzie jest twój mąż? – Tym razem jego głos jest już twardszy. – Myślę, że jednak wiesz. – Niemal czuję smak tytoniu w jego oddechu. W jego oczach czai się czysta furia.

Zdejmuję okulary i patrzę na niego błagalnie.

– Nie, nie wiem. Na pewno wróci do domu. Nie ma go dopiero kilka godzin... – urywam. Spod paska Nino sterczy rękojeść pistoletu. Czarna,

metaliczna, dostatecznie duża, żeby narobić poważnych szkód. Na płycie z macicy perłowej ma wygrawerowane inicjały: G.M.B. Kurwa. Zapamiętać: Nino się nie pierdoli w tańcu. Muszę odzyskać pistolet Ambrogia. Zostawiłam go w krzakach przed drzwiami Salvatorego. Mam nadzieję, że nadal tam jest...

Nino spogląda mi w oczy tak głęboko, jakby czytał mi w myślach. Czekaj, kto pierwszy mrugnie. Patrzy, jak wiję się pod jego pytaniami niczym węgorz. Sprawdza godzinę na swoim wielkim złotym roleksie, który lśni w słońcu, jakby stał w ogniu.

– Dochodzi trzecia. Mieliśmy się spotkać o dziesiątej. To było zajebicie ważne spotkanie. Rozmawiałaś z Domenikiem?

– Domenikiem? Nie, dlaczego? – Wzruszam ramionami. Sarong mi się zsuwa. Nino widzi moje ramiona, ręce, siniaki. Szlag.

– Co to, kurwa, jest? Kto cię pobił?

– Nikt. To nic. – Sięgam po sarong, ale Nino łapie moje nadgarstki w szorstkie, suche dłonie i podrywa mnie na nogi.

– Ała! – krzyczę z bólu. Przecież mam złamany duży palec! Sarong spada na ziemię, a Nino powoli ogląda całe moje potłuczone ciało – zaczynam żałować, że włożyłam to mikroskopijne bikini Beth. Nachyla się, żeby się lepiej przyjrzeć: sprawdza palcem ranę na udzie, rozwalone kolano.

– Ała – piszczę znowu.

Siniaki na moich rękach zmieniają kolor na fioletowy. W pełnym słońcu wyglądam na nieźle zmalretowaną.

– Kto ci to zrobił?

– Nikt. Przewróciłam się.

– *Vaffanculo*. – Nino spluwa na ziemię. – Kto to był? Powiedz mi. – Chyba mam déjà vu. – *Il Professore* nigdy by...

– Nie, nie, oczywiście, że nie – zapewniam.

Rozluźnia uścisk. Opadam na leżak. Zrzucam sarong na ramiona, choć już za późno, żeby się ukryć. Zwijam się w mały kłębek. Trzeba było włożyć kombinezon narciarski albo jednoczęściowego pajaca z uszami misia.

– Betta, Betta, Betta – syczy Nino. – Czegoś mi nie chcesz powiedzieć. Jeśli do wieczora twój mąż nie wróci do domu, znowu tu przyjdę.

Kiwam głową.

Niedobrze.

Nino nachyla się nad leżakiem, wisi nade mną tak blisko, że jego oczy są pięć centymetrów od moich. Gorące kropelki śliny pryskają mi na twarz.

– To kurewsko niedobry moment na znikanie.

Upuszcza papierosa na ziemię, zgniata srebrną nakładką na czubku skózanego czarnego buta. Nakładka lśni i migocze w słońcu. Patrę, jak jego gibka ciemna sylwetka oddala się i znika za drzwiami do domu. Biorę głęboki oddech i powoli wypuszczam powietrze. Cała dygoczę; to było mocne. Z niego chyba jest prawdziwy łobuz. Lubię takich. Nino jest kurewsko seksowny.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

PRZEZ NINA JESTEM TAKA NAPALONA, że postanawiam się ubrać i pójść w odwiedziny do Salvatorego.

– Ach, Elizabeth. Dobrze. Miałem po ciebie wyjść – mówi. – Będziesz mi pozować.

Pozować? Co? A, no tak, on jest artystą.

– Ee, okej – mówię. Nie żeby to była prośba.

Salvatore prowadzi mnie przez willę na piętro, do swojego studia. Jest przestronne, pełne światła, ogromne: rzeźby, szkice, składane drabinki, długie drewniane stoły, obrazy, glina.

– Rozbieraj się – nakazuje.

Nie poruszam się.

– Eee, jesteś pewien? Nie wyglądam najlepiej.

Salvatore posyła mi nieprzyjemne spojrzenie. Nie lubi się powtarzać.

– Rozbieraj się. Już.

Odwraca się ode mnie i idzie na drugi koniec studia, żeby przynieść sobie sztalugi. Rozstawia je na środku pomieszczenia. Są od niego prawie metr wyższe, załadowane gigantycznymi arkuszami kremowobiałego papieru. Salvo wyjmuje kawałek węgla z pudełka na stole i podnosi wzrok.

Wskazuje na krzesło.

– Odłóż tu ubranie.

Drżącymi palcami rozpinam guziki sukienki. Jasne, Salvatore, czego tylko sobie życzysz. Pod warunkiem że znów mnie tak przelecisz jak wczoraj. To było obłędne.

– Chcesz się napić? – pyta. – Wódka? – Nie czeka na odpowiedź.

– Pewnie – mówię z uśmiechem. Właśnie tego mi trzeba. To jeden z tych dni... Skąd on wiedział?

Podchodzi do barku pod ścianą. Rozlega się skrzywienie zawiasów. Brzęk szklanek.

– Z lodem?

– Nie, dzięki.

Zdejmuję stanik i przewieszam przez oparcie rzeźbionego drewnianego krzesła. Ciekawe, czy to on je wyrzeźbił. Ręce mi się trzęsą. Salvatore podchodzi do mnie z dwoma kieliszkami i butelką Grey Goose. Wygląda na dobrą wódkę. Ja zwykle kupuję wódkę marki Tesco, jeśli akurat jest w promocji. Salvo chodzi jak John Wayne. Teraz stoi tak blisko, że mogłabym wyciągnąć rękę i go dotknąć. Patrzę na swoje ciało, całe posiniaczone i zmaltretowane. Salvatore wygląda, jakby nawet tego nie zauważył.

– Majtki też – dodaje, wskazując na moje krocze.

Ściągam bieliznę i też zarzucam na oparcie krzesła. To francuskie majtki Beth z czerwonej koronki, moje ulubione. Włożyłam nawet stanik do kompletu (za czasów Alviny to nigdy mi się nie przytrafiło). Salvatore odstawia kieliszki na stół i nalewa krystalicznie czystej wódki aż po krawędź. Podaje mi jeden. Patrzy mi w oczy, źrenice ma rozszerzone. Czy to go podnieca? Wypijamy jednym haustem. Pali mnie w gardle. Natychmiast czuję efekt. I co teraz?

On bierze mnie za rękę.

– Usiądź w ten sposób – nakazuje, układając mnie we właściwej pozycji. Ustawia za mną drewniany stołek. Siadam. Zakłada mi nogę na nogę, a potem odwraca tak, że siedzę twarzą do ściany. – Odwróć się, o tak. Popatrz na mnie przez ramię.

Chwyta mnie za rękę i układa mi ją na talii, później bierze mnie pod brodę i ustawia mi twarz pod odpowiednim kątem. Robi krok w tył, mierzy mnie wzrokiem.

– *Perfetta* – ocenia zadowolony.

Uśmiecham się. Jaki on jest sexy: ma na sobie poszarpane dżinsowe spodnie do kolan i pochłapaną farbą koszulkę. Jest z boku rozdarta; przez dziurę widzę jego brzuch. Kaloryfer jak u Channinga Tatum i tropikalna opalenizna. Ma dołeczek w brodzie. Strasznie chcę go tam pocałować. Sięga po butelkę i nalewa jeszcze po kieliszku. Patrzy mi w oczy. Odwzajemniam spojrzenie.

– Nie ruszaj się. – Podsuwa mi kieliszek do ust i wlewa mi wódkę prosto do gardła.

Ten facet naprawdę uratował mi wczoraj tyłek. Teraz łączy nas ten wspólny sekret, mroczna przeszłość. To tak, jakby znał mnie na wylot. Jesteśmy partnerami w zbrodni; weźmiemy to ze sobą do grobu. Nigdy w życiu nie czułam się z nikim tak blisko. Czuję, jakby czytał mi w duszy. Ale oczywiście on nadal myśli, że jestem Beth...

Salvatore wychyla swoją wódkę i podchodzi do sztalug. Przeczesuje palcami ciemnoblonde włosy. Tu i ówdzie ma białe pasemka, rozjaśnione słońcem. Gdybym nie wiedziała, że jest Sycylińczykiem, zgadywałabym, że to Szwed. Szwed albo Holender. Holendrzy są wysocy. Odgarniam kosmyk włosów z twarzy, bo łaskocze mnie w nos.

– Powiedziałem, że masz się nie ruszać. Ani o milimetr – mówi ostro.

Chichoczę. Wódka uderzyła mi do głowy. Czy on próbuje mnie upić? Mam nadzieję, że tak.

– Przestań się śmiać. Ruszasz się. – O, teraz jest wkurzony.

Z wysiłkiem odpędzam uśmiech z twarzy.

Salvatore bierze kawałek węgla i staje za sztalugami, jakiś metr ode mnie.

Wciągam brzuch, odrobinę się prostuję. Jestem Beth. Jestem cudowna. Nagle czuję się seksowna, seksowniejsza niż kiedykolwiek. Czuję, jak włosy opadają mi przez ramię. Jestem zmysłowa. Oszałamiająca. Wstrzymuję oddech. Jego niebieskie oczy śledzą krzywizny mojego ciała, zatrzymują się na mojej szyi, ramionach, piersiach. Nikt nigdy nie przyglądał mi się tak uważnie. To cholernie podniecające. Spogląda mi na biodra, marszczy brwi i zaczyna rysować. Szkicuje długimi, dzikimi, gorączkowymi pociągnięciami węgla. Jego ręce przesuwają się po papierze wzdłuż i wszerz, kształtują, cieniują, rzeźbią. Patrzy na mnie, potem znów na papier, i tak w kółko. Węgiel skrzypi na arkuszu. Oddycham płytko. Czuję zapach popiołu.

Rozglądam się po pokoju: wszystkie rzeźby i szkice wyglądają zupełnie jak Beth. Teraz patrzę na mnie, zerkają przez ramię jej szeroko otwartymi oczami, zwracają ku mnie jej piękną twarz. To dziwne. Jakby nadal tu była i się nam przyglądała. Jakby mnie obserwowała. Na ścianach są porozwieszane obrazy i rysunki kobiet sportretowanych od tyłu. Ich pośladki są okrągłe, jędrne, doskonałe. Musiała być jego żoną.

Przyglądam się jego przedramionom przy pracy: umięśnione, opalone, wyrzeźbione. Mam ochotę go dotknąć. Wychylić się i go pocałować. Ale siedzę nieruchomo. Cipka mi pulsuje; bardzo, bardzo chce mi się bzykać. Jestem taka wilgotna, że aż ze mnie cieknie. Salvatore rzuca węgiel na stół. Biorę oddech.

– Okej, skończone – oznajmia.

– Co? Już? Mogę zobaczyć?

– Nie.

Żadnych wyjaśnień; to trochę niesprawiedliwe.

– Och. Okej. Cóż, skoro skończyłeś... to chyba się już ubiorę. – Wstaję i sięgam po ubranie.

– Nie ma potrzeby – mówi Salvatore. – Jesteśmy tu sami, mała.

Przyciska mnie do ściany. Czuję na skórze zimną, twardą powierzchnię. Oplata mnie ramionami wokół talii i już mnie całuje, wkłada mi język głęboko do ust. Przeczesuje moje włosy dłońmi, chwytając pełne garście. Przylega do mnie całym ciałem.

– Ej – mówię mu prosto do ust. Ciągnie mnie za włosy, boli; uwielbiam to uczucie.

Zrywa z siebie koszulkę i rzuca ją na podłogę. Jego tors jest doskonały jak dzieło sztuki. Brzuch ma wyrzeźbiony; jest jak *Dawid* Michała Anioła. Kurwa, arcydzieło. Sadza mnie z powrotem na stołku i stanowczym ruchem rozkłada mi nogi. Klęka przede mną i patrzy mi w oczy jak wygłodniały drapieżnik, a potem zanurza twarz między moje uda. Widzę nasadę jego nosa, kości policzkowe, brwi, zmierzwione włosy odgarnięte z czoła. Jego język, mokry i szeroki, ślizga się po mojej lechtacze w górę i w dół, w lewo i prawo, okrąża ją i naciska. Czuję w sobie jego palce. Całuje mnie miękkimi wargami i wylizuje mocno z jakąś wściekłą determinacją, z szalonym pragnieniem, żeby doprowadzić mnie na sam szczyt, przechylić przez krawędź tu i teraz prosto w ekstazę, która wywróci mi oczy w głąb czaszki.

– Och, tak...

Chwytam za krawędź stołka, zaciskam mocno palce, wbijam paznokcie w drewno. Wychylam cipkę w stronę jego ust. Bierz mnie. Liź mnie. Chcę, żeby mnie całą połknął. Żeby mnie wessał w swoje seksowne, cudowne, idealne ciało.

– Och...

Nie da się go porównać z Ambrogiem.

Jego ramiona unoszą się i opadają, lśnią w promieniach słońca zalewających studio. Ma gładką, świecąca od potu kremową skórę, jak Henry Moore. Jest jak dzieło sztuki, ale teraz to on gra na mnie jak wirtuoz, zatacza językiem kręgi niczym ostryga prześlizgująca się wokół perły, aż wypoleruje

ją do blasku. A ja jęczę i robię się coraz gorętsza, aż w końcu jestem blisko, już za chwilę dojdę. On wyciąga ręce i kładzie mi je na brzuchu, gładzi palcami moją gorącą skórę. Każdy nerw we mnie płonie. Kręci mi się w głowie, jestem nieważka. Zaraz dojdę, muszę już dojść, ale on się zatrzymuje...

Otwieram oczy i widzę Salvatorego w całej spektakularnej nagiej glorii. Wpatruje się w mój brzuch, w miejsce zaraz pod pępkiem, jakby to była najciekawsza rzecz, jaką w życiu widział. Na jego twarzy maluje się dziwny, odległy wyraz.

– Salvatore?

Chwytam go za ramiona i wciągam na siebie, na moje nagie piersi. Całuję go w gorące, mokre od cipki usta, zarost ma wilgotny, jego ciepły oddech owiewa mi policzek. Pachnie seksem.

– Zerznij mnie – mówię w jego włosy.

Odwraca mnie i przechyla przez stół. Przyciska mi pierś do pleców. Przesuwa palcami po moich ramionach, plecach, pośladkach. Jego dłonie są szorstkie, dłonie rzeźbiarza – suche i całe w odciskach, silne i szerokie. Wkłada mi rękę między nogi i sięga ku łechtaczce. Jęczę. Masuje mi łechtaczkę kciukiem, a ja przyciskam się do niego jeszcze mocniej. Popycha mnie na stół, uderzam twarzą o drewno. Czuję smak pszczelego wosku. Zimny, twardy dąb. Salvatore rozpina rozporek, słyszę, jak ściąga dzinsy. Strząsa je na podłogę. Chwyta mnie za piersi i przyciąga do siebie tak mocno, że nie mogę oddychać.

– Boże, zrób to – jęczę.

Salvatore naciąga gumkę i wchodzi we mnie cały za jednym razem, mocno i głęboko. Tak gwałtownie, że aż zapiera mi dech. Rżnie mnie mocno na stole, drewniane nogi skrzypią na podłodze. Drewniana krawędź wbija mi się w uda. On jest taki wielki i twardy, pragnę go, potrzebuję go. Pieprzy

mnie ostro, jęczę, zaraz dojdę. Nadchodzi, wzbiera, to odległe uczucie. Salvo chwyta mnie za szyję obiema rękami; obejmuje mi gardło palcami. I ściska! Mocniej. Ciaśniej. Duszę się, krztuszę, panika gęstnieje mi pod czaszką.

– Co ty zrobiłaś ze swoją siostrą? – dyszy mi do ucha. – Gdzie ona, kurwa, jest? Ty nie jesteś Beth.

Szczytuję tak gwałtownie, że chyba nigdy nie zejść na ziemię. Nie wiem, gdzie jestem, nie słyszę, co mówi, ale dociera do mnie jego jęk i czuję, jak dochodzi we mnie falami, jak mnie ściska, przyciąga mnie za biodra, pulsuje, drży, wypełnia mnie.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Rozdział trzydziesty

LEŻYMY NA STOLE, zdyszani i spoceni. Salvatore wysuwa się ze mnie, a ja opadam z powrotem i próbuję złapać oddech. Jak to? On wie? Ale jakim cudem? Myślę o swoim brzuchu. Na co on się gapił? No tak, oczywiście! Beth miała bliznę po cesarce. O to chodziło! To jedyna fizyczna różnica między nami, jedyny sposób, żeby nas rozróżnić.

– To pojebane – mówi w końcu Salvatore. – Mogłem się wcześniej zorientować. Przecież twoja siostra ma spektakularny tyłek.

Zaciskam szczęki. Wbijam paznokcie w drewno.

– Mogę to wytłumaczyć – mówię w stół. Głos mi się łamie. Czy rzeczywiście mogę to wytłumaczyć?

– Więc gdzie ona jest? – Salvatore wyciąga papierosa z paczki i odkłada ją wściekle z powrotem na stół.

– Ona... poprosiła, żebym zamieniła się z nią miejscami. I uciekła – mówię w końcu.

Zapala papierosa, zauważa, że się przyglądam, i mi go podaje. Zaciągam się głęboko. Dobrze smakuje; chyba pomaga. Przynajmniej mam co zrobić z rękami. Salvatore bierze drugiego.

– A dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie sądzisz, że chciałbym wiedzieć?

– Kazała mi zachować to w tajemnicy. Jesteś zły? – Wstrzymuję oddech. Ręce mi się trzęsą. Serce mi wali. On tylko potrząsa głową.

– Nie. Wszystko jedno. Obie dobrze dajecie dupy.

Próbuję się uśmiechnąć, ale nie jestem pewna, czy to rzeczywiście zabawne.

– Chcesz jeszcze drinka? – pyta Salvatore, schylając się i naciągając bokserki.

– Wódki. – Potrzebuję wódki. Ściągam majtki z oparcia krzesła i wkładam je pospiesznie.

– To jak ty się nazywasz? Olivia, coś w tym stylu?

– Alvina – poprawiam. To żenujące.

– Ładne imię. Podoba mi się. – Nalewa jeszcze dwa kieliszki. – Alvina. No to miło cię poznać. *Piacere*.

– Dzięki – mówię, biorąc kieliszek. Unikam jego wzroku. Ręka mi się trzęsie; nie chcę rozlać. Nie chcę, żeby Salvatore zauważył, że się boję. Piję jednym haustem i wypalam:

– A ty nie jesteś zakochany w mojej siostrze?

Salvatore uśmiecha się krzywo.

– Co? Gdzie tam. Ona tak myślała. Chciała ze mną uciec. Wyobrażasz sobie? Chciała się ukryć w Londynie.

– Co?

Więc to tam chciała jechać, dlatego zabrała Ernesta i „ukradła” diamenty. Czy Beth naprawdę zamierzała uciec? Z tym gościem? Nie, nie wierzę w to. Ambrogio kombinował coś przeciwko mnie, ale moja siostra ewidentnie miała inny pomysł. Wiedziałam, że nigdy nie chciałaby mnie zabić. To jakiś obłąd.

– Ale ty nie chciałeś z nią uciec? – pytam cicho. To moja szansa. Muszę się dowiedzieć, co tu się wyprawia. Zaciągam się papierosem. Lubię jego fajki; są mocniejsze od moich. Głowę mam lekką od nikotynowego haju.

– Ja? Mowy nie ma. Miałbym to wszystko zostawić? – Wskazuje na swoje studio. – No i to byłoby zbyt niebezpieczne. Już nigdy nie moglibyśmy tu wrócić.

Co? Dlaczego nie? Co tu jest takiego strasznego? Co tu się dzieje?

Odstawiam kieliszek na stół. Szkło drży i brzęczy na drewnie. Salvatore jest półnagi, opiera się o krawędź stołu. Czoło ma zmarszczone, jakby bardzo się starał coś zrozumieć.

– Więc co się stało z twoją siostrą? Gdzie ona jest?

Przełykam ślinę.

– Zniknęła. Pojechała. Nie wiem dokąd.

– No tak, to ma sens. Była zdesperowana. A co z dzieciakiem? To ze względu na niego chciała uciekać...

– Dzieciak nadal tu jest. W willi z nianią.

Salvatore marszczy brwi i potrząsa głową. Gasi peta w kieliszku.

– Zostawiła małego? Jesteś pewna?

– No, jestem pewna. – Co to za debilne pytanie?

– Nie, to bez sensu. Kurwa, lepiej uważaj. Ona wróci. Po ciebie i po małego...

Cała się napinam. Patrzę mu prosto w oczy.

– Co? Dlaczego mam na siebie uważać?

Salvatore nie odpowiada.

– Kurwa, dlaczego mam uważać? – Głos mi drży. Wargi się wykrzywiają. Paskudne uczucie wędruje od żołądka aż do gardła. – Salvatore?

– Ej... uratowałem ci życie. Powinnaś być mi wdzięczna – mówi i chwytam mnie za nadgarstki, patrzy mi w twarz.

– Uratowałeś mi życie? – Wrywam rękę.

– Słuchaj, to nie był mój pomysł, okej? – Teraz już podnosi głos. – Twoja pojebana siostra chciała, żebym pomógł jej cię zabić. Wtedy, tamtej nocy. Kompletnie oszalała! Upierała się, że potrzebuje trupa, żeby uciec. Od tego stronzo, Ambrogia. Bała się, że będą jej szukać. I pewnie miała rację.

Odsuwam się od Salvatorego, opieram się na stołku. Nagle kręci mi się w głowie. Co on pierdoli? Że moja siostra, kurwa, co?

– Nie rozumiem. – Potrząsam głową. To w ogóle nie brzmi jak moja siostra. Beth jest tą dobrą. Beth jest aniołem. – Kłamiesz!

– Nie kłamię! Opowiadam ci, jak było. Chyba powinnaś wiedzieć. Ona była zdesperowana. *Pazzo*. Mówiła, że jesteś jej jedyną szansą na ucieczkę. Od męża, od Sycylii, od tego wszystkiego.

To bez sensu. Chyba że... chyba że ona naprawdę była zdesperowana. Przerazona. Chyba że naprawdę jej odbiło.

– Kiedy? Kiedy zamierzała mnie zabić?

– Najpierw myślała, że wystarczy, żebyście zamieniły się miejscami. To by jej dało czas na ucieczkę. Ale potem chyba uznała, że chce więcej.

– Więcej?

– Chciała mieć cię martwą. Wpadła w histerię, płakała, błagała mnie o pomoc. Udało mi się ją przekonać, żeby zmieniła zdanie. Zgodziła się, że tego nie zrobi. Ona chyba...

– Czy to... o to się pokłóciliście? – Przypominam sobie ich nocną awanturę przy samochodzie.

– No... tak, pokłóciliśmy się – potwierdza. Wpatruje się we mnie czujnym wzrokiem.

– A jak chciała to zrobić? – Czy wiedziała o pistolecie Ambrogia?

– Teraz to już nie ma znaczenia... – Splata ręce na piersiach i patrzy na podłogę, przesuwa palcem u nogi wzdłuż okrągłego zarysu po sęku w drewnie, kółko za kółkiem, coraz głębiej, głębiej, głębiej.

Gapimy się na podłogę.

Cieszę się, że ją zabiłam. Byłam pierwsza (choć raz). Ale to nadal cholernie boli; nawet moja siostra? Moja własna siostra? Jakby ktoś wbił mi nóż prosto w serce. Chowam twarz w dłoniach; ziemia wiruje mi pod stopami. Chyba jednak nie miałam racji – Beth wcale nie była dobra. Może w ogóle wszystko źle oceniłam? Co to znaczy? Jestem kompletnie zagubiona.

Czy w takim razie to ja jestem tą dobrą?

– Powiedziałem, że tego nie zrobię. Powinnaś być mi wdzięczna.

– Jestem wdzięczna. – Dalej gapię się w deski podłogowe. Odpowiadam na autopilocie. Nie wiem, co mówię. Z jakiegoś powodu zaczynam się śmiać – pusto i głucho.

Chcę stąd wyjść.

Rozglądam się za ubraniami. Salvatore przygląda się, jak wkładam stanik, ale nie mogę zapiąć haftek.

– Ale dlaczego? Dlaczego ona chciała stąd uciec? To bez sensu. Przecież miała idealne życie.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz?

Potrząsam głową, wzrok mam zamglony od łez. Boże, ja znowu płaczę.

– Twoja siostra nigdy ci nie powiedziała?

– Czego mi nie powiedziała? Z tego, co wiem, ona żyła w raju.

– Kurwa – wzdycha Salvatore. – Poważnie nie wiesz?

Chciałabym, żeby już przestał to powtarzać.

– Powiesz mi w końcu? – Odwracam się i patrzę mu w oczy. Krzywi się i patrzy w bok. Jest zirytowany.

Znów zakłada ręce na piersi, napina bicepsy. Wstrzymuję oddech. Nie mam pojęcia, co on mi zamierza powiedzieć, ale nagle czuję: to będzie coś złego. Coś, co zmieni wszystko.

– Lepiej sobie usiądź.

Podsuwam sobie stołek. Drewniane nogi szorują po podłodze. Opadam ciężko na siedzenie, nagle jest mi niedobrze. Jestem słaba jak dziecko. Całe ciało mam zimne. Chcę jeszcze wódki. Trzymam sukienkę na kolanach. Tęsknię za moją starą bluzą.

– Tu się napierdala regularna wojna – oznajmia Salvatore, wskazując otwartą dłońią za okno.

– Wojna? Gdzie? Tu, w Taorminie?

– Wszędzie. Na całej Sycylii. Na ulicach. W biały dzień. Mogą zastrzelić faceta na ulicy. I będzie tylko gorzej.

– O czym ty mówisz? Jaka znowu wojna?

Jestem pewna, że coś bym zobaczyła w wiadomościach; „Metro” w Londynie by o tym pisało. Nie przyjechałabym tu.

– Wojna o wpływy? – wzdycha Salvatore. – Ambrogio siedział po uszy w Cosa Nostrze, a to znaczy, że Beth też, i dzieciak też... To rodzinny biznes.

Wpatruję się w niego, jakby mówił po grecku.

– A co to jest? Coś jak mafia?

Salvatore kiwa głową, twarz wykrzywia mu grymas.

– To zwierzęta. *Vermini*.

Nie mogę w to uwierzyć. To nie może być mafia. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Prawda? Och. Teraz rozumiem. To stąd mieli cały ten hajs, to dlatego Ambrogio miał gnata. No tak, od razu zauważyłam, że Nino wygląda jakoś podejrzanie. Wszystko się spina. Moja siostra miałaby z tym straszny problem. Biorę głęboki wdech.

– A ta wojna?

– Chodzi im o terytorium. Palermo, Katania, Agrigento... wszędzie. Dla Cosa Nostry to już koniec. Będą walczyć do śmierci. Przyszły tu nowe gangi z południa, z Afryki i Bliskiego Wschodu. Walczą o kontrolę nad handlem dragami, o heroinę, dziwki, o wszystko. Kokainę...

– Och. Rozumiem – mówię tylko. Niedobrze.

– Dzieciak jest w to wplątany po uszy... – ciągnie Salvatore. *Nonno* Ambrogia, ojciec Ambrogia: wszyscy w Cosa Nostrze. Ernie ma sycylijskie pochodzenie...

– Elizabeth nie wiedziała. – Nagle do mnie dociera. – Poznała go

w Oksfordzie, nie miała o niczym pojęcia. Pobrali się w Mediolanie, stamtąd była matka Ambrogia.

– Fakt – przytakuje Salvatore.

– A Ernesto... To tylko dziecko. Ona nie chciała patrzeć, jak dorasta tylko po to, żeby ktoś mu wpakował kulkę w czoło.

Salvatore znów kiwa głową.

– Coś w tym rodzaju. Ambrogio kupił Ernestowi pistolet i Beth odbiło. Ten dzieciak nie ma nawet roku. Chciała uciekać. Gdyby się dowiedzieli, że próbuje się ulotnić, toby ją zabili. Jak jesteś w mafii, to jesteś w mafii. Nie ma odwrotu.

– Nawet jeśli umrzesz, to w piekle jest specjalne miejsce... – przerywam.

Salvatore patrzy na mnie chłodnymi niebieskimi oczami.

– Beth się bała, bała się o dziecko – mówi.

Chyba do mnie dotarło. Rozumiem. Ambrogio i Beth zamierzali uciec. Ale to by nie wystarczyło. Beth chciała więcej. Chciała uciec od Ambrogia. Po to mnie tu ściągnęła. Miałam być dublerką. Miałam być ciałem. Schodzę ze stołka, chwieję się na nogach, wciągam sukienkę przez głowę. Podchodzę do Salvatorego i zarzucam mu ręce na szyję.

– Więc naprawdę ci nie przeszkadza, że nie jestem Beth? – Jestem mniejszym złem; założę się, że mu ulżyło. Kładę głowę na jego szerokiej piersi. Czuję, jak serce mu bije pod żebrami. Skóra mu się klei. Pachnie piżmem, potem.

– Ani trochę, mała. Szkoda tylko, że nie mogę zerznąć was obu na raz.

Wychodzę z jego willi i wracam do domu Beth. Chyba mu wierzę. Nie ma szans, żeby Beth była w nim zakochana. Jemu chodziło tylko o seks, o zajebisty seks, więc w sumie nie mogę mieć do niego pretensji (założę się, że ze mną było mu lepiej niż z Beth). A ona chciała go wykorzystać. Był dla niej sposobem na ucieczkę. Biedny Salvatore. Cóż, typowy facet. Ale teraz to

facet, który wie zbyt wiele. Teraz ten facet to problem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

WPADAM DO SALONU i opadam na pluszową sofę Elizabeth. Jak ona śmiała? Jak ona mogła? Moja własna siostra planowała mnie zabić? Głos Salva dźwięczy mi głośno w głowie: „Twoja pojebana siostra chciała, żebym pomógł jej cię zabić. Potrzebowała trupa, żeby uciec... Żeby jej nie szukali”. SZMATA! SZMATA! SZMATA! W mojej siostrze nie było nic dobrego. Była szmatą przez wielkie „S”. Chwytam za jej iPhone’a. Muszę sprawdzić „La Cosa Nostra” w Google, żebym wiedziała, z czym mam do czynienia. „La Cosa Nostra, włoska organizacja przestępcza. Zajmuje się wymuszaniem okupu, przemytem narkotyków, zabójstwami, łapówkarstwem, fałszerstwami, nielegalną gospodarką odpadami, szantażem, napaściami, przemytem, hazardem, lichwiarstwem, paserstwem i rabunkami”. Serio? Brzmi super!

Ktoś puka do drzwi. Uch, co tym razem? Emilia wyszła z Ernestem do parku. Chyba będę musiała sama otworzyć. Fakt, licho nie śpi. Naprawdę powinnam zatrudnić lokaja. Mam nadzieję, że to nie Salvatore albo Nino. Odchyłam zasłonę, żeby wyjrzeć przed dom. Kurwa, policja. Już mam przerąbane? Na wycieracze stoi dwóch policjantów. Bardzo złe wieści. Spoglądam na swoje nogi, na ręce. Siniaki wyglądają podejrzanie; nie chcę, żeby je widzieli. Zaczną zadawać pytania. Muszę się przebrać.

– Chwileczkę! – wołam, biegnąc w głąb willi.

Pędzę na piętro i wpadam do sypialni Beth. Przetrzęsam jej szafę w poszukiwaniu lepszego ubrania. Potrzebuję czegoś długiego. Skromnego. Niewinnego. Kobiecego. Niezbyt drogiego. Wciągam dres Juicy Couture –

jaskraworóżowy welur, mięciutki jak kociak – i zbiegam na dół.

– Elisabetta Caruso?

– Tak? – mówię. – *Si?*

– *Posse entrare, per favore?*

– Czy mogę prosić po angielsku? Nie mówię po włosku.

– Czy możemy wejść?

O, Boże. Pozamiatane. Zaraz mnie aresztują.

Odsuwam się na bok i wpuszczam policjantów do domu: obaj są w mundurach, twarze mają czujne i ponure.

– Jestem *commissario* Edillio Grasso, a to *commissario* Savastano – mówi jeden.

Savastano? Chyba sobie jaja robi. Oglądałam *Gomorrę*. To niemożliwe. Wiem, że Savastano to mafijne nazwisko. Pietro Savastano był głową mafii Camorra. Zatrudnili smerfa z Camorry? Wiem, że to fikcyjny serial, ale nadal uważam, że to bardzo niemądre posunięcie. Nie wiem, jak ktokolwiek mógł mu zaufać. Ich szef HR powinien wylądować na dywaniku.

– Proszę, niech panowie siadają – zapraszam i wskazuję na zawaloną poduszkami sofę.

– Dziękujemy, *signora*. Ma pani piękny dom.

Rozglądamy się po salonie. Kryształowe żyrandole migoczą w słońcu, kominek zdobi elegancka porcelana, w antycznych wazach stoją bukiety róż. Owszem, ładnie tu mam.

– Dziękuję – mówię tylko.

Pospiesz się i gadaj. Cokolwiek to jest, mówcie, a potem wypierdalać mi stąd.

– *Signora* Caruso, obawiam się, że mamy dla pani niedobre wieści.

Cała sztywnieję.

– Chodzi o pani męża.

A, uf.

– Nie wiem, gdzie jest, nie odbiera telefonu – oznajmiam prędko. Daję swój najlepszy popis aktorstwa, robię przerażoną minę pod tytułem „Błagam, tylko nie mój mąż!”. O dziwo – działa. Zrobiłam spore postępy od czasów debiutu jako zadek osiołka. Ten, który mówi po angielsku, posyła mi współczujące spojrzenie.

– Jest pani żoną Ambrogia Caruso, czy tak?

– Tak?

– Bardzo mi przykro, *signora* – dodaje ten większy. Kępki włosów wystają mu spod policyjnej czapki, ma łupież na brwiach i żółknące zęby. – Ciało pani męża zostało znalezione pod klifem w pobliżu hotelu Continental. To wygląda na samobójstwo.

Patrzę im na zmianę w oczy, szukam pocieszenia, nadziei: oni spoglądają na mnie przepaszająco. Są całkiem przekonujący. Założę się, że bez przerwy muszą odwalać takie szopki. Nie chciałabym pracować w sycylijskiej policji. Mam wrażenie, że im też średnio się to podoba. Tu rządzą gangi, a chłopcy w mundurkach to tylko kukielki, jak w *Opera dei pupi* w Palermo. Czytałam o niej na Trip Advisorze. Chętnie bym się wybrała zobaczyć, jak to wszystko już trochę przycichnie. Jeśli przycichnie. W dzieciństwie uwielbiałam muppety. Zwłaszcza Zwierzaka.

– Samobójstwo? – powtarzam po długiej ciszy. Szeptem, niemal bezgłośnie. Naprawdę powinnam się rozpłakać.

– Tak, *signora*. Mój kolega widział ciało dziś rano i natychmiast je rozpoznał. *Commissario* Savastano jest pewien, że to *Signor* Caruso. Został zidentyfikowany po sygnecie; są na nim inicjały AC?

Ups, trzeba było go zdjąć; to by nam kupiło trochę czasu.

Niższy policjant ma do policzka przyklejony kawałek papieru toaletowego w miejscu, gdzie zaciął się rano przy goleniu. Chwilę grzebie w wytartym

czarnym plecaku i wyciąga przezroczystą plastikową torebkę. W środku znajduje się złoty sygnet. Policjant podaje mi torebkę.

– To należało do pani męża czy nie? – pyta ten, który mówi po angielsku.

Zerkam pobieżnie, i dostrzegam, że po wewnętrznej stronie coś jest wygrawerowane: *Kocham całym sercem. Beth*. Pewnie mu go dała, kiedy jeszcze jej na nim zależało. Mogłabym udawać, że go nie poznaję; ale na pewno należał do niego. Tylko wzbudziłabym podejrzenia. Wciskam torebkę policjantowi z powrotem do ręki, gwałtownym ruchem kryję twarz w dłoni i zaczynam płakać. Zanoszę się głośnym, mokrym, histerycznym szlochem. Policjant obejmuje mnie ramieniem, a ja płaczę i smarkam mu na wykrochmaloną białą koszulę.

– Czy zechce pani pojechać do kostnicy zidentyfikować ciało? – pyta, kiedy trochę się uspokajam.

– Nie! Nie! Nie chcę na to patrzeć.

Zrywam się z fotela, chodzę tam i z powrotem wzdłuż krawędzi luksusowego dywanu, deptę po haftowanych liliach. Muszę się ich pozbyć. Nie chcę ich w swojej willi, tylko psują mój styl, marnują czas, stresują mnie...

– Jak mówiłem, to wygląda na samobójstwo. *Signora*, jak pani mąż zachowywał się wczoraj?

Patrzę na policjanta. Chce wiedzieć, czy mój mąż miał depresję.

– Był podenerwowany. Pokłócił się z kimś, z jakimś znajomym. Nie wiem z kim. Nie mam pojęcia, o co im poszło.

Większy policjant przytakuje. Ma dużą głowę. Trochę przypomina lamę.

– *Signora*, czy pani mąż miał wrogów? Czy ktoś życzył mu śmierci?

Waham się przez chwilę, jakbym się nad tym zastanawiała.

– Ambrogio? Nie. Miał tylko przyjaciół. Wszyscy go uwielbiali.

– Tylko pytamy, *signora*, bo chcielibyśmy mieć pewność, że to było

samobójstwo.

Przechyliłam głowę na bok. Mój niewinny mózdek nie jest w stanie wyprodukować żadnej alternatywy.

– Chce pan powiedzieć... – Jestem tępą dzidą. Dalej nie chwytam.

– Myślmy, że to mogło być morderstwo.

– Morderstwo?

– Na tym etapie nie możemy tego wykluczyć.

Kurwa.

– Czy są jakieś dowody na to, że został zamordowany?

– Nie, jeszcze nie. Na razie to wygląda, jakby skoczył, ale ktoś mógł to tak zainscenizować.

– Zainscenizować?

Czy on wie coś o scenie? Scenie w amfiteatrze? Mam nadzieję, że wytarliśmy całą krew. Było strasznie ciemno.

Opadam na sofę. Chwytam za podłokietniki i tonę w stercie puszystych poduszek. Dlaczego w tym domu jest tyle poduszek? Moja siostra miała świra na punkcie miękkich mebli.

– Tak. Mógł zostać zamordowany... a potem ktoś zrzucił go z klifu... kiedy on już nie żył.

– Ach tak – mówię. Genialne. Trzeba było spreparować list pożegnalny. – Cóż, z tego, co wiem, mój mąż nie miał żadnych wrogów. Ale jak mówiłam, wczoraj wieczorem był zdenerwowany. Załamany. – Przerywam. Obaj słuchają mnie uważnie, nawet ten, który nie mówi po angielsku. – Rano trochę się martwiłam, kiedy nie mogłam się z nim skontaktować. Obawiałam się, że zrobi coś głupiego. Coś takiego! Mój mąż ma tendencję do... przesady.

– Przesady?

Wzdycham i zapadam się głębiej w sofę, obejmuję poduszkę i przyciskam

ją mocno do piersi.

– Tak, wie pan... wy, Włosi, jesteście cudowni. Tacy emocjonalni. Romantyczni. – Uśmiecham się do nich. Wiedzą, co mam na myśli. – Najmniejszy drobiazg potrafi doprowadzić was do szału, zawsze robicie z igły widły...

– Widły, *signora*?

Gapią się na mnie pustym wzrokiem. Chyba nie słyszeli wcześniej tego powiedzenia. Może na Sycylii nie mają wideł?

– Już wcześniej groził, że się zabije, kiedy coś go denerwowało. Nigdy nie zwracałam na to większej uwagi. Myślałam, że tylko tak mówi, wie pan?

Policjanci wymieniają spojrzenia, a ten większy zapisuje coś w wymiętolonym notesie. Może powinnam się już zamknąć. A może już powiedziałam za dużo?

– *Signora*, gdzie pani była wczoraj w nocy?

Ramiona mi sztywnieją. Nie podoba mi się to pytanie.

– Ja? A dlaczego pan pyta? Byłam tutaj, w domu.

– Czy ktoś panią widział?

O co tu chodzi? Chcą sprawdzić moje alibi? Analizują mnie? Ściany salonu coraz bardziej się przybliżają. Sufit się zniża. Zaczyna brakować powietrza.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Byłam sama z synkiem. Ma dziesięć miesięcy. – Tak myślę. Coś koło tego. A może pięć? Albo siedem? Czy on ma już rok?

Potrzebuję świeżego powietrza. Zaczynam się stresować. Najpierw własna siostra planuje mnie zabić, teraz węższą wokół mnie psy. Ciśnienie tak mi skoczyło, że zaraz mi żyłka pęknie. Zeskakuję z sofy, otwieram szeroko okno i wystawiam głowę na zewnątrz. Biorę głęboki wdech: plumerie. Zerkam znów na policjantów; lama zapisuje coś w notesie. Znowu. Co on tam pisze?

Kryminał? Serial policyjny? Odcinek *Inspektora Montalbano*? Ciekawe, czy jestem na liście podejrzanych.

– Ciało leży w kostnicy w Katanii.

Zabieram głowę z okna.

– To ich wizytówka, może się pani z nimi skontaktować, żeby zorganizować pogrzeb – dodaje policjant. Wkłada mi w dłoń mały czarny kartonik.

– Och. Tak. Dziękuję – mówię. – Kiedy dostanę z powrotem samochód? – To lamborghini było naprawdę super.

– Oddamy samochód, kiedy biegli skończą analizę, mam nadzieję, że jeszcze dziś po południu. – Facet patrzy na mnie i marszczy brwi. – Musimy panią ostrzec, *signora*, informacja o śmierci pani męża pojawi się dziś w gazetach. *Arrivederci, signora*. Nasze kondolencje.

– Czy dacie mi znać, jeśli coś odkryjecie? Jakieś ślady, wskazówki? – pytam. Oczy mam szkliste od krokodylich łez.

– *Certo, signora. Arrivederci* – mówi tylko. Ten drugi macha mi niezgrabnie. Nie uśmiechają się. Ja im nie macham. Wstają i wychodzą.

Super. Teraz muszę ogarnąć pogrzeb. To dopiero będzie ból w dupie. Trzeba było zdjąć mu sygnet i rozwalić twarz. Powyrywać zęby. A tak poza tym to chyba nieźle poszło. Jeśli nie, to resztę życia spędzę we włoskim więzieniu na oglądaniu popołudniowej telewizji, z której nic nie będę rozumiała. Żarcie ze stołówki. Gry w karty. Myszy. Dragi przemycane w dupie. Nie zniosę wspólnych pryszniców. Ale nie. Jest okej. Zatrudnię prawnika Amandy Knox, przerobię moją historię na bestseller. No i co oni mogą mi powiedzieć? Że nie jestem Beth? A gdzie dowody? Nie ma. Żadnych dowodów. Bez ciała Beth nie jest nawet martwa. Więc chodzi tylko o trupa Ambrogia. Ale w gazetach wszystko dziś roztrąbią: samobójstwo. Sprawa zamknięta. W tym nie było nic podejrzanego. Drugie morderstwo

i już zbrodnia doskonała! Co ja mogę na to powiedzieć, szybko się uczę. Łapię w lot: jestem spokojna, opanowana, profesjonalna... Jeśli mam być absolutnie szczerą, to nie mam nawet wyrzutów sumienia. Jeśli nie oni, to ja bym kipnęła. Beth i Ambrogio sami to wszystko zaczęli. Ja tu przyjechałam na wakacje. Jestem Cyndi Lauper: chciałam się tylko dobrze bawić. *Girls just wanna have fun.*

Wyciągam się na sofie, ściągam buty i opieram stopy o podłokietnik. Jest tylko jeden drobny zgrzyt: wszyscy wiedzą, że Ambrogio czuł się świetnie. Miał dobry humor, jeszcze dzień wcześniej śmiał się i żartował. Czy szczęśliwi ludzie się nie zabijają? Oczywiście, że tak. Udają, że wszystko jest w porządku, a w duszy płaczą. Właśnie tak było z Ambrogiem, przy ludziach się uśmiechał, a wieczorami płakał w poduszkę. Biedactwo, przerosło go to wszystko... Ten stres z dylowaniem na czarnym rynku, interesy z tymi zwierzętami z Cosa Nostry. Nic dziwnego, że taki człowiek chciał uciec przed morzem kłopotów, skacząc z klifu do prawdziwego morza. A może ktoś słyszał jego kłótnię z księdzem? Tak! Oczywiście! Przecież w kościele byli wtedy ludzie, kręcili się jeszcze po mszy. Może powiedzą glinom, że ten księżulo jest podejrzany. To odwróciłoby całą uwagę od jego żony.

Czy we Włoszech mają karę śmierci? Lepiej sprawdzę w internecie. Znów chwytam iPhone'a Beth. Nie mają. Znieśli ją po faszystach, pierwszego stycznia 1948 roku. Dzięki Bogu! Jak ludzie żyli, zanim wynaleziono Google? Google to nowy Bóg, Twitter to Jezus Chrystus, a Instagram to Duch Święty. Amen.

Rozdział trzydziesty drugi

STOJĘ PRZED LUSTREM, patrzę sobie głęboko w oczy. Są zielone jak ciemne morze: skaliste dno pokryte wodorostami i lśniącem mchem. Uśmiecham się do własnego odbicia. Teraz jestem ładniejsza od Beth. Oczy marszczą mi się w kącikach, po zewnętrznej stronie mam małe kurze łapki. Rozciągam skórę, aż robi się gładka i napięta. Może strzelę sobie botoks? Zostanę wiecznie młoda? Jak Cher albo chłopcy z Alphaville, albo jak jakiś android. Oblizuję popękane od słońca wargi. Tęsknię za moją fioletową szminką. Za limonkowym lakierem do paznokci. Za czapką z pomponem. Muszę się z nimi pożegnać. Nie pasują do Beth. Nie mogę jeść kebabów. Nie mogę się znęcać nad Edem. Prawie zaczynam tęsknić za oblechami...

Co ja mam zrobić z Salvatore? On za dużo wie. Wszystko wie. Że zabiłam Ambrogię. Że nie jestem Beth. Powiedział, że Beth miała lepszy tyłek. Nie wiem, dlaczego ona mu ufała. Pewnie po prostu chciała go wykorzystać, bo nie miała innego wyboru. Wykorzystywała go tak samo jak mnie. Nie kochała go i nie kochała Alvie. Tak czy inaczej, Salvatore musi zniknąć. Jeszcze zacznie gadać z policją i mnie wsypie. Wszystko zniszczy. Wszystko, na co tak ciężko pracowała. Odbierze mi moją zasłużoną nagrodę. Moje złote laury. Nie, nie ma mowy: Salvatore musi umrzeć. Ale jak to zorganizować?

Do tej pory miałam fuksa. Początkującym zawsze dopisuje szczęście. A może to po prostu jakiś szczęśliwy okres? Powinnam przejechać się po kasynach w Palermo, póki jeszcze trwa. Wrócić do internetu i rozpykać blackjacka. Ale nie chcę kusić losu. Nie dam się złapać. Nie chcę uciekać.

Nie boję się tej śmiesznej Cosa Nostry. Brzmi spoko. Nagle rozlega się trzaśnięcie drzwiami. Kroki dudnią w korytarzu: ciężkie, metaliczne. Nino! Oczywiście. To on ma takie buty. I zapowiadał, że wróci. Pocieram mocno oczy, żeby wyglądały, jakbym płakała. Mierzwię włosy i wykrzywiam twarz w nieszczęśliwy grymas. Facetom od razu miękną faje na widok płaczącej kobiety. Założę się, że Nino jest taki sam, nawet jeśli jest totalnie bez serca, bez duszy i martwy w środku.

– Betta?

– Tak?

Odwracam się od lustra.

Nino podchodzi do mnie ciężkim krokiem. Nie podnoszę wzroku, wpatruję się we frędzle wzdłuż krawędzi perskiego dywanu. Najpierw widzę jego buty ze stalowym wykończeniem, dopiero potem resztę.

– Betta?

Patrzę na Nina, w oczach maluje mi się przerażenie. Potrząsam głową. Nie. Nie. Dłonie mi drżą. Tylko troszkę, tak akurat.

– Betta – powtarza jeszcze raz i siada na kanapie obok mnie. Czuję zapach jego skórzanej kurtki, papierosa wypalonego tuż przed wejściem.

– Twój mąż?

Kiwam głową.

– Właśnie się dowiedziałem. *Minchia*.

– Mhm.

Nino dalej klnie pod nosem po włosku: *porco*-coś tam. To chyba znaczy „świnia”. Nino nie lubi emocji, widać to po nim. Bardzo się stara, klepie mnie po plecach i próbuje popatrzeć na mnie z troską, ale trochę sztywno mu to wychodzi. Chciałby być wszędzie, tylko nie tutaj. Pocieszanie załamanych wdów po byłych partnerach biznesowych nie leży w zakresie jego obowiązków. Lepiej przejść do interesów, bo zaraz się znudzi i sobie pójdzie.

– Och, Nino – szlocham i chwytam go za rękę. Zimne metalowe sygnety wbijają mi się w skórę.

Nino się odsuwa.

– Betta, chcesz kreskę? Na poprawę nastroju? Chodź, strzelimy sobie po jednej. – Wyciąga z kieszeni plastikową torebeczkę, przyciąga stolik kawowy po dywanie i wysypuje na szkło dwie kreski. Są długie, cienkie i białe jak zęby. Jasne. Dlaczego nie? Świątujemy!

Nino wyjmuje z czarnego skórzanego portfela pięćdziesiąt euro i zwija banknot w rulonik. Wciągamy kreski. Łał, dobry towar. Już mi lepiej. Ta koka jest mocniejsza od dragów, które podkładałam oblechom na Archway. W tamtej było co najmniej osiemdziesiąt procent proszku do pieczenia.

– Teraz zaczniesz mówić? He? Powiesz mi wreszcie, co wiesz?

Głośno smarkam, powstrzymując fikcyjne łzy, i wycieram nos wierzchem dłoni.

– Okej. – Pociągam nosem.

– To zacznijmy od siniaków. Kto cię tak pobił?

O, ja cię! Mocny ten koks. Teraz dopiero czuję, że żyję. Jestem niezwyciężona. Jestem magiczna. Umiem latać. Jestem na takim haju, że mam to w dupie, jeśli cała ta chata się spali ze mną w środku. Dobrze, o czym rozmawialiśmy?

– Salvatore – mówię.

No, tak jakby mnie pobił. To tylko maciupęńkie białe kłamstewko. Nie oszukuję, po prostu jestem kreatywna. Mówię samą prawdę, jak te czarownice w *Makbecie*.

Odwracam się do Nina, przyciskam udo do jego uda. Mam na sobie wonderbra Beth i całą chmurę Miss Dior Chérie. Przygryzam wargę.

– On to zrobił – dodaję.

– Salvatore? Ta, gdzieś o nim słyszałem. To ten wasz sąsiad, tak?

Przyjaźnił się z twoim mężem? – wypytuje Nino.

Milczę dostatecznie długo, by zaczął coś podejrzewać.

– Nie byli tak do końca przyjaciółmi... – zaczynam.

Otwieram szeroko oczy i nie przerywam kontaktu wzrokowego. Mam nadzieję, że Nino wyczyta resztę między wierszami. Salvatore zabił Ambrogia i rzucił się na jego żonę.

– Dlaczego cię uderzył? Był zazdrosny? Salvatore i Ambrogio kłócili się o ciebie?

Jasne, dlaczego nie. O tym nie pomyślałam.

– Tak – szlocham i pozwalam, żeby łzy odwały resztę roboty. Chowam twarz w dłoniach. Ramiona mi się trzęsą. Oddech mam płytki i nieregularny.

– *Stronzo!* – dyszy Nino, zrywając się z kanapy. – Ten *figlio di puttana* zabił twojego męża, Betta? *Vaffanculo. Stronzo!*

Patrzę, jak Nino chodzi tam i z powrotem po dywanie, jego podkute bucioro tupią i brzęczą, na zaciśniętych palcach połyskuje srebro i złoto. Nic nie mówię, tylko się przyglądam.

– Już ja mu pokażę. Chuj złamany, *Il Professore* był dla mnie jak brat.

Kiwam głową, jakbym rozumiała.

– Jak brat! – powtarza Nino.

– Więc co zamierzasz zrobić? – pytam. Mam wielką nadzieję, że go zabije.

– Zajmę się tym – warczy.

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Słyszę pomruk silnika jego minivana, gdy wypełza przez podjazd i odjeżdża.

No, to było proste. Bułka z masłem. Zajębiście mi się to podoba. Nino jest elegancki i subtelny. Jak czarna mamba albo czarna wdowa: dyskretny, posępny i śmiercionośny jak skurwysyn. Zapalam papierosa w nagrodę, wydmuchuję dym w stronę żyrandoli. Beth dostałaby zapaści, gdyby

zobaczyła, że tu palę. Wyganiała Ambrogia na taras. Ale Beth już nie ma. Ambrogia też nie. Ha, ha! I co teraz? Salvo będzie następny. Odchyłam głowę na poduszki, przetaczam z lewa na prawo. Haj znieczula mi umysł, uśmiech rozjaśnia mi twarz.

* * *

Tkwią tu już całą wieczność, wyglądam, czekam. Siedzę na tarasie i gapię się na drogę. To mój ósmy papieros. W ustach mam już stos pogrzebowy, ale nikotyna pomaga. Troszkę. Przynajmniej już mnie nie trzęsie. Ciągnę Nero d'Avola prosto z butelki (smakuje o wiele lepiej niż wino z kartonu) i opycham się *torta della nonna* na uspokojenie. Pakuję sobie ciasto do ust garściami. Jem, aż mam dość, a potem jeszcze trochę, aż nic nie zostaje. Zbieram palcem okruszki i wylizuję talerz do czysta. To ciasto jest cudowne: słodkie, kremowe, dekadencjonalne, przepyszne. Chcę jeszcze, ale zjadłam już wszystko. Zamiast tego zapalam kolejnego papierosa.

Zapada zmrok, ale będę tu siedzieć całą noc, jeśli trzeba. Muszę to zobaczyć. Muszę mieć pewność. Nie zasnę, jeśli nie będę wiedziała, więc nie ma sensu iść do łóżka. Kto mógłby spać w taką noc? Jaki szaleniec? Musiałabym być socjopatką. Podręcznikowym świrem: jak Thomas Ripley albo Patrick Bateman. A może Amy Dunne. Jeśli miałabym wybierać, to byłabym Amy Dunne. Jedną z tych wyrafinowanych psychopatek, o których pisze się książki. Ale ja taka nie jestem. Zależy mi. Chcę wiedzieć.

Patrzę na zegarek Beth: dwudziesta trzydzieści. Siedzę tu już co najmniej trzy godziny. Tyłek mi zdrętwiał. Jestem sztywna jak lalka Elizabeth. Powiedziałam Emilii, żeby nie robiła kolacji. Dużo się tu ostatnio kręci. Obserwuje mnie. Patrzy. Zachowuje się, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale nie może się do tego zmusić. To doprowadza mnie do szału. Zerka zza zasłonek. Nasłuchuje. Martwi się. Przynajmniej odwolana kolacja jej nie

zdziwiła. Wątpię, żeby Beth jadała prawdziwe jedzenie: pistacja na śniadanie, liść sałaty na obiad, pół pomidorka koktajlowego na kolację, a na deser pół łyżeczki granity. Nie mam apetytu. Mam zbyt wiele na głowie. No i nie teraz, kiedy zjadłam już całe ciasto. Może on nawet nie zrobi tego dzisiaj. Ale przecież musi. Jest profesjonalistą. Nie pozwoli, żeby sprawa wisiąca. Nino będzie chciał pozamiatać. Natychmiast. Jeszcze dziś. Ja na pewno bym tak zrobiła.

Kurde, trochę mnie mdli. To nie od wina. Nie od ciasta. Nie od jarania fajki za fajką. Jestem do tego przyzwyczajona. Nino zabije Salvatorego. Jutro o tej godzinie on już będzie martwy. I to wszystko moja wina. Mój porąbany pomysł. Nigdy wcześniej nikogo nie zamordowałam. To znaczy nie zabiłam „z premedytacją”. Tak to się chyba mówi w sądzie? W serialach zawsze o tym gadają, nie? To jest różnica między nieumyślnym spowodowaniem śmierci a morderstwem. To kurewsko ważna różnica. Z Beth i Ambrogim to było co innego. Beth to był wypadek – przynajmniej tak mi się wydaje. A co do Ambrogia... nie miałam wyjścia! To było działanie w samoobronie, bez dwóch zdań. Ale tym razem jest inaczej. To jest zaplanowane. Z premedytacją. Niedobrze mi, ale w taki przyjemny sposób. To jak motylki w brzuchu przed koncertem. Trochę mi się podoba... Rany, ale mam odlot!

Muszę do toalety. Prawie od godziny chce mi się siku, ale obawiam się, że jeśli odejdę, to go przegapię. Oczy mam przyklejone do drogi. Ale już dłużej nie dam rady trzymać. Dręczy mnie fizyczny ból zbyt pełnego pęcherza i psychiczne cierpienie niemożności zaspokojenia potrzeby. Zerkam w stronę willi; światła są pogaszone. Ernie śpi. Emilia chyba poszła do domu. Zeskakuję z leżaka i pędzę na trawnik, nadal obserwując drogę jak jastrząb. Jak dron. Ściągam majtki i kucam. Syk siku na trawniku. Proszę, jak mi się zrymowało. Jestem w połowie, kiedy nagle to słyszę: warkot auta na drodze. Wyciągam szyję i widzę go: duży czarny samochód ze zgaszonymi

światłami, powolny jak karawan. Minivan Nina. Prześlizguje się obok willi i parkuje na skraju podjazdu Salvatorego. Naciągam majtki i wstaję.

Tak!

* * *

– Zrobiłeś to? – szepczę.

– Zrobiłem – potwierdza głos w ciemności.

Nie spałam; wpatrywałam się w nieskończoną czerń sufitu. Siadam na łóżku i sięgam ku lampce nocnej. Naciskam włącznik, światło prawie mnie oślepia. Nino nachyla się nade mną, oczy mu płoną.

– Zrobiłeś to – powtarzam cicho.

Patrzę mu w oczy jeszcze ułamek sekundy; jest mi gorąco, jakbym płonęła od środka.

– Nino – wzdycham. – Nikt nigdy dla mnie nie zabił. To takie... kurwa... podnieca mnie to.

Nino jest moim superbohaterem.

– Podoba ci się?

– Aha.

– No, mi też. Nadaję się do tej roboty.

Nie mogę się powstrzymać; muszę wiedzieć. Jeśli ciekawość to pierwszy stopień do piekła, to ja zaraz zjadę tam windą.

– Co ty właściwie robisz... no wiesz, w pracy?

– Nie wiesz? – śmieje się Nino.

– Nie tak dokładnie – potrząsam głową.

Nino znów się śmieje. Trzęsą mu się ramiona, materac drży. To brzmi jak brudna woda bulgocząca w odpływie.

– Zabijam ludzi – wyjaśnia. – Za pieniądze.

Nie jestem pewna, czy żartuje, czy mówi prawdę, ale ot tak zanosi się

śmiechem, jakby to był jego ostatni raz, zanim ktoś mu wpakuje kulkę między oczy, a ja wiem, że to prawda. Kurwa, jaki on jest seksowny. Włoski akcent, włosy śliskie i lśniące jak oliwa. Boże, jaką ja mam na niego ochotę. Nigdy w życiu nikogo tak nie pragnęłam. Nino jest seksowniejszy niż Christian Grey.

– Super – mówię.

On ociera łzę z kącika oka czarnego jak otchłań.

– Myślałem, że jesteś dobrą dziewczynką – mówi, nachylając się bliżej. – Że nienawidzisz przemocy. I zabijania. – Unosi brew. – Ambrogio mówił, że jesteś pacyfistką?

Mam ochotę wyciągnąć ręce i przyciągnąć go do siebie.

– Cóż, w takim razie chyba obaj się pomyliliście. Jestem pełna niespodzianek.

Coś przyciąga nas ku sobie jak grawitacja, jakby on był Słońcem, a ja Marsem. A może na odwrót? Odgarniam kołdrę, żeby go wpuścić. Rzuca się na mnie, nadal w kurtce i butach ze stalowymi blaszkami. Metalowe ćwieki wbijają mi się w ciało. Nino wpycha mi język w usta, czuję smak krwi. Skaleczył się w wargę? Czy to krew Salvatorego?

Nino zdziera ze mnie koszulkę nocną przez głowę. Ściąga mi majtki i spycha je kolanem po nogach. Jestem kompletnie naga. On przerywa i przygląda mi się całej, oblizując wargi: jak pies, który za chwilę rzuci się na kość. Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami, wdycham jego zapach: pot zmieszany z krwią. Cipka mi nabrzmiwa.

Nachyla się bliżej. Czuję jego gorący, wilgotny oddech. Jego usta są centymetr od moich.

– Betta, *Madonna*, nie miałem pojęcia, że jesteś taka niedobra.

Zrywa z siebie kurtkę i zrzuca buty na podłogę. Wyciąga pistolet zza pasa i odkłada z trzaskiem na szafkę nocną.

– Nie – protestuję. – Zatrzymaj go.

– Co?

– Pistolet. Podoba mi się. Daj.

Sięgam do szafki nocnej, patrzę mu w oczy. Biorę gnata do ręki; ciężki, naładowany. Źrenice Nina się rozszerzają. Kładę się na łóżku z lufą między nogami. Ciekawe, czy jest zabezpieczony. Pocieram pistoletem o łechtaczkę. Co by się stało, gdyby wystrzelił...?

– O, tak – wzdycha Nino.

Bawię się bronią, a Nino mi się przygląda. Wkładam sobie lufę, jest zimna i twarda. Jęczę. Metal pojawia się i znika, wkładam, wyjmuję, wkładam, wyjmuję. Ślizga się i obraca: ma twarde krawędzie. Szorstki, chłodny metal. Dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa.

– O, tak.

Nino zabiera mi pistolet i odkłada z powrotem na szafkę, klęka przede mną na łóżku. Wiem, czego chce. Rozpinam mu rozporek i ściągam dzinsy. Ja pierdołę, jest gigantyczny. Największy, jakiego w życiu widziałam. Jeszcze większy niż Salvatorego. Jak Marka Wahlberga. Jak Mr Dick. Wygląda nierealnie. Pod skórą nabrzmięwa fioletowa żyłka. Pachnie mocno, ostro. Otwieram usta. Nino drży, oczy mu płoną.

– Chodź tu, *puttana* – charczy, chwytą mnie za ramiona, siłą kładzie na łóżku i odwraca na brzuch. Moja cipka już tak nabrzmiała, że aż boli. Nino wbija mi paznokcie w talię, przyciąga, ściska. Jestem tak wilgotna, że aż ze mnie płynie.

– Jesteś pewien, że on nie żyje? – pytam z twarzą tuż przy drewnianym wezgłowiu.

– Domenico go sprząta. Mózg rozsmarowany na podłodze w kuchni.

Teraz trochę żałuję, że sama go nie zabiłam... ale już za późno. Nino wchodzi we mnie cały na raz, tak mocno i głęboko, że nie mogę

powstrzymać krzyku. Chwyta mnie za włosy i wciska mi twarz w poduszkę. Nie mogę oddychać. Nie mogę się ruszać. Nino rżnie mnie mocno, raz za razem uderzając w punkt G. Ostro. Gwałtownie. Odwracam głowę na bok i wydaję z siebie gardłowy jęk.

– Nie przestawaj! Nie przestawaj!

Jego dłoń prześlizguje mi się po plecach, po szyi, po ramionach. Nino wkłada mi palec do ust, a ja przygryzam go mocno. Dyszę, jęczę, błagam:

– Nie przerywaj, kurwa, nie przerywaj...

Uderza mnie w tyłek. Piecze jak ukąszenie węża.

– Ej – próbuję się odsunąć. Udaję, że jestem zła, ale podobało mi się. Nino odwraca mnie na plecy i wyciąga się na łóżku. Przesuwam się wzdłuż jego ciała i siadam na nim okrakiem. Powoli opuszczam się na jego fiuta, powoli, powoli. Zaczynam go ujeżdżać, a on przyciąga mnie za talię. To niesamowite uczucie. Jest taki wielki i gruby. Jest coraz lepiej, lepiej, lepiej, dochodzę, dochodzę, dochodzę, kurwa!

Nino znów przewraca mnie na brzuch, kręci mi się w głowie. Jestem na haju. Jego palce znajdują mój tyłek, nagle wkłada mi jeden do środka. O, Boże! Tego się nie spodziewałam. Mocnym ruchem wbija mi fiuta w tyłek. Piecze. Czy to normalne? Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Ręka mi się ślizga i uderzam się w głowę. Nino podciąga mnie z powrotem. Dyszy mi we włosy. Czuję jego oddech na karku, mokry i gorący. Palcami pociera mi łechtaczkę i rżnie mnie w dupę. Walić normalność, to jest niewiarygodne! Słyszałam, że odbył to nowa wagina. Nino dochodzi we mnie, a ja cała się zaciskam. Coś wytryska mi z cipki: agresywnie, obco. I szczytuję jak nigdy w życiu.

On dla mnie zabił!

Nino zabił Salvatorego!

Nie mogę oddychać.

Nic nie widzę.

Boże.

Nino jest moim „I żyli długo i szczęśliwie”.

Nino jest chyba moją bratnią duszą.

DZIEŃ SZÓSTY

Chciwość

Jeśli miłość do pieniędzy jest podstawą sukcesu finansowego, dlaczego jestem
wiecznie spłukana?

@Alvinaknightly69

Rozdział trzydziesty trzeci

TO PRZEZ BETH wywalili mnie z harcerstwa w 2001 roku.

Przez cały ten rok Beth i ja zorganizowałyśmy niezliczone pikniki charytatywne, imprezy sportowe, zawody pływackie, przyjęcia, dyskoteki i tematyczne zbiórki pieniędzy – od grupowego spania na podłodze po przejażdżki rowerowe. Przeczytałam od deski do deski dwanaście powieści Enid Blyton na wielkanocnym maratonie czytelniczym (po czymś takim człowiek nigdy się nie podnosi). Przebrałam się za hot doga na piknik kostiumowy. Zrobiłam na drutach trzy kilo szalików. Byłyśmy najgrzeczniejszymi harcerkami w naszym hufcu. Spełniałyśmy dobre uczynki i przestrzegałyśmy praw ustanowionych przez naszego założyciela, świętej pamięci barona Baden-Powella. Poznałyśmy przewodniczącą angielskiego harcerstwa, Jej Wysokość Sophie hrabinę Wesseksu; zebrałyśmy sprawności „Strażniczki ognia”, „Pierwsza pomoc” i „Przetrwanie”, aż wspięłyśmy się na zawrotny szczyt naszej harcerskiej kariery i zostałyśmy mianowane zastępowymi.

Powiedzieć, że to była męczarnia – to za mało. Ukrzyżowanie byłoby lepsze.

Świeciłam przykładem, byłam wzorem do naśladowania. Od najmniejszych zuchów po drużynowe, wszyscy mnie podziwiali. Jeszcze dźwięczą mi w uszach oklaski odbijające się echem po salce katechetycznej, drzenie w głosie przybocznej, kiedy ogłosiła rekordową sumę pieniędzy, jaką zebrałam na cele charytatywne w tym roku. Oczy drużynowej wypełniała duma, gdy odbierałam odznakę „Dobroczynność”. Harcmistrzynie płakała ze

wzruszenia.

W najgorętszym momencie naszej charytatywnej manii organizowałyśmy wydarzenie tygodniowo; było ostro. Na tydzień przed naszymi trzynastymi urodzinami wreszcie zaczęłam czuć presję. Przygotowałyśmy pokaz fajerwerków dla organizacji Save the Children, sponsorowaną godzinę ciszy dla Stowarzyszenia na rzecz Przeciwdziałania Przemocy wobec Dzieci i uroczystą kolację dla UNICEF-u. Stres był potężny; przez miesiąc nie spałam.

Ale warto było: w 2005 roku zarobiłam 5487 funtów i 56 pensów. Niezły wynik jak na dzieciaka z podstawówki. Kończyły mi się już skrytki na pieniądze; większość łupów miałam w monetach jednofuntowych, pięćdziesięciopensówkach, trochę w piątkach, kilka dyszek, parę dwudziestek, trochę czeków i przelewów. Któregoś dnia wstałam rano i nie mogłam znaleźć żadnych majtek, bo wszystkie szuflady miałam wypchane banknotami. Uznałam, że muszę otworzyć konto w banku. W kolejną sobotę ruszyłam do najbliższego oddziału banku Lloyds i przedstawiłam swoją sytuację. Chyba nie muszę dodawać, że pan w okienku był pełen podziwu dla mojej przedsiębiorczości i zapału do opieki nad dziećmi sąsiadów. Próbował przekonać mnie do założenia lokaty, ale ja miałam inne plany. Potrzebowałam konta internetowego.

Dopiero co widziałam w telewizji *Rain Mana* z Dustinem Hoffmanem i Tomem Cruisem. Kupiłam sobie poradnik do gry w karty. W wykonaniu Raymonda to nie wyglądało na zbyt trudne zadanie. Uznałam, że skoro koleś z autyzmem sobie z tym poradził, to ja też potrafię.

W dwadzieścia cztery godziny przepuściłam w kasynach online pięć klocek. Jakby tego było mało, jeszcze tego samego dnia zaliczyłam wściekły telefon od prawnika fundacji Save the Children i zostałam wyrzucona z harcerstwa w trybie natychmiastowym. To nie był

najprzyjemniejszy październik.

Ale kiepska byłaby ze mnie harcerka, gdybym nie przygotowała się na taką ewentualność. W końcu nasze motto brzmiało „Zawsze gotowe”. Więc przygotowałam butelkę po pepsi, benzynę z volvo mamy i pudełko zapalek. I w pewną wtorkową noc, kiedy wszyscy jeszcze spali, zesłam cichutko na dół w samej piżamie, narzuciłam na wierzch budrysówkę i wymknęłam się na dwór. Do salki katechetycznej miałam z domu kilka minut spacerem. Zanim zdążyły przyjechać wozy strażackie, ja już znowu leżałam grzecznie w łóżku. Pamiętam skowyt syren. Huk płomieni. Nikły zapach dymu, wkradający się do naszej sypialni przez nieszczelne okna. Kwaśny. Ostry. Piekło w oczy. Łaskotało w gardle. Beth wszystko przespała. Save the Children też bym spaliła, ale mieli siedzibę w Londynie – za daleko.

Nikt nigdy się nie domyślił, że to byłam ja. Poza Beth, ale ona nie odezwała się na ten temat ani słowem. Nie jestem pewna, dlaczego zachowała to w tajemnicy. Nawet mamie nie powiedziała.

* * *

Sobota, 29 sierpnia 2015 r., 9 rano

Taormina, Sycylia

– *Buongiorno.*

To Emilia. Przyniosła mi na tacy *caffè*, croissanta i świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Jak ja mogłam żyć bez służby? Z rozpuszczalną Nescafé? Z Tetleyem? Nie pamiętam. To było w innym życiu.

Jest piękny dzień. Emilia pociąga sznurek żaluzji i odsłania oślepiający kwadrat lazurowego nieba. Dżungla palmowych liści rzuca cień na kamienne patio. Siadam. Nino? Widzę pogniecioną poduszkę na przeciwległym brzegu łóżka. Poszedł. Oczywiście. Nawet w snach nie potrafię ich zatrzymać; moja

siostra właśnie tak by powiedziała. Jebać moją siostrę: Elizabeth, morderczynię. Prawie morderczynię. Ha. Nawet nie potrafiła porządnie załatwić sprawy. Próbowwała i przegrała; ja mam już trzy trupy na liczniku.

– Ernie już się obudził?

– Jeszcze nie, *signora*.

– Niech sobie śpi. Zajrzę do niego, kiedy się ubiorę. – Może zabiorę go dziś na plażę. To może być fajne. Dzieci lubią zamki z piasku, nie?

– *Certo* – przytakuje Emilia, przekrzywiając lekko głowę. Rusza do drzwi, ale się zatrzymuje.

– *Signora?*

Podnoszę głowę. Usta mam zapchane pieczywem.

– Mhm?

Boże, co tym razem? Co ona chce mi powiedzieć? Nawet śniadania nie mogę zjeść w spokoju?

– *Sono preoccupata*. Zmartwiona. Rano słyszałam, że pani krzyczy.

– Że ja krzyczę?

– *Sì*.

O czym ona gada? Jakie znowu krzyczenie? Słyszała, jak uprawiałam z Ninem w nocy seks? (Rany, jakie to było dobre. Jestem prawie zakochana. Prawie). Może słyszała, jak wyję z rozkoszy, ale krzyki? Nie.

– Nie krzyczałam.

– Może pani miała *incubo*... Koszmar?

– Właśnie straciłam męża. Całe moje życie to koszmar. – Posyłam Emilii wymowne spojrzenie. – Mogłabyś przynieść mi jeszcze jednego croissanta?

– *Certo*.

– I jeszcze jedno cappuccino?

Emilia znów się odwraca. I znów się zatrzymuje.

– *Signora?*

– Tak, Emilio?

– Bardzo mi przykro z powodu *signor* Caruso. Kiedy zamordowali mi męża, ponad dziesięć lat nie rozmawiałam z żadnym mężczyzną. Noszę tylko czarny.

– Mój mąż nie został zamordowany. To było samobójstwo.

– Sì, *signora*.

– No to uciekaj.

– *Signora*?

– Co?

– Chcę pani powiedzieć, pani i Ernesto jesteście dla mnie rodzina. Ja wszystko dla was zrobię. Ja umrę!

– Łał, Emilio. To troszkę zbyt wiele, ale bardzo mi miło. No to jak będzie z tym cappuccino?

W końcu wychodzi z mojej sypialni.

Hmm... Ciekawe, o co jej chodziło. Może Emilia się o mnie martwi? Może jest po prostu miłą osobą? Dziwne. Będzie trzeba mieć na nią oko. To robi się dość osobiste, trochę za bardzo jak na mój gust. Ale potrzebuję Emilii. Dobrze sobie radzi z dzieckiem. Pierze mi ciuchy. Gotuje mi obiady, jest jak jakaś święta. Nadal nie potrafię sama zrobić sobie kawy; to trudniejsze niż alchemia. Muszę mieć Emilię po swojej stronie.

Staję przy oknie i wyglądam na ulicę. Policjant idzie drogą w stronę willi. Czy to *commissario* Savastano? Nie widzę jego twarzy. Idzie tutaj? Zamieram z filiżanką kawy w połowie drogi do ust. Znika gdzieś niedaleko willi Salvatorego. Co on tam robi? Już znaleźli jego ciało? Widzieli jego mózg rozbryzgany na podłodze? Krew na lodówce, jak mural Jacksona Pollocka? Biorę głęboki oddech. Ach, Salvatore. Co za strata. Był fantastyczny w łóżku. Naprawdę miał talent; mógłby zrobić karierę, jak ten słynny włoski aktor porno, Rocco. Ale z drugiej strony, Ninowi nie dorastał

do pięt...

Nie podoba mi się, że smerfy znów się tu kręcą.

A jeśli powiążą mnie jakoś ze śmiercią Salvatorego? Ha! Powodzenia. To nawet nie byłam ja. Co z tego, że wysłałam Nina, żeby go zabił? Nie ma na to żadnych dowodów. Żadnych śladów. Słowo Nina przeciw mojemu. To nie ja mam krew Salva na rękach.

Znowu ta sama śpiewka, niechże ktoś wreszcie zmieni płytę. Poważnie mówię, zaraz padnę z nudów: nie ma ciała, nie ma morderstwa. Oczywiście, że nie ma ciała: Nino jest zawodowcem, Domenico też. Nino wie, co robi. Jestem tego pewna. Już dawno posprzątali: nie ma mózgu. Nie ma krwi. Pozbyli się trupa. Nino jest sprytniejszy i seksowniejszy niż te durne, leniwe gliny – większość i tak jest skorumpowana, bierze hajs od mafii i patrzy w drugą stronę. Gdyby przyszło co do czego, moglibyśmy ich po prostu przekupić.

Nie, wszystko okej. Jakby kto pytał, Salvatore wybrał się na długie samotne wakacje na najbardziej odludną plażę we Włoszech. Przecież to artysta, nie? Ma artystyczny temperament. Może poczuł, że potrzebuje trochę czasu w samotności, żeby poświęcić całą uwagę swoim rzeźbom. Tak, jestem pewna, że mówił coś w tym rodzaju zaraz przed wyjazdem. Ta presja życia w Taorminie zaczynała mu ciążyć. Chciał wrócić do czystości natury, inspirować się morzem i szumem fal... No, wiadomo, takie pierdolenie. Jak teraz o tym pomyślę... Na pewno mówił, że wyjeżdża. Jestem gotowa położyć rękę na Biblii i przysiąc przed sądem.

Telefon Beth łąduje się przy łóżku. Sprawdzam, czy muszę odpowiedzieć na coś pilnego. Trzysta dwadzieścia pięć lajków pod moim selfie z Erniem. Następny tweet od Taylor Swift. Trzy nieodebrane połączenia; wszystkie od mamy. Boże, co teraz? Zostawiła wiadomość głosową, ale nie mam zamiaru jej odsłuchiwać. I nie będę do niej dzwonić, nie ma mowy. Ubieram się

w zestaw zbyt słodki, żeby mógł być prawdziwy: różowa jedwabna bluzka z kokardą i falbaniasta spódniczka do kolan do kompletu. Wyglądam po prostu uroczo. Jak Miss Universe, w tej części, kiedy musi mówić i nosić ubranie. To leci prosto na Instagrama. Robię piruet przed lustrem – i nagle wraca mój nocny koszmar. Śniła mi się Beth! Gonila mnie, wołała. Ściagała mnie jak jakieś zombi; uciekałam w panice. Teraz pamiętam. Okropny sen. Dlaczego Beth nie chce się ode mnie odpiardolić? Nawet teraz, kiedy powinna już być martwa! To robi się naprawdę wkurzające. Nie mogę mieć normalnych, sympatycznych koszmarów jak inni ludzie? Spadać w szybie windy albo uciekać przed wielkimi pajakami? Nie mogą mi wypadać zęby? Koniec świata, Armagedon? Ale nie, musi mi się śnić Beth.

Wiem, czego potrzebuję. Planu. Kto nie ma planu, ten nie ma szans. Muszę zostawić to za sobą. Zacząć żyć własnym życiem (życiem Beth). Koniec tego gówna. Koniec opierdalania. Koniec z moją siostrą. Skontaktuję się z prawnikiem Beth. Ogarnę spadek po Ambrogiu. Znajdę sobie nową stylistkę. Zatrudnię nową nianię, tak na wszelki wypadek. Szast-prast. Pozamiatane. Pocałuj mnie w dupę, Beth.

Rozdział trzydziesty czwarty

– **To GDZIE ON JEST?** – pyta Nino, wchodząc do salonu.

Ej, a on skąd się tu wziął? Jest cichy jak Prius. Ma własne klucze? Odkładam egzemplarz *Kobiecego eunucha*, którego zaczęłam czytać (to jedna z niewielu książek, jakie przywiozłam ze sobą; kompletnie o niej zapomniałam, bo leżała upchnięta na samym dnie mojej torby razem ze szwajcarskim scyzorykiem). Ciekawe, co Germaine pomyślałaby o Ninie.

– Gdzie jest co?

– Ten pierdolony obraz?

Obraz, a tak, było coś o obrazie. Coś o Caravaggiu.

– Caravaggio? – upewniam się. Co to w ogóle jest? Portret włoskiej karawany? Akwarela jakiejś waginy?

– Oczywiście, że Caravaggio, niby co innego? – Nino chodzi tam i z powrotem po pokoju, niespokojny, zdenerwowany, jakby wciągnął za dużo koksu. Pewnie wciągnął za dużo koksu.

– Ooch – ożywiam się. – Może strzelimy sobie po kreseczce? Nie wiem, gdzie jest obraz.

– Nie wiesz, gdzie jest obraz?

– Nie.

Nino zdejmuje kapelusz i wali ręką w stół, przeczesuje hebanowe włosy palcami. Fajny jest ten kapelusz. Może go sobie ukradnę.

– Jesteś jego żoną, do kurwy nędzy, musisz wiedzieć, gdzie go schował.

Wyciąga torebkę kokainy i układa kreski.

– No, a tak przy okazji – zagaduję, zmieniając temat. – Dlaczego nie

spaleś ze mną wczoraj? Chciałam, żebyś został.

On patrzy na mnie z grymasem.

– Ja nie śpię.

– Jak to nie śpisz? Wszyscy śpią.

Nino wciąga swoją kreskę i wyciera nos grzbietem dłoni.

– Betta, gdzie jest obraz?

– Jesteś wampirem albo czymś takim? Jak Edward ze *Zmierzchu*? Jesteś jednym z Volturich?

– Co ty pierdolisz? Jaki Edward?

– Musisz spać. Ja potrzebuję co najmniej dziesięciu godzin dziennie. To dobre na skórę.

– Mam sjęstę po południu.

– Sjęstę? Że taką drzemkę?

– W nocy pracuję.

– Jesteś niemowlakiem czy co?

– Na Sycylii każdy ma sjęstę. W środku dnia jest za gorąco na pracę.

No tak, tylko wściekłe psy i angielskie dziewczyny kręcą się po dworze w popołudniowym słońcu... Nino podaje mi rulonik z pięćdziesiątki.

– A, masz nocny tryb życia, tak? Jak nietoperz? Albo małpiatka?

Nino kiwa głową. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, przemykającego przez podjazd w tym swoim długim czarnym płaszczu, właśnie tak sobie pomyślałam – że wygląda trochę jak nietoperz.

– No ale i tak byłoby miło, jakbyś został, zamiast tak od razu uciekać. Moglibyśmy się poprzytulać. – Wciążam swoją kreskę.

Nino wzdycha.

– Betta. Wiem, że wiesz, gdzie jest obraz, więc po prostu mi powiedz, do chuja jasnego.

Szlag, on ma rację. Beth by wiedziała. Gdzie Ambrogio schowałby obraz?

Caravaggia?

– Ambrogio nie chciał mi powiedzieć. Upierał się, że lepiej, jeśli nie będę wiedziała. Bezpieczniej.

– Cóż, musi być gdzieś w willi. A my musimy go znaleźć. – Nino wzrusza ramionami.

Wciążam drugą kreskę. Jezusie Nazareński, ale to dobre: jak orgazm w mózgu. Albo coś takiego. W tyle głowy mam bąbelki, buzują jak w szklance świeżej coli. Czy tak wygląda szczęście?

– Okej, poszukamy.

Posyłam Ninowi uśmiech na milion megawatów. Prawdziwy. Jakby mi zależało. Dzięki Bogu za kokainę. Tym razem się przydam. Będę pomocna. Superproaktywna Alvie! W sensie, że Beth.

Nino wciąga kolejną kreskę. Krąży po pokoju.

– No, to kto był klientem? Komu Ambrogio miał go sprzedać?

– Czekał, możesz powtórzyć? – Ja mam to wiedzieć? – Ja... ja... ja...

– I nie pierdol, że nie wiesz. Mnie nie chciał powiedzieć, upierał się, że tym razem sam to załatwi.

Milczę i zerkam na jego pasek, spod którego wystaje kolba pistoletu. Muszę być milutka.

– Przykro mi, kotku, nie wiem.

Nino kopie nogę od stołu, ceramiczna lampa kiwa się niebezpiecznie. Łapię ją, zanim spadnie i się rozwali. Na podstawce jest etykieta: Wedgwood.

– Betta, daruj sobie, przestań zgrywać niewinną żonkę. Dobrze wiem, że siedzieliście w tym razem. Ambrogio sam mi powiedział, że klient lubi jego żonę. No to co to za klient, do kurwy nędzy?

Dobre pytanie. Sama chciałabym wiedzieć... Ale Nino o czymś mi przypomniał: Ambrogio zabrał mnie w odwiedzinę do księdza. I ten ksiądz

mnie lubił, to znaczy lubił Beth. Caravaggio... Caravaggio... Wiedziałaam, że już gdzieś słyszałam to słowo. Patrzę na Nina i uśmiecham się szeroko.

– Ksiądz! – mówię. – Ksiądz jest klientem. – Dzięki Bogu. Zaczynam ogarniać.

Nino uśmiecha się paskudnie.

– No, tak możemy rozmawiać. *Bene*. Który to ksiądz? Są ich setki tysięcy na Sycylii.

– W kościele na placu. – Kurde, jak on się nazywał? – To jest... to jest... Chiesa di San Giuseppe? – Obracam pierścionek Beth na palcu. Mam nadzieję, że dobrze to powiedziałam.

– Tutaj? W Taorminie?

– Tak, w Taorminie.

Nino gwizdże przez zęby, długo i powoli, po czym rozsiada się na sofie i gładzi wąsy kciukiem i palcem wskazującym. Ten wąs wygląda trochę jak ślimak. Tylko taki sexy.

– Jaja sobie ze mnie robisz. To ten kościół na Piazza IX Aprile?

Tak mi się wydaje...

– Tak. Tak, właśnie ten.

– To jak on się nazywa, ten ksiądz? – śmieje się Nino i siada prosto. Sięga do kurtki i wyciąga fajki. Podsuwa mi paczkę, ale potrząsam głową. Chyba się rozchmurzył... przez obraz czy przez koks?

– Nie wiem. Był bardzo, bardzo stary. Miał duży nos... Trochę przypominał Beliala z *Raju utraconego*?

Jeśli on był Belialem, to Nino jest Molochem. Ja będę Szatanem, w końcu to on był bohaterem.

– Duży nos? Mniejsza z tym. Znajdziemy go. Na ile się umówiliście? – Nino wydmuchuje dym z płuc. Piecze mnie w oczy.

– Ja z nim nie rozmawiałam. Na nic się nie umawiałam.

– Twój mąż, *Il Professore*. Jaką podał cenę?

– Nie mam pojęcia. Widzisz, Nino, ostatnim razem się pokłócili. Obawiam się, że on mógł odwołać cały deal...

Nino zamiera, patrzy mi w oczy. Gdyby wzrok mógł zabijać... Chyba nie należało tego mówić? Zerkam na jego pistolet.

– O nie, niczego nie odwołali. Kurwa, nie ma mowy. Kiedy to było?

– Parę dni temu... Tak mi się wydaje.

Pojęcia nie mam. Straciłam poczucie czasu. Nawet nie wiem, jaki jest dziś dzień. Wtorek? Sobota? Wigilia?

– Sprzedamy ten pierdolony bohomas, choćbyśmy mieli przy tym zdechnąć. Ten ksiądz chce go kupić. Nie będzie nam tu leżał w willi i gnął. To jest warte dwadzieścia milionów.

– Dwadzieścia milionów? Dolarów? – upewniam się. Niemożliwe, musiałam się przesłyszeć. Kokaina łaskocze mnie w mózg.

– Co najmniej. Na aukcji pewnie jeszcze więcej. Ale na czarnym rynku dostaniemy z dziesięć procent, jeśli się nam poszczęści.

– Czyli dwa miliony? – Boże kochany.

– Brawo, mała. Zajebicie dobrze liczysz. Założę się, że Ambrogio chciał więcej. Pewnie o to się pokłócili. Zachłanny kutas. Jego *papà* siedział na tym mazidle od lat dziewięćdziesiątych.

– Poważnie? Tak długo?

– Sprzedać takie coś to straszny ból w dupie. Wiesz, ile czasu szukali tego kupca?

– Eee... nie.

– Mąż kompletnie nic ci nie powiedział, Betta? Czy on w ogóle z tobą rozmawiał? – Nino posyła mi krzywe spojrzenie. – To był kurewsko ważny deal dla Ambrogia, największy deal jego życia. Wszystkie te inne obrazy, które sprzedawał? Nic, *merda* na srajtaśmie w porównaniu z tym...

– Rozumiem – mówię. Tak naprawdę nie bardzo czaję. Obawiam się, że głowa mi zaraz eksploduje. Nino mówi o wiele za szybko, jak nowojorski sprzedawca samochodów albo Jimmy Carr.

– Ten obraz – przy okazji, nadal nie wiemy, gdzie on jest – to nie jakiś tam sobie Caravaggio. Nie żeby ten koleś w ogóle miał jakieś przeciętne obrazy. To jest *Pokłon pasterzy*. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Nie rozumiem.

Łapię iPhone'a Beth i szukam w Google „Caravaggio pokłon pasterzy”, kiedy Nino nie patrzy. Internet mówi, że na całym świecie jest tylko jakieś pięćdziesiąt obrazów tego gościa. Ale ten z pokłonem? Według Wikipedii ten jest najważniejszy, gwiazda całej szopki. To jest jego arcydzieło.

– Kurwa – mówię.

– No, kurwa. Nie wiedziałaś. Byłaś żoną Ambrogia Caruso i nie wiedziałaś czegoś takiego? Rany boskie...

Nino gładzi wąsy. Serce tłucze mi w piersi jak seria z karabinu. Nie wiedziałam, czym tak naprawdę zajmował się Ambrogio. Gdybym była Beth, tobym wiedziała. Skóra mi płonie. Jest mi gorąco, zbyt gorąco. Kojarzę Waterhouse'a, Hogartha i Thomasa Gainsborough, Turnera i prerafaelitów. Słyszałam o Freudzie, Baconie i Banksym, ale o tym akurat nie. Nie czytałam nigdy o włoskiej sztuce; nigdy nie wybrałabym tej kategorii w „Va Banque”. Założę się, że Beth doskonale się na tym znała. To ona pojechała na wycieczkę do National Gallery, kiedy miałyśmy trzynaście lat.

– Ja nigdy nie zajmowałam się sztuką; to była działka Ambrogia – mówię.

– To co, jeszcze po kreseczce?

Nino układa jeszcze parę kresek lśniąca srebrną kartą kredytową. Gdzie Ambrogio schowałby obraz? Teraz trochę żałuję, że go zabiłam. Mogłabym go zapytać. Jakie to wkurzające. Dlaczego ja nie jestem jasnowidzem?

Telepatką? Chciałabym być szamanką. Gdybym tylko wiedziała o tym obrazie, zanim Ambrogio umarł... Ale kiedy zapytałam go o pracę, wił się jak piskorz: „Jestem tylko pośrednikiem. To naprawdę nic ciekawego”. Dwadzieścia milionów dolarów? TO NAJCIEKAWSZA RZECZ, JAKĄ W ŻYCIU SŁYSZAŁAM.

Mógłby z tego być ładny pieniążek. Jeśli go znajdziemy.

Grzebię jeszcze trochę w Google, podczas gdy Nino układa kreski. *Pokłon pasterzy ze świętym Wawrzyńcem i Franciszkiem* został skradziony z Chiesa di San Lorenzo w Palermo w 1969 roku. Ponoć paru spryciarzy z żyłkami zobaczyło go kilka tygodni wcześniej w telewizji w programie o ukrytych skarbach Włoch. Nawet nie byli w mafii, zwykli amatorzy. Nie należeli do rodziny. Znali kościół. Rozpoznali obraz. Oczywiście, w tamtych czasach ochrona była taka, że o kant dupy rozbić, nie to co dzisiaj. Obrazu pilnował pewnie jakiś dziadek, który przespał całą sprawę. Pewnej nocy wycięli malowidło z ram nad ołtarzem i odjechali w siną dal trójkołową furgonetką. Trójkołową furgonetką! Szaleństwo.

Musimy go znaleźć. Brzmi jak coś zajebiście wyjątkowego. Wciągamy swoją kreskę.

– To jak ojciec Ambrogia zdobył ten obraz?

Nino wygląda na zniecierpliwionego. Odchyła róg perskiego dywanu i zagląda pod spód. Przesuwa kanapę i zagląda za obicie. *Niente. Nada. Rien.*

– Parę razy przechodził z rąk do rąk. Miał go Rosario Riccobono, zanim go stuknęli w osiemdziesiątym drugim. *Papà* Ambrogia kupił go od U Paccarè, kojarzysz Gerlanda Albertiego, tego gościa od fajek i heroiny? To było w dziewięćdziesiątym pierwszym.

Nie mam pojęcia, co to za ludzie.

– Więc jak to się stało, że nikt go wcześniej nie sprzedał? – Wargi mi zdrętwiały. Czy ja dziwnie mówię? Nie czuję twarzy, jak ten koleś w żelaznej

masce. Mam nadzieję, że się nie ślinię. Nino zagląda pod stół, odsuwa krzesła i zagląda pod blat.

– Myślisz, że łatwo sprzedać coś takiego? Ten obraz jest gorący. FBI go szuka jak pojebane. Jest na liście najbardziej poszukiwanych przedmiotów na świecie... Nie, Ambrogio miał szczęście. Dostał w końcu obraz, kiedy jego rodzice zginęli. Jego *papà* nie był głupi, odczekał, aż sprawa trochę przycichnie. Nawet przekonał tego *stronzo*, Gasparego Spatuzę – kiedyś był swój, ale jak go aresztowali, to zrobił się z niego szcur i zaczął sypać – żeby sprzedał policji historyjkę.

– Jaką historyjkę?

– Szcur nagadał glinom, że obraz zeżarły szczury – szczury! – w jakiejś szopie na farmie, gdzie go ponoć ukrywano. Wyobrażasz sobie, żeby ktoś był aż tak głupi? Obraz wart dwadzieścia baniek, a jakiś palant karmi nim szczury? Spatuzza powiedział im, że obraz był w tak złym stanie, że resztki spalili. A policja to łyknęła. Wszystko łyknęli. – Nino wściekle zaciąga się papierosem. – To tylko pokazuje, że nie mają w ogóle szacunku dla zawodowców. Dlatego nigdy z nami nie wygrają. Mają nas za idiotów, nie doceniają nas... Jesteśmy zawodowcami. Znamy się na tej robocie.

Słucham go jak w transie; moje małe szare komórki już się przegrzewają, powoli dodaję wszystkie elementy układanki, jeden za drugim. Teraz rozumiem. To wszystko ma sens. Zapala się metaforyczna żarówka. Ambrogio wreszcie znalazł kupca. Zamierzał sprzedać skradziony obraz, a potem ulotnić się razem z Beth. Moje ciało miało udawać Beth; miałam być przynętą, fałszywym tropem, jak jakaś zaszra marchewka czy kaczką. Pogrzeb, policja, międzynarodowa prasa – wszyscy by ocipieli. Wszyscy byliby pewni, że księżniczka Beth nie żyje, więc byłaby bezpieczna. Mogłaby spieprzyć i nikt by jej nie gonił. Po co ją ścigać, skoro poszła do piachu? Ambrogio miał odgrywać rolę wdowca w żałobie. A potem by się

zmył z Taorminy w środku nocy, kiedy cały świat by myślał, że oplakuje żonę. Pewnie zamierzał spotkać się z moją bliźniaczką na Hawajach, Tahiti czy Bora-Bora. Zamierzali zabrać dzieciaka i miliony i uciec od krwiożerczej mafii, od całej tej wojny gangów. Spierdolić i zacząć życie od nowa. Nieźle.

Ale coś poszło nie tak – a dokładnie moja siostra. Coś sprawiło, że odwróciła się od męża. Nie chciała tylko uciec z Sycylii, chciała uciec od niego. Nie mogło chodzić tylko o seks, to absurdalne, nawet jak na Beth. Nawet jak na mnie. Musiało być coś jeszcze. Nie bił jej, nie był gnojem. Więc o co chodziło? Czy ona naprawdę zakochała się w Salvatore? Dowiem się tego. Ale najpierw muszę zarobić trochę hajsu.

– Pomogę ci szukać – oznajmiam, wstając z kanapy.

Rozdział trzydziesty piąty

SZUKALIŚMY WSZĘDZIE, przetrząsnęliśmy cały dom. Garaż. Altanę. Ze sto sypialni i łazienek. Przy okazji odkryłam parę ciekawych rzeczy: pokój pełen nowiutkich egzemplarzy książki Beth, sekretną kolekcję pornosów Ambrogia (okazuje się, że jarały go „studentki”, „nianie” i „nastolatki”, a wszystko w wersji soft) i torebkę ze strusia, na pewno vintage (zamierzam ją zatrzymać). Ale obrazu nigdzie nie ma. Jeszcze chwila i zaczniesz mi odpierdalać. Szukamy godzinami, napędzani kokainą i mocną czarną kawą gęstą od cukru (cukier jest dla mnie, Nino woli czarną i gorzką. Nie mam pojęcia, jak on to pije). Mam ochotę zapytać Emilię, czy nie widziała obrazu, myślę nawet, czy nie zapytać Ernesta. Ale to chyba nie najlepszy pomysł. Gdzie Ambrogio schowałby obraz? Obraz wart dwadzieścia milionów dolarów? Trzymałby go gdzieś przy sobie, prawda? Musiał mieć pewność, że jest bezpieczny. Wracam do sypialni, którą dzielił z Beth, i stoję w drzwiach. Opieram głowę o chłodne drewno. Nie ma szans; obraz wcięło.

– Betta? Gdzie jesteś? – W korytarzu rozlega się dudniące wołanie, aż podskakuję. To Nino. Chyba jest zły.

– Tutaj – mówię. – Chodź, pomożesz mi poszukać w sypialni?

Wchodzę do pokoju i stoję na środku gęstego kremowego dywanu. Sprawdzam, czy w suficie nie ma drzwiczek na strych, ale nic z tego. Nino wchodzi i staje tuż za mną.

– Betta, chodź, już tu szukaliśmy – mówi syczącym szeptem, jak żmija. Tutaj musimy być cicho, bo Ernie się obudzi. Nino kładzie mi dłoń na ramieniu. W sygnecie ma krwawoczerwony rubin wielkości gałki ocznej,

oprawiony w złoto.

– Nie wiem – wzdycham. – Mam tylko takie przeczucie. Coś tak cennego, tak wyjątkowego... Chciałbyś trzymać to gdzieś blisko...

– Tam, gdzie śpisz – stwierdza Nino, deptając dywan ciężkimi czarnymi butami. Dostaje szaka, widzę. Cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Wątpię, żeby ćwiczył jogę. Chodzę po sypialni siostry, gładzę mahoniowe meble koniuszkami palców: szafa, toaletka, komoda. Nigdzie ani cienia kurzu; niesamowite. Emilia jest warta swojej wagi w złocie.

Zaglądam pod łóżko. Nino wygląda na zestresowanego.

– Kurwa mać. Wszędzie szukaliśmy. Będzie trzeba przeszukać jeszcze raz całą zasraną chatę, tym razem porządnie.

Już mamy wychodzić, kiedy Nino nagle mówi:

– A sprawdzałaś w szafie? Może ma fałszywy tył?

Spoglądamy na siebie i pędzimy do szafy. Otwieram szeroko drzwi i odsuwam na bok ubrania, ciuchy Ambrogia: spodnie, marynarki, koszule, krawaty. Wyczuwam palcami róg drewnianego panelu z tyłu, ale trzyma się mocno.

– Nie – stwierdzam i odchodzę.

– Czekał, ja spróbuję.

Nino wchodzi do szafy tak głęboko, jakby szukał Aslana. Słyszę, jak klnie pod nosem:

– *Niente. Merda.*

Wychodzi i trzaska drzwiami. BAM! Szlag. Zaczyna tracić panowanie nad sobą. Jeszcze chwila i wyciągnie gnata.

– Betta, daj spokój! Gdzie on jest? Wiem, że wiesz, więc przestań już się wydurniać.

Zaczynam się pocić. Ścisła mnie w piersi. Siadam na łóżku, pocieram twarz dłońmi. Dawaj, Alvie. Gdzie on może być? No gdzie? Cała płonę. To

koks czy ten włoski klimat? Tu jest gorzej niż w Dolinie Śmierci w Nevadzie w samym środku fali upałów. Oddycham płytko; brakuje mi powietrza. Podchodzę do okna, otwieram gwałtownie i biorę głęboki wdech. Zaciskam powieki. Coś cennego. Coś ważnego. Coś szczególnego, co należy chronić. Nagle przed oczami pojawia mi się buzia Erniego.

Wybiegam na korytarz, Nino za mną.

– Ej, Betta! Dokąd idziesz?

– Ćśś, chodź ze mną. Musimy być cicho.

Ernie śpi w swoim kojcu; w ciemności słyszę, jak pochrapuje cichutko, wdech, wydech. Podchodzę na palcach i zapalam lampkę nocną: jest błękitna, w kształcie księżyca. Na podłodze przy łóżeczku leży dywanik. Podnoszę go; strzelałam na ślepo, ale miałam rację! Pod dywanikiem są małe drzwiczki. On musi tam być, na pewno? Drżącymi palcami odsuwam dywanik i podciągam drzwiczki; zawiasy zgrzytają. Zerkam na Erniego, ale on nadal mocno śpi; nic nie słyszy. Otwieram klapę na całą szerokość i opieram ją o zwinięty dywanik. Sięgam pod podłogę; czuję ciężką bawełnianą torbę. Łapię za uchwyty i wyciągam. Chyba nie ma w niej obrazu. Jest o wiele za mała. Patrzę na Nina, ale on tylko potrząsa głową. I tak rozpinam torbę; zajrzę do środka, tak na wszelki wypadek. Jezusie Nazareński! W środku leżą setki torebek z białym proszkiem. W życiu nie widziałam tyle koksu. To musiał być prywatny zapas Ambrogia. Wygląda oszałamiająco, jest biały jak arktyczny krajobraz. Świeży i biały jak śnieg. Wyglądam jedną torebeczkę w dłoniach. Mmm, dragi! Ciekawe, czy Beth wiedziała, co jej mąż trzyma w pokoju Erniego? Dostałaby szau.

– Szukaj dalej – mówi Nino. – Zajrzyj głębiej.

Już mam z powrotem zapiąć torbę, kiedy Nino się schyla i zabiera jeden woreczek. Podnoszę głowę. Wzrusza ramionami. W sumie. Ambrogio nie żyje, co mu zrobi? Nino chowa koks do kieszeni kurtki. Ja też biorę

torebeczkę i wkładam do stanika. Zamykam torbę i odsuwam na bok. Zaglądam jeszcze raz do skrytki. Widzę. Pod deskami leży długi wąski, zakurzony rulon zapakowany w brązowy papier. Nie wierzę. To musi być to! Caravaggio. Nie mogę oddychać. Nie mogę się ruszyć. Mogę się tylko gapić. Dwadzieścia baniek, tutaj? Nie wierzę, że trzymali to wszystko w pokoju dziecka. Czy to nie jest niebezpieczne? Beth nie mogła wiedzieć, gdzie Ambrogio to schował. Nigdy by mu na to nie pozwoliła. A może się zgodziła i to był problem? Założę się, że była wściekła. Twarde narkotyki i pistolet dla jej ukochanego maleństwa? Najbardziej poszukiwane dzieło sztuki na świecie. Beth była naprawdę wkurwiona na męża, na sto procent. Założę się, że przez to znenawidziła Ambrogia. Pewnie chciała, żeby umarł.

Nino odpycha mnie na bok i sięga do skrytki. Bardzo ostrożnie, jakby odbierał poród, jakby trzymał w dłoniach Dzieciątko Jezus, wyjmując obraz.

Pachnie stęchlizną, starością. Wygląda strasznie delikatnie. Jest dłuższy, niż się spodziewałam. I naprawdę wielki. Nino kładzie go na podłodze. Mam wrażenie, że oczy mu płoną. Znaleźliśmy go!

– Zamknij to – syczy, wskazując na drzwiczki.

Wstaje, trzymając rulon w ramionach. Obraz jest gigantyczny, potężny. Opuszczam klapę, znów rozlega się zgrzyt. Kurz kręci mnie w nosie: kicham dwa razy, chowając twarz w dłoniach. Tym razem Ernie reaguje, porusza się i zaczyna narzekać. Wydaje z siebie wysokie kocie miauknięcie, a ja szybko przykrywam drzwiczki dywanem. *Proszę, nie budź się, tylko nie płacz.* Nino i ja stoimy bez ruchu, nasłuchujemy, czekamy, aż Ernie zacznie się drzeć na cały dom. Ale on się nie rusza. Chwilę gulgocze, a potem znów zasypia. Mieliśmy szczęście.

Powoli wstaję. Skrzypi deska w podłodze.

Ernie się budzi i zaczyna krzyczeć. O, Boże, po ptakach. Podchodzę do kojca. Patrę na Nina: wygląda na jeszcze bardziej przerażonego ode mnie.

Na jego twarzy maluje się czysta panika: „Nawet się z tym do mnie nie zbliżaj”. Gdzie jest Emilia, kiedy jej potrzebuję? Podnoszę Erniego. Ćśśś. Ćśśś. Ćśśś. Czego on chce? Dlaczego płacze? Jeść? Pić? Spać? Kupa? Kołyszę go, poklepuję, uciszam, całuję. Nino gapi się na mnie i aż kipi ze złości. Wzruszam ramionami. Weź, co ja mogę na to poradzić?

– Czego chcesz, Ernie? – pytam.

On tylko wpatruje się w moje oczy wielkimi, pełnymi łez ślepkami, dolna warga mu drży. Pociąga nosem. Płacze. Bańka smarków wychodzi mu z nosa. Chwytam ze stolika chusteczkę i wycieram mu buzię. Całuję go, kołyszę, przytulam, ściskam. W końcu przestaje. Odkładam go z powrotem do łóżka. Ale kiedy tylko dotyka główką poduszki, znowu zaczyna płakać. To najgorszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam: jazgotanie owiec. Mam gęsią skórkę na całym ciele. Włosy na karku stają mi dęba.

– Co? Co teraz? Nie podoba ci się w łóżeczku?

Podnoszę go z powrotem. Przestaje płakać.

Odkładam do łóżeczka. Zaczyna płakać.

Podnoszę.

Odkładam.

Podnoszę.

Odkładam.

– *Ma che cazzo?* – krzyczy Nino. Jest wkurzony.

– Chyba po prostu chce, żebym go trzymała – wyjaśniam. – Tak? Chcesz na rączki? – szepczę do Erniego. Mały przytula czerwony, rozgrzany policzek do mojej piersi i zaczyna ssać kciuk.

– Potrzymam go trochę. Aż znowu zaśnie. – Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Biedactwo.

Nino niesie obraz z powrotem wzdłuż korytarza, do sypialni Beth i Ambrogia. Idę za nim z dzieckiem na rękach. Kładziemy obraz na łóżku,

a potem zamykam drzwi sypialni na wpół złamanym palcem u nogi. Podsuwam krzesło pod klamkę, na wypadek gdyby ktoś chciał wejść. Na przykład Emilia. Albo psy. Nie powiedziałam Ninowi o policjancie, którego widziałam u Salvatorego. Nie chcę, żeby zdenerwował się jeszcze bardziej (czyli naprawdę bardzo).

Nino przytrzymuje rulon na krawędzi łóżka. Podchodzę do niego. Przesuwam dłoń po zwiniętym płótnie; jest szorstkie i bardzo stare. Kurz i pajęczyny. Nino odkleja szary papier i rozwija obraz na łóżku. Całe szczęście, że to kingsize, choć i tak jest o wiele za małe. Obraz ma co najmniej trzy metry wysokości. Możemy rozwinąć tylko kawałek, bo inaczej opadnie przez krawędź łóżka na podłogę. Obraz jest brązowawy, krawędzie ma porwane i poszarpane od żyłek, którymi aspirujący gangsterzy wycięli płótno z ram.

Nie mam pojęcia, jak ten obraz powinien wyglądać, ale wiem, że to Caravaggio, gdy tylko go widzę. Czuję to w kościach. Zerkam na Nina kątem oka; wykonuje znak krzyża na piersi. Bardzo się zrobił religijny na widok czegoś tak cennego. Co pieniądze robią z ludźmi. A może to tematyka obrazu tak go poruszyła; w końcu miał obrazek Jezusa w samochodzie. Może jest szczerze poruszony.

Na łóżku możemy zobaczyć tylko jakąś jedną trzecią obrazu, ale widać nowo narodzonego Chrystusa. Jest golutki i różowy. Leży na białej szmatce rozłożonej na pokrytej sianem posadzce. Wygląda delikatnie i trochę jak mały Ernie (który nadal nie śpi, tak na marginesie. Ciągnie mnie garściami za włosy i ślini mi się na ramię. Kochane maleństwo). Jezus patrzy w zachwycone oczy matki, nieco wymiętej Dziewicy Maryi. Widać, że jest zmęczona, włosy i ubranie ma w nieładzie, garbi się. Dopiero co skończyła rodzić; wygląda na kompletnie wyczerpaną. Musiała mieć ciężki poród. Ciekawe, czy Jezus utknął tak jak ja. Wtedy nie mieli gazu ani morfiny.

W stajni raczej nie było jak zrobić cesarki.

Po prawej stronie obrazu siedzi jakiś człowiek. Jest zwrócony do nas plecami, na skrzyżowanych nogach ma rajstopy, a do tego luźną zieloną koszulę: taki trochę Robin Hood. Dotyka Jezuska palcem u nogi. Nie wiem, kto to taki. Za młody na Józefa, zbyt dobrze ubrany jak na pasterza. Może to wczesny paparazzi? Nie chciał przegapić takiego eventu. Po lewej widać długie, złotożółte szaty. To pewnie jakiś król albo święty.

– *Mamma mia* – mówi Nino.

– Kurwa, ale mieliśmy szczęście – dodaję.

– Ma, ma, ma – grucha Ernie.

Słyszę pisk iPhone'a Beth. Ćwierkanie ptaszka. Ćwir. Ćwir. Ćwir. Boże, znowu Taylor? Podnoszę telefon i odblokowuję ekran. Widzę wiadomość od „Mamusi”. Beth, ile ty masz lat? Pięć? Otwieram wiadomość i gwałtownie wciągam powietrze.

Dzwoniłam, ale nie odbierałaś. Wsiadam do samolotu do Katanii. Złapię taksówkę z lotniska. Będę z Tobą za 24 godziny. Kocham cię, mama.

Kurwa.

– Co? O co chodzi? – pyta Nino.

– Och, nic. To tylko moja mama. Muszę do niej oddzwonić. Trzymaj. – Wciskam mu dziecko w rękę. – Za chwilę wrócę.

Nie wiem, kto jest bardziej przerażony, on czy dziecko. Ernie zaczyna płakać. Znowu.

Chwytam za telefon i wybiegam z pokoju, pędzę na dół, do kuchni. Ręce mi się trzęsą. Nie mogę trafić w małe ikonki. Ostatnie, czego potrzebuję teraz do szczęścia, to wizyta mojej matki. Wściekle wybieram ikonkę i dzwonię. Muszę wybić jej to z głowy. Ona nie może tu przyjechać. Ale moja matka ma wyłączony telefon, albo pewnie raczej w trybie samolotowym. Już jest na pokładzie.

Rozdział trzydziesty szósty

NAPRAWDĘ SIĘ WYSILIŁAM. Wystroiłam się specjalnie na tę okazję: krótka czarna sukienka, długi czarny welon, czarne koronkowe rękawiczki i klasyczne Louboutiny ze lśniącej skóry. Mam nawet antyczną koronkową chusteczkę do podcierania maskary pod oczami. Krwiście czerwona szminka. Mnóstwo eyelinera. Wyglądam, jak należy: seksowna młoda wdowa w pierwszym dniu żałoby. Naprawdę powinnam strzelić sobie fotkę. Instagram by oszalał. Nie wspominając o Tinderze.

Kościół świeci pustkami. Powietrze jest chłodne i wilgotne. Popycham ciężkie drewniane drzwi i zanurzam się w ciemność: zapach kadzidła, migotanie świec. Widzę księdza za ołtarzem, siwą głowę ma pochyloną. Jest ubrany w białe szaty ze złotymi zdobieniami. Znalazłam go; jest tutaj. Mamrocze coś pod nosem. Modli się? Słyszy, jak podchodzę, i podnosi głowę. Chwilę mi się przygląda, ale wreszcie mnie rozpoznaje i jego pomarszczoną twarz rozciąga uśmiech.

– Betta, przyszła pani.

Rozpościera szeroko ramiona, żeby mnie objąć. W tych luźnych białych szatach wygląda jak święty. Ale wiem, że daleko mu do tego. Skorumpowany kutas. Po prostu sprytnie się przebrał. Wspinam się po schodach do ołtarza. Przez moment stoimy w absolutnej ciszy. Przyglądam się jego spokojnej twarzy: opanowany wzrok, łagodny uśmiech. W willi byłam pewna, że jest klientem, ale teraz już sama nie wiem. Czy rzeczywiście jest zdeprawowany? Jak niby mam go zapytać? Jeśli to nie on miał kupić obraz, mam przerąbane.

– Betta, tak mi przykro z powodu pani męża – mówi ksiądz. Kładzie dłoń na moim lewym ramieniu: ojciec pocieszający córkę. Jego ręka jest stara i powykręcana. – Dopiero się dowiedziałem, dziś po południu. Moje kondolencje. Niech *Cristo* pociesza panią w tych trudnych chwilach.

– Dziękuję – szepczę i patrzę na podłogę: wytarte kamienne płyty z wyrytymi inskrypcjami. Co tu jest napisane? Czy my stoimy na grobowcu?

– Cieszę się, że panią widzę. Zamierzałem panią odwiedzić. – Posyła mi wymowne, badawcze spojrzenie.

– Czy możemy tu bezpiecznie rozmawiać? – upewniam się, podnosząc głowę. Kapłan strzela oczami na prawo i lewo.

– Jesteśmy sami.

Prowadzi mnie za rękę do wytartej drewnianej ławki. Siadamy pod naturalnych rozmiarów figurą Chrystusa – tą, która się tak na mnie gapiła ostatnim razem. Ma na twarzy tę samą zboląłą minę, na czole koronę z paskudnie wyglądających cierni. Na ścianach wiszą renesansowe sceny z Nowego Testamentu: rozpoznaję Maryję i Jezusa, oczywiście. Ten koleś z brodą to chyba święty Piotr? Trzyma złote klucze do bram nieba. Wątpię, żeby mnie wpuścił. Ksiądz bierze moją urękawiczoną dłoń w żylaste dłonie. Jego skóra jest przejrzysta jak papier, poznaczona plamami wątrobowymi. Widać pod nią niebieskie żyły. Jego ręce są zimne jak u trupa.

– Czytałem w gazecie. Samobójstwo?

Biorę gwałtowny wdech.

– Tak, z całą pewnością na to wygląda. Znaleziono go na skałach pod klifem.

Kapłan kiwa głową. Ma poważną minę, już on się zna na tych samobójstwach.

– *La Cosa Nostra* – mówi to szeptem, jakby przeklinał, jakby bluźnił w Domu Bożym.

Siedzimy w milczeniu. Przyglądam się długim, czarnym żelaznym gwoździom wystającym z dłoni i stóp Chrystusa. Przypomina mi się lalka Beth, w którą wbijałam szpilki. La Cosa Nostra. Okej. To będzie jego wersja prawdy. Prawda jest tym, w co postanawiamy wierzyć. Nie ma czegoś takiego jak obiektywna rzeczywistość.

– Nadal ma pani obraz? – pyta nagle. Spogląda na mnie kaprawymi oczyma.

– Tak. – Ramiona mi się rozluźniają. Nie muszę się już stresować. To na pewno on.

– Dalej chce pani go sprzedać?

– Mhm. – Kiwam głową.

Widzę, że bardzo go chce. Ciekawe, jak bardzo. Przesuwa dłońmi po udach, wygląda zmarszczki na sutannie, nieco się prostuje.

– Musimy uważać, Betta – mówi cicho. – Są ludzie, którzy wiedzą: ludzie, którzy zabili pani męża. Już nie jest tu pani bezpieczna. Ten człowiek, który zabił pani męża, nie cofnie się przed niczym, żeby ukraść ten obraz.

Mhm. Spoko.

– Rozumiem.

– Powinna pani wyjechać.

Zerkam na niego kątem oka.

– Niech się ojciec o mnie nie martwi.

Ksiądz odwraca głowę. Patrzy na Jezusa. Jezus odwzajemnia spojrzenie.

Wyglądają, jakby rozmawiali o czymś w sekrecie. Myślę o Tallulah. On przypomina mi Beth z tą jej niewidzialną przyjaciółką. Kapłan chwilę się waha.

– Umówiłem się z pani mężem na trzy miliony, ale on chciał więcej – wzdycha w końcu. – Albowiem korzeniem wszelkiego zła jest miłość do pieniędzy. Pierwszy List do Tymoteusza, rozdział szósty, wers dziesiąty.

– To o to kłóciliście się z Ambrogiem ostatnim razem? – pytam. Skąd ksiądz ma trzy miliony euro? Stanowczo zbyt wiele płacą tu duchownym.

– Nie kłóciliśmy, nie kłóciliśmy. Tylko negocjowaliśmy.

Potrząsam głową, zakładam niesforny kosmyk włosów za ucho.

– Jest wart co najmniej dwadzieścia milionów – oznajmiam. Staram się przybrać stanowczy ton. Wiem, co mówię, Nino i Google wszystko mi wytłumaczyli.

Ksiądz odwraca się do mnie.

– Betta, musi pani zrozumieć, ten obraz jest poszukiwany na całym świecie. A teraz, kiedy pani mąż nie żyje, to jeszcze bardziej niebezpieczne. Mogę pani dać dwa miliony. To moja ostateczna propozycja.

– Ostateczna propozycja?

– Tak.

Posyłam księżulowi swój najśłodszy uśmiech. Myśli, że jestem naiwna, bo jestem kobietą. Dwa miliony euro? Toż to rozbój w biały dzień. Chcę więcej. Wpatruję się uważnie w twarz księdza, szukam oznak słabości, nasłuchuję jego świszczącego oddechu. On patrzy mi prosto w oczy – stanowczo, nieugięcie. Ten facet jest pewny siebie; ma Boga po swojej stronie. Jeśli nie sprzedam mu obrazu, nie będę miała innego kupca i nie będę w stanie żadnego znaleźć. Mogłabym naciskać na trzy miliony, ale on pewnie każe mi spadać. Nie chcę go stracić. On wie, że po śmierci męża jestem pod ścianą. Obniżenie oferty o milion euro to brudna zagrywka, zwłaszcza w wykonaniu księdza. No ale przynajmniej ubodzy odziedziczą ziemię.

– Dwa miliony euro – zgadzam się, zgrzytając zębami. Nie chcę robić zamieszania i jestem beznadziejna w negocjacjach. Ale lepsze dwie bańki niż nic, a Nino będzie zadowolony, że zabezpieczyłam deal. Wyciągam rękę, ksiądz podaje mi swoją. Jego twarz rozpromienia młodzieńcze szczęście: sekundę temu miał dziewięćdziesiąt lat, teraz ma dziewiętnaście.

– Odbiorę go wieczorem – oznajmia z uśmiechem. – Przyjdę do pani z pieniędzmi. A potem powinna pani wyjechać. Ambrogio chciał zapewnić pani bezpieczeństwo; teraz musi pani jechać sama.

– Oczywiście – przytakuję.

Nie ma mowy, nigdzie nie jadę. Zostawić taką willę? Takie widoki? Czy on widział mój basen? Wyjechać z Taorminy? On chyba myśli, że oszalałam.

* * *

– Kto to jest? – pyta ksiądz, wskazując na Nina.

Pogoda jest paskudna; niebo się rozstąpiło i deszcz spada wielkimi kroplami. Uderzają o ziemię jak srebrne naboje. To jak dotąd moja najzimniejsza noc na Sycylii. Musiałam znaleźć skarpetki Beth. Włożyłam nawet sweter. Jesteśmy w salonie, zasłony w oknach są zaciągnięte i odgradzają nas od grzmotów i błyskawic. Mam ochotę napalić w kominku. Nino siedzi rozwalony na sofie, bose stopy opiera o stolik kawowy, w dłoni trzyma kieliszek Sangue di Sicilia.

– To jest Nino – wyjaśniam, zamykając drzwi za księdzem. Wyciera buty o dywanik, strzepuje krople deszczu z marynarki. Patrzy na mnie z kwaśną miną.

– Don Franco – mówi Nino z lekkim skinieniem głowy. On się tak nazywa? Myślałam, że Nino go nie zna. Cóż, Taormina nie jest duża.

– Nino – warczy ksiądz. – Mówiłem pani mężowi, że tylko z nim i z panią będę rozmawiać – dodaje szeptem, z błyskiem w oku. Nagle wygląda na zdenerwowanego.

– Mój mąż nie żyje. Nino to przyjaciel – wyjaśniam.

– Znam takich jak on – mówi mi prosto do ucha. Czuję w jego oddechu alkohol: wino mszalne?

Zerkam na staromodną walizkę, którą ściska w dłoni: złote zamki

w kształcie splecionych liter „G”. Skóra jest upstrzona ciemnobrązowymi plamami od deszczu. Bagaż wygląda na ciężki; aż pęka w szwach.

– Poczekam w kuchni – oznajmia Nino, podnosząc się z kanapy. Przeciąga się, wyciągając ręce nad głowę i dopija wino. Następnie z trzaskiem odstawia kieliszek na stół i zgina się w półukłonie.

– *Buonasera.*

Nino posyła mi dziwne spojrzenie, gdy rusza do wyjścia. Otwiera szeroko oczy, jakby próbował mi coś powiedzieć; nie mam pojęcia, o co chodzi. Pewnie nic ważnego. Odwraca się plecami i wychodzi z salonu. Zostaję sam na sam z księdzem. Obejmuję się mocno ramionami. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Naprawdę żałuję, że nie napaliłam w kominku.

– Gdzie on jest? – pyta ksiądz.

Okej, czyli nie bawimy się w uprzejmości. Żadnego „Jak się pani miewa, Elizabeth? Jak minęło popołudnie? Leje jak z cebra, co?”. Prosto do interesów. Spoko.

W cywilu wygląda na starszego. Zamienił sutannę na jasnoszary garnitur, kaszmirowy beżowy sweter i bordowy krawat. Mógłby być moim dziadkiem. Wydaje się słaby jak dziecko. Pewnie poradziłabym sobie z nim gołymi rękami, a przecież biję się jak dziewczyna.

– Proszę pokazać pieniądze – mówię z uśmiechem.

Ksiądz stawia walizkę na dywanie i schyla się, żeby ją otworzyć. Jedną rękę kładzie na oparciu sofy, drugą trzyma się za dół pleców. Ciężko mu się schylać. Artretyzm? Grzebie niezdarnie przy sprzączkach.

– Ja to zrobię – proponuję.

Odsuwa się na bok. Kładę walizkę płasko na podłodze. Zamki odblokowują się z trzaskiem, otwieram. Sterty świeżo wydrukowanych banknotów o nominałach 500 euro. Kupa hajsu. Nigdy nie widziałam takich pieniędzy. Skąd ten ksiądz ma tyle kasy? I dlaczego kupuje kradziony obraz?

Dam sobie rękę uciąć, że w dziesięciu przykazaniach było coś o niekradzeniu.

– Dwa miliony? – upewniam się.

– Dwa miliony – przytakuje ksiądz.

Biorę do ręki zwitek pięćsetek i ważę w dłoni. To jest jak seks. Rozważam, czy nie wyrzucić całej zawartości na ziemię i nie przeliczyć, ale to by zajęło całą wieczność. Chyba mu wierzę. To w końcu ksiądz, chociaż skorumpowany. Mogę policzyć później razem z Ninem. Na pewno to policzymy. Nie tak jak w filmach, gdzie każdy ufa każdemu na słowo. A co, jeśli w środku są fałszywki? Gestem zachęcam księdza, żeby poszedł za mną przez pokój. Przechodzimy pod łukiem obramowanym marmurowymi kolumnami do przylegającej jadalni. Wcześniej przesunęliśmy meble i rozłożyliśmy obraz na wielkim perskim dywanie. Ksiądz staje jak wryty. Opieram się o kolumnę i patrzę na niego.

– *Dia santo! Che bellissima!* – mówi szeptem. Składa dłonie i dotyka palcami warg. Powoli przykłęka jak w modlitwie u stóp obrazu, kilka centymetrów od krawędzi. Boi się go dotknąć. Ogląda go uważnie, przesuwając się wokół malowidła na czworakach, sprawdza każdy detal.

– Obawiałem się, że kradzieże i upływ czasu go zniszczyły, że będzie uszkodzony, ale... jest doskonały – ocenia w końcu, wstając. Podchodzi do mnie, oczy ma pełne łez. – *Grazie, Betta.*

Znów chwyta mnie za ręce, ale ja zabieram dłonie. Jeśli aż tak mu się podoba, to mógł zapłacić trzy miliony.

– Zwiniemy go, żeby mógł ojciec zabrać go do domu? – pytam. Chcę tylko pieniędzy. Ksiądz i obraz mogą już zniknąć.

On jednak się waha. Nie chce ruszać płótna. Jeśli je zwiniemy, on nie będzie go widział. Tyle czasu czekał, że teraz nie ma ochoty spuszczać obrazu z oczu.

– Oczywiście – mówi z uśmiechem. To porcelana czy prawdziwe zęby? Błyszczą się jak nowe.

Stajemy obok siebie u stóp obrazu, ksiądz po prawej, ja po lewej. Schyla się powoli, żeby złapać za krawędź. Unosi obraz, ale nagle się zatrzymuje. W rogu płótna jest mały czarny znaczek. Ksiądz unosi ku mnie pomarszczoną twarz, ma dziwną minę. Schyla się niżej, klęka, przygląda się znaczкови z bliska.

– Coś nie tak? – pytam.

Rozdział trzydziesty siódmy

– **NON CAPITO** – mamrocze ksiądz.

Boże, co tym razem?

– Słucham?

– Ten obraz... To falsyfikat.

Czuję, jak kula armatnia wpada mi do żołądka. Ksiądz drapie się po łysiejącej czaszce.

– Nie rozumiem.

On zrywa się na nogi z wigorem kogoś o wiele młodszego. Obraz znów rozwija się na podłodze. Ksiądz zaczyna pokazywać palcem.

– *Sì, sì*, teraz widzę. Ta technika... *come si dice*? To nie Caravaggio.

– O czym ojciec mówi? Oczywiście, że to Caravaggio.

Głos mi drży. Cała się trzęsę. Miękną mi nogi. Szczęki same mi się zaciskają. Robię krok w tył. Stoję za nim, ale nadal twarzą do obrazu.

– Ten pigment, ta czerwień na sukni Madonny... jest współczesna. To nie jest paleta Caravaggia, on używał tlenku żelaza. I to *oscuro*, o wiele zbyt jasne. Nie... nie... – Potrząsa głową. – A jej ręce... niezdarne, męskie. Nie wyglądają, jak należy. U Caravaggia dłonie są zgrabne. Eleganckie.

– Nie, nie! Gdyby Ambrogio tu był, Ambrogio by ojcu powiedział. Ambrogio wiedział!

– I jeszcze tutaj, proszę, *il bambino*, Chrystus. Skrót perspektywiczny jest nieprawidłowy, jego postać...

Ramiona mi się napinają. Szyję mam sztywną. Co on pierdoli? Zaraz wybuchnę.

– Och, Elisabetta, co za rozczarowanie. Po takim czasie! Falszyfikat! Podróbka! Błada imitacja oryginału. Oczywiście jest kompletnie bezwartościowy. Kopia nigdy, przenigdy nie będzie równie dobra. Traci magię oryginału, nieuchwytnie piękno, całe *je ne sais quoi*. Nie ma duszy, czystości ani...

Boże, czy on mówi o mnie?

Wyciągam zza spodni pistolet Ambrogia i strzelam księdzu w tył głowy. Upada na plecy, podcięty jak drzewko cytrynowe. BUM! Nie żyje. To mu pokaże. Jestem tak samo dobra jak Beth. Jego nogi leżą u krawędzi obrazu, więc podnoszę go za kostki i przekręcam w drugą stronę. Mała kałuża rozlewa mu się pod głową, z każdą chwilą rośnie: dwa pensy, sycylijska czerwona pomarańcza, talerzyk, piłka futbolowa. Nie chcę mieć krwi na obrazie. Ksiądz leży pod dziwnym kątem, zgięty jak bumerang. Chwytam go w pasie i ciągnę jeszcze kawałek, układam ciało wzdłuż krawędzi obrazu. Jest ciężki, jakby wypełniał go mokry cement, ledwo daję radę. Kiedy się prostuję, krew uderza mi do głowy. Zapomniałam zjeść obiad. To do mnie niepodobne.

Przyglądam się plamie krwi, rozlewającej się spod jego głowy. Jest tak lśniąca i czerwona jak lambo Ambrogia. Wygląda cool. Wyciągam telefon Beth i robię sobie selfie, uśmiecham się szeroko z twarzą tuż przy głowie księdza. Rozbłyskuje flesz, agresywny jak błyskawica. Sprawdzam zdjęcie, ale wyglądam okropnie. Przeczesuję włosy palcami, próbuję jeszcze raz. Słodka minka. Pstryk. Teraz wyszło super. Idealna fotka na Instagrama. Wielka szkoda, że nie mogę jej wrzucić.

Nino wpada do pokoju. Pewnie usłyszał strzał... ale nawet jeśli to przegapił, cały dom zatrzęsł się w posadach od upadku księdza.

– Co się stało? Nic ci nie jest?

Podnoszę głowę i posyłam mu uśmiech, oblizując wargi.

– Tak, zupełnie nic mi nie jest, dziękuję – mówię. Nigdy nie czułam się lepiej. Jestem potężna. Niezwyciężona. Czuję mrowienie w całym ciele. To jest jak haj: żyję.

– Gdzie jest ksiądz?

Odsuwam się na bok, żeby zapewnić mu dobry widok.

– Tutaj! – Wskazuję głową na ciało rozciągnięte na podłodze.

Nino zamiera.

– Kurwa. Ty go zastrzeliłaś?

– Tak – potwierdzam z uśmiechem. – Tak.

Jestem magiczna. Jestem wyjątkowa. Po co być dobrym, jeśli można być wspaniałym?

To jest cudowne, zajebiste! Mrowienie w kręgosłupie. Eksplozja euforii w mózgu. Kocham to uczucie! Wiem, co robię! Urodziłam się do tego! To! To jest to! Kurwa, kocham to. Jak zbyt szybka jazda na hulajnodze. Jestem na haju!

Ksiądz leży twarzą w dół na dywanie. Coś mu wycieka z dziury w głowie. Pistolet leży obok niego. Oboje patrzymy na broń. Potem Nino patrzy na mnie: na jego twarzy maluje się mieszanka przerażenia i podziwu.

– Ocipiałaś? Czy ciebie kompletnie pojebało? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Co się stało? Dlaczego to zrobiłaś?

Stoję z rozstawionymi nogami, opieram ręce na biodrach. Nie podoba mi się, jakim tonem Nino do mnie mówi.

– Nie miałam wyboru. On powiedział, że obraz to falsyfikat. Że to nie jest prawdziwy Caravaggio. Odszedłby z pieniędzmi. – To nie do końca prawda. Nie musiałam go zabijać. Zrobiłam to dla tego uczucia. Pieniądze były na drugim miejscu. A na trzecim to, że był skąpym gnojem.

Nino rozdziawia usta. Nic nie mówi. Dziecko zaczyna płakać. Boże,

znowu. Biegnę na górę po schodach.

– *Mamma* już idzie, kochanie, nie płacz.

Wbiegam do pokoju Erniego i wyjmuję go z łóżeczka. Jest ciepły i miękki. Pachnie jak ryż na mleku. Myślę o ambrozji. Myślę o Ambrogiu. Przytulam Erniego i całuję go w główkę. Ma pełno w pieluszcze, więc biorę świeżą, zgarniam nawilżane chusteczki i lecę z powrotem na dół. Dziecko wierci mi się w ramionach i wyje.

– Pieniądze są w tej walizce. Myślę, że powinniśmy je policzyć – oznajmiam, wchodząc do pokoju.

Nino stoi z rękami w kieszeniach, opiera głowę o ścianę. Dziwne. Nie odpowiada. Wypadałoby chociaż powiedzieć coś w stylu „Dziękuję, Elizabeth”.

– Tak będzie lepiej. Nie ufałam temu księdzu.

Układam dziecko na sofie, nachylam się i podnoszę pistolet z podłogi. Zdmuchuję niewidzialny pyłek z lufy i wycieram o koszulę. Wkładam broń z powrotem za pas.

– Poza tym i tak był strasznie stary.

Patrzę na Nina. Nie rusza się. Nadal stoi do mnie plecami, z twarzą przy ścianie.

– *Madonna mia* – mówi w końcu. Odwraca się w moją stronę. Podnosi głos. – Czy ty wiesz, kim jest ten koleś?

– On? – Trącam trupa palcem u nogi. – Był księdzem. A teraz już nikim nie jest.

– Księdzem. Księdzem. Tak, był księdzem, ale był też kimś: to Franco Russo, prawa ręka Don Motisiego, *consigliere* z Palermo. Z rywalizującego klanu. Rozpoznałem go, kiedy wszedł.

– Rywalizującego czego? Franco kto? – zdejmuję Erniemu brudną pieluchę. Kopie mnie w twarz. Biedactwo dalej płacze. Brakuje mi Emilii...

jestem jednozadaniowa. Może dam radę jeść pringlesy i oglądać jednocześnie serial na Netfliksie, ale nie coś takiego. To jest pięćdziesiąt twarzy fuja.

– On jest z Cosa Nostry. W chuj gruba ryba. – Nino stuka czołem o ścianę. I jeszcze raz. Chyba się zdenerwował.

– On? Z Cosa Nostry? Nie rozumiem. – Siadam na kanapie, nagle kręci mi się w głowie. Mam za niski poziom cukru. Muszę zjeść jakieś węglowodany.

– Nie kupował tego obrazu, żeby powiesić go sobie nad łóżkiem. To był pośrednik, do kurwy nędzy. Jego szefowi się nie podskakuje.

– Że co? Kto jest jego szefem?

– Musimy spadać z Sycylii. W tej chwili. To koniec. – Nino kopie stolik kawowy; odpada drewniana noga. Widzę logo: Chippendale. Bezcenny.

– Mamy wyjechać? – Podcieram Erniemu pupę nawilżaną chusteczką. Mały strumień sików przelatuje mi tuż koło oka. Naciągam małemu nową pieluszkę i ciasno zapinam. Boże, gdzie jest Emilia? Nikt mi nie mówił, że macierzyństwo to tak cholernie trudna sprawa. Nie dam rady dłużej! Ratunku!

– Myślisz, że on tu przyszedł bez ochrony? To wyjrzyj na zewnątrz. Jego ludzie będą czekali w vanie. Z bronią.

– Co? Nie. – Powoli wypełnia mnie panika. – Przyszedł tu sam. On mi ufał. On...

– Betta, rozpoznałem go. Mówię ci. Myślisz, że coś mi się przyśniło?

Dziecko zaraz sturla się z kanapy. Chwytam Erniego i przyciskam do piersi. Opiera mi buzię na ramieniu. Patrzy na mnie, ziewa i w końcu przestaje płakać. Zamyka oczy. Tak, proszę, zaśnij.

– Ćśś, ćśś. – Rozcieram mu plecki.

Podbiegam do okna i odsuwam zasłony. Leje deszcz. Jest ciemno i zimno. Na podjeździe stoją trzy samochody: lambo Ambrogia, minivan Nina i biały van księdza. Światła w vanie są zgaszone, ale mimo to widzę przed autem

dwóch ludzi. Z bronią. O, szlag.

Odwracam się i widzę, że Nino siedzi na sofie z głową w dłoniach. Patrzy na mnie, jest blady. Nino się boi? Nie wierzę. Wyciąga broń z za pasa. Biorę pistolet Ambrogia i ważę go w dłoniach. Nie jestem pewna, co z nim zrobić, ale spróbuję. Grzebię przy różnych częściach, aż w końcu udaje mi się otworzyć komorę. Zaglądam do środka: tylko jeden nabój. Nie jest to idealna sytuacja. Nino wstaje i idzie do drzwi. Ruszam za nim.

– Nie. Ty zostajesz tutaj. Dość już narobiłaś kłopotów...

– Mowy nie ma. Idę z tobą.

Nino patrzy mi w oczy i potrząsa głową.

– Zostaw dzieciaka.

Ernie śpi mi na ramieniu. Ma zamknięte powieki, ale porusza oczami. Ciekawe, co mu się śni? Ja czy Beth? Buzię ma spokojną. Jeśli go teraz odłożę, może się znowu obudzić. Ale Nino ma rację, to nie jest miejsce dla dziecka, nawet jeśli miło mi się go przytula. Moja matka nigdy mnie nie przytulała; nawet nie wiedziałam, że mi tego brakowało. Idę na górę na palcach, cichutko, i delikatnie odkładam go do łóżeczka.

– Śpij, maleństwo. Wrócę do ciebie niedługo... Mamusia cię kocha.

Posyłam mu pocałunek. Nad kojcem wisi grająca karuzela. pociągam za sznurek, zaczyna grać melodię: *Mrugaj, mrugaj gwiazdko ma*. Nachyliłam się i całuję go w czoło. To cud, że się nie obudził. Może zaczynam chwytać, o co chodzi z tym rodzicielstwem? Jednak jestem dobrą matką. Zbiegam na dół do Nina.

– Strzelamy, żeby zabić – mówi, odbezpieczając pistolet. – Jeśli zobaczą, że on nie żyje, mamy przejebane. Zobaczą obraz – mamy przejebane. Więc się nie cackamy.

– Dobra. Okej.

– Tędy, idź za mną.

Nino biegnie wzdłuż korytarza, do kuchni, wypada przez drzwi ogrodowe na tył willi. Przemyka się wzdłuż ściany, a ja tuż za nim, przez wyjący wiatr i zacinający deszcz. Leje strumieniami, wszędzie wokół jest aż czarno, jakby nas dopadł pieprzony monsun. Ledwo widzę na metr przed sobą. Zakradamy się na podjazd i chowamy za vanem. Zostawili sobie muzykę, z głośników ryczy techno. O, czy to Underworld? *Born Slippy*? Uwielbiam ten kawałek... Wychyłam się na jedną stronę samochodu, Nino na drugą. Słyszę jego pistolet, więc ja też strzelam. TRACH! TRACH! Ekstra!

Ktoś wrzeszczy; kto to? Mój upadł na ziemię, ale ten od Nina jeszcze żyje. Rusza nogami. Wstaje! Nino trafił go w szyję, ale do trupa mu daleko. Ścisną w dłoniach obrzyna, strzela do Nina! Nino wrzeszczy i znowu strzela.

TRACH! TRACH! TRACH!

Co za emocje! W życiu się tak dobrze nie bawiłam!

Koleś Nina pada martwy. Tym razem dostał w głowę.

– Wszystko okej? – Podbiegam do Nina, serce wali mi do rytmu muzyki. Mam straszną ochotę jeszcze podkręcić dźwięk. Zatańczyłabym z Ninem.

– *Stronzo* postrzelił mnie w ramię – stęka Nino. Opiera się o vana, przykłada czoło do metalu. Ścisną górną część ramienia dłonią, krew cieknie mu przez palce. Upuścił pistolet na podłogę. – Aaaaaach – jęczy.

Ała. Paskudnie to wygląda. Potrzebna mu opaska uciskowa. Pamiętam z harcerstwa: przecież miałam odznakę pierwszej pomocy. Przydało się. Potrzebuję czegoś do zatamowania krwi. Ściągą bluzkę, mokrą od deszczu, i stoję w samym staniku: to jeden z tych należących do laski od Louisa Vuittona, delikatna czarna koronka z małą białą kokardką. Skręcam bluzkę w bandaż.

– Daj – mówię, biorąc Nina za ramiona.

– *Non mi rompere la minchia* – syczy Nino.

Ściągą z niego skórzaną kurtkę i rzucam ją na maskę vana. Nino ma

dziurę w ramieniu, z rany tryska krew. Zrywam mu koszulę. Cały dygocze. Deszcz nie słabnie, woda spływa mu po piersi, jego skóra połyskuje.

– O, łał! Co tam masz?

Dostrzegam coś na plecach Nina. Wcześniej nie zauważyłam, bo pieprzył mnie w ubraniu. Łapię go za ramiona i odwracam: naturalnej wielkości tatuaż Dziewicy Maryi. Ma piękną twarz; włosy kryją się pod delikatnym welonem. Ku różanym wargom spływa jej po policzku pojedyncza łza. Dłonie ma złożone do modlitwy. W świetle księżycy wygląda uderzająco, krople deszczu na jej twarzy wyglądają jak kolejne łzy. Trochę przypomina Beth.

– Kurwa, co ty tam wyprawiasz? – pyta Nino. Stoję i się gapię.

– Twój tatuaż. Jest niesamowity.

– Nie było lepszej pory?

– Zawsze chciałam sobie zrobić tatuaż. Może nie taki... Ale coś fajnego.

Nino chyba nie jest pod wrażeniem.

– Robiłeś go gdzieś w okolicy?

Nie odpowiada.

Podkładam mu koszulę pod ramię, oplatom dookoła i zawiązuję w ciasny węzeł.

– Aaaach – stęka Nino. – *Puttanaccia*.

– Ej! – Strofuję go. Człowiek tu wyświadcza przysługę...

Nino bierze głęboki oddech i wskazuje brodą na ciała.

– Na pewno nie żyją?

Spoglądam w ich stronę.

– Skończyły mi się naboje.

– To weź mój.

Podnoszę pistolet Nina z ziemi. Jest mokry od deszczu. Czy będzie jeszcze działać? Proch chyba nie powinien moknąć. No cóż, raczej nie mam wyboru. Mój ostatni nabój już poszedł. A jeśli pistolet Nina nie wystrzeli?

Ostrożnie skradam się przez zacinający deszcz do mężczyzn leżących przy przednich drzwiach. Obaj mają rany postrzałowe w głowach i krwawią na wycieraczkę. Szkoda, że nie zabrałam z domu telefonu. Chciałabym zrobić zdjęcie. Te ciała super wyglądają tak na deszczu. Może później strzelę im fotkę, jak Nina tu nie będzie...

– Wyglądają na bardzo nieżywych – śmieję się.

– Musimy sprawdzić tył samochodu – mówi słabo Nino. Opiera się o dach, a ja stoję przy nim przed tylnymi drzwiami. Celuję w blachę. – Otwórz! – nakazuje Nino.

Pociągam za klamkę i odsuwam drzwi. Jest ciemno, ale widzę, że w środku jest pusto. Nikogo nie ma. Nino przeczesuje mokre włosy palcami. Wygląda na zestresowanego. Deszcz spływa mu po twarzy. Jego policzki błyszczą bielą w świetle księżyca.

– Betta – szepcze. – Dzisiaj wyjeżdżamy.

Rozdział trzydziesty ósmy

– **WEŹMY LAMBO**; walizka zmieści się do bagażnika.

– Och, świetny pomysł: czerwone lamborghini. Nikt nas w nim nie zauważy.

– Lambo jest szybkie. – Wzruszam ramionami. – A poza tym je lubię. Szkoda je tu zostawiać.

Ciekawe, ile można dostać za klasyczną Miurę? Ambrogio mówił, że to siedemdziesiąty drugi rocznik; to jest *old school*.

– Bierzemy mój samochód – decyduje Nino, przyklejając papierowe ręczniki do ramienia, żeby zatrzymać krwawienie. To te drogie, z chłonnymi pęcherzykami, cały czas je reklamują w telewizji. Papier świetnie wchłania wino, kawę, gin i rozlane mleko. Jak widać, z krwią radzi sobie trochę gorzej. Patrzę na jego rozwalone ramię; czarne, lśniące, mokre. Wzdycham. Nie na wiele mi się przyda w takim stanie.

– Dokąd my w ogóle jedziemy?

– Nie wiem. Do Neapolu? – mówi Nino.

Układam parę kresek. Jedna dla Nina, żeby go mniej bolało (to bardzo skuteczny środek znieczulający), druga dla mnie. Tak po prostu. Wyrównuję kreski kartą kredytową Nina na niskim stoliku kawowym. Zwijam banknot i wkładam Ninowi do ręki.

Wciąga zdrową ręką.

– Nie ma za co – mówię.

– Potrzebna mi piła.

– Neapol jest za blisko. Znajdą nas. To zbyt łatwe. Jedźmy do Londynu.

Nino wyciera nos wierzchem dłoni, z jednej dziurki spływa mu trochę krwi, kap, kap, kap, kap... Chyba nawet nie zauważa. Mam nadzieję, że nos mu nie odpadnie jak temu piosenkarzowi, jak on się nazywał? Stevie Nicks. Jego wąsy dziwnie by wtedy wyglądały.

– Możesz mi znaleźć piłę? – pyta.

Wciągam swoją kreskę, odrzucam głowę w tył i zamykam oczy. Mmm. Kokaina. Czuję się bezpiecznie, ciepło i przytulnie, jakby ktoś mnie przytulał, jakbym była w macicy. Tylko lepiej, bo bez Beth. Zapalam dwa papierosy: jeden dla mnie, drugi dla Nina. Wkładam mu jednego między wargi. Boże, czuję się jak pielęgniarka. Chyba nie mam cierpliwości do opieki na pełny etat. Chyba nie mam kwalifikacji.

Beth, Beth, Beth. Życie bez niej jest o wiele lepsze... Teraz, kiedy to ja nią jestem. Ciekawe, jak Beth by sobie z tym wszystkim poradziła? Pewnie uciekłyby z krzykiem albo zaczęła płakać w kącie. Schowałyby się pod stołem. Za kanapą. Ona nie nadawała się do takiego życia, nie tak jak ja. Chciała mnie zabić! Ha! Ja dalej tu jestem! A ona? Gryzie piach. Nie, moja siostra nie była zabójczynią. Dlatego uciekała; nigdy by sobie z tym nie poradziła. Za to ja czuję się jak ryba w wodzie. Mam wrodzony talent. W ogóle nie muszę się wysilać. Gdybym nie zabiła Beth, gdybym nie zamordowała Ambrogia – oni zabiliby mnie. Wyprzedziłam ich. Nie miałam wyboru. Zdradzona przez własną siostrę, krew z krwi. Ale teraz to ja mam władzę. Ja mam kontrolę. To ja mam walizkę pełną hajsu. To ja mam broń.

Chwytam walizkę i otwieram szeroko. Gapię się na pieniądze, zachłystując się powietrzem. To wygląda tak kurewsko pięknie, prawie nierzeczywiście. Stosy doskonałych banknotów. Wszystkie są różowe i pastelowofioletowe, z maleńkimi żółtymi i białymi gwiazdkami. Wyglądają magicznie. Wyjątkowo. Wyciągam jedną pięćsetkę i oglądam uważnie, sprawdzam znak wodny pod światło. Pocieram palcami: wydaje się bardzo

prawdziwy. Gładki, szeleszczący, autentyczny! Wyjmuję zwitek i zaczynam liczyć.

– Pięćset, tysiąc, tysiąc pięćset, dwa tysiące...

– Betta!

– Ćśś, Nino! Próbuję liczyć. No i muszę zacząć od nowa. Pięćset, tysiąc...

– Przyniesiesz mi w końcu tę zasraną piłę?

Patrzę na Nina i przewracam oczami.

– Okej. Już idę, idę.

Wrzucam pieniądze z powrotem do walizki, zgniatam papierosa w porcelanowej wazie. Drobinka tytoniu nadal się żarzy, migocze; smuga białego dymu wije się, blednie, znika.

– Pospiesz się. Musimy się stąd zmywać. – Nino ociera czoło wierzchem zakrwawionej dłoni, pozostawiając na twarzy czerwony ślad. Wygląda sexy, jak u Rambo albo coś w tym stylu. Jakby właśnie wrócił z Wietnamu.

– Salvatore miał piłę łańcuchową. Skoczę do niego. – Zrywam się z kanapy i ruszam ku drzwiom.

Zaraz. Po co mu piła?

* * *

Żółć podchodzi mi do gardła; kwaśny, piekący, surowy posmak. Przełykam z powrotem. Nino nie może zobaczyć jak rzygam. Wstrzymuję oddech i liczę do dziesięciu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... Nie pomaga. Nadal jest mi niedobrze. Pomagam mu przytrzymać nogę, czuję wibrowanie ostrza. Udo jest śliskie od krwi; skóra zimna i wiotka. Piła buczy i wgryza się w kość: brzmi jak paznokcie na tablicy. Wycie wiertła dentystycznego. Oczy nabiegają mi łzami od smrodu przypalanej skóry i dymiącej kości. Jak schabowe na grillu. Piła kaszle i pluje; kość udowa przecięta na dwie części.

Przywlekliśmy tych dwóch z podjazdu i położyliśmy ich na dywanie obok księdza. Nino robi potworny bajzel; ubranie całe ma upaprane krwią, odpryskami kości, kawałkami mięsa. Dywan jest przesiąknięty krwią. Śmierdzi tu jak w rzeźni: żelazem i strachem. I benzyną z piły łańcuchowej. Obok stoją trzy duże walizki i rolka worków na śmieci. Powkładaliśmy ich do walizek, ale się nie mieścili. Nino już robił to wcześniej: szybko mu idzie z tą piłą, a tnie tylko jedną ręką. Ostrze wchodzi w ciało jak w masło. Układamy fragmenty ciał w walizkach: głowy, ręce i torsy na dnie, nogi na górze. Ludzki tetris. Cuchnie surowym mielonym mięsem. Smak krwi unosi się w powietrzu.

– Pomóż mi pociąć dywan – mówi Nino.

Piłujemy dywan na kwadraty i wciskamy je do walizek razem z ciałami. Na górę jeszcze trochę worków na śmieci, a potem zapinamy walizki. Odwracam się do Nina i przyglądam się jego spryskanej krwią twarzy. Ma krew na wąsach. Potem patrzę w dół, na swoje ciuchy: przemoczone i nasiąknięte krwią. Stanik jest do wyrzucenia.

– Idę się przebrać – mówię.

Wchodzę na górę na palcach – Ernie dalej śpi, nie chcę go obudzić – i przemykam się wzdłuż korytarza do sypialni Beth. Zdejmuję ubranie w łazience i zmywam krew w umywalce. Różowe kropelki przyskają na lustro. Zmywam je ciepłą wodą i pakuję brudne ciuchy do worka na śmieci; potem gdzieś je wywalimy. Łapię bluzkę z garderoby Beth: czerwoną, żeby nie było widać krwi. Jest karminowa, jedwabna, z rozkloszowanymi rękawami. Kobieca, luźna, miękka. Chyba widziałam ją w zeszłym tygodniu na Zalando. Wciągamy przez głowę. Pasuje idealnie. Do tego złote sandały od Prady i superkrótkie szorty Balenciagi. Wiem, wiem, cellulit. Ale wiecie co? Jebać cellulit. I tak w nich pójdę. Są ładne. Pasują mi. Podobają mi się.

Znajduję jeszcze jedną walizkę i wrzucam do niej trochę sukienek, bluzek

i spódnic; ten zestaw od Dolce & Gabbana, który mi się tak podobał. Parę szpilek od Jimmy'ego Choo. Pasek od Diora. I oczywiście kieckę od Roberta Cavallego Beth. Potem pędzę z powrotem do sypialni i wyciągam z toaletki Beth całą biżuterię. Wrzucam wszystko do walizki. Chowam diamentowy naszyjnik z powrotem do szkatułki i też pakuję. Czy potrzebny mi Mr Dick? Nie, teraz mam Nina. Chowam dildo na dnię szuflady. Żegnaj, kochanku. Sprawdzam, czy mam paszporty: swój i Beth, i już jestem gotowa do wyjścia. Prawie.

Musimy uciekać, ale nie możemy zabrać ze sobą tego obrazu.

Wywlekam płótno z domu na patio. Tym razem nie jestem już taka ostrożna; i tak go nie sprzedamy. Niedaleko stoi grill ze stali nierdzewnej, da radę. Muszę pociąć obraz, żeby się zmieścił, ale po tych wszystkich ciałach skończyła się nam benzyna w pile. Zostawiam obraz na patio, biegnę do kuchni. Przetrzęsam szufladę ze sztućcami i chwytam najostrzejszy nóż, jaki udaje mi się znaleźć. Metal brzęczy; mam nadzieję, że nie obudzi Erniego. Ale jeśli przespał strzelaninę, to pewnie też prześpi.

Pędzę z powrotem na patio i kucam na posadzce przed obrazem. Przecinam Jezuska, twarz Dziewicy Maryi, anielskie skrzydła. To ciężka praca; płótno jest twarde. Ostrze skrzypi i piszczy. Odwracam obraz poziomo i tnę w pół faceta w złotych szatach. Dekapituję Maryję, odcinam głowę krowie. Przepoławiam gościa w zielonej koszuli i brodatego pasterza. Kiedy kończę, cała jestem spocona. Ramię mnie boli. Rzucam nóż na ziemię, siadam i patrzę na obraz. Zmienił się w stosik mniejszych kawałków, które powinny zmieścić się w grillu. Mam nadzieję, że ksiądz miał rację, bo inaczej właśnie pocięłam dwadzieścia baniek. Walić to. Już za późno. Przynajmniej mam pieniądze.

Układam fragmenty obrazu na grillu, potem wyciągam papierosy i zapalniczkę. Zapalam papierosa i zaciągam się głęboko: ach, od razu lepiej.

Wylewam całą zawartość mojej zippo na płótno, rzucam na wierzch papierosa i patrzę, jak płonie. Powoli, powolutku, papieros świeci na pomarańczowo, potem na czerwono, a potem rozsypuje się na popiół. Ogień wypala czarną dziurę w płótnie; krawędzie jaśnieją bielą, potem złotem, aż wreszcie płomienie unoszą się wyżej. Ogień powoli się rozprzestrzenia, różnokolorowe farby zaczynają chwytać. Przyglądam się, jak płomienie zmieniają kolor: niebieskawobiały, potem biały i jasnoczerwony, potem niebieskawozielony. To pewnie związki chemiczne w farbach. Miedź, ołów, cyna. Z grilla unoszą się ostre, toksyczne opary. Śmierdzi paloną szmatą. Żar uderza mnie w twarz, piecze w oczy. Gęsty dym wije się i znika. Kiedy już cały stos ładnie płonie, odwracam się plecami do ognia.

* * *

Nino zdrową ręką wyciera podłogę. Na szczęście jest wyłożona kafelkami, a nie drewnem. Nino mówi, że nie da się wyciągnąć plam po krwi z drewna. Teraz już prawie nie ma śladu. Emilia zauważy, że dywan zniknął, ale nie będzie wiedziała dlaczego. Jest coś bardzo seksownego w widoku mężczyzny myjącego podłogę mopem. Intensywna koncentracja. Regularny rytm, w przód i w tył. Przyglądam się, jak szoruje kafelki z krwią na rękach, na twarzy i na koszuli. Jest mokry od potu. Wciska mopa z powrotem do wiadra.

– Potrzebne mi jakieś ciuchy – oznajmia. – Idę wziąć prysznic, a potem spadamy stąd.

Podłoga jest nieskazitelnie czysta. Walizki czekają pod drzwiami. Odwalił niezłą robotę, biorąc pod uwagę, że używał tylko jednej ręki. Przynajmniej przestał miauczeć, że go boli – kokaina chyba podziałała.

Wybieram mu ciuchy Ambrogia: parę niebieskich dżinsów, czarną koszulkę polo i skórzaną kurtkę – jest tak miękka, jakby była z masła. Wciągam głęboko powietrze w nozdrza i zamykam oczy. Szafa Ambrogia

pachnie Ambrogiem: Armani Code Black. Pamiętam, kiedy go poznałam, kiedy wszedł do tego baru w college'u Beth. Pamiętam, jak tańczyliśmy tamtej nocy w Oksfordzie; miał ruchy jak Jagger. Potrząsam głową i zamykam szafę. Nie myśl o Ambrogium, Alvie. Ambrogia już nie ma. Śpi z rybkami. Została po nim mokra plama. Nie był tym facetem, za którego go uważałaś. Nie był zbyt fajny.

Nino bierze ciuchy do łazienki. Kiedy odkręca wodę, rozlega się niski szum. Siedzę przy stoliku w sypialni Beth z twarzą w dłoniach. Mam suchą skórę. Złazi mi naskórek z czoła. To przez ten upał; przez stres. Nakładam na twarz więcej Crème de la Mer Beth. Podkradam jej trochę kremu pod oczy. Powinnam iść do Cristiny Włosy Uroda na maseczkę, ale nie teraz. Musimy się stąd zmywać.

Wychodzę na korytarz i idę do pokoju Erniego. Dalej świeci się nad nim lampka nocna: mały księżyc. Rzuca błękitną poświatę na jego śpiącą buzię. Wygląda tak spokojnie, jak aniołek. Jak mały Jezusek. Wokół niego leżą rozsypane miękkie zabawki. Śliczna karuzela z puszystymi białymi chmurkami. Ernie jest taki słodki, kiedy nie płacze. Głaszczę jego miękkie policzki koniuszkiem palca, odgarniam mu z czoła kosmyk włosów. Lubię patrzeć, jak śpi; jest taki czysty i niewinny. Zaczniemy razem nowe życie: ja, Ernie i Nino. Stworzymy sobie nowy dom w jakiejś miłej części Londynu. Jak tylko uciekniemy z tej porąbanej wyspy, wszystko będzie dobrze. Będziemy zupełnie bezpieczni.

Wyjmuję go z łóżeczka i wkładam do nosidelka. Jak on się zmieści w lambo? Tam są tylko dwa siedzenia. Chyba nie ma dość miejsca. Ernie nie zmieści się do samochodu! Wiem, że Nino chciał zabrać swój wóz, ale nie ma takiej możliwości, żebyśmy zostawiła klasyczną Miurę vintage na tym zasranym podjeździe!

Słyszę trzask drzwi wejściowych. Szlag. Kto to? Nino dalej jest pod

prysznicem na piętrze. Moja matka? Gangsterzy? Kurwa, psy? Wyglądam przez barierkę: w holu stoi Emilia, zagubiona i mokra od deszczu. Emilia. Świetnie. Nadal nie najlepiej, ale przynajmniej ona nie jest śmiertelnie niebezpieczna. Zbiegam po schodach z Erniem w nosidełku. Jest cięższy, niż zapamiętałam. Plastik obija mi się o kostki, obciera łydki, tłucze o kość. Z trudem schodzę na dół. Emilia się odwraca i patrzy, jak biegnę. Na jej pomarszczonej twarzy maluje się niepokój. Ścisną brązową skórzaną torebkę. Włosy ma rozsypane na ramionach. Na nogach ma żyłki.

– Emilio, eee, wszystko w porządku? Wyglądasz trochę...

– *Signora*, ja słyszała strzały! A teraz... ja jestem... *preoccupata*!

Rozgląda się wokół, jakby spodziewała się zobaczyć gangsterów. Wykręca dłonie, przygryza wargę. Strzela oczami po korytarzu na lewo i prawo. Patrzy, jak podchodzę do niej z dzieckiem. Kładę nosidełko na podłodze między nami. Potrząsam ręką i rozcieram kostkę. Mam na nodze zadrapanie; nawet poleciała odrobina krwi. Dłoń mam obolałą od ciężkiego uchwytu. Jakie to jest kurewsko ciężkie. Emilia gapi się na moją dłoń. Och, szlag, jestem Beth. Mam być praworęczna; użyłam nie tej ręki. Jak mogłam zapomnieć? Nie jestem pewna, czy Emilia zauważyła. Nie to. Nie teraz. Musimy uciekać. Poważnie, nie mam czasu. Zaryzykuję...

– Emilio – mówię, chwytając jej przedramię. Ściskam mocno. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Potrzebuję twojej pomocy.

Emilia wciąga gwałtownie powietrze. Robi kilka kroczków w tył i opiera się o kławkę.

– *Ma perché?* – pyta. – Dlaczego?

– Słyszałaś strzały?

– *Sì!* Co się stało? Czy z Ernestem wszystko dobrze?

Nachyla się nad nosidełkiem i zagląda do środka. Mały patrzy prosto na nas i ssie smoczek. Jak dla mnie wygląda na całkiem zadowolonego.

– Erniemu nic nie jest, ale musimy stąd uciekać...

– Mam się nim zaopiekować?

– A mogłabyś?

– Oczywiście, oczywiście, ale dokąd pani jedzie? – Emilia znowu się schyla i owija dziecko kocykiem, wkłada mu bladobłękitny wełniany materiał pod samą brodę. Ernie przytula swoją pluszową owieczkę.

– Och, musimy wyjechać z miasta. Niedługo wrócimy. Ale posłuchaj, Emilio, to bardzo ważne, nie możesz zostać w willi. To zbyt niebezpieczne. Przyjaciele mojego męża...

– *Mamma mia...* Ja dzwonię na policję! – Emilia zasłania usta dłońmi.

– Nie! Nie, nie rób tego. Po prostu zostań w domu. Rozumiesz? Idź do domu z Ernestem. Dopilnuj, żeby był bezpieczny.

Emilia owija się ciaśniej szlafrokiem i obejmuje się mocno w pasie, pociera ramiona dłońmi. Teraz trochę żałuję, że ją tak przestraszyłam. Trochę, ale bez przesady.

– Nie martw się, Emilio. Wszystko będzie dobrze, tylko... proszę... nie dzwoń na policję.

Ona tylko potrząsa głową.

– I nie mów o tym nikomu.

– *Sì, signora.*

– Nikomu, okej? Zadzwoń do ciebie później.

– *Va bene.* Okej.

Spoglądamy na dziecko owinięte kocykiem. Emilia wzdycha.

– *Mamma mia, che bello* – mówi. – Wygląda zupełnie jak jego *mamma*. – Emilia próbuje uśmiechnąć się pocieszająco. Kochana Emilia. Jest jak kochająca matka, której nigdy nie miałam. Jak ta Superniania z telewizji.

– Dziękuję, Emilio. Bardzo mi przykro. Muszę iść.

Przytulam ją mocno, a ona odwzajemnia uścisk. Lubię Emilię. Beth miała

rację: ona naprawdę jest niesamowita. Uratowała mi dupę ze sto razy. W sumie to chciałabym ją z nami zabrać. Ale ona musi zostać z dzieckiem. Kucam przy nosidełku i całuję Erniego w czoło. Serce mi pęka. On jest taki mięciutki, pachnie mlekiem. Chyba się uśmiecha, ale może to tylko gazy. Kłuje mnie w żołądku, łyzy pieką pod powiekami: może już nigdy nie zobaczę własnego dzieciątka! Odwracam się, żeby odejść. Ale Emilia mnie zatrzymuje.

– *Signora*, proszę poczekać!

Sięga do torebki i wyciąga zaklejoną brązową kopertę.

– Pani prosiła, żeby to dla pani zachować? Bezpiecznie? Może zapomniała?

Podaje mi kopertę.

– Och, tak. Oczywiście. Dziękuję, Emilio.

Co jest w środku? Rozrywam papier: dwa bilety na samolot do Londynu na czwartek 27 sierpnia, na godzinę dziewiątą rano. Poranek po śmierci Beth. Jeden bilet jest na Alvinę Knightly, a drugi na Ernesta. Sprawdzam jeszcze raz, ale to wszystko. Nie ma biletu dla biednego Salvatorego. Nie ma biletu dla Elizabeth Caruso (nic dziwnego, że tak się upierała, żebyśmy się zamieniły paszportami). Nie ma biletu dla Ambrogia. No, to chyba już wszystko jasne. Chowam bilety z powrotem do koperty. Moja siostra wszystko to sobie zaplanowała. Chociaż nie mam pojęcia, jak miałoby jej to ująć na sucho. Mój trup dałby jej fory, ale nie kupiłby jej aż tak wiele czasu. No ale w kryzysie nie można się cofać przed drastycznymi rozwiązaniami. Nawet ja już o tym wiem.

– Dziękuję, Emilio. Bardzo mi pomogłaś.

Ostatni raz spoglądam na Erniego. Mam supeł w gardle. Nie chcę go zostawiać. Nie zabrałam go na plażę. Może moglibyśmy go zatrzymać... Ale przypominam sobie o lamborghini: naprawdę kocham ten samochód.

Emilia chwyta nosidełko z dzieckiem, a ja odprowadzam ich na podjazd, aż do drogi. Deszcz ustał, ale wciąż jeszcze siąpi drobna mżawka. Zimna mgiełka mrozi moją poparzoną słońcem skórę.

– Wszystko dobrze, *signora*, nic nikomu nie mówię. – Emilia przykłada palec do ust. – Ćśś.

Patrzę za nią, aż znika z dzieckiem za zakrętem. Mam wrażenie, że Emilia o wszystkim wie. Wie, kim jestem. Wie, że Salvo nie żyje. Pewnie mogłabym ją zabić, ale wiecie co? Naprawdę nie chcę tego robić. Dobrze sobie radzi z małym. Czuję, że mogę jej ufać. Myślę, że dochowa tajemnicy. Szybciej i łatwiej będzie po prostu ulotnić się z miasta. Wrócę po Erniego, kiedy to wszystko przycichnie. Kiedy już będzie bezpiecznie.

Zamykam za sobą drzwi wejściowe do willi. Nagle jest cicho. Zbyt cicho. Już tęsknię za swoim syneczkiem. Za jego pyzatyimi policzkami, filuternym uśmieszkiem... Sprawdzam iPhone'a Beth. Żadnych nowych wiadomości. A co z moją matką? Nie przyjeżdża? Jest jeszcze w samolocie z Australii. Ja pierdołę, to będzie katastrofa. Ona zawsze potrafiła odróżnić mnie od Beth. Może powinnam ją ostrzec? Tu jest strefa wojny. Ale co ja miałabym jej powiedzieć? Tu jest jak w *Chłopcach z ferajny*. Jak w *Rodzinie Soprano*. Nie miałyby zielonego pojęcia; ona ogląda tylko jakieś zasrane *Bake Off*. Nie miałyby pojęcia, o czym mówię. Nie chcę z nią rozmawiać, a co dopiero na nią patrzeć. Ale jeśli jej nie powstrzymam, przylezie do willi i to będzie moja wina, jeśli ktoś jej strzeli w łeb...

Chodzę tam i z powrotem po korytarzu. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. To jest bardzo ważna decyzja. Ona może się tu pojawić za minutę, za godzinę. W sumie... przydałoby się mieć ją z głowy. Nie, muszę ją ostrzec. Ostrzec? Nie ostrzec? A może po prostu rzucę monetą?

Dajcie mi jeden dobry powód, dla którego nie powinnam jej zabić. Bo jest moją matką?

Muszę ją ostrzec, tak należy zrobić.

Ale z drugiej strony, może niekoniecznie...

Otwieram drzwi i wracam do salonu. Nino rzuca się po całym pomieszczeniu, czegoś szuka. Za kanapami, pod stołem, za zasłoną...

– Gdzie on jest?

– Co? Obraz?

No ludzie kochani, znowu to samo? Zaraz stracę cierpliwość. Nino przerywa poszukiwania i stoi z ręką na biodrze. Dyszy. Czeka. Jego twarz wykrzywia wkurzony grymas. Nie wygląda na zadowolonego, ma minę jak królowa Wiktorja.

– Betta. Co ty odpierdalasz? Co z nim zrobiłaś?

– Był fałszywy, więc go spaliłam. Nie możemy zabrać go ze sobą. I nie możemy go tu zostawić. – Patrę, jak twarz Nina przybiera morderczo czerwony kolor.

– Źe, kurwa, co?

Nino łapie mnie za gardło i wali mną o ścianę. Uderzam tyłem głowy o tynk. Czuję jego gorący, mokry oddech na twarzy. Ścisza mnie za szyję, przydusza całym ciałem. Potem chwytą za pistolet i wbija mi lufę w miękką tkankę pod szczęką.

– Powiedz to jeszcze raz, co ty, kurwa, zrobiłaś?

– N-n-nie wiem, Nino, proszę! Puść mnie.

– Obraz?

– Nie... nie! – Kręcę głową. Skóra zaczyna mnie swędzić od potu. Nogi mi się trzęsą. Kurwa.

Zimny metal wbija mi się w podgardle. W głowie mi huczy, skronie pulsują.

– Nino! Nino! Nie strzelaj! Nie strzelaj!

– Gdzie on jest? – powtarza Nino. Zaciskam powieki.

– To podróba... Ksiądz powiedział...

– Czy ty go, kurwa, podpaliłaś?

– Jest... w ogrodzie.

– Pierdolone dwadzieścia baniek podpaliłaś?

Nino wbija mi lufę mocniej w gardło, przyciska mi stal do szczęki. A potem nagle mnie wypuszcza. Odwraca się i pędzi do ogrodu.

– To podróba, do kurwy nędzy! – wołam za nim.

Opadam na podłogę i zachłystuję się powietrzem. Rozcieram szyję. Nino jest seksowny, kiedy się złości.

* * *

– Szlag! Co to jest? – Krzyczę, hamując gwałtownie. Nie podoba mi się ten van. Jeśli go skasuję, będziemy mogli wrócić po lambo.

Samochód wchodzi w poślizg, zarzuca i trzaska w drzewo. Nino i ja lecimy na szybę, ale pasy nas przytrzymują. Coś się tłucze. Dźwięk pękającego szkła. Rozwaliłam reflektor, co najmniej. Walizki z ciałami dudnią w bagażniku, a walizka z pieniędzmi, diamentami Beth i naszymi ciuchami spada z tylnego siedzenia.

– Kurwa, co to było? – mówi Nino, przytrzymując ramię zdrową ręką.

Rozcieram szyję. Chyba coś sobie naderwałam. Musiałam szybko jechać.

– Tam na drodze, widziałam, że coś się rusza.

– To czarne?

– To czarne.

– To wąż.

– Tak myślałam! Obrzydliwe!

Nino patrzy na mnie. Gdyby wzrok mógł zabijać...

– Rozjechałaś mi samochód przez węża?

– Przez węża na drodze. I nie rozjechałam. Tylko stuknęłam. Od tego są

zderzaki.

– Masz świadomość, że się nam spieszy?

– Czy on jest jadowity?

– Są tu ludzie z bronią, którzy chcą nas znaleźć i zabić.

– Co to za wąż?

– Czy ty mnie słuchasz?

– Co to za wąż?

– Rozum ci odjęło?

– Okej, dobra! Tak tylko się zastanawiam. Nigdy nie widziałam węża na wolności. Jest jadowity?

– A chuj cię to obchodzi? Jesteś w samochodzie.

– Dobra. Okej.

– Ja jestem jadowity.

– Spoko.

– Po prostu jedź.

– Okej.

– Będziesz prowadzić? Na pewno?

– Tak.

– Nie chcesz wysiąść i się zaprzyjaźnić z wężem?

– Nie. Po prostu go rozgniotę. Jedziemy.

Cofam spod pnia, wjeżdżam na drogę i na węża. Uch, rzeczywiście coś sobie naciągnęłam. Nie mogę ruszać głową w lewo ani w prawo. (Może troszkę zbyt przekonująco przywaliłam w to drzewo). Nino zaciska zdrową rękę na siedzeniu, aż mu bieleją kostki.

– I patrz, jak jedziesz. *Cristo!* – dodaje. – W tym kraju jeździmy po prawej.

DZIEŃ SIÓDMY

Pycha

Seks, dragi i mordowanie: czego tu nie lubić?

@Alvinaknightly69

Rozdział trzydziesty dziewiąty

TO PRZEZ BETH miałam wypadek.

Kiedy byłam mała, zmieniłam sobie imię na Matylda. Wiecie, jak ta dziewczynka z książki Roalda Dahla? Matylda miała magiczne moce.

Nie zmieniłam imienia oficjalnie, nie poszłam do urzędu ani nic takiego, po prostu powiedziałam o tym dzieciom w szkole i na placu zabaw. Niektóre nawet zaczęły mnie tak nazywać.

Wszystko zmieniło się w dzień naszych siódmych urodzin.

Beth zostawiła swoją nową hulajnogę na chodniku przed domem, a ja nie byłam w stanie oprzeć się pokusie. Bo widzicie, nie miałam własnej. To był prezent urodzinowy od mamy dla Beth. Obłędnie piękna, lśniąca czerwona hulajnoga. Po prostu tak sobie stała, czekała, błagała, żebym wzięła ją na przejażdżkę.

Więc na nią wskoczyłam i popędziłam ulicą. Beth stała na chodniku z grupką dzieciaków ze szkoły. Ze swoimi przyjaciółmi. Tymi popularnymi. „Szybciej, szybciej!” – krzyczeli wszyscy. No to rozpędziłam się jeszcze bardziej: żwir pryskał na boki, kółka piszczały, policzki rozciągały mi się od wiatru. Pierwszy raz w życiu czułam się wolna. Prułam, leciałam, może czterdzieści, może pięćdziesiąt na godzinę? Dobra w tym jestem, pomyślałam, naprawdę fenomenalna. Mam chyba wrodzony talent...

– Stój! – krzyczała Beth. – Wracaj, Alvie! Mama cię zabije! Tam są samochody!

Była po prostu zazdrosna, bo zabrałam jej hulajnogę. Nie chciała dać mi się przejechać. Prawie dotarłam do końca ulicy, ale wtedy nagle... no

właśnie, co to było?

Krawężnik?

Nie wiem.

Przeleciałam nad kierownicą i trzasnęłam głową o chodnik, rozbijając czaszkę na czubku głowy, trochę po prawej stronie.

TRACH!

A potem nic.

Kiedy się ocknęłam, w ustach miałam smak żelaza, a w uszach własny wrzask. Byłam tylko dzieckiem; nie rozumiałam, o czym mówią lekarze. Nie wiedziałam, co to jest „kora przedczołowa”. Nic nie miało sensu. Chciałam tylko oderwać sobie głowę i wyrzucić ją jak najdalej, żebym mogła się trochę przespać.

Ból był potworny. Nie do opisanja: jak wiertło wdzierające mi się do mózgu, dzień i noc, noc i dzień, i znowu dzień i noc. Spędziłam w szpitalu długie tygodnie. Rzygałam, płakałam, wyrywałam sobie włosy, leżałam podpięta do kroplówki, w której chyba była morfina, godzinami gapiłam się nienawistnie na fosforyzujące gwiazdki, które jakiś palant przykleił do sufitu. Mama oczywiście dostała szału. Powiedziała, że to nie moja hulajnoga, że jechałam za szybko, że to wszystko moja wina, bla, bla, bla. Elizabeth nigdy nie zachowałaby się tak głupio. A następnie kupiła mojej siostrze kask.

Kiedy ponad miesiąc później wróciłam do szkoły, powiedziałam wszystkim dzieciom, że jestem magiczna. Pytały, gdzie byłam i co mi się stało, więc coś zmyśliłam. Nie chciałam im mówić, że leżałam w łóżku i gapiłam się na gwiazdki, podpięta do rurek. Kij wam w dupę, skłamałam. Miałam bliznę na głowie, bo wlewali mi tędy eliksiry i odprawiali zaklęcia. Miałam magiczne moce, jak Matylda w tej książce; byłam wyjątkowa. Potrafiłam unosić ołówki do pionu wzrokiem i sprawić, żeby kreda sama zaczęła pisać po tablicy. Nie musiałam niczego udowadniać; po prostu tak

mówiłam i to była prawda.

Po jakimś czasie wszyscy zapomnieli o całej sprawie, ale ja nadal miałam gdzieś pod włosami bliznę. To była moja błyskawica, jak w *Harrym Potterze*. Litera S, jak u Supermana. Jestem jak Samson przed Dalilą. Źródło mojej mocy: niezwykła siła. Ten seryjny morderca, Fred West, miał taką samą! Może to dlatego jestem, jaka jestem? Może to dlatego nic mi nigdy nie wychodziło? Czy to dlatego jestem tą złą? Co, jeśli chodzi o to, a nie o serce po niewłaściwej stronie? Może gdyby to Beth uderzyła się wtedy w głowę, po przebudzeniu to ona byłaby mną? I miałyby moje żalosne życie? A ja miałabym jej?

Ale przecież teraz to ja mam jej życie!

A ona była złą osobą!

To nie było tak czarno-białe, jak sądziłam. Bardziej zniuansowane, jak *Pięćdziesiąt twarzy Greya*.

Beth nie była aniołem, a ja nie jestem diabłem. Jak mnie bliżej poznać, to jestem całkiem miła. Nie żeby komuś się chciało. Szukam blizny na głowie. Mhm, dalej tu jest. Czuję pod palcami wgniecenie w czaszce i dziwnie wzniesiony, zbity kawałek skóry.

Możecie dotknąć, ale musicie mówić mi Matylda.

* * *

Niedziela, 30 sierpnia 2015 r., 5 rano

Taormina, Sycylia

– Potrzebujemy więcej, bo nie zatoną.

– Kurwa mać, słońce już prawie wstało, zaraz ktoś nas zobaczy.

– Nie możemy ich tak wrzucić. Wypłyną.

– Nie możemy tu stać w pełnym słońcu z walizką wypchaną martwym

księdzem. Dlaczego akurat tu przyjechaliśmy?

Nino i ja stoimy na plaży i wypychamy walizki kamykami.

Nie ma tu żadnych dużych głazów, więc wrzucamy całe garście drobnych kamyczków. W walizkach jest niewiele miejsca, ale Nino twierdzi, że musimy je dociążyć. Z biegiem czasu ciała wypełniają się gazem i wypływają na powierzchnię. Podobno. Kamyki są chłodne i wilgotne po nocy. To trwa całą wieczność. Zagarniam kamyki i wrzucam do walizki, wpadają z głośnym stukotem. Rozglądam się po plaży, żeby sprawdzić, czy ktoś nas słyszał, ale nikogo tu nie ma. Nino zamyka drugą walizkę i pomaga mi napełnić ostatnią. Staję z rękami na biodrach i łapię oddech. Kiedy patrzę na morze, dostrzegam wysepkę przyłączoną do wyspy wąską ścieżką.

– Co to? – pytam, wskazując na czarną masę lądu wynurzającą się z wody.

– Isola Bella. Myślisz, że kim ja jestem? Jakimś zasranym przewodnikiem? Betta, jak ty możesz jeszcze tego nie wiedzieć? Wychodziłaś w ogóle czasami z tej swojej willi?

Nino wskazuje głową na walizkę. Chyba chce, żebym mu pomogła. On nadal ma mnie za Beth. Dawaj, Alvie: bądź bardziej Beth.

Wyspa jest pewnie ładniejsza w świetle dziennym, ale teraz, na godzinę przed wschodem słońca, wygląda jak jakiś morski potwór, wynurzający się z głębin. Słońce zaczyna wychylać się zza horyzontu, a wyspa rzuca teraz długi, czarny cień, ciągnący się ku naszej plaży. Zapalam papierosa i wypuszczam dym w stronę wody, uważnie przyglądając się widokowi.

– Beth! CHODŹ TU.

Chyba chce, żebym się pospieszyła.

Nachylam się, zgarniam jeszcze trochę kamieni i wrzucam do walizki, żeby Nino widział, że pomagam, że jestem pożyteczna.

Patrzę na niego i widzę coś za jego ramieniem. Wciągam gwałtownie powietrze. Sylwetka mężczyzny, biegnącego wzdłuż brzegu, nad samą wodą.

Zbliża się. Szlag. Opuszczam wieko walizki i szybko zapinam.

– Nino – mówię, wskazując za niego. – Mamy towarzystwo.

Podbiega do nas pies, szczeka i macha ogonem. To niechlujny kundel z potarganym szarym futrem; pływał w morzu. Jest bardzo zainteresowany zawartością naszej walizki. Dostaje świra, szczeka, obwąchuje, drapie wieko. Jego właściciel podbiega bliżej.

– *Silvio! No! Scusa mi* – woła. Pies skomle, chwilę się waha, stoi z uniesioną łapą, po czym zaczyna kręcić się w kółko, goniąc własny ogon.

– *Silvio!* – Zwierzak odbiega. – *Scusa mi. Buongiorno.*

– *Buongiorno* – odpowiada Nino, machając niechętnie.

Ja tylko stoję i obserwuję faceta, paląc papierosa. Biegacz i pies się oddalają. Robią się coraz mniejsi. Patrzę na Nina.

– Daj mi swój pistolet.

– Co? Nie.

– Daj. W moim skończyły się naboje.

– Mowy nie ma – protestuje Nino.

– Trzeba go zabić. Szybko! Oddała się!

– Nic nie widział.

– To wygląda w chuj podejrzenie...

– Nikogo więcej dziś nie zabijamy.

– Szkoda.

– Chyba że będzie chciał nas zabić pierwszy.

– Okej. Niech ci będzie. Wszystko jedno. Ale moglibyśmy chociaż psa zastrzelić?

Pstrykam niedopałkiem w stronę morza. Nino chwyta kolejną porcję kamieni i dorzuca do walizki.

– Jesteśmy geologami, zbieramy tu próbki – oznajmia.

– O piątej rano?

Trzeba było po prostu złapać gnata i go zastrzelić. Widział mnie. Mógł mi się dobrze przyjrzeć...

Kiedy walizki są już wypchane kamykami, zapinam wszystkie i razem ciągniemy księdza po plaży w stronę minivana. Jest kurewsko ciężki. Jeszcze cięższy niż Ambrogio. Co chwila musimy odstawiać walizkę na piasek, żeby złapać oddech. Nino z jedną ręką na nic się nie przydaje. Jest do niczego. Serio, szybciej bym to sama zrobiła. Wreszcie nadludzkim wysiłkiem ładujemy walizkę do bagażnika i biegniemy z powrotem po pozostałe dwie. Jestem wykończona. To się bez dwóch zdań liczy jako trening. Czuję się jak olimpijska sztangistka. Spalam więcej kalorii niż przy bieganiu albo pływaniu, o zasranym pilatesie nawet nie wspominając. Wciągamy walizki z typami z mafii na tę z księdzem. Dopiero wtedy Nino patrzy na samochód.

– Kurwa mać, coś ty zrobiła?

Przód wozu zwisa krzywo. Tablica rejestracyjna pęknięta. Reflektory potłuczone. Nie wygląda dobrze. Udało się!

– Och. Tylko lekko stuknęłam...

– Jest kompletnie rozjebany, nie możemy tak jechać. Policja nas zatrzyma.

– Nino ściąga resztki rozwalonego zderzaka i wrzuca je na tyle siedzenie. Super.

– Ojej, straszna szkoda. Będziemy musieli wrócić po lambo...

– Betta. *Madonna!* Oszaleję z tobą!

Wsiadamy do samochodu. Staram się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie.

* * *

– Znam takie miejsce, gdzie możemy je wywalić – mówi Nino. – Skręć w lewo.

Wjeżdżam w ostry zakręt; zarzuca nas na bok. Nino wali o drzwi. Chwyta

się za ramię, tam, gdzie go postrzelili, i posyła mi paskudne spojrzenie. Jazda ze mną jest jak przejażdżka na kolejce górskiej: jak Oblivion, Nemesis czy Galactica w Alton Towers. Błagam, co mu znowu nie pasuje? Moja opaska uciskowa od Yves'a Saint Laurenta jest już cała przemoczona. Krew przecieka i spływa mu po ramieniu. W samochodzie śmierdzi jak w mięsnym.

– Uch! – stęka Nino. Ściąga koszulę z ramienia.

– Po co to zdejmujesz? Wszystko zakrwawisz – protestuję. – Zaraz mnie upaśćkasz, a ja dopiero co się przebrałam. To jest Versace. Dokąd teraz?

– Prosto. Podaj mi to – mówi, wskazując zdrową ręką pognieciony T-shirt. Ściągnął go jednemu z tych typów, zanim ich pokroił. Jestem pod wrażeniem jego zapobiegliwości.

– Nino, prowadzę. Sam go sobie weź.

– Prowadzisz? Gdybym nie miał rozjebanej ręki, tobym ci pokazał, jak się prowadzi. Jeździsz jak baba.

– Bo jestem babą.

– Okej.

Nino znów stęka. Dociskam gaz. Silnik ryczy. Uderzam potylicą o zagłówek. Zobaczmy, jak szybko dam radę jechać.

– Uch! – jęczy Nino. Znowu.

To on zachowuje się jak baba. Boi się ze mną jechać. Miauczy, że rączka go boli. Nawet nie jest tak poważnie ranny. Ten pocisk ledwo go drasnął.

– Kiedy wywalimy ciała, wracamy po lambo – oznajmiam. – Ten twój van jest do dupy.

– To mercedes! I był świetny, dopóki go nie rozwaliłaś. – Nino wychyla się do tyłu i sam chwyta koszulkę. Owija ją sobie wokół ramienia, chwyta jeden koniec zębami i mocno zaciska węzeł. Ociera pot z czoła zdrową ręką.

– Zatrzymaj się – mówi. – To tutaj.

Daję po hamulcach.

Parkujemy na moście. Jesteśmy co najmniej piętnaście metrów nad wodą. Jest chłodno, wieje wiatr. Otwieram drzwi i wysiadam z samochodu. Fale rozbijają się o skały pod nami, pryska biała piana. Czuję w ustach smak soli i jodu. Patrzę w dół przez barierkę: głęboka, czarna woda. Ciekawe, ile trupów tam zalega. To idealne miejsce, żeby się ich pozbywać. Mam wrażenie, że Nino robił to już wcześniej. Męczymy się z walizkami, ale w końcu udaje nam się przetrząść je przez barierki, jedną po drugiej. Wpadają do wody z pluskiem, rozbryzgują wodę i powoli toną, zostawiając za sobą ślad z bąbelków. Coraz głębiej, głębiej, głębiej. Odwracam się, ale nie widzę za sobą Nina. Już siedzi w samochodzie. Jak on to robi? Chodzi cicho jak duch. Jak seksowny duch, Patrick Swayze w tym filmie, nie pamiętam tytułu.

Wracam do auta. Nie mogę się doczekać przesiadki do lambo! Ciekawe, ile wyciąga. Ambrogio jechał 180, ale ja chcę więcej. Pokażę Ninowi, jak szybko jeździ baba. Do wieczora będziemy w Londynie.

* * *

Odjeżdżamy spod willi i pełzniemy przez podjazd w chmurach dymu z płonącego obrazu. Żegnaj, *La Perla Nera*. Koniec. Do widzenia. *Arrivederci*. Ciekawe, kiedy znowu cię zobaczę. Prowadzę lambo na drogę, ale nagle zatrzymuję się z piskiem opon.

– Szlag! Zapomniałam! To zajmie dwie minuty.

Cofam wóz z powrotem na podjazd.

– O czym zapomniałaś? Nie mamy dwóch minut!

– Wiem, wiem. Jedną chwilkę. To tylko... Poczekaj.

Wyskakuję z samochodu i zatrząskuję mu drzwi tuż przed nosem. Nino patrzy na mnie przez przednią szybę i ze zszokowaną miną potrząsa głową.

Pędzę po żwirze, wpadam do willi Elizabeth. Przeskakuję po trzy schody na raz, pruję z prędkością światła. Wbiegam do sypialni Beth. Dobra, gdzie ja go zostawiłam? Wszystko jest wywalone do góry nogami po tym, jak się pakowałam. Wszędzie ciuchy. Bizuteria. Buty. To mi przypomina moje stare mieszkanie na Archway, poza biżuterią, wiadomo. Siadam na łóżku, chowam głowę w dłoniach. Myśl, Alvie, myśl. To ważne. Gdzie ty go zostawiłaś?

Nadal jest w wózku!

Zbiegam z powrotem na parter, lecę przez korytarz. Wózek stoi pod schodami. Wkładam rękę do środka i wyciągam portret Channinga Tatuma, zwinięty w ciasny rulon i wetknięty w posłanie Erniego.

– Przepraszam – mówię, gładząc papier. – Już nigdy cię nie zostawię.

* * *

Przydeptuję pedał gazu. Śmigamy obok amfiteatru, pędzimy przez ogrody i sady cytrusowe. Zapach świeżych cytryn przełamuje metaliczny smród krwi. Dach jest opuszczony, niebo różowieje od pierwszych rumieńców cudownego świtu. Wjeżdżamy w zakręt.

– Tam! – krzyczy nagle Nino.

– Co?

– W lusterku. Nie widzisz? – wrzeszczy.

– Czego nie widzę? Mówisz o tym samochodzie? A kij nas on obchodzi?

– Wiszą nam na ogonie! *Merda!* Źle, że tu wróciliśmy. Trzeba było wyjechać wcześniej. – Uderza pięścią o deskę rozdzielczą. Chyba jest zły, że poszłam po obrazek.

– Skąd wiesz, że jadą za nami?

– Zbliżają się. Jedź! Jedź!

Okej, Nino, jak sobie życzysz. Chcesz mieć pościg? Proszę bardzo, będzie wesoło.

Wciskam gaz do dechy. Wiatr smaga mnie po twarzy. Lambo rzuca się naprzód. Przewraca mi się w żołądku. Zerkam w lusterko: za nami pędzi złowieszczy czarny land rover. Kurde. Może Nino jednak ma rację?

– To oni, klan tego księdza! To Don Motisi – krzyczy Nino, zaciskając dłoń na krawędzi siedzenia. Zarzucamy na zakręcie i pomimo starań on i tak uderza ramieniem w drzwi. Wydaje z siebie dziwny dźwięk, trochę pisk, jak kociak w worku na śmieci. Chyba się boi, jak prowadzę. Ja też się boję. Land rover nie odpuszcza, przyspiesza.

– A to Don Rizzo! Och, *Madonna*, już po nas!

Dostrzegam w lusterku dwóch nieprzyjemnych koleś.

– Co mam robić? – pytam.

– Po prostu jedź. Kurwa. Mówiłaś, że umiesz prowadzić.

A czy samochodziki w wesołym miasteczku się liczą? Może troszkę naciągnęłam prawdę... TRACH! TRACH! Nagle rozlegają się strzały, opony piszczą.

– Szlag! – krzyczę. Chyba podrapali mi lakier! Super, teraz będzie trzeba serwisować. Nie podoba mi się to. Przecież to taki piękny samochód.

– Jedź! – wrzeszczy Nino. *Cazzo!*

Przyspieszam do oporu. Żałuję, że włożyłam te idiotyczne szpilki; zapierają się w dywanik. Ledwo mogę w nich chodzić, a co dopiero prowadzić, ale idealnie pasują do szortów.

– Szybciej już nie mogę!

TRACH! TRACH!

Jadę sto sześćdziesiąt na godzinę. Droga się wiję, jest stroma, usiana dziurami.

Zauważam zjazd z drogi i wciskam hamulce.

– Co ty wyprawiasz?

– Zjeżdżam tam.

Wściekle kręcę kierownicą i wpadam za róg w wąską uliczkę wysadzaną drzewami. Stopa ześlizguje mi się z pedału, tracę sterowność. Głupie buty! Lambo kaszle. Opony piszczą. Kwaśny smród palonej gumy. Szorujemy jeszcze chwilę i stajemy.

– Jedź! – ryczy Nino.

– To nie moja wina! To przez te buty! – mówię. – Próbowales kiedyś prowadzić w piętnastocentymetrowych szpilkach?

Odpalam silnik i wciskam gaz; pędzimy uliczką. Ja pierdołę. To jakiś obłąd. W tylnym lusterku widzę land rovera. Jest coraz bliżej, bliżej, bliżej. Szlag.

– Skręć w lewo – mówi Nino. – Ta droga prowadzi do Taorminy.

– Do miasta? Jesteś pewien?

– Zaufaj mi. Jedź w lewo.

Odrzucam włosy z oczu i robię, jak każe. Gnamy przez ciasne uliczki, prosto do Taorminy. Silnik wyje. Land rover nas dogania.

– Teraz w prawo – krzyczy Nino.

To kurewsko ostry zakręt. Opony piszczą. Nad ulicą stoi stary ceglany łuk. Droga jest za wąska. Nie przecisniemy się. Zaciskam powieki i przyspieszam. Lambo szoruje przez wąziutką uliczkę, terkocze na kocich łbach. Boże, lakier! Samochód! Nigdy nie znajdziemy dokładnie takiego samego odcienia czerwieni. Otwieram oczy i widzę, że jesteśmy po drugiej stronie, na małym placyku. Odwracam się i widzę, jak land rover wjeżdża w alejkę. Pióropusze iskier, zgrzyt stali na kamieniu. Auto staje w bezruchu. Faceci w środku szamoczą się z drzwiami, ale nie mogą otworzyć. Zaklinowali się.

– Tak!

– Sì!

Nino przybija mi piątkę.

– Super! Pięknie! Dajesz, Alvie! – wołam.

To było w sumie dosyć łatwe. Co ja mogę powiedzieć? Jestem profesjonalistką.

– Jaka Alvie? – pyta Nino.

– Och, żadna – macham dłonią. Ups.

Chwytam jego pistolet, wstaję i strzelam. Przednia szyba land rovera pęka i rozpada się na drobne kawałki. Każdemu pakuję kulkę prosto w czoło. Dwa doskonałe strzały!

– Super! – mówię.

Z oddali dobiega wycie syren: jazgotliwe, przyprawiające o gęsią skórkę IIJOO, IIJOO. Nino wpatruje się we mnie. Bez uśmiechu.

– Kurwa, ruszaj się!

Wyrzuca oba pistolety z samochodu do morza, gdy znów przejeżdżamy przez most. Już mam zaprotestować, ale widzę jego twarz: wygląda, jakby pękło mu serce. Chyba naprawdę lubił tego gnata. Ale lepiej nie jechać z taką bronią; jeszcze nas złapie drogówka i co wtedy? Nie warto ryzykować. Skopuję buty na dywanik i dociskam pedał gazu. Na bosaka jest łatwiej. Kocham ten samochód.

Rozdział czterdziesty

MOŻE POROZMAWIAJMY CHWILĘ o samorealizacji. Jeszcze tydzień temu moje życie było do dupy. Nienawidziłam swojej pracy. Miałam depresję kliniczną. Para oblechów wywaliła mnie z mieszkania. Kurwa, chciałam umrzeć. A teraz?

Dzień dobry, słonko! Wszędzie wokół są tęcze, motylki i wielkie garnki złota. Odkryłam, co mnie kręci. Jestem w swoim żywiole. I wiecie co? Życie jest piękne.

Alvie. Nareszcie. ŻYJE.

W końcu, wreszcie znalazłam coś, w czym jestem dobra. Lepsza od Beth.

Alvina Knightly: morderczyni.

Zabijać: po to

Przyszłam na świat. Pasuje

Jak druga skóra.

Nie jak ta koszmarne kiecka w kolorze fuksji; ona była tak ciasna, że nie mogłam oddychać. W tamtej pensjonarskiej bezie z fioletowego szyfonu też nie byłam sobą. Może prędeż coś jak moja mała czarna od Louisa Vuittona? W niej czułam się naprawdę dobrze...

Będę krzycheć co sił w płucach: KOCHAM ZABIJANIE. Co ja mogę powiedzieć? Nadaję się do tego. Zabijanie to sztuka jak każda inna; ja jestem w tym szczególnie dobra. Już przecież mówiłam, prawda? Jestem wielką artystką. Caravaggio. Szekspir. Mozart. Knightly.

Przepoczwarzyłam się w morderczego motyla. Jestem cudowną zmierzchnicą trupią główką. W śmierci kryje się pewne piękno, dobre zabójstwo wymaga wyczucia stylu. Miło jest uświadomić sobie własny potencjał. Zajebicie jest go uwolnić. I wiecie, co jeszcze? Ten biznes się opłaca. Musiałabym przepracować ze sto lat w tamtym magazynie, żeby zarobić dwa miliony euro... I co, może jeszcze bym je zaoszczędziła? Za chuja w porcelanie. Pieniądze... samochód... willa... diamenty... Czuję się bogatsza od królowej. Jestem bogatsza niż J. K. Rowling, prezydent Putin, Richard Branson czy Bill Gates. Jestem bogatsza od Taylor Swift i Adele.

To jest lepsze niż wygrana na loterii, bo sama na to zapracowałam. Musiałam się nieźle naharować. Odkryłam własny talent. Znalazłam swoje powołanie. Ale zabijać nie można tak sobie, na prawo i lewo. Trzeba być sprytnym. Trzeba uważać. Cała sztuka w tym, żeby nie dać się złapać.

Gdyby tylko mama i Beth mogły mnie teraz zobaczyć. Gdyby cały świat mógł mnie teraz zobaczyć! Ale może jeszcze tak się stanie? Wiecie co, prawie chciałabym, żeby mnie złapali! Chcę okryć się czarną sławą! Każdy znałby moje imię. Każdy by się mnie bał! Alvie? Och, tak, kojarzę ją, mówiliby ludzie. I uciekaliby w przeciwnym kierunku.

Dziękuję ci, Beth, za tę szansę. Dziękuję, mój kochany Ambrogio. To się chyba nazywa synchronia. Kiedy jesteś na fali, wszystko w życiu wpada na właściwe miejsce. Wszechświat albo Bóg ci pomaga. Wszystko po prostu działa. Wszystko jest super.

* * *

Port promowy w Mesynie, Sycylia

– *Passaporto?*

Waham się. Mam w torebce dwa paszporty, swój i Beth.

– *Passaporto? Carta d'identità?*

Kim ja właściwie teraz jestem? Mogę być Beth albo Alviną. Jest za gorąco na myślenie, zaczynam się pocić. Słońce już weszło i dryluje mi dziurę w czubku głowy. Jestem odwodniona. Mam spękane wargi, język przykleił mi się do podniebienia. Zabiłabym za wódkę z mrożoną limonatą. Kim ja niby jestem? Możliwe, że policja już szuka Beth. Alvie pojeździła sobie przez kilka dni po Sycylii, trochę pozwiedzała i wraca do domu, do Londynu. Tak, właśnie to robiłam, jakby kto pytał. Palermo? Wspaniałe. Katania? Cudowna. Oczywiście, że weszłam na Etnę; widok na morze przy wschodzie słońca jest po prostu niesamowity. Świątynie Agrigento? Fenomenalny przykład architektury Wielkiej Grecji. Ale kto będzie pytać o takie rzeczy? Nikt.

– *Passaporto!*

O, ja cię... teraz się wkurzył. Ci Włosi mają charakterek.

Podaję swój paszport facetowi stojącemu w plastikowej budce. Jest ubrany w bardzo oficjalny mundur, na głowie ma granatową czapkę z daszkiem. Mam nadzieję, że nie jest z policji.

– *Grazie* – mówi, zaglądając do samochodu. Wygląda, jakby on też nie zmrużył oka. Wszyscy mieliśmy ciężką noc. Strażnik przygląda się paszportowi Nina. Potem wpatruje się w moją twarz, zerka na fotografię w dokumencie. Wstrzymuję oddech... zaraz, czym ja się przejmuję? Przecież wygląda jak ja.

– *Grazie, signora.* – Facet zamyka mój paszport.

Prędko zabieram dokument, żeby Nino nie zauważył. Zerkam na jego paszport, kiedy strażnik oddaje mu go przez opuszczoną szybę w samochodzie. Giannino Maria Brusca. Śmieję się głośno.

– Masz na drugie imię Maria?

– No i? – Nino patrzy na mnie krzywo.

- Maria to imię dla dziewczynki!
- Nie we Włoszech – mówi z grymasem na twarzy.
- Nie wierzę. Masz babskie imię.
- Betta, zamknij się i jedź.
- I nawet nie nazywasz się Nino!
- Nino to skrót od Giannino. Jedź, tam jest miejsce.
- Będę ci mówić Nicola – oznajmiam między jednym spazmem śmiechu a drugim. – To ładne imię dla dziewczynki. – Wjeżdżam na podjazd na prom.
- We Włoszech Nicola to imię dla chłopca.
- Maria dla chłopca, Nicola dla chłopca? Jesteście porąbani.
- Zamknij się, powiedziałem. Prosisz się o kulkę.
- Nancy! Nancy to dziewczynka, prawda?
- Tak.
- No to jesteś Nancy.

Nino siedzi nieruchomo, ale widzę, że już się w nim gotuje. Ale nie mogę nic na to poradzić, rechoczę histerycznie, piszczę, zwijam się i płaczę ze śmiechu.

– Nie żartuję, Betta, lepiej się zamknij. Zabiłem kiedyś faceta za mniejsze przewinienie.

– Och, poważnie? – pytam, ocierając łzę. Jaki on jest zabawny.

– No. Poważnie. Zabiłem gościa, bo się na mnie krzywo spojrział. Więc mogę zabić kobietę za wyśmiewanie mojego imienia. – Nino posyła mi paskudne spojrzenie.

Przestaję się śmiać. Chyba mu wierzę. Mógłby mnie naprawdę zabić. Niedobrze.

Parkuję lambo między maserati a fiatem. Nie cierpię promów, a już najbardziej takich dla samochodów. Duszno, śmierdzi benzyną, zawsze robi mi się niedobrze. Tęsknię za jachtem Ambrogia. Jedna przejażdżka to za

mało. Szkoda, że go skasowaliśmy.

Samochody są upakowane tak ciasno, że ledwo mogę otworzyć drzwi. Przeciskam się bokiem i wyciągam walizkę z pieniędzmi; nie zostawię dwóch baniek w samochodzie. Nie zamierzam ryzykować; wszędzie roi się od morderców, złodziei i gwałcicieli. Człowiek nigdy, przenigdy nie może się czuć bezpiecznie. Idę za Ninem po stromych schodkach na pokład. Kiedy ladymatic Beth pokazuje szóstą trzydzieści rano, prom wypływa na Morze Tyrreńskie. Nino i ja opieramy się o barierki i wpatrujemy w wodę. Poranek jest pochmurny, woda ma kolor spizgu.

Prom zaczyna się kołysać na falach: w lewo i w prawo, w przód i w tył. Jest wietrznie. Już mnie mdli. Nino wyciąga zdrową ręką paczkę marlboro z kieszeni kurtki, daje mi papierosa. Wyjmuję jednego i zapalam nam oba. Nino osłania płomień poharataną dłonią. Ma rozwalone kostki, pod paznokciami półksiężyc z zaschniętej brązowawej krwi. Niedaleko stoi kilku niepalących. Posyłają nam pełne obrzydzenia spojrzenia i odchodzą kawałek dalej. Jesteśmy sami.

– Tak sobie ostatnio myślałam – zaczynam, wypuszczając chmurę dymu w stronę horyzontu. Odwracam się do Nina i posyłam mu olśniewający uśmiech. – Chcę z tobą pracować.

– Że co?

– Chcę z tobą pracować. No wiesz, być twoją partnerką.

Nino przygląda mi się, mrużąc oczy. Słońce przebija się przez brudnobiałe chmury. On zakłada ciemne okulary. Chyba nie przepada za światłem dziennym. Jest absolutnym przeciwieństwem słonecznika.

– Partnerką?

– No. Bylibyśmy świetni. Co ty na to?

Nachyliłam się w jego stronę i spoglądałam mu w oczy. Nie widzę ich przez czarne szkła, ale patrzę tam, gdzie powinny być. Mam na sobie wonderbra

Beth, strategicznie pozycjonuję dekolt.

– Ty jesteś *pazza* – mówi Nino.

– No i? – Unoszę brew.

Nino gasi peta na stalowej barierce i wyrzuca niedopałek do morza. Zaciągam się ostatni raz swoim i też wyrzucam. Ciężkie metalowe drzwi zatraskują mi się przed nosem, kiedy Nino wściekłym krokiem wchodzi do wnętrza promu. Biegnę za nim do pierwszego baru, jaki pojawia się przed nami.

– *Un caffè* – mówi Nino do baristy. Głos ma jak żużel.

– *Due caffè* – poprawiam. – I wodę.

Ręce mu się trzęsą, gdy sięga po swoją filizankę. Nino nie pije wody. On jest jak kaktus. Albo wielbłąd. Nie jestem pewna, jak on utrzymuje się przy życiu. Siadamy na ohydnych plastikowych krzeselkach przy lepkiem plastikowym stoliku. Kurwa, jak ja nienawidzę „restauracji” na promach. Chyba specjalnie tak je projektują, żeby obrzydzić człowiekowi jedzenie. Horyzont faluje za okrągłymi okienkami, jakby był zrobiony z roztrzęsionej zielononiebieskiej galarety. Teraz już naprawdę mi niedobrze. Siedzimy w milczeniu i popijamy kawę.

– No – odzywa się w końcu Nino, marszcząc czoło w głębokie fałdy. – Ty jesteś niewiarygodna. Najpierw wkręciłaś mnie, żebym zabił Salvatorego, ale teraz chcesz być... *assassina*?

Zgniatą swój kubeczek w pięści. Plastik wydaje z siebie rozpaczliwy trzask, jak pękająca czaszka.

– No. Sorry. Teraz żałuję, że sama tego nie zrobiłam. Całkiem mi się podobało...

– Co ci się podobało?

– Jak zabijałam... księdza... i tych kolesi.

Nino patrzy mi prosto w oczy.

– Beth, zaraz tu z tobą oszaleję. O czym ty gadasz? „Całkiem mi się podobało”?

Przez chwilę zastanawiam się nad jego pytaniem, uśmiecham się, oblizuję wargi.

– Nie. To było zajebiste. Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłam.

Nino wstaje; jego krzeselko odsuwa się ze zgrzytem. Wstaję, chwytam walizkę i biegnę za nim.

– Nino! Czekaj. Ile dostajesz za klienta? Co?

– Zależy... – mruczy, odchodząc szybkim krokiem. Widzę tylko jego plecy.

– Ile?

– Na Sycylii?

– Na Sycylii.

Idziemy przez korytarz w stronę drzwi z tabliczką *Uomini*: męska.

Nino wchodzi do środka. Drzwi wyją jak zarzynana świnia. Rozglądam się po korytarzu. Jebać to. Idę za nim. W toalecie jest pusto. Śmierdzi rzygami: ktoś zwymiotował i nie posprząтали. Nie ma tu wentylacji ani okien. Stoję oparta plecami o drzwi. Przez cienki materiał bluzki Beth czuję zimny plastik. Nino staje przed pisuarem i rozpina rozporek. Przyglądam się, jak sika.

– Od dwóch tysięcy euro, jeśli robię komuś przysługę, do...

– Dwa tysiące euro? Zabiłbyś człowieka za dwa klocki? – Chyba jaja sobie ze mnie robi. Chociaż z drugiej strony... ja bym to zrobiła za darmo. Żeby mieć ten haj.

– Do dziesięciu tysięcy. Dwadzieścia, jeśli robota jest trudna.

Rozlega się syk moczu uderzającego o porcelanę. Smród szczyny. W kącie łazienki jest kałuża; zbita czarna pleśń wspina się po ścianie. Zasłaniam usta dłonią.

– Ale to Sycylia, nie Monte Carlo. W Londynie będzie inaczej. Bardziej opłacalnie – mówię.

Z kabiny rozlega się dźwięk spuszczonej wody. Chyba jednak nie jest tu całkiem pusto. Nie jesteśmy sami. Zniżamy głosy, żeby nikt nas nie podsłuchał.

– Dwadzieścia tysięcy to mój rekord. Prestiżowa robota: człowiek z rządu.

– Szept Nina brzmi jak syczenie węża.

– To dobre do CV – mówię. – Ale wyobraź sobie, że pracuję z tobą. Dwa razy więcej kasy w dwa razy krótszym czasie. Masz pojęcie, ile byśmy zarobili w takim miejscu jak Londyn?

Gdzieś, gdzie jest glamour. Gdzie mają styl. Marzę o bogactwie w miejscu, gdzie to będzie wyglądać wręcz nieprzyzwoicie.

– Poza tym na Sycylii to i tak już koniec. Wiem o tej całej wojnie. Mafia ma przejebane.

Nino kończy sikać. Zapina rozporek, podchodzi do umywalki i posyła mi nienawistne spojrzenie w lustrze, myjąc ręce.

– To ja mam przejebane, i to dzięki tobie. Nigdy nie będę mógł wrócić na Sycylię.

Drzwi do kabiny się otwierają. Wychodzi facet: niski, chudy, w czapce z daszkiem z napisem *Roma*. Na pewno turysta. Patrzy na mnie, krzywi się, patrzy na Nina i mierzy go wzrokiem. Nino odwzajemnia spojrzenie. Jest kompletnie nieruchomy. Przypomina mi modliszkę, gotową do ataku w ułamku sekundy. Facet kiwa głową i zmyka z łazienki jak przerażony świerszcz. Nawet nie umył rąk. Obrzydliwe. Chyba Nino go przeraził. A może to krew. Jego ramię wygląda na kompletnie rozjebane. No cóż, obiektywnie Nino chyba wygląda trochę strasznie. Ale ja nadal uważam, że to sexy.

– Słyszałaś o Giovannim Falcone? – mówi do lustra. – To był jeden

z moich. No, nie byłem tam sam... było paru innych... wszyscy poszli do więzienia.

– Zrobilibyśmy grubą karierę – mówię.

– Słyszałaś o nim?

– O kim?

– Nieważne.

Jest gorąco. Wilgotno. Wszystko się klei. Czuję się obrzydliwie. Chcę wrócić na pokład. Zaczepnąć świeżego powietrza. Staję za Ninem i obejmuję go ramionami w talii, przyciągam ku sobie.

– Kotku, skarbie... nas dwoje razem? Bylibyśmy żywą legendą – mruczę.

Przyglądam się, jak Nino strzepuje wodę z rąk i sięga do dozownika z mydłem. Naciska guzik, ale nic nie leci. Naciska znowu, mocniej i jeszcze mocniej, ale pojemnik jest pusty. Zrywa go ze ściany zdrową ręką i rzuca na drugi koniec łazienki. Twardy plastik rozbija się o ścianę z głośnym trzaskiem.

– Zabiłaś jednego gościa i myślisz, że już jesteś jak Al Capone.

– Liczy się jakość, nie ilość... – Nie wie o pozostałych... Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć. Chciałabym wszystko mu wyznać. Żeby nie było między nami żadnych tajemnic. Chciałabym mu powiedzieć, że nie jestem Beth.

– Betta, jesteś zdolną amatorką. Ja mam dwadzieścia lat doświadczenia... Reputację...

– No i? Teraz to już nic nie znaczy. Sam powiedziałaś, że nie możemy tam wrócić.

Nino mamrocze kilka włoskich przekleństw.

– Wymień mi jednego żeńskiego hitmana.

– Hitwoman? – Nino podnosi głowę i patrzy mi w oczy. Nie przetwarza informacji; zrobiłam mu zwarcie w mózgu.

– Mhm. Widzisz, nie jesteś w stanie.

– Nie bez powodu – mruczy Nino. Odpycha mnie i podchodzi do suszarki, ale ona też nie działa. Pociąga za dźwignię na podajniku papierowych ręczników, ale wszystkie się skończyły.

– Wiesz, że jestem dobra. Tam w samochodzie to były doskonałe strzały.

– Kto powiedział, że szukam wspólnika? – Nino szarpie dźwignię w górę i w dół, w górę i w dół. Nic. Zrywa podajnik ze ściany zdrową ręką. – Myślisz, że dostaniesz robotę tylko dlatego, że jesteś żoną Ambrogia? Nie miałaś żadnego treningu, masz zero doświadczenia. I skąd w tobie nagle taka żądza krwi? Tydzień temu nie chciałaś nawet patrzeć na pistolet!

Nino wrzuca podajnik ręczników do kibla. Kręci mi się w głowie. Potrzebuję powietrza. Ziemia kołysze mi się pod nogami, prom się buja tam i z powrotem, w przód i w tył. Pędzę przez łazienkę, przepycham się koło Nina, ale nie trafiam do muszli. Rzygam na podłogę.

– To zły pomysł.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Arona, Włochy

– **JUŻ PRAWIE JESTEŚMY?** – pytam. Po godzinach Metalliki zabiłabym za jakiś bardziej słoneczny kawałek. Nikt nie może mi zarzucić, że mam radosne usposobienie albo słabość do wesołej muzyki country, ale Nino zarzyna mnie heavy metalem. Moja odporność na thrash jest już na wyczerpaniu. Może zapuścimy Taylor Swift? *I Knew You Were Trouble*? Ta jest dobra.

– Już prawie jesteśmy gdzie?

– Nie wiem. We Francji?

Nino patrzy na mnie z ukosa.

– Jeszcze nawet nie dojechaliśmy do Szwajcarii.

– Czyli... czyli że nie?

– A potem, jak już wyjedziemy z Włoch, musimy jeszcze przejechać przez całą Szwajcarię.

– Och – wzdygam. Trzeba było sprawdzić na mapie. Beth sprawdziłaby na mapie, a potem wyszukałaby w internecie postoje na siku i punkty widokowe na piknik.

– I tak prowadzisz, że już mnie szyja boli.

– Ciebie boli szyja? Niby jak? To ja sobie coś naciągnęłam.

– Przez ciebie się stresuję.

Okazuje się, że Neapol jest strasznie daleko od Londynu, a dopiero minęło południe. Niebo ma idiotycznie niebieski kolor. Bez przerwy te same klify, to samo morze. Ulice są tak rozgrzane, że zaczynają się topić: czuję zapach

palonego asfaltu. Trawa jest tak sucha, że grozi jej samozapłon. Krajobraz od pięciu godzin w ogóle się nie zmienia. Góry po prawej, morze po lewej. Wreszcie zatrzymujemy się na przerwę gdzieś przy włoskiej granicy: w małym miasteczku o nazwie Arona, leżącym nad ogromnym jeziorem – Lago Maggiore. Gdybym nie była taka zmęczona, wysiadłabym, żeby pozwiedzać. Jezioro rozciąga się w obie strony jak okiem sięgnąć: głęboki, atramentowy granat. Porośnięte drzewami wzgórza wznoszą się wokół nas, tu i tam widać eleganckie białe domki pokryte dachówkami z czerwonej gliny. To wygląda super, ale zbyt wielu tu turystów. Już nie czuję nóg od siedzenia w jednej pozycji; pewnie bym się wywalila, gdybym teraz wstała.

Parkujemy na cichej bocznej uliczce i rozkładamy dach lambo. Zamykamy drzwi. Odchylam siedzenie i próbuję zasnąć. Nie mogę. Fotel jest niewygodny. Tyłek mi zdrętwiał. Skórzana tapicerka przykleja mi się do spoconych ud.

Rozglądam się za jakimś zajęciem. Nino śpi z szeroko otwartymi ustami. Nie wygląda zbyt atrakcyjnie. Tak się nudzę, że zaczynam kartkować Biblię. Nino chyba ją zapakował, żebyśmy mieli z czego wciągać koks. Biblie zawsze przypominają mi o Adamie i Ewie i o tym, jak Ewa powstała z zapasowego żebra Adama, trochę jak potwór Frankenstein.

*Bożki pogańskie to srebro i złoto,
dzieło rąk ludzkich.
Mają usta, ale nie mówią,
mają oczy, ale nie widzą.
Mają uszy, ale nie słyszą;
i nie ma oddechu w ich ustach.
Podobni są do nich ci, którzy je robią,
i każdy, co w nich ufność pokłada.*

Jaki oni mają problem ze złotem? Dalej się nudzę.

– Tych sześć rzeczy w nienawiści ma Pan, a siedem budzi u Niego odrazę: wyniosłe oczy, kłamliwy język, ręce, co krew niewinną wylały, serce knujące złe plany, nogi, co biegną prędko do zbrodni, świadek fałszywy, co kłamie, i ten, kto wznieca kłótnie wśród braci.

Mało tolerancyjny ten Pan. Na pewno nie ma zbyt wielu przyjaciół. No ale chyba coś w tym jest; większość ludzi to чуje.

A teraz, kiedy już myślę o Nim, nie mogę wyrzucić z głowy tej kretyńskiej piosenki: śpiewaliśmy ją z Beth w harcerstwie. Leci mi w głowie zapętłona bez końca. Chcę strzelić sobie w łeb, żeby się jej pozbyć, wsadzić sobie lufę w usta i pociągnąć za spust, umrzeć porządnie, a nie tak jak Ed Norton pod koniec *Fight Clubu*, kiedy dalej może mówić, mimo że ma odstrzelone pół głowy i litry krwi w gardle.

Nigdy nie trafisz do nieba

(Nie trafisz do nieba)

W puszcze po fasoli

(W puszcze po fasoli)

Bo małym być trzeba

(Małym być trzeba)

I wszystko cię rozboli

(I wszystko cię rozboli)

O, nie trafisz do nieba

W puszcze po fasoli

Bo małym być trzeba

I wszystko cię rozboli.

Już nie będę płakać

Panie mój, o nie

Tylko Ciebie chcę,

Tylko Ciebie chcę.

Już nie będę płakać,

Panie mój, o nie,

Panie mój, o nie,

Tylko Ciebie chcę.

Tylko Ciebie chcę.

Nie trafisz do nieba

(Nie trafisz do nieba)

Na kolanach druha

(Na kolanach druha)

Bo prosto siedzieć trzeba

(Prosto siedzieć trzeba)

A druh nie posłucha

(A druh nie posłucha)

Nie trafisz do nieba

Na kolanach druha

Bo prosto siedzieć trzeba

A druh nie posłucha.

Już nie będę płakać

*Panie mój, o nie
Tylko Ciebie chcę,
Tylko Ciebie chcę.*

*Już nie będę płakać,
Panie mój, o nie,
Panie mój, o nie,
Tylko Ciebie chcę.
Tylko Ciebie chcę.*

Nie trafisz do nieba...

– Stul pysk, Betta – mamrocze Nino. Och. Chyba zaczęłam śpiewać na głos.

* * *

Kiedy się budzimy, jest już dobrze po południu. Zamierzaliśmy się tylko chwilkę zdrzemnąć, ale spaliśmy dobre kilka godzin. Nie najlepiej. Musimy wyjechać z kraju. Nino otwiera oczy, przeciąga się, ziewa.

– Dobrze spałeś?

– Hm – chrząka. – Która godzina?

– Druga.

Włącza radio. Chwilę szuka stacji. Błagam, tylko nie Metallica.

– Teraz twoja kolej prowadzić. Mam już dość.

Nino unosi wysoko brwi.

– Moja ręka?

– No i? Jeszcze ci się nie poprawiło?

– Naprawdę myślisz, że wpuściłbym cię za kółko, gdybym mógł sam

prowadzić?

– Ej, nie jestem taka zła. Patrz, jak daleko ze mną zajechałeś...

– Rozwaliłaś mój wóz.

Fakt, zapomniałam. Nino kręci pokrętłem w radiu. Szum syczy i zgrzyta.

– Uch, wyłącz to.

– Zamknij się, chcę czegoś posłuchać.

Głos w radiu krzyczy coś po włosku. Wolałabym puścić jakąś muzykę.

Ciekawe, czy Nino lubi Justina Biebera? Albo depresyjne kawałki Adele?

– Bładibładibładibla, Elizabeth Caruso... – mówi głos w radiu.

– Że, kurwa, co? – pytam.

– Ćśśś. – Nino podkręca głośność. Koleś w radiu trajkocze jeszcze jakieś dwadzieścia, może trzydzieści sekund. Przyglądam się twarzy Nina, próbuję odczytać jego reakcję.

– Co? Co? Powiedz mi! – Domagam się.

– Przesłuchali ochroniarza. Znasz go? Ochroniarza z amfiteatru?

Francesco Jakiśtam.

Szlag.

– No. A co? – Więc miał na imię Francesco? Zabawne, nie wyglądał jak Francesco. Bardziej jak Carlo albo może Claudio.

– Powiedział, że się o ciebie martwi. O twoje bezpieczeństwo. Że byłaś ostatnio jakaś nieswoja, cokolwiek to by miało oznaczać. I że byłaś *bellissima*. Piękna. Nieważne, jest okej. Policja cię szuka. A o mnie nie wiedzą.

– Szuka mnie policja? Co w tym niby jest okej? – pytam i szukam w jego oczach jakiegoś wytłumaczenia.

– Jest okej, bo mnie nie szukają.

– Ale z ciebie kutas. Co powiedzieli?

Nino wyciąga koks i układa kreskę na okładce Biblii. Podaje mi rulonik

z pięćdziesiątki. Wciągam.

– Wiedzą o strzelaninie. Ktoś poinformował, że słyszał strzały. Znaleźli dwa ciała w samochodzie w Taorminie. Policja wie, że zniknęłaś, i obawia się o twoje bezpieczeństwo.

– Więc co to znaczy, że mnie szukają? Mogę nadal wyjechać z kraju? – Boże, błagam, daj nam tylko wyjechać z Włoch. W Szwajcarii już nic nam nie będzie. Szwajcarzy są wyluzowani; wystarczy spojrzeć na Rogera Federera.

– Nie wiem – mówi Nino, otwiera drzwi, wysiada i się przeciąga.

– Jak to, nie wiesz? – Wyskakuję z samochodu. – Dokąd idziesz?

– Po śniadanie. Chcesz coś?

O czym on gada, jakie śniadanie? Jest po czternastej.

– Nie. A co z granicą? I z włoską policją?

– Poszukam jakiejś pizzerii. Lubisz pepperoni? Siedź w samochodzie. Nawet nie próbuj się stąd ruszać. – Nino wyrywa kluczyki ze stacyjki i chowa do kieszeni.

– Ej! – wołam za nim.

Odchodzi w głąb uliczki.

– Pić mi się chce!

– Kupię piwo – odkrzykuje Nino przez ramię. Znika za rogiem.

– Nie lubię piwa! Kup mi tampony i paracetamol. Chyba idzie mi okres.

Wszystko mnie boli. Albo okres, albo po prostu za długo siedziałam za kółkiem. Super, tylko tego mi teraz trzeba, pięciu dni krwawienia. Nie zrozumcie mnie źle, lubię krew, ale wolę cudzą. Opadam z powrotem na siedzenie.

Ja pierdołę, to jakiś koszmar. Chwytam torebkę, otwieram. Patrę na paszporty, swój i Beth. Kładę swój na desce rozdzielczej, żeby mieć go pod ręką, a ten Beth wrzucam na dno torebki. Skoro szukają Beth, to muszę być

Alvie. Dobrze to wyczułam tam w porcie. Nagle robi mi się niedobrze. Opuszczam okno, żeby zaczerpnąć powietrza, bryza znad jeziora owiewa mi twarz. A co, jeśli Nino zauważy paszport? Lepiej, żeby to podziało, bo inaczej mam przejebane.

Rozglądam się po samochodzie. Straszny bajzel: styropianowe kubeczki, tłuste serwetki po panini, puste paczki fajek. Dragi Nina na desce rozdzielczej. Moja kokaina leży z tyłu. Jeśli mamy przejechać przez granicę, nie możemy ryzykować kłopotów. Trzeba się pozbyć tego gówna. Wygrzebuję swój koks i zgarniam torebeczkę Nina; wymykam się z samochodu. Jest obłędnie gorąco. Chłodny wiaterek zniknął. Słońce pali mi ramiona, czoło, nos, skórę na karku mam zupełnie usmażoną. Widzę śmietnik, wyrzucę tam dragi. Nino mnie zabije, ale nie zamierzam ryzykować. Liżę koniuszek palca i biorę ostatnią odrobinę, a potem wrzucam koks na dno śmietnika. Przykrywam egzemplarzem „Corriere della Sera”. Po chwili jednak wyciągam gazetę. Szybko przeglądam nagłówki i zdjęcia na okładce i kilku pierwszych stronach, na wszelki wypadek, gdyby pisali coś o mnie. O Beth. Ale nic nie ma. Jeszcze nie.

* * *

Szwajcaria jest wyboista i aż mnie mdli od podskoków. Francja jest nudna i płaska. Czuję ulgę, kiedy wreszcie docieramy do tunelu pod kanałem La Manche, mimo że trzeba w tym celu przejechać przez Calais – to *merde*, nie miasto. Nigdy nie zrozumieć, za co ludzie lubią Francję. Beth i ja pojechałyśmy kiedyś z mamą do Paryża na weekend. O dwa dni za długo. Ludzie myślą, że Paryż to miasto miłości, ale ulice śmierdzą szczyzną i są zapchane bezdomnymi. Japończycy na wycieczkach muszą iść potem na terapię, bo mają szok kulturowy. Poważnie. Lecą tam i spodziewają się disneyowskich zamków i Coco Chanel. Pięć godzin stoją w kolejce na wieżę

Eiffła, siedzą w taksówce jakiegoś świra, który trąbi jak pojebany w korku pod Łukiem Triumfalnym, a na koniec łapią rzeźczkę od jakiegoś typa o imieniu Marcel. Podają im czosnkowe purée, surową krowę i ser z larwami; nawet jeśli nie palą, wciągają jakieś dwadzieścia paczek gauloise'ów. I tęsknią za Harajuku. Przysięgam na Boga żywego, każdy Japończyk to przeżywa. Mniej jak *O północy w Paryżu* Woody'ego Allena, bardziej jak *Most na rzece Kwai*.

Nino śpi na siedzeniu pasażera i chrapie jak mors. Jest zmęczony i zły, bo wyrzuciłam wszystkie jego dragi. Przejeżdżamy przez Dijon (stąd się bierze musztarda. Nienawidzę musztardy. Nie zamierzam jej jeść) i Arras (czy to nie był jakiś dywanik w *Hamlecie*?). Te miasteczka to tylko znaki na drodze. Z moich obserwacji wynika, że cała Francja to wyłącznie kilometry ciemnoszarego asfaltu i hektary pustych brązowych pól. Nic dziwnego, że wszystkim tu odbija. Co za nuda. Oni tylko się ruchają i żrą. Chociaż w sumie to nie taki zły pomysł na życie. Może się tu przeprowadzę?

Jeśli miałabym zamieszkać we Francji, to na pewno nie w Calais. Calais to obrzydliwa przemysłowa ziemia niczyja, cała z metalowych rur chłodniczych, gigantycznych turbin i pary. Nie wiem, dlaczego ktokolwiek chciałby tu mieszkać. Ciągłe leje deszcz i żaby wyłazą na chodniki. Jediną dobrą rzeczą w tym kraju są supermarkety z winem za euro dziewięćdziesiąt dziewięć. Przez chwilę myślę, czy nie podjechać i nie zrobić zapasów, ale przypominam sobie, że już nie jestem biedna. Mogę pić alkohol po wyśrubowanych londyńskich cenach. Mogę zapalać świece banknotami. Nie muszę już dostawać palpacji, kiedy ktoś skasuje mnie na piętnaście funtów za gin z tonikiem. Warto było tyle zabijać.

– Zjemy coś? Mam ochotę na żaboburera.

Nino dalej chrapie, więc go budzę.

– Jesteś głodny? – powtarzam.

– Poszukajmy McDonalda – mówi, przecierając oczy.

Jeździmy po mieście w mżawce, aż w końcu widzimy złote łuki.

– Ja zamówię – oznajmiam. – Wiem, jak to się robi po francusku, oglądałam *Pulp Fiction*.

Nino patrzy na mnie pustym wzrokiem. Może nie lubi Tarantino. Dziwne.

– Ale będziesz musiał zjeść ćwierćfunca z serem. Innych nie umiem.

– Wszystko jedno – mamrocze Nino. Nadal się jeszcze dobrze nie obudził.

Zatrzymujemy się przed okienkiem, opuszczam szybę.

– *Bonjour* – wita nas dziewczyna w okienku.

– *Bonjour* – odpowiadam i unoszę w górę dwa palce. – Dwa Royale z serem – dodaję po angielsku.

– Royale z serem? *C'est deux Royales avec du fromage?* – pyta, marszcząc brwi. Ma długie blond włosy i długie blond rzęsy. Wygląda o wiele zbyt młodo, żeby pracować.

Powtarzam jeszcze raz, głośniej i wolniej.

– Dwa Royale z seeereem.

Dziewczyna wstukuje coś w ekran tabletu. Chyba zaczęła.

– *Cinq euro, s'il vous plaît, madame* – mówi.

– Hm?

– *Cinq euro*. – Dziewczyna podnosi pięć palców.

– Och, okej. Pięć. Nino, masz pieniądze?

On wskazuje głową w stronę walizki księdza. Chwytam walizkę z półki za naszymi plecami i wciągam sobie na kolana. Rozpinam sprzączki i podnoszę wieko. Pieniądze wyglądają tak ślicznie, że nie chcę ich dotykać. Pachną świeżą farbą. Wyciągam pięćsetkę ze świeżej ryzy. Jest czysta i szeleszcząca, jakby dopiero wyszła z drukarni. Wyciągam rękę przez okno i podaję banknot dziewczynie. Ona gapi się na walizkę. Och, pieniądze. Bierze pięćsetkę w palce i szuka reszty. To trwa całą wieczność.

– *Quatre cent quatre-vingt-quinze euro. Merci* – mówi i wręcza mi resztę. Banknoty są brudne i pogniecione, jakby ktoś podcierał sobie nimi dupę.

– Nie, nie, reszty nie trzeba – protestuję, marszcząc nos. – Poproszę tylko burgery.

Dziewczyna nie rozumie. Potrząsam głową.

– *Non.*

Nino wychyla się nade mną i chwyta pieniądze, po czym wpycha je do schowka. Dziewczyna podaje mi burgery i odjeżdżamy.

– Po co to zrobiłeś? Chciałam być miłą.

– To nie bądź. Nie do twarzy ci z tym.

Rozdział czterdziesty drugi

WYGLĄDAM PRZEZ OKNO, ale nie widzę żadnych ryb. Tylko czerń. Siedzimy w lamborghini, wciśnięci do wagonu z dziesiątkami innych samochodów. Oni naprawdę pakują wszystkie te samochody do pociągu i przewożą przez tunel na drugą stronę. To wydaje się trochę bez sensu. Dlaczego nie dadzą im po prostu przejechać przez tunel? Francuzi... oni są rąbnięci. Po ostatnim razie nie miałam ochoty znów wsiadać na prom. Nino chyba też nie. Więc w sumie ten pociąg jest chyba lepszy od choroby morskiej. Poza tym, że śmierdzi tu spalinami i nie ma nic do roboty. Czuję smak benzyny w ustach. To byłoby idealne miejsce na wywołanie pożaru.

– Może wyjdziemy się przejść? – proponuję.

– A niby dokąd mielibyśmy iść? Jesteśmy w metalowej rurze siedemdziesiąt metrów pod ziemią – prycha Nino. Dalej jest zły, że wywaliłam jego dragi.

Patrzę na niego. Siedzi zgarbiony na siedzeniu pasażera, kołnierz czarnej skórzanej kurtki Ambrogia ma postawiony aż do uszu, jego oczy są martwe i puste jak dwie czarne dziury, a blednąca blizna przecina jego dziobatą twarz jak kreska kokainy.

– Nie wiem, tam i z powrotem po pociągu?

– A po chuj mielibyśmy to robić?

– Żeby rozprostować nogi.

– Nie potrzebuję prostować nóg.

– Moglibyśmy popatrzeć na samochody.

Nino posyła mi paskudne spojrzenie i potrząsa głową.

– Cały dzień jechaliśmy bez końca po autostradach i gapiliśmy się na samochody. Jeszcze ci mało? To jest najlepszy samochód w całym zasranym tunelu. Na niego sobie popatrz.

Ma rację. Mam dość samochodów. Mam dość jazdy. Nie umiem prowadzić, więc braki techniczne nadrabiałam zwiększoną prędkością. Gdybym wywołała pożar w tunelu, pewnie cały pociąg by eksplodował. Wszystkie te auta są wypełnione benzyną. Setki samochodów upakowanych jeden przy drugim. Wystarczyłaby jedna płonąca zapałka pod jednym samochodem i cała ta puszka by jebnęła jak dynamit. Ogień od Folkestone do Calais, zionący z wyjść jak ze smoczych paszczy. To byłoby spektakularne. Mam wielką ochotę to zrobić, ale nie ma jak uciec. Oboje spłonęlibyśmy na amen.

Czy warto byłoby to zrobić dla adrenaliny?

– Nino – zagaduję, kładąc mu głowę na ramieniu. Czuję ciepło bijące od jego ciała przez skórzaną kurtkę. – Chcesz umrzeć?

– Co? Teraz?

– No. Teraz.

Nino zastanawia się nad tym przez chwilę. Słyszę, jak trybiki mu wirują w mózgu.

– Mamy dwa miliony euro, walizkę pełną diamentów i klasyczne lamborghini. Nie, Betta, za chuja nie chcę teraz umierać.

To ma sens.

– Okej. Tak tylko sprawdzałam. – Zapomniał o willi. Kiedy to wszystko się skończy, sprzedam willę. Będzie warta kupę hajsu. – Kupimy sobie posiadłość w Beverly Hills?

– Nie. Chcę willę nad morzem, koło Neapolu.

Nino nadal się krzywi. Lubię, kiedy się złości. Lubię, kiedy wypala człowiekowi wzrokiem dziurę w czole jak nabój, jak wiertło, jak ostry brzeg

krawężnika, a jego złoty ząb błyszczy jak iskry z pistoletu. Lubię ten gardłowy warkot w jego głosie. Ciekawe, czy mi się oświadczy, kiedy dotrzemy do Londynu. Jeśli to zrobi, powiem „tak”.

Kiedy dojedziemy do Anglii, wymyślę plan: chytry plan dla mnie, Erniego i Nina. Właśnie tego potrzebujemy, wspianego planu! Genialnej strategii. Będziemy mogli jeździć po świecie, tylko nasza trójka, zabijać, pieprzyć się, żeglować, pruć po autostradach, robić zakupy, opalać się i budować niebotyczne zamki z piasku na plażach białych jak koks, z wodą czystą jak wódka, z gwiazdami w oczach. Zapomnimy o Beth i o Ambrogiu. I o Salvatorem. I o tych koleśkach. Och, i o księdzu, wyleciało mi z głowy.

* * *

Dzielnica St. James's, Londyn

– Okej, ale dlaczego akurat Ritz? – zrzędzi Nino.

Tkwią na pierwszym biegu w korku, zderzak przy zderzaku, na Pall Mall.

– Jest w chuj drogi – dodaje.

– Wiem. Zawsze chciałam się tam zatrzymać.

– I co będziesz tam robić? Kąpać się w szampanie?

– Jeśli chcesz...

– Karmią tam złotem?

– Bardzo możliwe...

– Wątpię, żeby było warto, chyba że Kate Moss i Naomi Campbell jednocześnie pociągną mi druta...

– Nie, usługi seksualne z udziałem supermodelek raczej nie są wliczone w cenę pokoju. Ale po co ci one? Przecież masz mnie.

Nino prycha. To chyba miał być śmiech.

Skręcamy w Piccadilly i parkujemy przed hotelem. Nad wejściem jest

napisane THE RITZ wielkimi, świecącymi literami. Kolumnada. Brytyjska flaga.

Rzucam kluczyki boyowi i wysiadam z lambo.

– Tylko go nie rozwal.

– Tak, proszę pani.

– I nie zgub.

– Tak, proszę pani.

Odźwierny kłania się nisko – melonik ze złotą lamówką, długi czarny płaszcz, wielkie złote guziki; buty ma tak wypolerowane, że widzę w nich jego twarz. Otwiera ciężkie przeszklone drzwi. Wchodzimy do środka: jasne, wypełnione światłem atrium. Jak w pałacu Buckingham albo w Wersalu. Powietrze wypełnia zapach róż, na środku pomieszczenia stoi gigantyczny bukiet. Beth lubiła róże. Byłaby zachwycona. To chyba jest miejsce w stylu Beth. Nino i ja podchodzimy do recepcji.

– Jak twoja ręka?

Nino patrzy na mnie z grymasem na twarzy.

– Wciąż zajebiście boli, ale już jest trochę lepiej.

– Okej – mówię.

Mężczyźni w recepcji przestają rozmawiać i stają prosto, kiedy się zbliżamy.

Wszyscy mają na sobie trzyczęściowe jasnoszare garnitury z dopasowanymi krawatami. Pewnie myślą, że jesteśmy źle ubrani.

– Dobry wieczór pani, dobry wieczór panu – mówi jeden z nich.

– No hej – mówię.

Za ladą recepcji wisi potężne lustro od ziemi aż do sufitu, a na nim bogato zdobiony, antyczny złoty zegar. Rzymskie cyfry wskazują dwudziestą trzecią trzydzieści. Ścienne lampy rzucają ciepły, złoty blask. Zauważam swoje odbicie w lustrze: przedłużone rzęsy, wyregulowane brwi, długie blond

włosy w miodowym odcieniu. Wyglądam jak Beth.

– Proszę pani? Proszę pani? W czym mogę pani pomóc?

– Hmm? – mrużę. Beth odciągnęła moją uwagę.

– Potrzebny nam pokój – mówi Nino. Spoglądam na niego przez ramię: stoi za mną w mięciutkiej skórzanej kurtce Ambrogia. Przy szczęce ma zaschniętą kropelkę krwi. Wygląda, jakby się zaciął przy goleniu.

– Dostępny jest tylko apartament Royal – oznajmia recepcjonista, klikając myszką i sprawdzając coś na ekranie komputera.

– Och, brzmi wspaniale – mówię. Mój głos brzmi trochę dziwnie: niski, ochrypły. Brzmię jak Beth.

– Cena za ten konkretny apartament wynosi 4,500 funtów za noc, plus VAT.

– *Ma quanto?* – wtrąca Nino. To chyba znaczy „Mowy nie ma” po włosku.

Wyrywam Ninowi walizkę z pieniędzmi i kładę z trzaskiem na blacie. Facet aż podskakuje.

– Przyjmujecie euro? – pytam.

– Och, nie muszą państwo płacić teraz. Można rozliczyć się rano – zapewnia recepcjonista. Uśmiecha się z ulgą. – W hotelu jest biuro wymiany walut. Czy mógłbym prosić tylko o przeciągnięcie karty na potwierdzenie?

Nie dam mu swojej debetówki, nic na niej nie ma. I nie zamierzam dawać mu karty Beth; policja może ją śledzić. Wyjmuję z walizki garść pięćsetek i wciskam facetowi w dłoń.

– Zapłaciliśmy – oznajmiam.

Facet kiwa głową i bierze pieniądze.

– Doskonale – dodaję. Dziwne, dałabym głowę, że to powiedziała Beth. Potrząsam głową i zerkam na Nina. Nie zauważył. Może już dostaję świra?

– Czy byłaby pani uprzejma przedstawić dowód tożsamości, żebym mógł

państwa zameldować? Paszport albo prawo jazdy?

– Oczywiście – mówię z uśmiechem.

Podaję facetowi paszport. Dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że to paszport Beth.

– Wspaniale – mówi recepcjonista. – Proszę podpisać tutaj.

Mam nadzieję, że policja nie przeczesuje Londynu w poszukiwaniu Elizabeth. To by było moje szczęście. Podpisuję formularz: Elizabeth Caruso. Prawą ręką; robię się całkiem niezła. Znów spoglądam na Nina, ale chyba nie zauważył. Przygląda się swojej rozwalonej ręce.

– Proszę, klucze do apartamentu Royal. Mój kolega Matthew będzie państwa lokajem na czas pobytu. Gdyby czegokolwiek państwo potrzebowali, oczywiście proszę...

– To nie będzie konieczne – warczy Nino.

– Państwo pozwolą, że Matthew zabierze państwa walizki do pokoju.

– Ja je wezmę – ucina Nino i zachodzi lokajowi drogę. Chwyta walizki, po jednej w każdą rękę. Krzywi się z bólu.

– Oczywiście, proszę pana – przytakuje facet.

Szkoda, fajnie byłoby mieć lokaja. Idziemy za Matthew wzdłuż korytarza – czerwone dywany, żyrandole z rżniętego kryształu, zasłony wyszywane złotą nicią – ku naszemu apartamentowi. Matthew naciska guzik, czekamy na windę. To staromodna kabina z wypolerowanymi drewnianymi panelami, portretem jakiejś damy w wiktoriańskiej sukni i lśniąca mosiężną dźwignią. Przyglądam się twarzy Matthew: ma młodzieńcze rysy, opadające na czoło blond włosy, bladobłękitne oczy. Jest gładko ogolony, wykrochmalony biały kołnierzyk wpija mu się w szyję. Wygląda jak każdy członek każdego boysbandu, jaki w życiu widziałam. Ma nawet dołeczek w brodzie. Ma chyba ze dwanaście lat. Zauważa, że na niego patrzę, i posyła mi uśmiech. Odwracam wzrok, gapię się w podłogę: białe marmurowe kafelki, złote „R”.

Rozlega się dzwonek windy i już jesteśmy.

– Zapraszam państwa tędy – mówi Matthew.

Nino i ja idziemy za nim przez kolejny korytarz, aż docieramy pod nasze drzwi: pokój 1012. Chłopak wsuwa kartę w czytnik nad klamką i drzwi się otwierają. Prowadzi nas do przestronnego, okazałego salonu z meblami z epoki i gigantycznym obrazem w kutej ramie z brązu. Zauważam marmurowy kominek obramowany miniaturowymi greckimi rzeźbami. Nad nim małe urny i lśniące, poskręcane kandelabry. Nino wciska Matthew napiwek: zwitek pięćsetek. Chłopak wybałusza niebieskie oczy. Chwilę się waha, ale przyjmuje pieniądze.

– Nie wpuszczaj nikogo na to piętro – mówi Nino, chwytając ramię Matthew w uścisk jak imadło.

– Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana.

– Nikogo – powtarza Nino.

– Tak, proszę pana.

Chłopak jeszcze raz się kłania i wychodzi. Nino kładzie walizkę z pieniędzmi na łóżku, a obok tę z ciuchami i diamentami. Przechodzę przez apartament jak we śnie, przepływam przez salon, jadalnię, sypialnię, łazienkę, garderobę, gabinet. To miejsce jest jeszcze większe i lepsze niż willa w Taorminie. Może powinniśmy po prostu tu zamieszkać?

– O, ja cię! Zrobiliśmy to! Naprawdę to zrobiliśmy!

Chwytam walizkę i otwieram szeroko.

– Patrz na ten hajs. Jest nasz, cały nasz! Żadnych gangsterów, żadnych księży, żadnego Salvatorego!

Biorę pełne garście banknotów i wyrzucam wysoko, wysoko w powietrze. Rozsypują na łóżku. Są gładkie i śliskie, prawie jak jedwab.

Pieniądze sypią się z nieba jak różowy śnieg. Odwracam walizkę do góry dnem i wysypuję całą zawartość na pościel. Wygląda jak basen o zachodzie

słońca: banknoty przypominają zmarszczki na wodzie w odcieniach wściekłego fioletu i fuksji. Mam ochotę w nich zanurkować, chlapać się jak seksowna laska w pornosie, aż będę cała mokra. Prawie to czuję: chłód wody, ciepłe promienie słońca głaszczące mnie po plecach.

– Popatrz tylko, Nino! Kurwa!

Odwracam się do niego i widzę w jego oczach ogień.

– Patrzę – mówi, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Udało się. – Zachłystuję się powietrzem. Nie mogę w to uwierzyć.

– Udało się – przytakuje Nino. – *Minchia*.

Chwytam go za ramiona i popycham na łóżko. Siadam na nim okrakiem, zrywam z niego koszulę. Guziki pryskają na boki i spadają na podłogę. Materiał się drze.

Ściągam bluzkę, rozpinam stanik, zsuwam się niżej po jego nogach, żeby rozpiąć mu spodnie. Całuję jego pierś, od zagłębienia tuż pod szyją aż do bioder. Rozpinam mu pasek i ciągnę za rozporek. O, Boże... już mu stoi.

– Samochód, pieniądze, diamenty: jesteśmy bogaci! Możemy robić, na co tylko mamy ochotę!

Siadam mu na penisie, patrzę mu głęboko w oczy i opuszczam się niżej. To niesamowite. Czuję, jak naciska mi na punkt G, wypełnia mnie całą i rozciąga. Nino wyciąga ręce i chwytają mnie za piersi, drażni moje sutki, szczypie, ciągnie mocno. Ujeżdżam go powoli, potem coraz prędzej. Opieram się na jego dłoniach; są gorące i śliskie od potu. Nasze palce się splatają. Przeciągam mu ręce nad głowę.

Siadam jeszcze niżej, chcę poczuć go jak najgłębiej, chcę poczuć się kompletna. Nino chwytają mnie za biodra, przyciąga do siebie, wbija mi paznokcie w ciało.

– Jak się nazywam?

– Betta.

Ujeżdżam go coraz szybciej, szybciej, szybciej, pot spływa mi po plecach i po piersi. Tracę oddech. Dyszę. Jestem nieważka. Gorąca. Czuję, jak żar wzbiera mi w ciele, płonę, spalam się na popiół. Jestem dymem, Nino jest ogniem. Głowę mam lekką; ramiona same się unoszą. Czuję się wolna. Czuję się niewyciężona.

– Niedobry Nino. Niedobry, bardzo niedobry. Bardzo, bardzo, bardzo, bardzo niedobry.

Czuję, jak Nino dochodzi we mnie falami, i jeszcze, i jeszcze. Odchylam się na jego fiucie, dyszę ciężko. I szczytuję chyba przez całą wieczność, mój umysł się rozszerza, ciało płynie pod sufit, serce eksploduje jak seria z karabinu.

Rozdział czterdziesty trzeci

WYCHODZĘ SPOD PRYSZNICA i owijam się w puszysty biały szlafrok, wycieram ręcznikiem włosy i przerzucam wilgotne loki przez jedno ramię. Mmm, ładnie pachną. Ten hotelowy żel pod prysznic jest cudowny. Cytryna i grejpfrut; można by mnie zjeść. Ritz ma własną markę, tak samo jak Tesco. Chyba zatrzymam sobie kilka tych miniaturowych buteleczek. I szlafrok. I kaptcie.

Kiedy wracam do sypialni, Nino śpi rozciągnięty na łóżku, dokładnie tak, jak go zostawiłam. Wygląda tak spokojnie. Pogodnie. Przypomina mi Erniego. Albo Ambrogia, kiedy już nie żył.

Pod ścianą stoi antyczne biurko. Podchodzę, żeby mu się przyjrzeć. Stolik ze starym kałamarzem i hotelową papeterią. Papier wygląda drogo, jest gruby i kremowy. Obok leżą długopisy „Ritz London” i pocztówki „Ritz London”: fotografie spektakularnej fasady, kolumny i kwiaty skąpane w słońcu. Wysuwam drewnianą szufladkę i znajduję śliczny nożyk do listów: ręczka z kości słoniowej, lśniące srebrne ostrze. To nie jest prawdziwy nóż, ale wygląda na dość ostry. Ciekawe, jak ostry jest w rzeczywistości. Mój szwajcarski scyzoryk został na Sycylii.

– Nino?

Nic.

– NINO!

– *MERDA!*

Nino aż podskakuje. Chyba go przestraszyłam. No, ale przynajmniej się obudził. Otwiera oczy, ale kiedy widzi, że to tylko ja, a nie jakiś potwór,

znowu je zamyka. Przewraca się na bok. Chrapie. Chwytam go za nadgarstek i rozcinam mu palec nożykiem do listów: czyste, głębokie cięcie. Krew leje mu się na rękę, tryska na pościel.

– AAA! – wrzeszczy Nino. – Co ty odpierdalasz?

Przyciska sobie dłoń do piersi. Teraz na pewno się obudził...

– Nie ruszaj się – nakazuję. – Podaj palec.

Nino potrząsa głową. Wygląda na przerażonego.

– Daj palec, albo twoje jaja będą następne.

Spoglądamy na jego penisa. Nadal jest goły jak święty turecki. Nino uznaje, że nie warto ryzykować.

– Co ty robisz?

– Zobaczysz.

Łapię jego palec i sięgam do kieszeni po małą szklaną fiolkę, którą schowałam wcześniej do szlafroka. (Kupiłam ją wieki temu na bazarze w Londynie, ale nigdy nie miałam okazji jej użyć).

– Nie uważasz, że dość już krwi straciłem z tej ręki?

Oczy ma wlepione w zraniony palec, wpatruje się w krew spływającą mu po nadgarstku aż do łokcia, ciekącą po przedramieniu długą strużką w kolorze wina.

– Patrz, naszyjnik! – mówię, napełniając fiolkę jego krwią. – Będę go zawsze nosić, do końca życia. Angelina Jolie i Billy Bob Thornton mieli takie same!

Mam już całą buteleczkę krwi Nina. Nakładam maleńką zakrętkę.

– Nie musiałś go rozcinać! *Sei pazza* – jęczy Nino.

Dalej ściska krwawiącą dłoń. To ta sama ręka, w którą go postrzelili. Na jego twarzy maluje się bolesny, zraniony wyraz. Wygląda żałośnie, jak królik na poboczu. Jak kopnięty szczeniak. „Jak mogłaś?”

– Przestań – mówię.

– Ja mam przestać?

– Tak.

– A co dokładnie mam przestać?

Przewracam oczami.

– Nie możesz po prostu...

– Co? Po prostu co?

– Bądź bardziej Ninem.

On tylko wzdycha.

– To nie mogło aż tak boleć. Bez przesady. No i nie sądzisz, że to całkiem romantyczne?

Nino nic nie mówi.

– Patrz, mam też jedną dla ciebie! Były dwie – dodaję, wyciągając z kieszeni drugi wisiołek z małą szklaną fiolką. Naprawdę mi się podobają. Są stare, vintage, ale nie wyglądają, jakby ktoś ich kiedyś używał.

– Nie, nie dla mnie – protestuje Nino, zezując na fiolkę. – Nie noszę naszyjników.

– Och. Okej. – W porządku, niech mu będzie. To rzeczywiście raczej nie w jego stylu.

Nachylam się i całuję go głęboko w usta. Długi, powolny pocałunek. Nino odwzajemnia. Nie może być aż taki zły.

– To ty bądź bardziej Bettą – mówi ze śmiechem. – Nie miałem pojęcia, że jesteś choćby w połowie tak rąbnięta.

Chyba pierwszy raz widzę jego uśmiech. Myślałam, że mi się to spodoba, ale nie chcę być Bettą: wyjściem awaryjnym, numerem drugim, zasranym planem B. Chcę być Alfą. Chcę być sobą: Alviną Knightly. Prawie już zapomniałam. Minęło zaledwie kilka dni, ale mam wrażenie, że to cała wieczność. Czuję, że Nino polubiłby Alvie. Muszę o tym komuś powiedzieć: to już doprowadza mnie do szaleństwa. No i on na pewno by zrozumiał. Nino

i Alvie do końca świata, zabijają i się pieprzą, pieprzą się i zabijają! Powiem mu dziś wieczorem w barze.

– Zadzwoń na recepcję po plaster – uspokajam.

* * *

Kiedy Matthew znika za drzwiami, a Nino ma już ciasno obandażowany palec, stajemy oboje u nóg łóżka.

– Ubierzmy się i chodźmy coś zjeść – proponuję. – Chyba mają tu restaurację?

Nino wygląda, jakby potrzebował wrzucić coś na ruszt. Zrobił się trochę blady od utraty krwi.

Chwyta mój szlafrok i ściąga mi go z ramion; materiał ześlizguje mi się z ciała i spada na podłogę. Leży wokół moich stóp jak kałuża. Jestem zupełnie naga.

– Och! – mówię. Co się dzieje? Ma ochotę na seks? Chyba nie znowu? Boże, on jest gorszy ode mnie.

– Czekał – nakazuje.

– Co?

Stoję w miejscu i patrzę, jak grzebie w naszej walizce – tej z biżuterią Beth i ubraniami Ambrogia.

– Włóż to.

Podnosi diamentowy naszyjnik Beth, ten sam, który kiedyś mierzyłam.

Wygląda jeszcze piękniej w świetle lampy, diamenty migoczą jak miliardy gwiazd. Wstrzymuję oddech. Ostatnim razem Beth mnie przyłapała. Ale Beth tu nie ma. Teraz one są tylko moje.

– Chcę, żebyś miała to na sobie.

O, Boże. Nino zapina mi diamenty na szyi; drogocenne kamienie parzą moją skórę jak lód. Zerkam na swoje odbicie w lustrze. Jestem zupełnie naga

poza oszałamiającymi klejnotami, które niemal płoną mi na piersi. Są tak lśniące, że aż bolą mnie od nich oczy.

Patrzę w dół na diamenty i gładzę ten największy, między piersiami. Nino jest taki romantyczny. Aż odjęło mi mowę. On tylko całuje mnie w czoło.

– Może zejdź na dół i zamów nam drinki? Wezmę tylko prysznic i do ciebie zejdę.

– Okej – mówię. – Do zobaczenia na dole.

* * *

Czekam na Nina w barze Rivoli. Przesuwam opuszką palca po krawędzi kieliszka martini i uśmiecham się do barmana. Diamentowy naszyjnik Beth iskrzy się w ciepłym świetle lampy; kamienie wielkości główki niemowlaka. Jej pierścionki lśnią, jakby żyły własnym życiem. Nie widzę diamentowych kolczyków Beth, ale jestem pewna, że błyszczą równie oszałamiająco (założyłam je, bo pasowały do naszyjnika). Cała migoczę i roztaczam blask. Wyglądam jak milion dolarów. Wciągam głęboko powietrze w płuca – syntetyczna magnolia – i zaczynam się odprężyć. Biorę łyk martini z wódką: wstrząśnięte, niez mieszane, tak jak zamawiał je Ambrogio, jak w filmach z Jamesem Bondem. Smakuje jak wolność i błękitne niebo. Na maleńkim srebrnym talerzyku leży spiralna wstążka ze skórki pomarańczy i jedna oliwka, gdybym miała ochotę je dodać. Wrzucam jedno i drugie do kieliszka i mieszam.

Kurwa, kocham być milionerką.

Gładzę dłońmi chłodny, gładki bar. W Rivoli jest cicho i pusto, nie ma tu nikogo poza mną. Jest za piętnaście pierwsza w nocy. Nie pamiętam, jaki dziś dzień. Prawdopodobnie poniedziałek, ale to bez różnicy. Obracam się na stołku: mahoń, lamparcie cętki, złote cherubiny, fotele w stylu Ludwika XVI, stoliki tak wypolerowane, że są jak ciemne lśniące lustro. Wózek zastawiony

różnymi szklankami, smukłymi kieliszkami do szampana, literatkami, różnymi alkoholami. Na srebrnym shakerze jest wygrawerowany napis „Ritz London”. Literki są tak maleńkie, że ledwo jestem w stanie je odczytać.

Dalej czekam na Nina.

Umieram z głodu, więc wybieram z menu kawior z białugi: pięćdziesiąt funtów.

Podają mi go na srebrnym talerzyku: porcja jak dla lalki. Lśniące czarne jajeczka wyglądają jak malutkie oczka. Do tego trzy miniaturowe bliny, ćwiartka cytryny w siateczce, miseczka posiekanej szalotki, miseczka posiekanej pietruszki i jakiś dziwny żółty proszek. Nie jestem pewna, co należy zrobić, więc tylko na to patrzę: sztuka abstrakcyjna jakiegoś sławnego artysty, którą powinnam się zachwycić. Zamiast tego podjadam darmowe orzeszki.

Wchodzi jakiś mężczyzna. To nie Nino. Facet siada po przeciwnej stronie baru i zamawia whisky bez lodu. Kręci się na stołku. Bawi się telefonem. Na ścianie za nim wisi przepiękny złożony obraz: pólężąca kobieta z łabędziem w lśniąącym słońcu. Promienie słońca rozciągają się po jasnym niebie w złotopomarańczowym blasku. Falbaniaste chmury wirują. Kobieta jest naga, piękna, ma odkryte piersi, rozpuszczone włosy i otwarte usta. Łabędź leży na niej – majestatyczny, królewski, o szeroko rozpostartych skrzydłach. Dopiero kiedy dopijam martini, uświadamiam sobie, że kobieta jest gwałcona przez łabędzia. Przypominam to sobie z History Channel: kobieta to Leda, a łabędź to Zeus. Kurwa, obrzydliwe. Nagle robi mi się niedobrze.

Patrzę w stronę wejścia. Nikogo. Rozglądam się po pomieszczeniu: cicho, pusto. Obserwuję sekundnik na zegarku Beth. Tik-tak, tik-tak. Czas wlecze się tak strasznie wolno. Zwalnia i zupełnie się zatrzymuje, jak na płynnym zegarze Salvadora Dalí. Jeszcze raz patrzę na bar, ale wszystko zamarło, jak na obrazie. Kolory zastygają jak farby olejne. Okna, meble, stoły i krzesła,

wszystko jest namalowane. Dwuwymiarowe. Nic się nie porusza. I wiem, że Nino nie przyjdzie. Dlatego tu czekam. On nie przyjdzie.

Wyrywam się z zamyślenia.

Kurwa.

– Czy mogłabym skorzystać z telefonu? – pytam barmana. – Muszę zadzwonić do pokoju.

– Oczywiście, proszę pani.

Podaje mi słuchawkę. Wyrywam mu ją z ręki i wbijam numer: 1012. Nasłuchuję sygnału i wybieram jeszcze raz. Nic. Może już schodzi? Ale coś mi mówi, że nie schodzi. Podpisuję rachunek i wybiegam z baru, pędzę przez korytarz, po schodach. A jeśli pojechał windą i go przegapiłam? Wyciągam kartę i otwieram drzwi.

– Nino? – próbuję.

Nie widzę jego rzeczy: ubrań, butów, naszych bagaży. Apartament jest pusty. Przetrzęsam pokoje w poszukiwaniu walizki z pieniędzmi. Otwieram szafy, zaglądam pod łóżko. Wyrywam szuflady, sprawdzam wszędzie. Grzebię we wszystkich stolikach, rozglądam się za numerkiem parkingowym do lambo. Nic. Wszystko zniknęło.

Szlag.

Na szafce nocnej leży kapelusz Nina; czarna fedora z szarą wstążką. Podnoszę ją. Pachnie jak Nino. To jedyny dowód, że w ogóle kiedyś tu był. Chwytam za telefon, ciężko siadam na łóżku, dzwonię do konsjerża.

– Proszę z obsługą parkingu.

Ktoś mnie łączy.

– Halo, dzwonię z pokoju tysiąc dwanaście. Czy nasz samochód jest w hotelu?

Cisza...

– Przykro mi, proszę pani, ale pani mąż właśnie go zabrał...

– Dziękuję – mówię i się rozłączam. – Kurwa.

Biegnę do okna, otwieram szeroko, wyglądam na ulicę. Jest zimno i pada deszcz. Widzę czerwone lambo; boy właśnie wysiada. Nino stoi z walizkami, z pieniędzmi.

– Nino! – krzyczę. Otwiera drzwi do samochodu. Nie patrzy w górę.

Zrzucam szpilki i wybiegam z pokoju, pędzę przez korytarz. Nie pozwolę kutasowi uciec. Winda jest zbyt powolna, wybieram schody. Gnam na dół, potykam się, ślizgam. Przebiegam koło recepcji bez patrzenia na obsługę. Kątem oka zauważam, że recepcjoniści podnoszą głowy i się na mnie gapią. Matthew uśmiecha się, kiedy przebiegam koło niego. Zastrany Nino. Kurwa, chuj. Naprawdę myślałam, że mamy wspólną przyszłość. Że coś nas łączy. Odźwierny kłania się w pas, otwierając drzwi.

Wypadam na ulicę, na gęsty deszcz. Jestem o dwie sekundy za późno. Jeszcze muskam tył lambo koniuszkami palców, ale Nino dociska gaz. Biegnę najszybciej, jak potrafię, krople deszczu smagają mnie po twarzy, spływają mi po szyi, wzdłuż kręgosłupa. Samochód pędzi przez Piccadilly. Widzę tył jego głowy. Gładkie czarne włosy. Nawet się nie odwraca. Nadal trzymam tę jego głupią fedorę. Rzucam za nim kapelusz, siadam w kałuży na chodniku i płaczę. Koniec! Pojechał. Mogę zapomnieć o oświadczeniach. O planie. Zostałam tylko ja, znów kompletnie samotna. Nie mam już nawet Beth do nienawidzenia. A wszystkich innych pozabijałam.

Kurwa kurwa chuj

Chuj kurwa kurwa kurwa

Ja pierdolę chuj.

* * *

Przesuwam palcami po chłodnej, gładkiej tapecie, sunę przez niekończący się

korytarz. Stopy same mnie niosą. Wreszcie widzę drzwi do apartamentu. Opieram się o framugę, grzebię przy zamku. Karta klika w drzwiach, zapala się mała zielona lampka. Wchodzę do środka. Wszystko jest takie samo, ale odrobinę inne. Rozpikselowane, jakbym nagle znalazła się w grze komputerowej. Wzrok mam zamglony od łez. Jest cicho, zbyt cicho. Mam wrażenie, że to miejsce jest zbyt przestronne. Tyle miejsca tylko dla mnie? Opadam na kanapę. Oszołomiona. Odrętwiała. I co ja teraz zrobię? Nie mogę tu jutro zostać; nie mam pieniędzy. Nie mogę teraz wrócić do oblechów. Nie wpuściliby mnie, nawet gdybym padła im do nóg. Myślę o swoim starym pokoju na Archway... Ciekawe, jak teraz wygląda, cały posprzątany. Puste miejsce na ścianie tam, gdzie kiedyś wisiał mój plakat z Channingiem. Brudne czarne krawędzie. Taśma klejąca w rogach. Ciekawe, co się z nim stało? Założę się, że oblechy wyrzuciły go razem z moimi wibratorami. (Nie powinnam była zostawiać Mr Dicka w Taorminie). Na podłodze pewnie stoi nowe wiadro na deszczówkę. Wszystkie moje rzeczy już dawno zniknęły, ale poza tym pewnie wszystko wygląda tak samo: ten sam stary futon, te same brudne wykładziny, jakbym nigdy nie wyjechała, jakby nic się nie zmieniło. Może faktycznie nic się nie wydarzyło i wszystko sobie zmyśliłam?

Sycylia zaczyna już blednąć, rozplýwać się w powietrzu jak zły sen... Chwytam za telefon i przeglądam zdjęcia. Ja i Ernie. Moje selfie z księdzem. Ciała w deszczu. To naprawdę się wydarzyło! Jeszcze nie oszalałam. Przytulam czerwoną aksamitną poduszkę i opieram na niej głowę.

Nino zostawił włączony telewizor. To jakiś kanał z wiadomościami przez całą dobę: BBC World. Pokazują historię o kryzysie uchodźczym: Syria, Calais, Campedusa. Dźwięk jest wyłączony, ale dolną część ekranu zajmuje szeroki czerwony pasek: „gorący temat: eksperci potwierdzają, że zaginiony obraz Caravaggia *Pokłon pasterzy ze świętym Wawrzyńcem i Franciszkiem* odnaleziono: dzieło sztuki zostało zniszczone w pożarze willi w Taorminie na

Sycylii. FBI poszukiwało arcydzieła Caravaggia, wartego 30 milionów dolarów, od 1969 roku, kiedy to skradziono je z oratorium San Lorenzo w Palermo”.

Spaliłam trzydzieści milionów dolarów?

Wrzeszczę.

Biegnę i rzucam się na ekran, zrywam telewizor ze ściany. Rozbija się o podłogę. Gaśnie. Skaczę po ekranie, depczę, znowu skaczę: TRACH, TRACH, TRACH. Zginam się wpół, opieram dłonie na kolanach i łapię oddech. Trzydzieści milionów dolarów? Kurwa, trzydzieści baniek? Szarpnięciem otwieram barek i wyciągam butelkę ginu: Bombay Sapphire. To butelka jest niebieska czy alkohol? Wypijam wszystko na raz. Niezbyt dobre. Trochę mi lepiej.

Telefon Beth piszczy: ćwir, ćwir, ćwir. Kto tym razem? Tylko nie znowu Taylor. Sięgam do torebki i wyciągam iPhone’a: sześć nieodebranych połączeń i dwa SMS-y od mamy:

„Beth, gdzie jesteś? Stoję przed twoją willą. Wszystko spłonęło! Jest tu straż pożarna, ale z domu nic nie zostało. ODDZWOŃ. NIC CI NIE JEST?”

„Beth, kochanie, mam twojego synka. Nie martw się, był bezpieczny z Emilią, ale zabiorę go do hotelu i dam mu gnieczonego banana”.

Wrzeszczę.

I wrzeszczę.

I wrzeszczę.

Chwytam złoty świecznik i miotam po stole; lampa, miska z owocami i kryształowa figurka lecą na ziemię. Przewracam fotel i kanapę. Rzucam się na zasłony, ciągnę je w dół. Rozlega się głośny trzask i już leżą mi u stóp, wielka sterta czerwonego materiału. Otulam się zasłonami, zwijam się w kłębek. Nie ma pieniędzy. Nie ma willi. Samochodu. Nina. Jachtu. Małego Ernesta. Chcę zniknąć.

Nagle słyszę pukanie do drzwi, gwałtowne jak seria z karabinu. Szlag. Co tym razem? Spierdalaj. Idź sobie. Kto to może być o tej porze? Myśli kłębią mi się w głowie: moja matka? Boże, nie, błagam, błagam, tylko nie moja matka. Ale skąd ona mogłaby wiedzieć, gdzie jestem? Nino? Nie, już dawno odjechał. Elizabeth? Nie bądź głupia, Alvina; to nie może być Beth. Ci kolesie z Sycylii, którzy nas gonili? Nie, przecież ich zabiłam, prawda? Kurwa, policja? Uspokój się, Alvie. Masz paranoję. Znowu głośne pukanie, wierzące dziurę w mózgu. Biorę głęboki wdech.

– Już idę – wołam.

Wyplątuje się z zasłon, przyglądam włosy, pocieram twarz dłońmi. Odchylam ostrożnie drzwi, centymetr po centymetrze. To Matthew. Kurwa, całe szczęście. Może go zabiję? Troszkę bym się rozchmurzyła.

Na mój widok chłopak robi przestraszony krok w tył.

– Wszystko w porządku, proszę pani? Wydawało mi się, że... eee... eee... słyszałem jakieś hałasy?

– Hałasy? Nie.

– Coś jak krzyki?

– Nie, nie.

– Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Bo wygląda pani na...

– No? – Wpatruję się w niego nienawistnie, czekam, aż to powie. Dalej, powiedz to.

– Na przerażoną. – Oczy ma jak spodki. Ręce ma opuszczone wzdłuż ciała, ale i tak widzę, jak mu się trzęsą.

– Ty też.

Zatrząskuję drzwi i upewniam się, że są zamknięte. Wyglądam na przerażoną? Podchodzę do lustra i przyglądam się uważnie. Patrzy na mnie

twarz Elizabeth. Twarz Elizabeth. Oczy Elizabeth. Serce bije mi szybciej. Potrząsam głową. Nie wydurniaj się, Alvie. Nie bądź głupia. To obłąd. Ale podchodzę jeszcze bliżej, nos mam centymetr od lustra... Mam na sobie biżuterię Beth, jej diamentowy naszyjnik. Dlaczego Nino mi go dał? Patrzę sobie w oczy, są pełne łez. I to prawda.

Jestem Elizabeth. Jestem Beth.

W żołądku wzbiera mi fala mdłości. Kurwa, co się dzieje? Serce tłucze mi się w piersi. Moje odbicie w lustrze wydaje z siebie niemy wrzask.

– Elizabeth?

O, Boże.

JESTEM ELIZABETH.

JESTEM BETH.

Moja twarz, moje oczy, mój uśmiech; to ona!

Potrząsam głową i rozglądam się w przypiływie paniki, chwytam urnę z kominka i ciskam w lustro. Szkło rozpada się na tysiąc kawałków, odłamki sypią się do kominka, spadają na ziemię jak deszcz. Serce bije mi jeszcze szybciej. Gdzie jest moje serce? Chwytam się za pierś, wkładam dłonie pod stanik. Puls dudni mi pod skórą: DUDUM! DUDUM! I już wszystko jest dobrze. Jest okej. Mam serce po prawej. Po prawej, nie po lewej. Przestań odpierdalać manianę. Tracisz rozum, Alvina. Odbija ci. Zupełnie cię już pojebało. Za dużo koksu. Za mało snu. Za dużo krwi. Potrzebuję świeżego powietrza.

Podbiegam do okna, wychylam się i patrzę na chodnik.

Biorę głęboki oddech. Ciężkie, wielkie krople deszczu spadają na ziemię. Ołowiane niebo. Gęsta, czarna noc. Nino. Nino. Zrobił mi coś takiego. Jak on mógł mnie zostawić? To wszystko jego wina. Oczywiście, że uciekł. Zrobiłabym dokładnie to samo, gdybym tylko pierwsza o tym pomyślała. To zabawne, ale jestem trochę pod wrażeniem. Bo widzicie, ja i Nino jesteśmy

tacy sami, dobraliśmy się jak w korcu maku. Jesteśmy dla siebie stworzeni. On jest tym jedynym. Ja jestem Kopciuszkiem. On jest moim pojebanym księciem. Oo, kochany, zadarłeś z niewłaściwą dziewczyną. Nie przegram. Odmawiam. On ze mną nie wygra. Znajdę Nina, choćbym miała zdechnąć.

– To jeszcze nie koniec, Giannino Maria! – wrzeszczę przez okno.

Znajdę tego *stronzo* i spokojnie... boleśnie... krocze po krocze...
Znajdę go i zabiję.

Albo za niego wyjdę.

Nino musi poznać Alvie.

Epilog

*Alvina Knightly
Ritz Hotel, 150 Piccadilly,
Londyn, W1J 9BR*

*Sz.P. Channing Tatum c/o C A A 2000 Aleja Gwiazd
Los Angeles, CA 90067*

RE: Małżeństwo

*Poniedziałek, 31 sierpnia 2015 r.,
3.56 rano*

Szanowny Panie Tatum,

Nazywam się Alvina Knightly, ale może mi Pan mówić Alvie albo Al (choć to brzmi trochę jak imię dla faceta) i jestem nie tylko Pańską największą fanką, ale również potencjalną przyszłą żoną. Podziwiam Pana z daleka już od pewnego czasu (odkąd pierwszy Magic Mike wyszedł w Wielkiej Brytanii), ale nie chodzi mi tylko o Pański perfekcyjny kaloryfer i wyrzeźbioną klatę. Bardzo cenię także Pańskiego fiuta. Uważam również, że jest Pan lepszym aktorem niż Ryan Gosling, choć nie aż tak dobrym jak Matthew McConaughey; on jest naprawdę utalentowany.

Opowiem Panu teraz trochę o sobie, żeby mógł Pan ocenić, czy chce się Pan ze mną ożenić, czy nie (osobiście uważam, że powinien Pan chcieć). Jak już wspominałam, mam na imię Alvina i mam 26 21 lat. Obecnie mieszkam w Londynie w Anglii, w hotelu Ritz (pewnie domyślił się Pan tego po

papeterii), ale nie przebywam tu na stałe. Mam nadzieję znaleźć jakieś mieszkanie, kiedy oddam w zastaw diamentowy naszyjnik siostry – powinien być wart około 70-80 tysięcy funtów. Siostra podarowała mi go na urodziny. To powinno wystarczyć na depozyt za kawalerkę na Archway. Możliwe, że dostanę też trochę pieniędzy z ubezpieczenia za sycylijską willę, którą spaliłam do fundamentów, ale na razie nie jestem pewna.

Jestem sympatyczną, wesołą i towarzyską osobą. Z każdym potrafię się zaprzyjaźnić, kocham zwierzątka, dzieci i turystów. Lubię też operę, poezję, Lamborghini, podróże, alkohol, zabijanie i seks. Szczególnie seks. Jestem bardzo doświadczona w łóżku i ponoć dobrze robię laskę. Jak dotąd przespałam się z 303 mężczyznami, ale mówimy o okresie ośmiu lat, więc proszę nie myśleć, że jestem łatwa.

Byłam już w kilku długich związkach (więcej niż jedna noc), ostatni skończył się niedawno (dzisiaj), ale rozstaliśmy się w przyjaźni (on nadal żyje) i wprawdzie istnieje duża szansa, że jeszcze do siebie wrócimy, chciałam jednak powiadomić Pana, że obecnie jestem wolna i dostępna. Spróbuję go namierzyć (z wykorzystaniem aplikacji śledzącej z GPS-em, którą ściągnęłam mu na telefon, kiedy poszedł pod prysznic), ale oceniam, że prawdopodobieństwo oświadczyn w wyniku tych działań wynosi nie więcej niż 50%.

Tymczasem ślę ten list przez Pańskiego agenta w L.A. Nie znam Pańskiego adresu domowego, ale proszę mieć pewność, że to tylko kwestia czasu. Może pan do mnie oddzwonić w dogodnym dla Pana czasie na numer 004477669756330 (w ciągu 24 godzin od chwili otrzymania tego listu) i poinformować, kiedy i gdzie chciałby Pan się ze mną spotkać.

Serdeczne wilgotne pozdrowienia,

Alvina

PS Zapomniałam dodać, że wyglądam jak młodsza, seksowniejsza wersja Angeliny Jolie, tylko o wiele szczuplejsza, ładniejsza i bardziej blond. Załączyłabym fotografię, ale niestety żadnej nie mam.

PPS Zmieniłam zdanie, proszę nie mówić mi Al; jeszcze skojarzy się Panu z Alem Gore'em, a to bez wątpienia powoduje zaburzeniami erekcji.

Podziękowania

PRZEDE WSZYSTKIM DZIĘKUJĘ RODZICOM, że mnie zrobili. Bez nich nie byłoby mnie tu dzisiaj i nie byłabym w stanie napisać *Szalonej*. Dziękuję Wam za to, że wspieraliście mnie przez te wszystkie lata edukacji. Mamo, Tato, NIE CZYTAJCIE tej trylogii. Po prostu poczekajcie na filmy i zasłaniajcie oczy podczas sprośnych scen. Okej?

Dziękuję swojemu poważnie seksownemu włoskiemu mężowi Paolowi (który absolutnie nie stanowił inspiracji dla żadnych seksownych Włochów w moich powieściach). Za to, jak mnie wspierałeś, kiedy powiedziałam, że rzucam pracę, żeby napisać powieść; to bardzo miłe z Twojej strony, że płaciłeś wszystkie rachunki. *Ti amo*.

Po trzecie, dziękuję swojemu fantastycznemu tutorowi z Faber Academy, Richardowi Skinnerowi. Richard, dziękuję Ci za radę, żebym się nie hamowała, za tchnięcie we mnie pewności siebie, bym miała odwagę stworzyć postać tak cudownie zepsutą jak Alvina Knightly, i za całą Twoją mądrość i przyjaźń, którymi się ze mną dzielisz. Skinner, rządzisz! (Ten facet to chodząca LEGENDA).

Dziękuję wszystkim kolegom i koleżankom z kursu na Faber Academy za dobrą zabawę i fantastyczne uwagi. Nie mogłam sobie wymarzyć bardziej utalentowanej i zaangażowanej grupy pisarzy, z którymi mogłabym dzielić tę przygodę. Lydia Rose Ruffles, Felicia Yap, Michael Dias, Ilana Lindsey, Sam Osman, Helen Allen, Sarah Edghill, Paola Lopez, Gina North, Margaret Watts, Kate Vick i Ally, jesteście najwspanialszą bandą świrów na świecie! Kocham Was.

Dziękuję wszystkim kochanym przyjaciołom, którzy czytali manuskrypt i dzielili się ze mną spostrzeżeniami: to Clare, Chris, Sophie, Alex, Ezzat, Alessandra i inni. Szczególne podziękowania należą się Lisie Taleb; Twoja przyjaźń i słowa zachęty znaczyły dla mnie więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie to wyrazić. Jesteś dla mnie jak siostra – nie dokonałabym tego bez Ciebie.

Dziękuję swoim agentom z WME: Simonowi Trewinowi, Erin Malone, Alicii Gordon, Annemarie Blumenhagen i Tracy Fisher. Co za fenomenalny zespół! Jestem zachwycona Waszymi spostrzeżeniami, mądrością i profesjonalizmem, a praca z Wami to czysta przyjemność. Będę Wam wdzięczna po grób.

Dziękuję też swoim cudownym, niezmordowanym redaktorkom z PRH, Jessice Leeke i Mayi Ziv. Praca z Wami nad tą trylogią była jak marzenie. Wasze oddanie i wiara w ten projekt były niewiarygodne. Jeśli te powieści są dobrze napisane, to właśnie dzięki Wam!

CXXX

Przypisy końcowe

1. William Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1994. [\[wróć\]](#)
2. William Szekspir, *Otello*, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1974. [\[wróć\]](#)
3. W. Szekspir, *Otello*, dz. cyt. [\[wróć\]](#)